

Daria Doncowa

Nieściśle tajne

Nesekretnye materialy

Przełożył: Marek Jezowski

TMN

Wydanie polskie: 2004

Rozdział 1

Październikowy dzień łagodnie przechodził w wieczór. Słońce świeciło jeszcze dosyć jasno, ale w powietrzu czuło się już oddech zimy. Stałam w korku na Szosie Wołokołamskiej i zastanawiałam się, czy zdążę przyjechać do domu przed ósmą. O ósmej na NTW miał być kryminał z moim ulubionym Hercule’em Poirotem. Musiałam jakoś odbić sobie godziny, bezowocnie spędzone w sklepach. Synowa wyprawiła mnie po nowe zasłony do jadalni, ale chociaż długo szukałam, nic odpowiedniego nie wpadło mi w oko.

Sznur aut w żółtym tempie posuwał się do przodu. Najpierw zobaczyłam targowisko, a w nozdrza uderzył mnie zapach smażących się czebureków, tych sławetnych, z farszem z psiego mięsa. Żołądek mi się ścisnął i ogarnęła mnie przemożna ochota na to paskudztwo. Zaparkowałam przed wejściem i wysiadając z volva, spróbowałam powściągnąć nieopanowany apetyt. Na pewno smażą te czebureki na oleju silnikowym i wyrabiają ciasto niemytymi rękami... Dręczona wyrzutami sumienia i trochę zła na siebie za łakomstwo, chciałam już zatrzaskać drzwiczki, kiedy zobaczyłam scenę, która sugerowała, że na targowisku kręcą właśnie film o gangsterach.

Nie wiadomo skąd pojawili się faceci w moro i czarnych kominiarkach. Na placu rozległy się ordynarne przekleństwa. Handlarzy całkiem jakby wymiotło. Jedni ukryli się w kioskach-szczękach, inni – pod straganami.

Kiedy postyszałam pierwsze wystrzały, bez namysłu skryłam się za volvem i padłam plackiem na brudny asfalt, starając się jak najmniej rzucać w oczy. Może mnie nie trafią i jakoś przeżyję. Zza niskiego samochodu trudno obserwować walkę. A ta rozgorzała nie na żarty. Przez wąską szparę widziałam tylko biegające tam i z powrotem nogi w firmowych butach, za to usłyszeć mogłam niebywałe wręcz wyrażenia.

Nagle samochód się zakołysał, widocznie jakaś potyczka odbywała się tuż koło niego. Przerażona zamknęłam oczy i zaczęłam odmawiać modlitwy, nie wiadomo dlaczego po łacinie. Ale wtedy zawyły syreny. Buty się wyniosły, na ich miejsce

przybiegły inne – prostsze i tańsze, ale przekleństwa pozostały – brukowe, siarczyste. W końcu zapanowała względna cisza, przerywana pojedynczymi okrzykami. Ze strachu prawie przestałam myśleć. Wówczas do volva podbiegły czarne buciory, po czym rozległ się dźwięczny młody głos:

– Hej, został tam kto żywy?

– Został! – zawołałam.

– Wyłaż – rozkazał mężczyzna.

Sapiąc i stękając, jakoś się podniosłam i rzuciłam okiem na krajobraz po bitwie. Plac rzeczywiście przypominał pobojuwisko. Większość handlarzy otrzepywała się i usiłowała zebrać porzucany towar. Koło budki z czeburekami leżał zabity pies i jeszcze coś, o czym trudno było powiedzieć, czy to jakieś rzeczy czy zwłoki. Starając się nie patrzeć w tę stronę, potarłam nos brudną ręką i zagadnęłam stojącego obok milicjanta:

– Dzień dobry.

– Dowodzik proszę – rzucił oficjalnym tonem stróż prawa.

– Dlaczego? – zachnęłam się. – Spokojnych obywateli powinniście ochraniać, a nie legitymować. Co ja takiego zrobiłam? Po prostu miałam ochotę na czebureki, więc się tu zatrzymałam...

– Papiery wozu, prawo jazdy i dowód. – Milicjant nadal pozostawał niewzruszony.

– Nie pokażę – rozzłościłam się.

– Ojeeej – ugodowo mruknął funkcjonariusz. – Co pani zależy? Taka służba...

Popatrzyłam na jego okrągłą, dziecięcą twarz, usianą drobnymi piegami. Chuda szyja sterczała zza szerokiego kołnierza koszuli... I czemu ja się na niego wściekam?

Westchnęłam, wsiałam do wozu i podałam chłopaczkowi to, czego żądał. Wziął granatową książeczkę i powiedział:

– Aaa, to pani z zagranicy, Francuzka.

– Jak widać...

– Nieźle pani mówi po rosyjsku – skomplementował mnie chłopczyna. – Bez akcentu...

Potem, chcąc najwyraźniej zachować dyplomatyczną etykietę, zasalutował i oznajmił uroczyście:

– Może pani jechać, przepraszam za incydent.

– Co tu się stało? – zapytałam, chowając dokumenty.

– A nic, chłopaki dzielili terytorium. – Milicjant westchnął. – Jakieś nieporozumienie.

– Aha – mruknęłam, zatraskując drzwi.

– Halo! – Patrolujący zastukał w szybę. – Może by się pani umyła tu w toalecie,

bo strasznie pani brudna.

Zignorowałam tę skądinąd rozsądną sugestię, włączyłam silnik i pojechałam do domu, do osiedla Łożkino.

Milicjant, miły chłopak, mylił się. Jestem Rosjanką, chociaż noszę w torbie francuski dowód tożsamości. Po francusku zresztą mówię tak jak po rosyjsku: biegle, bez błędów i akcentu, bo przez wiele lat uczyłam studentów nieśmiertelnego języka Zoli i Balzaka.

Wiodłam wówczas smętny żywot lektorki na podrzędnej uczelni technicznej. Płacili mało, stale dorabiałam prywatnymi lekcjami. Cały czas musiałam myśleć o tym, jak utrzymać rodzinę. A domowników było wielu – syn Arkady, synowa Olga, córka Masza, dwa psy, trzy koty, kilka chomików, biały szczurek i najbliższa przyjaciółka Nataszka. Dawno zauważyłam, że życie samo tworzy z ludzi rodziny. Rodzone siostry nie są sobie tak bliskie, jak ja i Nataszka. Kiedy więc po rozwodzie teściowa kazała jej się wynieść, a macocha nie wpuściła do mieszkania, Natalia przeniosła się do naszej dwupokojowej klitki w Miedwiedkowie, pozostali domownicy zaś przyjęli to jako rzecz zupełnie naturalną.

Żylibyśmy w biedzie, licząc każdą kopiejkę, ale nieoczekiwanie stał się cud. Natalia wyszła za mąż za Francuza i wyjechała do Paryża. W ślad za nią cała nasza czereda. Ale nie zdążyliśmy długo cieszyć się szczęściem Nataszy, gdyż jej mąż, baron Jean MacMeyer, został zabity. Za to w jednej chwili moja przyjaciółka stała się niewiarygodnie bogata.

Dwupiętrowy dom na przedmieściu Paryża, kolekcja unikatowych obrazów, znakomicie prosperujący biznes, wielocyfrowe konto w banku – to tylko część majątku, który odziedziczyła. W dodatku była jego wyłączną posiadaczką, bo okazało się, że Jean nie miał żadnych innych spadkobierców.

Z początku postanowiliśmy zostać w Paryżu i przez cały rok wiedliśmy jałowy żywot rentierów. Ale nostalgia jest nieuleczalną chorobą, tak więc coraz częściej domownicy zaczęli wspominać miły sercu deszczowy listopad; nabraliśmy nawet apetytu na naszą swojską kiełbasę z dodatkiem papieru toaletowego.

Akurat wtedy weszła w życie ustawa o podwójnym obywatelstwie. To rozwiązało nam od razu dwa problemy. Każdy członek rodziny miał odtąd w kieszeni dwa dowody tożsamości: czerwony rosyjski i granatowy francuski. Wróciliśmy do Moskwy i przekonaliśmy się, że bogatym wszędzie jest dobrze. Zbudowaliśmy jednopiętrowy dom w Łożkinie, zatrudniliśmy kucharkę, służącą i zaczęliśmy robić to, o czym wcześniej mogliśmy tylko marzyć.

Arkaszka został adwokatem. Na razie oczywiście żaden z niego Henry Resnick, ale fachowcem jest mimo wszystko niezłym. Co prawda, jego klientelę stanowią sami drobni oszuści i złodzieje, ale to nic; on, powołując się na prawo rzymskie, broni z

pasją nawet pijaczyny, który ściągnął kurczaka ze straganu. Na widok takiego zapachu sędziowie tylko śmieją się w kułak, ale ponieważ te popisy wprawiają ich w dobry nastrój, oskarżeni dostają minimalne wyroki.

Ukochana żona Arkadego, Olga, którą nazywamy w domu Kicią, wzięła szturmem instytut lingwistyki stosowanej. Studiuje trzy języki europejskie plus arabski.

Nie tak dawno małżonkom urodziły się bliźniaki: Ańka i Wańka, dlatego Kicia na jakiś czas musiała przerwać naukę. Ale teraz malcy mają nianię, Serafimę, więc może znowu chodzić na zajęcia.

Masza uczęszcza do liceum, a wieczorami biega na kursy przygotowawcze do Akademii Weterynaryjnej. Dziewczyna twardo postanowiła zostać „lekarzem od psów”.

– Słusznie – chwali brat jej wybór. – Ktoś taki na pewno nam się przyda.

Co prawa, to prawda. Mieszka u nas mnóstwo zwierząt – pitbull Bundy, rottweiler Snap, pudlica Cherry, mops Hootch, jorkszyrska terierka Julie, dwie kotki – trójkolorowa Kleopatra i biała Fifina, parka myszy, kilka jaszczurek i papuga Koko.

Nataszka też odkryła swoje powołanie. Zaczęła taśmowo pisać romanse po francusku. Ich bohaterami są bez wyjątku ludzie sztuki i dysydenci, którzy w łagrach i więzieniach cierpią najwymyślniejsze katusze. Nie trzeba dodawać, że wszystko zawsze kończy się dobrze – wspaniałą ucztą weselną, i to nie gdzie indziej, lecz koniecznie w Paryżu. Naturalnie podobnych gniotów w życiu nie udałoby się sprzedać na rosyjskim rynku wydawniczym, ale Francuzki przy takiej lekturze wpadają w cielecy zachwyty. Natalia błyskawicznie zdobyła sławę i popularność, że nie wspomnę już o wysokich honorariach.

– Pieniądz lubi pieniądz – wygłosiła z westchnieniem sentencję znajoma, obrzucając zawistnym wzrokiem półkę z bestsellerami Nataszki.

Oczywiście, na pozór wszystko wygląda całkiem prosto – siedzi sobie człowiek i gryzmołi na papierze. Ale ja wiem, że dzienna norma Natalii to piętnaście stron, taką pracowitość zaś trzeba szanować. Spróbujcie choćby przepisać tyle z pierwszej lepszej książki, a zobaczycie, czy to lekka praca! W dodatku pojęcia nie mam, skąd ta kobieta bierze tematy i jak udaje się jej splatać wszystkie wątki.

Na pewno nigdy się tego nie dowiem. Mnie Pan Bóg nie dał żadnego talentu, prawdę więc mówiąc, siedzę i nic nie robię. Jedno, co potrafię, i to naprawdę doskonale, to wplątywać się w rozmaite historie. Ot, powiedzmy: chcę zjeść czebureka, a trafiam w sam środek jakichś bandyckich porachunków...

Punktualnie o siódmej byłam w domu, w Łóżkinie; zostawiłam volvo na dworze i w te pędy pobiegłam do jadalni. Ledwie jednak wpadłam do salonu, już zrozumiałam: nie uda mi się obejrzeć filmu.

Na kanapie, miło się uśmiechając, siedziała rudowłosa kobieta w nieokreślonym wieku. Nieznajoma mogła mieć lat zarówno trzydzieści, jak i pięćdziesiąt. Okrągła, wzruszająco rosyjska twarz, małe szarzielone oczy, nieduży nos i usta o niewyraźnym zarysie, jakby ktoś najpierw zrobił parę kresek, a potem zaczął je wymazywać gumką i porzucił to zajęcie w połowie. Tylko jaskrawy kolor włosów wyróżniał niewiastę. Tak zabójczo rudego odcienia chyba jeszcze nie widziałam.

– Mamusia przyjechała! – zawołała Mania. – Mamusku, patrz, mamy gości. Zgadnij, kto to?

Westchnęłam w duchu i udałam, że się cieszę. Każdy medal ma dwie strony. W naszym wypadku ta druga strona to nieprzerwany ciąg gości ze wszystkich stron naszej wielkiej ojczyzny Rosji oraz tak zwanej bliskiej zagranicy. Gdy tylko po Moskwie rozniosły się słuchy o bogactwie, które na nas zniecka spadło, od razu okazało się, że mamy mnóstwo krewnych.

Wychodziłam w życiu za mąż cztery razy. Mam w związku z tym na karku czterech byłych małżonków, ich matki, braci, siostry... Wszyscy założyli nowe rodziny, a grono krewnych stopniowo zaczęło się powiększać o ich aktualne i porzucone żony, dzieci z różnych związków... U Nataszki wyglądało to podobnie, ona jednak zdążyła w Rosji zawrzeć tylko dwa małżeństwa. A przecież jeszcze są przyjaciele, przyjaciele przyjaciół... Lista wydłuża się w nieskończoność. W rezultacie ani we Francji, ani w Moskwie po prostu nie da się dłużej pomieszkać bez gości. Kiedyś w Paryżu przez pół roku bawił u nas czarujący wprost dziesiętnastolatek. Myślałam, że jest krewnym Nataszy, a ona – że moim. Nieporozumienie wyjaśniło się dopiero po jego wyjeździe, ale do dzisiaj nie wiemy, jak właściwie do nas trafił. Ciekawe, kto przyjechał tym razem?

– Nazywam się Gala, Gala Wiereszczagina – mruknęła kobieta, wstając z kanapy. „Nazywam się Bond, James Bond”, przemknęło mi przez głowę. Zachichotałam. Przybyła zmieszła się i zaczęła wyjaśniać:

– Jestem córką najbliższej przyjaciółki matki Lali, drugiej żony pierwszego męża Leny, małżonki Kirilla.

Popatrzyłam na nią zupełnie ogłupiała. To nie na moją głowę. Zrozumiałam tylko tyle, że coś ją łączy z jednym z moich byłych mężów, Kirilem. A reszty nie warto nawet dociekać.

– Przyjechałam na krótko – nadal usprawiedliwiała się Gala. – Tylko na parę miesięcy.

– Jasne, nie ma problemu. – Wykrzywiłam twarz w uśmiechu. – Miejsca jest dużo.

– Pani córeczka jest taka miła. Już mi pokazała mój pokój. Ale trochę głupio się czuję, tyle kłopotu.

Po czym kichnęła ogłuszająco, jeden raz, drugi... Tylko chorych nam tu brakuje.
– Niech się pani nie przejmuj – pośpieszyła z informacją Gala. – To alergia na zwierzęta domowe.

– A więc nie będzie pani u nas łatwo – uprzedziłam, mając cichą nadzieję, że załamie się i wyjedzie.

– To nic – uspokoiła mnie Galinka. – Zaraz zażyję suprastin. Aha, tu jest list od Kirilla.

Podawała mi różową kopertę. Od razu poznałam wyraźny, zamaszysty charakter pisma byłego męża, rozłożyłam kartkę i zagłębiłam się w lekturze.

„Cześć, Dario!

Jak Ci leci? U mnie wszystko w porządku. Posyłam Ci Galę Wiereszczaginą. To miła dziewczyna, ale bardzo nieszczęśliwa. Tobie pewnie trudno w to uwierzyć, lecz choć ma już dwadzieścia dziewięć lat, nie wyszła jeszcze za mąż. Mieszka niezbyt daleko – w Kałaczyńsku, ale to koszmarnie miasteczko: zakłady chemiczne, dookoła same baby, chłopą nie uświadczysz. Wszędzie tylko emeryci. Moja Lenka strasznie chciałaby jej pomóc, daliśmy więc dziewczynie Twój adres. Bądź tak dobra i znajdź jej kogoś, wokół Ciebie zawsze kręci się pełno różnych ludzi. Gala jest nawet inteligentna, ale niespecjalnie bystra, no i groszem też zanadto nie śmierdzi...

Odpowiadałby jej jakiś pułkownik. A propos, Twój znajomy Diegtiarow, ten z milicji, jest zdaje się kawalerem... Może ich poznasz, co? Jak się Galinkę odpowiednio ubierze, będzie całkiem nieźle wyglądać. Przepraszam za kłopot, ale oboje z Lenką nie mamy czasu teraz się nią zajmować; jedziemy na urlop. A na Tobie, moje złotko, zawsze można polegać. Pa, Kocham, Twój Kiriuszka”.

Złożyłam ten memoriał we czworo i z miłym uśmiechem kazałam podać herbatę. W środku aż mnie skręcało ze złości. Patrzcie ich, sami wyjeżdżają na urlop, a mnie podrzucili ubogą krewną, która nawet chłopą nie potrafi sobie znaleźć! Na dodatek mam ją ubrać, uczesać i umalować. Dobrze jeszcze, że mi jej myć nie kazali. Wyobrażam sobie, jaką minę zrobi mój najlepszy przyjaciel, pułkownik Diegtiarow, kiedy mu przedstawię „narzeczoną”. Na domiar złego jest alergiczką, o, proszę, jak kicha i pociąga nosem. Ale co robić, trzeba będzie się nią zająć.

Westchnęłam i spojrzałam na stół. Całkiem zapomniałam o ciastkach. Paczki z eklerami, ptysiami i rurkami spokojniutko leżą sobie w bagażniku.

– Pójdę tylko i przyniosę coś słodkiego z samochodu...

– Pomogę pani – usłużnie zaproponowała Galinka, po czym razem wyszliśmy na podwórze.

Było już prawie ciemno, ale tuż przy wejściu jest latarnia, a w dodatku w volvie

zapala się światło. Podniosłam klapę bagażnika i osłupiałam. Zamiast białych paczek z cukierni zobaczyłam zwłoki dobrze odżywionego mężczyzny. Niebieskie, nieruchome, szeroko otwarte oczy patrzyły nieruchomo wprost na mnie z rasowej, rzecz można, pięknej twarzy; jedynym felerem wydawał się mały, okrągły otwór między brwiami. Krwi nie było widać.

Gała wydała z siebie jakieś dziwne bulgotanie i jak worek kartofli osunęła się na ziemię, ja zaś nadal przyglądałam się mężczyźnie. Ciekawe, jak trafił do mojego bagażnika? Byłam absolutnie pewna, że nie wkładałam tam nic podobnego.

Rozdział 2

Nie obejrzałam więc ulubionej Agathy Christie. Najpierw zwołałam Arkadego, a ten razem z Maszą i Olgą zaciągnął leżącą bez czucia Galę do salonu. Nie było to łatwe. Tak na oko gość ważył ze sto kilo. Potem zadzwoniłam do pułkownika Diegtiariowa. To mój stary, wypróbowany przyjaciel. Znamy się od lat, strach nawet pomyśleć, od ilu. Poznaliśmy się w Akademii Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gdzie Aleksander, jeszcze wówczas szczupły, kędzierzawy i błyskający białą zębów, studiował, a ja dorabiałam na pół etatu jako lektorka francuskiego.

Od tamtych czasów minęły całe lata. Czupryna pułkownika się przerzedziła, on sam utył i zaczął błyskać złotymi koronkami; ja też nie odmłodziłam. Ale nasza przyjaźń pozostała niezmienna, w razie więc jakichś przykrości od razu dzwonię do niego. Aleksander dosłużył się stopnia pułkownika i został nawet jakąś szyszka. Nie bardzo znam się na milicyjnej hierarchii służbowej, ale wiem, że na jego biurko trafiają wyłącznie skomplikowane sprawy. Czterdzieści minut po moim telefonie na podwórzu wjechały mikrobus i czarna wołga. Z czeluści samochodu wyłonił się jeszcze jeden mój przyjaciel, Żeńka, i zawołał:

- Wszystkim mówię cześć, dawno u was nie byłem!
- Cicho bądź – rozkazał pułkownik, który pojawił się tuż za nim.

Żeńka podrałował do volva. Jest ekspertem, tak się to chyba nazywa. W każdym razie jego praca polega na tym, że facet sumiennie grzebie się w zwłokach, żeby określić przyczynę śmierci.

Wokół bagażnika zaczął się kręcić fotograf; potem nadbiegli jeszcze jacyś ludzie, którzy uprzejmie, ale stanowczo odprowadzili nas do salonu. Służąca Irka przewidująco zamknęła w kuchni wszystkie zwierzęta; teraz rozpaczliwie drapały w drzwi, skowycząc i piszcząc.

Aleksander usiadł na kanapie i zaczął wypełniać jakieś formularze.

- Gdzie znalazłaś trupa?
- Sam się znalazł w bagażniku.
- Ciekawe. – Mój przyjaciel uniósł brwi. – Sam przyszedł, sam wlaź do środka i

sam palnął sobie w łeb... Znasz go?

Pokręciłam głową przecząco.

– Pierwszy raz faceta widzę.

Wszedł milicjant, który podał szefowi dosyć wypchany portfel. Diegtariow zaczął wyklądać jego zawartość na stolik z gazetami. Pięć banknotów studolarowych, trzy po pięćset rubli, garść drobniaków, dziesięć wizytówek... Momentalnie chwyciłam jedną: Aleksy Iwanowicz Nikitin, dyrektor generalny wydawnictwa „Świeca”, pasaż Priamikowa.

– Odłóż to – polecił mi pułkownik.

– Ciekawe, za co tego Nikitina zastrzelili? – spytałam w zadumie. – I jeszcze władowali mi go do bagażnika.

– Może wcale się tak nie nazywa – zauważył przyjaciel.

– A wizytówki?

– Ktoś mógł mu je dać.

– Od razu dziesięć?

Aleksander popatrzył mi w oczy.

– Słoneczko moje, tylko niech ci nie przyjdzie do głowy działać na własną rękę. Te twoje, pozał się Boże, śledztwa z reguły źle się kończą.

Po czym zaczął mi zadawać idiotyczne pytania. Machinalnie na nie odpowiadając, zagłębiłam się w rozmyślnościach.

Tak w ogóle miał rację, prowadzenie śledztwa to rzeczywiście moja pasja. Po prostu uwielbiam kryminały i parę razy potrafiłam pomóc przyjacielom, którzy znaleźli się w tarapatkach. Wyciągnęłam z więzienia swojego byłego męża, Maksą Polańskiego, znalazłam zabójcę Larysy. A teraz los podsuwa mi taką szansę! Bez wątplenia powinnam była wybrać nie języki obce, tylko Akademię Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W dodatku jestem inteligentna, odważna, absolutnie nieprzekupna...

– Słuchaj – rozżościł się pułkownik – o czym ty właściwie myślisz?

– Że z ciastek na pewno nic nie zostało – powiedziałam szybko.

Aleksander mruknął:

– Nawet gdyby zostało, to wątpię, czy twoja rodzina miałaby ochotę na ciastka, na których leżał trup jakiegoś nieznajomego.

Westchnęłam; mówił jak zwykle nielogicznie. Nie miałaby ochoty nawet wtedy, gdyby na ciastkach leżał trup znajomego.

Następnego ranka, zszedłszy około dziesiątej do jadalni, przy dużym okrągłym stole zastałam tylko kichającą rozpaczliwie Galę. Arkasza oczywiście był w pracy, Kicia i Masza na zajęciach. Wyglądało na to, że gościem będę musiała się zająć sama.

– Jakie masz plany? – spytałam z nieszczerym zainteresowaniem, nalewając

tradycyjnie ledwie ciepłą kawę.

Gała wzruszyła ramionami.

– Sama nie wiem.

– Zaraz coś zjemy i pojedziemy do miasta; kupimy ci jakieś ciuszki – zaproponowałam.

Dziewczyna spaşowiała.

– Nie trzeba, wszystko mam.

– To dobrze, będziesz miała jeszcze więcej, a poza tym, powiedz: chciałyś wyjść za mąż?

Gała skinęła głową.

– No więc ewentualnym kandydatom trzeba od razu uświadomić, że jesteś w nie najgorszej sytuacji finansowej. Dobrze ubrana i ostrzyżona kobieta z odpowiednim makijażem ma więcej szans.

– Nie potrzebuję kogoś, kto będzie mnie oceniał według wyglądu. Chciałabym znaleźć mężczyznę, dla którego najważniejsza jest dusza.

– Dobrze, poszukamy uduchowionego, a na razie dopij kawę i jedziemy.

Galinka włożyła cztery kawałki cukru do niewielkiej filiżanki i zaczęła metodycznie mieszać kawę. Przy akompaniamencie miarowego stukotu łyżeczki wyszłam z pokoju. Trzeba jej będzie pewnie później wyjaśnić, że sto kilo w wieku dwudziestu dziewięciu lat to trochę za dużo. Ale najpierw zadzwonię do Alony Kislicynej. Alona pracuje w Instytucie im. Kurczatowa; jeśli gdzieś są jacyś samotni mężczyźni, to chyba tam.

Alonka od razu podniosła słuchawkę.

– Słucham, Kislicyna przy telefonie.

– Dobra jesteś – zachwycałam się. – Przedstawiasz się oficjalnie, jak należy.

Powiedz, masz u siebie w zakładzie dobrych kandydatów na męża?

– A co? – Moja przyjaciółka roześmiała się. – Chciałaś na starość jeszcze raz się pofatygować do ołtarza? A mówiłaś, że już nigdy w życiu...

Pokrótce wyjaśniłam jej, o co chodzi. Alona wpadła w zachwyt.

– Dobra myśl, najpierw ją ubierz, a potem zaprowadź do fryzjera. Co ma na głowie?

Chwilę się zastanawiałam, ale nie znalazłam lepszego określenia, więc powiedziałam:

– Wronie gniazdo.

– Dobra. – Alona dała się bez reszty ponieść entuzjazmowi. – Cóż, wszyscy nasi faceci są do niczego, chociaż spróbować można. Zdzwoniemy się wieczorem. Ale, ale, pamiętasz, że swatka też coś musi z tego mieć? – I śmiejąc się, odłożyła słuchawkę.

W centrum handlowym oszołomiona Gała zaczęła się rozglądać na wszystkie

strony, ale ja wiedziałam, dokąd trzeba iść. Nie minęło nawet piętnaście minut, a już szczebioczące sprzedawczynie znalazły dla niej parę sukienek, kilka bluzek, trzy spódnice, dwa kostiumy i elegancki płaszcz. Starając się, żeby moja podopieczna nie widziała paragonu, chwyciłam ją za rękę i powlokłam do stoiska z butami.

Tam czekała mnie niespodzianka. Okazało się, że gruba i nieruchawa dziewczyna nosi obuwie numer trzydzieści pięć i ma czarujące, wąskie stopki o wysokim podbiciu.

– Taka noga po prostu domaga się szpilek – oświadczył sprzedawca.

Nie zważając na protesty Gali, zaopatrzyłam ją w eleganckie czółenka na wysokich obcasach, półbuty na deszczową pogodę, krótkie botki i śliczne domowe pantofelki na białym futerku.

Następną wizytę złożyliśmy w salonie „Liza”. Dyrektorem, stylistą i właścicielem w jednej osobie jest tam dobrze w Moskwie znany Lonia Kotow. Trzeba mu oddać sprawiedliwość: ma wspaniały gust, choć co prawda, nie wiadomo dlaczego, sam ma na głowie istny stóg siana.

Lonia spojrział złym okiem na wystraszoną Galę i zapytał groźnie:

– Robiła pani trwałą?

– Na duże wałki – wybełkotała nieszczęsna.

– Gównu mnie obchodzi, na duże czy na małe – oznajmił Lonia. – Tak czy siak, włosy są schrzaniłone...

Wiedząc, jak okropnie zazwyczaj się wyraża, szybko postarałam się wprowadzić go w sedno sprawy.

– Niech pan coś zrobi. Widzi pan, chcemy wydać Galę za męża, i chodzi o to, żeby...

– ...wyglądała jak prawiczka – błyskawicznie dokończył Kotow.

Biedna prowincjuszka zaczerwieniła się tak, że aż się przestraszyłam. Ciśnienie musiało jej podskoczyć chyba do dwustu. Mistrz nawet tego nie zauważył i walił dalej:

– Przepraszam bardzo, ale to po prostu głupota robić pierwszą naiwną z czterdziestoletniej baby! Proszę mi nie stawiać takich wymagań. I w ogóle, Daszo, wie pani, że mogę pracować, tylko kiedy mam natchnienie. Jeśli życzycie sobie jakiejś idiotycznej ondulacji, idźcie do zakładu fryzjerskiego.

I spojrział na nas ze złością. Zapewniłam go, że mam absolutne zaufanie do jego smaku artystycznego.

– No dobrze – złagodniał stylistą i powlókł słabo broniącą się ofiarę w głąb salonu.

Wiedząc, że będzie ją tam maltretował co najmniej godzinę, spokojnie pojechałam szukać zasłon, których dotąd nie kupiłam. Kiedy dokonywałam

dramatycznego wyboru – żółty aksamit czy zielony? – odezwała się komórka. Wyciągnęłam piszczący natarczywie aparat i usłyszałam głos przyjaciółki z Paryża.

– Allo! – krzyczała Suzette. – Allo, słyszysz mnie?

– Słyszę doskonale, ale co się stało?

Suzette już od dwudziestu lat jest żoną Basile’a Korzinkina. Ród Korzinkinów jest stary, jego początki sięgają epoki Piotra Wielkiego. Podobno wtedy jeden z chłopów wprowadził w wyjątkowo dobry humor skorego do kar i nagród cara. Jak opowiadał dziadek Basile’a, Piotr, wzięwszy do ręki przepięknie wpleciony przez jego przodka kosz, powiedział podobno:

– Mistrzu, od dnia dzisiejszego ustanawiam na Rusi bojarski ród Korzinkinów.

Myślę, że jest to bardzo prawdopodobne. Jakkolwiek zresztą było, pozostaje faktem, że w roku tysiąc dziewięćset osiemnastym dziadek Basile’a, wówczas młody chłopak, zdołał wyrwać się z bolszewickiej Rosji za granicę. Przy czym, w przeciwieństwie do wielu innych, nie goły i bosi, tylko z rodzinnymi klejnotami. Mikołaj Korzinkin był przewidujący i wiedział doskonale, że na granicy wszystko emigrantom konfiskują. Oddając jednak czerwonogwardzistom walizy, zalał się łzami.

– Wszystko zabrali! – lamentował, przyciskając do piersi ulubionego psa myśliwskiego, spaniela Fokę.

Stary pies, owinięty, żeby mu było ciepłej, we flanelowy koc, posapywał apatycznie. Straż graniczna rzeczywiście zabrała wyjeżdżającym wszystko, co się dało, i odeszła. Pociąg powoli wtoczył się na obce terytorium. Kola Korzinkin odetchnął swobodnie i rozwinął z kocyka isticie drogocenne psisko. Na brzuchu psa, w gęstej sierści, ukrył się kosztowny naszyjnik z pereł. W uszach Foka miał woreczki z drobnymi kamieniami szlachetnymi, bo największymi – brylantami, szmaragdami i rubinami – został przed granicą po prostu nakarmiony. Musiał połknąć nafaszerowane klejnotami kawałki mięsa. Jeszcze jakieś drobiazgi schowane były w fałdach psiej kołderki – ot, zupełne głupstwo – mniej więcej kilogram złotej biżuterii i trzy jajka Fabergego...

Na dzień przed wyjazdem chytry Mikołaj wygolił kilka miejsc na mordzie i głowie Foki, posmarował je obficie zielenią brylantową, a oczy zakropił biedakowi wodą z cukrem. Powieki poczerwieniały i pies dostał efektownego zapalenia spojówek.

Kiedy czerwonoarmiści ujrzeni liszajowatego psa z zaropiałymi oczyma, jeden, krzywiąc się z obrzydzeniem, zapytał:

– Co mu jest?

– Syfilis – oświadczył bez namysłu Korzinkin.

Pogranicznik odskoczył jak oparzony i wrzasnął:

– Zastrzelę parszywca!

– Oj, kochaneczku – załkał właściciel psa – w takim razie zastrzel i mnie razem z nim. Zmiłujże się, zabierz, co chcesz, tylko zostaw mi biednego Fokę.

Czy to propozycja, by wszystko zabrać, tak podziałała na krasnoarmiejców, czy też okazali się w rezultacie nie tacy źli, dość że pies spokojnie przewiózł rezerwy złota przez granicę. Nie trzeba chyba dodawać, że Nikołaj potem rozpieszczał go, jak mógł i nie nazywał inaczej niż „swoim wybawcą”.

Tak oto Korzinkin osiadł w Paryżu i z dużym powodzeniem zaczął prowadzić interesy. W rodzinie zawsze rozmawiano po rosyjsku i kiedy Basile, czyli po naszymu Wasilij, przyjeżdżał do Moskwy, nikomu nie wydawał się cudzoziemcem. A przez dwa dziesięciolecia małżeństwa także Suzette podciągnęła się w ojczystym języku męża i paplała jak najęta, zupełnie bez akcentu. Ale teraz strasznie zdenerwowana jazgotała po francusku, połykając końcówki i przyimki:

– Dasza, Basile zaginał!

– Co zawinał?

– Nie zawinał, tylko zaginał, słuchaj uchem, a nie brzuchem! – oburzyła się Suzette.

Okazało się, że Korzinkin wyjechał do Moskwy już trzy tygodnie temu. Basile jest właścicielem potężnego wydawnictwa „Głos”. Przez długie lata wspierał radzieckich dysydentów, poetów, pisarzy, drukując zakazane w ZSRR dzieła. Po pierestrojce przerzucił się na wydawanie współczesnych autorów rosyjskich, propagując młodych, odkrywając nowe talenty.

W ostatnich czasie Basile często zaczął bywać w Moskwie; miał tu jakieś sprawy. Nigdy jednak nie zatrzymywał się na długo. Tym razem nie było go prawie miesiąc. W dodatku Korzinkin bardzo kochał Suzette i gdziekolwiek pojechał, o jedenastej wieczór czasu paryskiego zawsze dzwonił do żony i mówił jej „dobranoc”. Lecz w ostatnim tygodniu nie było żadnych telefonów. Suzette przestraszyła się i próbowała znaleźć człowieka, z którym Basile prowadził interesy. Ale kobiecy głos odrzekł, że państwa już od tygodnia nie ma w domu. Wówczas przestraszona nie na żarty Suzette połączyła się z hotelem „Inturist”, gdzie Basile się zatrzymał. Odpowiedziano jej, że siedem dni temu pan Korzinkin wrócił do siebie, do Paryża.

Teraz, oszałała ze strachu, krzyczała w słuchawkę:

– Dasza, spróbuj znaleźć jakiegokolwiek ślady! Ja nie mogę jechać.

Niestety, Suzette cierpi na tak silny artretyzm, że z trudem się porusza, a jej ręce i nogi wyglądają jak ptasie łapki. Daleko jej do starości, jesteśmy w jednym wieku, ale choroba uczyniła z niej niemal inwalidkę.

– Oczywiście, wszystko będzie dobrze – zaczęłam pocieszać przyjaciółkę. – Mówisz, że hotel „Inturist”? A jak się nazywa człowiek, z którym Basile robił

interesy w Moskwie?

– Aleksander Iwanowicz Nikitin, właściciel wydawnictwa „Świeca” – powiedziała, po czym łączność została przerwana.

Zaczęłam stukać palcem w komórkę, ale beznamiętny kobiecy głos bez końca powtarzał: „Abonent znajduje się poza zasięgiem”.

Usiadłam w niedużej kawiarni koło sklepu, starając się jakoś zebrać myśli, rozpełzające się jak mrówki. Basile jest związany z tym Nikitinem! A to dopiero! Przecież właśnie Nikitina znalazłam wczoraj martwego w bagażniku samochodu.

Jeden zginął, a drugi zaginął!

Telefon znowu zatrzeszczał, a ja zaczęłam krzyczeć nerwowo:

– Mów, Suzie!

Ale to był Kotow.

– Co, podarowałaś mi ten skarb na zawsze? – oburzał się stylistka. – Przyjeżdżaj zaraz, mam tutaj pełno ludzi.

Machnęłam ręką na zasłony i pojechałam do salonu.

Kotow rzeczywiście postarał się jak rzadko. Nie wiem, co zrobił, żeby osiągnąć taki efekt, ale Galinka wyglądała doskonale. Twarz zyskała szlachetny, matowy odcień, a piegi zniknęły bez śladu. Oczy, podkreślone wprawną ręką, nabrały nieoczekiwanego blasku, usta – wyrazu, brwi – nowego kształtu... Ale najbardziej nieprawdopodobną metamorfozę przeszły włosy. Kosmyki, dotąd przypominające zeszłoroczne siano, były starannie przystrzyżone i niby zgrabna czapeczka przylegały do głowy. Ich kolor pozostał w zasadzie rudy, tylko odcień się zmienił – nie miały teraz barwy miedzianego drutu, lecz świeżej marchwi.

Po tych wszystkich zabiegach Gala zaczęła przypominać kobietę młodą, chociaż niestety nadal zbyt pulchną.

– A więc tak – oświadczył Lonia, wręczając mi kilometrowy rachunek. – Proszę słuchać. Najładniejsze dziewczyna ma nogi, dlatego żadnych kapci i rozdeptanych mokasynów. Tylko wysokie obcasy.

– Ale ja nigdy nie chodziłam na obcasach. To strasznie niewygodne! – próbowała protestować klientka.

Nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Kotow zdławił w zarodku nieśmiałe próby oporu.

– Wyłącznie obcas. Zrobisz się wyższa, to dupa nie będzie tak sterczeć.

Pamiętasz, jak masz się malować?

Gala kiwnęła głową, niezdolna wykrztusić słowa.

– Kup jej gorset – krzyknął Lonia w ślad za nami – i ściśnij to sadło, a jeszcze lepiej jak kobitka na dwa tygodnie przestanie zreć...

To prawda. Miałam ciotkę, Polkę imieniem Krystyna, siostrę ojca. W

czterdziestym pierwszym biedaczka trafiła do Oświęcimia i mimo nieludzkich warunków zdołała przeżyć. Ciocia Krystyna miała swoiste poczucie humoru i nie cierpiała rozmów o diecie. Kiedy w jej obecności ktoś zaczynał narzekać: „Nic nie jem, a tyję”, starsza pani zsuwała okulary na koniec nosa i oświadczała:

– U nas w baraku nikt nie był gruby.

Zresztą niekiedy ujmowała rzecz dosadniej i radziła:

– Nie żryj tyle, to powinno pomóc.

Obdarzone przez stylistę na pożegnanie tak uprzejmą wskazówką, ruszyliśmy do domu. Gala, udręczona zabiegami upiększającymi, nie chciała jeść obiadu, wypła tylko szklankę kefiru i poszła na górę.

A wtedy zadzwoniła Alona. Zalała mnie dosłownie informacjami.

– Znalazłam strasznie miłego faceta – trajkotała, jednocześnie najwyraźniej chrupiąc orzeszki, bo w słuchawce słyszało się chrzęst i mlaskanie.

Kandydat w istocie wydawał się świetny. Około czterdziestki, docent, niezwykle zdolny, nigdy nie był żonaty i w dodatku pełny sierota. Według mnie, takie rzeczy zdarzają się tylko w bajkach, dlatego od razu spytałam:

– Jak ich ze sobą poznamy?

– Wszystko cudownie się składa – szczebiotała dalej Alona. – Zaproponujesz mi, żeby pomieszkał przez miesiąc u ciebie. W twoim pałacu starczy miejsca dla wszystkich!

– A niby z jakiej racji nagle ma się u mnie zjawić?

– Przecież mówię – radośnie paplała przyjaciółka. – Wszystko po prostu fantastycznie się składa. Jego mieszkanie się spaliło, teraz trwa remont, więc Misza prosił, żebym poszukała mu na jakiś czas niedrogiego lokum...

– A co, nie może czegoś wynająć? Niech kupi gazetę i poszuka w ogłoszeniach.

– Słuchaj – oburzyła się Alonka – czy ty w ogóle masz pojęcie, ile zarabia pracownik Instytutu Kurczatowa?

– Nie!

– To ci nie powiem, bo i tak byś nie uwierzyła. Poza tym nikt nie wynajmie ci mieszkania na krótki czas, bo to się nie opłaca; no, a hotel jest za drogi... Już ja go zawiadomię, że chcesz mu pomóc. Lepszej okazji do zawarcia znajomości nie wymyślisz. Będą się codziennie widywać, a potem już się jakoś postarasz...

– Czemu mieszkanie się spaliło? – spytałam podejrzliwie. – Nie jest przypadkiem alkoholikiem?

– W ogóle nie pije – oświadczyła swatka. – To był jakiś wypadek. Więc co, mam go przysłać?

– Dobrze – zgodziłam się zrezygnowana.

Pewnie Alonka ma rację, nie znajdę lepszej okazji, żeby poznać tego Miszę z

Gałą. Będę musiała znosić w domu obcego chłopca. Mam nadzieję, że przynajmniej myje się regularnie i lubi zwierzęta.

Rozdział 3

Rankiem obudziły nas rozpaczliwe ryki bliźniaków. Ańka zdołała uciec od pani Serafimy, doczłapała do schodów i koziołkując, spadła na dół. Szczęściem tam grzecznie czekał na śniadanie Bundy. Nie spodziewając się niczego złego, drzemał spokojnie, wdychając przez sen aromat smażących się placuszków. Pięćdziesięciokilowy Bundy po prostu je uwielbia. Ańka stoczyła się na niego i wrzasnęła nie z bólu, tylko ze strachu. Pies też zawył, po czym jak należy, błyskawicznie się zsikał.

Niania, gderając, wyłowiła Ańkę z kałuży i zaniósła do pokoju dziecinnego, gdzie wniebogłosy wrzeszczał porzucony Wańka. Po chwili lamenty umilkły, oczywiście Serafima dała bliźniakom po herbatniku.

Zapanowała cisza. Ale pospać i tak się nie udało. Najpierw rozległy się odgłosy klapsów i skrzypienie drzwi wejściowych. To Irka ścierała kałużę, przy okazji karząc Bundy'ego za chuligaństwo. Zaraz potem rozległ się krzyk Maszy:

– Moja kawa! Zaspałam, spóźnię się...

Córka z hałasem pędziła po schodach, po czym zaraz usłyszałam pisk. Mania w ogóle rzadko patrzy pod nogi; dlatego nasze zwierzęta, kiedy ją zobaczą, z reguły chowają ogon pod siebie. Dzisiaj biedny Hootchuś nie był dostatecznie czujny, więc nóżka Maniusi, rozmiar trzydzieści dziewięć, przygniotła mu łapę.

Po czym natychmiast rozległ się wrzask Irki:

– No nie, co tu się dzieje! A idźcie mi sikać do ogrodu, mam was dość!

Psy pogalopowały na dwór. Mania buszowała w holu, szukając torby, kurtki, butów, portmonetki...

– Wczoraj schowałam wszystko do szafy! – wołała dziewczyna. – Co za idiota mi to gdzieś przełożył!

W jej wyrzekania wplótł się głos Arkadego:

– Gdzie są kluczyki od samochodu? Ile razy mówiłem, żebyście nic nie ruszali. I kto schował moje rękawiczki i buty?! Olga, gdzie książka telefoniczna i zapalniczka?

– Tutaj! – zawołała Kicia z pierwszego piętra. – Leżą na parapecie.

- Przynieś je prędko.
 - Nie mogę – odpowiedziała Olga. – Maluję oczy.
 - A niech to diabli! – wściekł się Arkady. – Mania, przeleć się...
 - Nie mam czasu, jestem spóźniona – odwrzasnęła moja córka, wciągając kurtkę.
- Słyszysz, że autobus już trąbi.

Z zewnątrz rzeczywiście dochodziły okropne odgłosy, kierowca trąbił na spóźnialskich.

– Poczekaj, zobaczysz – odgrażał się Arkasza. – Poprosisz ty mnie kiedyś o co...
O, tyle!

– Głupi jesteś! – krzyknęła uprzejmie siostra i trzasnęła drzwiami.

Syn popędził do sypialni i znowu rozległ się żałosny pisk, potem ogłuszający łoskot, brzęk... Słysząc było wysoki głos Olgi... Parę minut małżonkowie zawzięcie na siebie krzyczeli, a potem zapadła cisza.

Włożyłam szlafrok i zesłam do holu. Psów nie widać, oczywiście wyniosły się, żeby nie budzić licha, i biegały po ogrodzie. Duży szklany stół, na który zazwyczaj rzuca się gazety, klucze i rękawiczki, był przestawiony. Podłoga usiana odłamkami szkła. Na wieszaku spokojnie wisiała czarna torba Arkadego. Wyobrażam sobie, jak zaczniesz kłać, kiedy stwierdzi, że zostawił ją w domu.

W jadalni na olbrzymim stole pośród filiżanek i talerzy w najlepsze spała kotka Kleopatra. Przepędziłam beczelną kocicę i nalałam sobie zupełnie już zimnej kawy. Naprzeciwko mnie leżała torebka z mussli. Zdobił ją idylliczny obraz: tata, mama, dwoje dzieci i babcia, miło się do siebie uśmiechając, jedli z miseczek paskudztwo, które Arkasza nazywa odżywką dla dorosłych. Radosne, rozpromienione twarze... „Nasze mussli wprawi was w dobry nastrój” – głosił napis. Westchnęłam. No, bywają takie rodziny, gdzie dzieci są posłuszne, a staruszkowie nie grymaszą... Dobrze chociaż, że nie mamy babci!

Basile’a Korzinkina można odszukać na dwa sposoby. Odwiedzić rodzinę nieboszczyka Nikitina lub zapytać pracowników hotelu. Wybrałam to pierwsze i zadzwoniłam do wydawnictwa „Świeca”. Słuchawkę podniosła kobieta.

– Mówi wydawnictwo „Wort” – oświadczyłam.

– Słucham. – Rozmówczyni nie okazała zdziwienia.

– Chcemy posłać kwiaty i złożyć kondolencje rodzinie Aleksego Iwanowicza, ale nie znamy adresu.

– Niech pani zapisze – powiedziała urzędniczka. – Pasaż Nalimowski 6.

No proszę, jak po prostu i szybko.

Kto by puszczał, że wydawanie książek jest tak intratnym zajęciem, myślałam, przyglądając się domowi Nikitina.

Taką willę trudno zresztą nazwać domem, przypominała raczej zamek.

Dwupiętrowa budowla z czerwonej cegły stała dumnie przy samej obwodnicy. Z boku obiekt zdobiła wieżyczka z ostro zakończonym dachem i wąskimi okienkami-ambrazurami. „Styl obłąkanej Mauretanki” – określał podobne cuda mój pierwszy mąż, plastyk. Wyobrażam sobie, ile kosztuje utrzymanie czegoś takiego. W bramie ogrodzenia naturalnie sterczała kamera telewizyjna. Nacisnęłam dzwonek. Obiekt obrócił się w moją stronę, a cienki dziecięcy głosik zapytał:

– Kto tam?

– Chciałabym rozmawiać z żoną pana Aleksego; jestem z Paryża, bliska przyjaciółka Korzinkinów.

Brama się otworzyła, wjechałam do świetnie utrzymanego ogrodu. Nawet teraz, późną jesienią, na drózkach nie leżał nawet jeden listek. Klomby przykryte były jakąś cienką folią, krzewy owinięte w czarne worki. Cóż, widocznie nasz ogrodnik bierze pieniądze za nic; w dodatku cały czas twierdzi, że opadłych liści nigdy do końca nie da się sprzątać.

Na progu stało szczuplutkie dziewczątko, nie dziecko, ale dosłownie jakiś patyczek. Ale kiedy się przyjrzałam, dostrzegłam skromny makijaż, dosyć duże kolczyki, i zrozumiałam, że ma co najmniej dwadzieścia lat. Nigdy jeszcze nie spotkałam dziewczyny o tak anielskim wyglądzie.

Olbrzymie niebieskie oczy przyjaźnie lustrowały moją twarz. Czysty, jasny wzrok. Osoby o takich oczach nie miewają żadnych wstydlivych tajemnic. Blond włosy opadały na ramiona regularnymi falami. Mimo iż taka fryzura jest zasługą jedynie zręcznych rąk stylisty, i tak budzi zazdrość. Moje włosy, choćbym nie wiem jak się starała, nie dadzą się tak ułożyć. Usta dziewczyny miały piękny wykrój, w dziewiętnastym wieku nazywano go „łukiem Amora”. I cała była taka drobna, krucha, bezbronna...

– Jestem córką Aleksego Nikitina – powiedziała melodyjnie delikatnym dziecięcym głosem. – Tylko on tu już dawno nie mieszka.

Weszłyśmy do obszernego salonu, umeblowanego bardzo nowocześnie. Śnieżnobiałe ściany, czarne meble, dywan koloru węgla i kilka niezłych obrazów nieznanymi mi współczesnymi malarzami. Ja nie chciałabym mieszkać w takim pokoju, ale dziewczyna czuła się tu absolutnie komfortowo.

– Pan Nikitin – poinformowała mnie z westchnieniem córka zabitego – odszedł od mamy do innej kobiety.

– Ale w biurze podano mi ten adres...

Dziewczyna się uśmiechnęła.

– Nie załatwił rozwodu, więc bardzo możliwe, że według dokumentów nadal tutaj mieszka.

– To znaczy, nie widuje się pani z nim i nie wie, co się z nim w tej chwili dzieje?

– Absolutnie nie – zapewniła dziewczyna.
– A mama?
– Jest teraz w Karlowych Warach, ale o ile się orientuję, żadnych stosunków nie utrzymują. A co się stało?

Pokrótce streściłam swój problem i zapytałam:

– A gdzie mieszka ojciec?
– Mieszkał – poprawiła mnie córka z niezmaconym spokojem. – Aleksy Nikitin nie żyje.

Postarałam się przywołać na twarz wyraz absolutnego zdumienia.

– Może lepiej spytać...

– ...kochanki? – bez cienia skrepowania spytała dziewczyna. – Oczywiście, Lola może coś wiedzieć. Bo ja, niestety, nie mogę w niczym pomóc.

Uprzejmie odprowadziła mnie do samochodu. Zgrzytnęła brama. Taka miła, dobrze wychowana dziewczyna, a nawet się sobie nie przedstawiłyśmy. Ani ona nie spytała mnie o nazwisko, ani ja jej. No i patrzcie, mieszka pewnie sama w tym gigantycznym gmachu, po prostu jak księżniczka z baśni.

W oknie wieży ukazała się czyjaś ręka i pomachała chusteczką; tak w średniowieczu damy żegnały swoich rycerzy. Wsiadłam do volva. Nie, mam bujną wyobraźnię, co do tego Arkasza się nie myli. Skąd mi przyszło do głowy, że dziewczyna jest samotna? Raczej musi tu być pełno ludzi – służba, krewni, przyjaciele...

Wjechałam do Moskwy i w AutoMcDonaldzie spojrzałam na karteczkę z adresem. „Lola, ulica Gabriczewskiego 18” – przeczytałam. Miła dziewczuszka miała zdecydowanie męski charakter pisma: wyraźny, mocny, bez żadnych zawijasów. Lola! Ciekawe, jak się ta pani naprawdę nazywa? Znałam kiedyś Ziukę, która według dowodu nazywała się Tatiana, oraz Koke, której rodzice nadali imię Swietłana.

Ale kiedy na progu mieszkania pojawiła się gospodyni, stało się jasne, że „Lola” pasuje do niej jak ulał. W drzwiach stała wysoka, kształtna brunetka o smagłej twarzy i krwawo uszmkowanych ustach. W olbrzymich czarnych oczach trudno było dopatrzeć się jakiegokolwiek myśli. Taki wzrok ma spasiona krowa.

– O co chodzi? – zaskakująco wysokim, wręcz piskliwym głosem spytała ślicznotka.

Takiemu okazowi przypadnie do serca Francuzka z samego Paryża. Oblekłszy twarz w uprzejmy uśmiech, zaszczebiotałam:

– Szukam Basile’a Korzinkina.

– Kogo? – zdziwiła się kobieta, od niechcienia poprawiając smoliste loki. – To pomyłka, tutaj ja mieszkam.

– Oczywiście, oczywiście – przytaknęłam pośpiesznie. – Aleksy Iwanowicz

pracował z Basile'em, a Korzinkin gdzieś przepadł.

– Jasne – oświadczyła Lola tonem absolutnie zniechęcającym. – Tylko że Aleksy nie żyje, a ja nie znam żadnego, jak mu tam, Basile'a.

Po czym najzwyczajniej w świecie zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Przez chwilę stałam zupełnie oszołomiona, ze wzrokiem utkwionym w obity czerwoną skórą metal. To był prawdziwy nokaut!

Dobra, pojedę do wydawnictwa „Świeca”, tam na pewno znają partnera Nikitina w interesach.

Zawsze wyobrażam sobie wydawnictwo jako olbrzymi budynek, pełen komputerów, telefonów, faksów i maszynopisów. Przynajmniej tak to wyglądało, kiedy w Paryżu zdarzało mi się odprowadzać Nataszkę do „Pelicana”.

„Świeca” mieściła się na pierwszym piętrze niskiego domu przy pasażu Priamikowa. Nie myślcie też, że ta instytucja zajmowała dużo miejsca. Dwa maleńkie pokoiki, gdzie, jak to się mówi, nawet kot ogona nie wyprostuje. W jednym z nich urzędowała kobieta o życzliwej, uśmiechniętej twarzy.

– No właśnie, takie nieszczęście – zareagowała na moje pytanie.

To był pierwszy przejaw ludzkich uczuć w stosunku do zabitego Aleksego Nikitina, Bo zarówno córka, jak i kochanka okazały niebywałą wprost obojętność. Powiadają zresztą, że jaki pop, taka parafia.

Sympatyczna redaktorka zaofiarowała pomoc.

– Mówi pani, że Francuz, Basile Korzinkin?

Przytaknęłam. Wtedy drzwi pokoju się otworzyły i wpadła do niego jakaś niesamowita istota. Pannica wysoka i tak ruchliwa, że robiła wrażenie, jak gdyby weszły dwie kobiety zamiast jednej.

– Pani Nadieżdo – zaczęła się skarżyć, brzęcząc kilometrowymi sznurami koralii, łańcuszkami i bransoletami – no i gdzie jest moich dziesięć egzemplarzy autorskich?

Redaktorka spojrzała na nią bez szczególnego entuzjazmu, ciężko westchnęła i powiedziała:

– Pani Żanno, książki ukaza się najwcześniej w grudniu.

– Ach, co za szkoda! – jęknęła Żanna, potrząsając niezliczonymi paciorkami i skórzanymi rzemykami, które ozdabiały jej nadgarstki. – No, bo ile można czekać? Dobra, to zadzwonię od pani, można?

– Niech pani dzwoni – zgodziła się łaskawie pani Nadieżda, a Żanna zaczęła kręcić tarczą przedpotopowego aparatu.

– Wie pani – zwróciła się do mnie redaktorka – interesy szły nam, szczerze mówiąc, nie najlepiej. Ale pan Aleksy stale znajdował jakichś sponsorów. Tyle razy go namawiałam, żeby trochę, jak by to powiedzieć, rozszerzył krąg autorów; gdzie tam, nawet słyszeć o tym nie chciał!

Miła pani nie musiała nic specjalnie wyjaśniać. Wszystko świadczyło wymownie o materialnej sytuacji wydawnictwa: telefon z czasów króla Ćwieczka, odrapane biurko, kilka dosyć rozchwierutanych krzeseł i ani jednego komputera... Sama Nadieżda też nie wyglądała na dobrze opłacaną pracownicę – tania garsonka z dzianiny i biała bluzeczka z robionymi maszynowo koronkami były wyraźnym efektem pracowitości mieszkańców Państwa Środka.

– No i nie mieliśmy żadnych kontaktów z zagranicą – ciągnęła. – O kimś takim nawet nie słyszeliśmy. Zgodzi się pani, że Basile Korzinkin to brzmi trochę głupio?

Co do tego miała rację, nie sposób zapomnieć takiego zestawienia.

Uświadomiwszy sobie, że niczego więcej się nie dowiem, wyszłam na ulicę i wyjęłam z torebki paczkę gauloise'ów. Za plecami usłyszałam pobrzękiwanie.

– Zdaje się, że mogę pani pomóc.

Odróciłam się i zobaczyłam Żannę. Dziewczyna uśmiechnęła się radośnie.

– Zna pani Korzinkina? – zdziwiłam się.

– Niezupełnie. – Zachichotała. – Po prostu, no, jak by to pani najlepiej wyjaśnić...

Może gdzieś wstąpimy?

Weszliśmy do niedużego, ciemnego lokalu. Żanna od razu zamówiła kawę i ciastka.

– Kuchnia tu jest okropna – wyjaśniła. – Ale kawę parzą znakomitą.

Co racja, to racja. Mocny, w miarę słodki napój, z ładną pianką, cieszył wzrok i zmysł smaku.

– No właśnie, tak jak mówiłam – z zadowoleniem zauważyła dziewczyna i dwoma łykami opróżniła małą filiżankę.

– Gdzie pani widziała Korzinkina? – Postanowiłam skierować potok jej aktywności we właściwe koryto.

– Nie uwierz pani! – Żanna zaśmiała się. – U Miki.

No proszę, jeszcze jedno psie imię zamiast ludzkiego.

– Dlaczego nie uwierzę? – spytałam sucho.

Żanna zamówiła drugą kawę i zaczęła opowiadać, śmiejąc się co chwila.

Mika to jej dawna przyjaciółka, z czasów szkolnych. Z zawodu jest nauczycielką klas początkowych. Ale po kilkumiesięcznym pobycie w szkole przekonała się, jak ciężkie i niewdzięczne to zajęcie. Dzieci były leniwe, nieposłuszne i kapryśne, a rodzice bez końca powoływali się na swoje prawa, uważając, że nauczycielka powinna stanąć na głowie, by ich drogocenne latorośle pisały poprawnie „ż” i „sz”. W dodatku praca właściwie za friko – wystarczy raz pójść do sklepu, żeby wydać całą pensję.

Mika machnęła więc ręką na szlachetny zawód pedagoga i przerzuciła się na biznes. Ale i na tej niwie czekały ją niepowodzenia. Najpierw pojechała na handel do

Chin i zrobiła błyskawiczną plajtę. Pieniądzy ledwie starczyło na pokrycie wydatków. Wówczas została guwernantką u bardzo bogatej rodziny; miała się opiekować siedmioletnią dziewczynką. Wytrzymała, i to z trudem, tylko miesiąc; ledwie dostała pensję, zaraz dała nogę z owego „dobrego domu”, posyłając go do wszystkich diabłów.

Czego potem nie robiła! Sprzedawała gazety, próbowała udzielać korepetycji, była akwizytorką firmy Herbalife i kosmetyków Oriflame... Ale żadne z tych zajęć nie przynosiło ani przyzwoitych dochodów, ani satysfakcji.

Kiedyś wieczorem Mika spłakała się jak bóbr, po czym wzięła „Z rąk do rąk” i zaczęła czytać ogłoszenia matrymonialne. Były tam rzeczy do tego stopnia zabawne, że dziewczynie od razu humor się poprawił. „Młody, siedemdziesięcioletni, w pełni sił...” albo „Szczipły, przystojny, wykształcony mężczyzna szuka dobrze zarabiającej żony. Mogę siedzieć w domu z dzieckiem”. Mika przebiegała oczami kolejne rzędy liter, aż w końcu jej uwagę przyciągnęły dwa ogłoszenia: „Lat trzydzieści, dobrze sytuowany, wyjeżdżam na stały pobyt do USA, szukam towarzyszkę życia, gotowej porzucić ojczyznę” oraz „Lat dwadzieścia osiem, dobrze sytuowana, szukam męża wyjeżdżającego na stałe do USA”.

No proszę, pomyślała Mika. Jakby stworzeni dla siebie.

W głowie kłębiły jej się niejasne myśli. W końcu zadzwoniła do faceta, przedstawiła się jako właścicielka biura matrymonialnego i powiedziała, że ma dla niego kandydatkę na żonę. Potem porozmawiała z kobietą.

Nazajutrz para spotkała się u Miki w domu. Ku ogólnej radości, spodobali się sobie, wzięli ślub i wyjechali do wymarzonego Nowego Jorku, Mice zaś przypadło w udziale całkiem przyzwoite honorarium. Wówczas, uzbrojona w nożyce, rzuciła się na ogłoszenia w gazetach. Teraz ma dużą agencję, cały sztab współpracowników i solidne dochody.

Żanna przyjaźni się z Miką od dawna. Ale na razie nie wie, jak jej się tak, jak przyjaciółce. Jest poetką i dopiero co wydała pierwszy tomik. Groszem oczywiście nie śmierdzi, więc szczęściara Mika często jej pomaga. To odstąpi parę dzinsów, to zaprosi na obiad.

Kilka dni temu Żanna odwiedziła Mikę w pracy i zastała w gabinecie klienta – Basile’a Korzinkina. Mężczyzna przeglądał katalogi kandydatek. Szukał żony.

– To niemożliwe – wyrwało mi się.

– Możliwe, i to nawet bardzo – zapewniła Żanna. – Takie głupie imię i nazwisko! Basile Korzinkin – od razu zapamiętałam, nikt by czegoś takiego nie wymyślił. Jeśli pani nie wierzy, niech pani spyta Miki!

– Proszę mi dać adres – zażądałam, płacąc za kawę. A wtedy zadzwonił telefon.

– Mamuś – szepnęła Mania do słuchawki. – Przyjedź prędko, bo tutaj...

Słuchawka przeszła w ręce Arkadego, który polecił mi surowo:

– Mamo, szybko do domu, goście czekają.

Westchnęłam, schowałam komórkę do kieszeni, uruchomiłam silnik samochodu i wróciłam do rodzinnych pieleszy.

Rozdział 4

W salonie grzecznie siedział czterdziestoletni mężczyzna. Miał na sobie podniszczoną koszulinę w czerwono-czarno-białą kratkę. Rękawy były podwinięte prawie do łokcia, a poły wylażyły ze starych dżinsów. Na nogach gość miał nie wiadomo czemu dwa różne półbuty. Na prawej – brązowy, na lewej – czarny.

Ale mimo że był tak idiotycznie ubrany, wyglądał miło. Miał dobrotliwą, budzącą instynktowną sympatię twarz i mądre niebieskie oczy. Na zdumiewająco kształtnym nosie tkwiły najzwyczajniejsze okulary w rogowej oprawie. Nikt dawno już takich nie nosi. Czarne, wijące się włosy były zmierzwione i stały dęba.

– Bardzo pani dziękuję! – zawołał mężczyzna na mój widok i zerwał się z miejsca.

Spokojnie drzemiący na jego kolanach Hootch natychmiast pacnął na podłogę niczym dojrzała gruszka. Biedny mops zapiszczał, a mężczyzna szybko schylił się i podniósł go z podłogi.

– Zupełnie zapomniałem, że on tu śpi – powiedział gość ze skrucą. – Na imię mi Michał, moje nazwisko Zołotariow, a pani to oczywiście Dasza? Alona opisała panią bardzo szczegółowo.

Kazałam podać herbatę i rozpoczęłam przesłuchanie.

– Co za straszną historię opowiadała mi Alona! To prawda, że pańskie mieszkanie się spaliło?

– Absolutna prawda. – Misza kiwnął głową. – Ale na szczęście nie całe. Najbardziej ucierpiała kuchnia i duży pokój. Gabinet jest prawie nietknięty.

– Jak to się stało?

Okazuje się, że syn sąsiadów Zołotariowa, ośmioletni rozrabiaka Dimka, został sam; postanowił się więc rozerwać, puszczając z balkonu płonące samolociki. Kiedy jeden z nich spadł na łodź Michała, natychmiast zapalił się słomiany stolik i dwa krzesła. Następnie ogień przerzucił się na płócienne rolety i przez otwarte drzwi balkonowe przedostał się do kuchni. Wszystko to w ciągu zaledwie paru chwil. Dobrze, że Dimka nie stracił głowy i wezwał straż, inaczej skutki mogłyby być

opłakane. A tak ucierpiało tylko mieszkanie matematyka. Rodzice małego szkodnika poprosili sąsiada, by nie robił sprawy z tego, i szybko zabrali się do remontu.

– Bardzo, bardzo jestem wdzięczny za schronienie – powiedział docent. – Postaram się być użyteczny w gospodarstwie, gdyby na przykład młynek do kawy się zepsuł albo telewizor, mogę naprawić.

– A różnicę między prostą i łamaną pan zna? – niespodziewanie wtrąciła się milcząca dotąd Masza.

– Oczywiście – odrzekł mężczyzna.

– To niech mi pan wyjaśni zadanie z geometrii! – rozkazała córka.

Zanim zdążyłam zganić ją za bezceremonialność, Misza powiedział:

– Chodźmy do twojego pokoju, wytłumaczę ci wszystko od początku.

Ruszyli do drzwi, gdy nagle matematyk zobaczył leżącą na stoliku książkę *Historia Rosji dla dzieci*. Momentalnie złapał ją i jął zapamiętane wertować. Marusia zdążyła już wypaść na korytarz. Po paru minutach wsunęła głowę do pokoju.

– No i gdzie pan jest?

– Oj, przepraszam cię – spłoszył się Misza. – Zaczytałem się niechcący...

Zatrzasnął tom i pośpieszył za Manią. Nie wytrzymałam:

– Wybacz pan, profesorze, ale czy jest pan świadom, że ma na sobie buty nie do pary?

Matematyk stanął i skierował wzrok na swoje stopy.

– Ciekawe, ciekawe – mruknął. – Jak coś takiego mogło się zdarzyć? Rankiem niby wszystko było w porządku, w instytucie nikt mi nic nie mówił. Zazwyczaj, wie pani, informują mnie, kiedy coś jest nie tak, jak trzeba...

Maszeńka znowu zajrzała do salonu i rzuciła niecierpliwie:

– No, ile czasu można iść?

– Wybacz, dziecko, zamyśliłem się – spokojnie odrzekł Misza i zniknął za drzwiami.

W milczeniu patrzyłam w ślad za gościem. I kogóż to przysłała nam Alona? Strach przecież wypuszczać go z domu samego.

Do Miki trafiłam dopiero nazajutrz przed obiadem. Agencja matrymonialna zajmowała wielkie pomieszczenie na parterze pięknego ceglanego domu. Oczywiście, tutaj sprawy układały się znakomicie. Widać było, że dopiero co zrobiono remont, ściany wyglądały po prostu cudownie. Na podłodze leżały dywany... Pokój kierowniczkowski przypominał poczekalnię dentysty. Ze wspaniałego skózanego fotela spoglądała na mnie czarnowłosa kobieta.

– Przysłała mnie Żanna – wymamrotałam, udając klientkę. – Powiedziała, że Mika pomoże...

Dziewczyna się uśmiechnęła. Wyglądała młodo. Miała wielkie czarne oczy i

fryzurę na pazia, ale coś w jej rysach znamionowało osobę oschłą, nawet okrutną. Może wąskie usta i wysunięty podbródek?

– Oj, ta Żanna! – westchnęła. – To istota zupełnie nie z tego świata. Jestem Marina Anatoljewna, a pani naturalnie chce znaleźć towarzysza życia?

– Tak – potwierdziłam z radością. – Bardzo.

– Proszę o dowód.

– Po co?

Marina uśmiechnęła się i wyjaśniła tę prostą sprawę głupiej klientce:

– W agencji wpisujemy do kartoteki tylko osoby stanu wolnego.

– Aha, rozumiem – powiedziałam i podałam granatową książeczkę.

Marina ze zdziwieniem uniosła brwi.

– Pani jest cudzoziemką?

– Czy w takim razie nie mogę korzystać z pani usług?

– Dlaczego nie? Po prostu panie z zagranicy właściwie tutaj nie przychodzą.

– A panowie?

– Zdarza się. Tylko w tym wypadku trzeba mieć się na baczności. Niektórzy chcieliby znaleźć nie tyle żonę, ile bezpłatną pomoc domową. Myślą, że pierwszy lepszy cudzoziemiec to dla naszych kobiet Bóg wie co i będą skakały z radości na jego widok. Niedawno przyszedł pani rodak, Francuz. Postanowił się ożenić w Moskwie. Po rosyjsku mówi fantastycznie, nigdy bym nie pomyślała, że to paryżanin. Ten dopiero miał wymagania! Po prostu szukał księżniczki. Pięknej, mądrej, bogatej, a wymiary... Dziewięćdziesiąt-sześćdziesiąt-dziewięćdziesiąt! Wyobraża sobie pani?

– I co, znalazł taką?

– Trzy. Właśnie czekam, z którą się dogada.

– A czy to przypadkiem nie Basile Korzinkin?

– Otóż to – zdziwiła się swatka. – Skąd pani wie?

– Znam go. Jeszcze w Paryżu mówił, że chce poszukać w Rosji żony.

– Mam nadzieję, że znajdziemy mu kogoś odpowiedniego – powiedziała z uśmiechem Marina.

– A jak zobaczę ewentualnych narzeczonych?

– Nic prostszego – uspokoiła mnie. – Najpierw wpłaci pani pewną sumę za usługi, potem przejrzy katalogi, poczyta anonse. Nawiasem mówiąc, muszę uprzedzić, że agencja nie ponosi żadnej odpowiedzialności za poziom moralny kandydatów do stanu małżeńskiego.

– Jak to? – nie zrozumiałam.

– Stwierdzić, czy kandydat nie ma rodziny, mogę tylko na podstawie właściwego dokumentu – profesjonalny uśmiech nadal nie zniknął z twarzy Mariny – i z reguły do agencji przychodzą ludzie, którzy naprawdę szukają pary. Ale zdarzają się oszuści,

łobuzy i po prostu maniacy seksualni... Nie sprawdzamy kandydatów, po prostu wciągamy ich dane do kartoteki. Dlatego zawsze uprzedzam i panów, i panie: Bądźcie ostrożni, nie zapraszajcie do domu od razu pierwszego dnia. Umówcie się na spacer, poznajcie, idźcie do restauracji, ostatecznie do teatru. Bo niektóre kobiety ledwie zobaczą chłopa, od razu ciągną go do siebie. Kolacja, butelka, a potem wracają do mnie z krzykiem: „Zgwałcił mnie!”.

– Kobiet przychodzi więcej?

– Tak, ale w końcu każda jakoś sobie znajduje kogoś odpowiedniego, choć może nie za pierwszym razem... To co, sporządzimy umowę?

Pośpiesznie wyciągnęłam portfel i podałam jej tysiąc rubli.

– Brunet, blondyn? – spytała właścicielka biura, podchodząc do olbrzymiej szafy.

– Jaki wzrost pani sobie życzy?

Po prostu jak w sklepie. Chciałam powiedzieć: „żeby tylko był porządnym człowiekiem”, ale ugryzłam się w język. Poinformowałam:

– Szatyn, jakieś czterdzieści, czterdzieści pięć lat.

– Świetnie – nie wiadomo dlaczego ucieszyła się Mika i rzuciła na stolik dosyć gruby album.

Powoli zaczęłam kartkować plastikowe stronice. Przypominały trochę więzienny rejestr. Jedno zdjęcie en face, drugie z profilu. Brakowało tylko czerwonych pasków i uwag: „Liczne próby ucieczek” albo „Atakuje strażników”. Pod fotografią było kilka linijek, dotyczących przyzwyczajzeń i zamiłowań. Pilnie obejrzałam wszystkich kandydatów i spytałam:

– A gdzie jest Basile Korzinkin?

– Nie chciał zostawić swojego zdjęcia. Wie pani, niektórzy odmawiają, uważają, że źle wychodzą na fotografiach. Takich mamy w innym miejscu.

– To niech mi pani pokaże Korzinkina.

Mika nie dostrzegła w mojej prośbie nic niezwykłego i wyjęła duży notes.

– Proszę. – Wskazała ogłoszenie starannie wymanikiurowanym paznokciem.

„Młody Francuz, dyrektor wielkiego banku, bez problemów materialnych i mieszkaniowych, wysoki szatyn o czarnych oczach, niepalący i niepijący, poszukuje towarzyski życia. Preferowane panie od lat czterdziestu do pięćdziesięciu, niezależne finansowo, bez dzieci i krewnych”.

Powoli przetrawiałam informację. Po pierwsze, Korzinkin nigdy nie pracował w banku. Sądzę nawet, że w ogóle nie umie liczyć. Specjalnych problemów rzeczywiście nie ma. Poza tym, o ile pamiętam, pali i lubi wypić. Co prawda, opis wyglądu zewnętrznego się zgadza: wydawca jest raczej ciemnowłosy i ma oczy spaniela. Ale co najważniejsze – od dawna jest szczęśliwie żonaty z Suzette! Kiedy raz rozmawialiśmy o rozkoszach życia rodzinnego, ze śmiechem oświadczył, że w

ciągu dwudziestu lat małżeństwa wiele razy chciał zamordować Suzie, ale rozwieść się z nią – nigdy.

Z zadumy wyrwał mnie głos Miki:

– No jak, wpadł pani ktoś w oko?

– Korzinkin! Gdzie mogę go złapać? Niech mi pani poda adres!

Marina pokiwała głową.

– Adresów nie podajemy, tylko telefony. Ale pan Korzinkin oświadczył, że mieszka u przyjaciół i nie chce im robić kłopotu. Wziął trzy oferty i powiedział, że jeśli żadna z kandydatek się nie nada, przyjdzie jeszcze raz.

– Można zobaczyć, kto mu się spodobał?

– Po co? – zapytała czujnie swatka.

Zaczęłam tłumaczyć:

– Basile już od dawna mi się podoba, ale uważałam go za zatwardziałego starego kawalera. Po prostu ciekawi mnie, jaki typ kobiet go pociąga; jeśli brunetki z dużym biustem, to nie mam szans.

– No dobrze – westchnęła Mika, obrzucając spojrzeniem moją płaską figurę. – Zazwyczaj nie robimy takich rzeczy, ale z was byłaby rzeczywiście dobrana para. Niech będzie.

Wyciągnęła z szafy cienką teczkę i podała mi trzy kartki. Na każdej zdjęcie, imię i telefon. Mój mózg zaczął się niemal gotować, gdy starałam się zapamiętać tyle cyfr naraz. Na szczęście do pokoju zjrzął jakiś mężczyzna, więc Mika przeprosiła i wyszła.

Chwyciłam z jej biurka kartkę i szybko zapisałam numery telefonów i imiona. Katia, Anna, Zoja.

Gdy wróciła Mika, zaproponowałam:

– Zróbmy tak: zostawię swój moskiewski numer. Jeśli Basile się pojawi, proszę mu powiedzieć, że Daria Wasiljewa czeka na telefon.

Kiedy wyszłam z agencji, zapaliłam papierosa i obserwowałam, jak pierwsze, rzadkie płatki śniegu padają na przednią szybę mojego samochodu. Wczesna w tym roku zima, dopiero listopad, a zimno jak w lutym. Dlaczego Basile wybrał się o tej porze roku do Moskwy? Francuzi boją się naszej zimy i wolą odwiedzać Rosję latem, ostatecznie wczesną jesienią.

Najpierw zadzwoniłam do Kati. W słuchawce odezwał się miły, dźwięczny sopran:

– Słucham.

– Chciałabym mówić z panią Katią.

– Słucham.

– Dzwonię z agencji matrymonialnej, od pani Mariny, proszę powiedzieć,

spotkała się pani z panem Korzinkinem?

– Tak – odpowiedziała krótko.

– Przepraszam, ale jeśli jest u pani, proszę mu przekazać słuchawkę.

– Nie, tutaj go nie ma, a panią podam do sądu! – wykrzyknęła groźnie Katia.

Ledwo ją uprosiłam, żeby podała swój adres „prawnikowi agencji”. Krewka niewiasta mieszkała, gdzie diabeł mówi dobranoc. Ulica co prawda nosiła zachęcającą nazwę Prazdniczna, ale żadnych oznak świętowania nie było tam widać. Zaparkowałam samochód między olbrzymim, pozbawionym pokrywy pojemnikiem na śmieci a budką z piwem, po czym weszłam do bramy. Ani kodowego zamka, ani domofonu; drzwi do mieszkań nie były duże, pewnie sufity są tu niskie.

Katia zaprowadziła mnie do niewielkiego pokoju. Umeblowany był więcej niż skromnie. Jugosłowiańska meblościanka, fotel i kanapa. Na ścianie i na podłodze – dwa jednakowe dywaniki w kolorze ciemnobordowym, koło drzwi balkonowych nieduży telewizor marki Samsung. Brokatowe zasłony błyszczące jak ornaty. Przypomniałam sobie ośmiopokojowy apartament mego przyjaciela przy avenue Foch, urządzony przez jednego z najlepszych paryskich projektantów wnętrz, i westchnęłam. Jeśli Basile rzeczywiście był w tym mieszkanku, wyobrażam sobie, jakie wrażenie na nim zrobiło. W dodatku jest straszliwym pedantem, a w pokoju nie było zbyt czysto, choć może i nie brudno. Ot, pewnie sprzątano tu tylko w soboty. A i sama gospodyni wyglądała nie najlepiej. Na pierwszy rzut oka można jej było dać jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Włosy utlenione do śmiertelnej białości. Pod niedużymi, głęboko osadzonymi oczkami w nieokreślonym błotnistym kolorze zauważyłam obrzęki. Widocznie Katia lubi wypić albo choruje na nerki, a może serce jej nawala. Zbyt obfite kształty okrywało jakieś niesamowite ponczo, na nogach kobieta miała wyszmelcowane kapcie. To ci dopiero Afrodyta! Na zdjęciu w agencji wyglądała inaczej – młoda, jasne włosy, czyste spojrzenie. Pewnie przyniosła fotografię sprzed dziesięciu lat.

Katia tymczasem dawała wyraz oburzeniu:

– Jutro pójde do sądu i na policję skarbową. Niech się wezmą do was, łobuzów. Kogo, dranie, wciskacie ludziom! Bierzecie Bóg wie jakie pieniądze, a potem nasyłacie jakichś złodziei...

Jakoś zdołałam uspokoić „narzeczoną” i poprosiłam, żeby opowiedziała, co się stało.

Korzinkin zadzwonił dokładnie tydzień temu i przez telefon wydał się Katierinie nadzwyczaj sympatyczny. Miał łagodny głos, mówił jak człowiek kulturalny i wykształcony. Podczas spotkania też jej nie rozczarował. Przyszedł w ładnym garniturze, z różą w dłoni. Trochę pospacerowali, ale szybko zmarzli. Wtedy Katia zaproponowała, żeby pojechać do niej. Kawaler robił bardzo korzystne wrażenie, tym

bardziej że nie chciał kupować wódki.

– W ogóle nie piję – mówił z uśmiechem. – Zresztą nie palę również.

Katierina, zachwycona tak rzadkimi w obecnych czasach dobrymi manierami, bez obaw przyprowadziła kandydata do siebie. Najpierw grzecznie pili herbatę i jedli kupiony po drodze tort, potem trochę porozmawiali, a w końcu Basile oświadczył:

– Kochana Katiu, bardzo miła z pani kobieta. Póki więc do niczego między nami nie doszło, chciałbym postawić sprawę jasno.

Mówił dosyć długo, ale chodziło o rzecz banalną: otóż on szuka dobrze sytuowanej kobiety, bo biedna nie potrafi gospodarować pieniędzmi.

– Dwaj moi przyjaciele – zwierzył się Basile – ożenili się z niezbyt zamożnymi Rosjankami. I co? Od razu pierwszego roku obie roztrwonily prawie cały majątek mężów. Po prostu, mając tyle pieniędzy do dyspozycji, straciły głowę. Dlatego, Katięńko, muszę panią rozczarować.

Kobieta wpadła w panikę. Korzystna partia wymykała się z rąk. Głuptaska zaczęła zapewniać narzeczonego, że wcale nie jest taka biedna, jak się wydaje, i zna wartość pieniędzy. Po pierwsze, ma daczę i działkę, wcale nie małą, całych dziesięć arów; a i dom jest zupełnie przyzwoity. Piętrowy, na podmurówce... Poza tym posiada biżuterię. Zademonstrowała kawalerowi wszystkie swoje złote ozdoby i dwanaście srebrnych łyżeczek. Najważniejszy argument spoczywał w pudełku po butach – trzy tysiące dolarów.

Basile uważnie obejrzał posag i powiedział:

– Tak, to zmienia postać rzeczy.

Wizyta trwała więc nadal. Co było potem, Katia nie pamięta. Musiała zasnąć czy też stracić przytomność... Ocknęła się głęboką nocą z potwornym bólem głowy. Po kawalerze nie było śladu, a razem z nim zniknęła szkatułka z pierścionkami, srebrne łyżeczki i uskładane zielone. Teraz oszalała z rozpaczy Katia grozi agencji procesem.

– Niech pani idzie na milicję – poradziłam.

– I co? – oburzyła się niedoszła Francuzka. – Przecież sama go tu przyprowadziłam i wszystko niemal wepchnęłam mu w ręce. Nie, milicja nic nie pomoże. To wy powinniście dokładniej sprawdzać klientów.

– Czy uprzedzono panią, że nie należy przyprowadzać dopiero co poznanego mężczyzny do domu od razu pierwszego dnia?

– Ale on wydawał się taki porządny! – szlochając, wykrztusiła Katia.

Szybko się pożegnałam. Wsiadłam do samochodu i przeanalizowałam sytuację. A to idiotka! Ale co się stało Basile'owi? Może po prostu zwariował i łązi obłąkany po Moskwie, sam nie wiedząc, co wyrabia? Poszedł do tej okropnej baby i ukradł srebrne łyżeczki? Nonsens. We Francji Korzinkinowie mają wspaniałe srebra stołowe i kilka przepięknych serwisów na wszelkie okazje...

Dobra, na razie wiadomo tylko jedno: trzeba odszukać Basile'a możliwie jak najszybciej. Musi oddać Kati to, co ukradł, a potem już się zastanowimy, gdzie go zaciągnąć – do psychoterapeuty czy do psychiatry.

U drugiej „narzeczonej” długo nikt nie podnosił słuchawki. Już chciałam się rozłączyć, kiedy usłyszałam z lekka zasapany głos:

– Halo.

Znowu powtórzyłam śpiewkę o „prawniku” z biura.

– Nie mam pojęcia, o czym mogłybyśmy rozmawiać, ale jeśli to konieczne, proszę przyjechać, tylko przed szóstą, zdaży pani? – zapytała Anna.

Zerknęłam na zegarek: wskazówki zbliżały się do wpół do piątej. Szosa Wołokołamska znajduje się akurat na drugim końcu miasta, ale można się postarać. Volvo żwawo mknęło między samochodami. Radio gadało jakieś bzdury, wiadomości przzerwano reklamą. Wystąpiłam się we wszystkich możliwych korkach, by w końcu znaleźć się koło stacji metra Sokół. Kiedy wjechałam na Wołokołamkę, zaczęłam szukać domu numer osiem.

Budynek wyglądał imponująco. Olbrzymi, zbudowany z jasnej cegły. Przy drzwiach – domofon. I mieszkanie niedające się porównać z mieszkaniem Kati – ogromne, wysokie pokoje, szerokie korytarze. Gospodyni wprowadziła mnie do salonu. Nieco teatralnie zasiadła w głębokim wolterowskim fotelu i spytała:

– Czym mogę służyć?

Staroświeckość tego zwrotu znakomicie pasowała do jej wyglądu. Wydawało się, że Anna przybyła tu wprost z lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Bluzka z wysoką stójką, zasłaniającą szyję, cienka talia i długa wełniana spódnica, prawie sięgająca podłogi. Na głowie guwernancki koczek, małe perełki w uszach. Prostota, kultura, elegancja...

– Chcielibyśmy wiedzieć, jaki przebieg miało pani spotkanie z Korzinkinem.

Anna wcale się nie zdziwiła i zaczęła opowiadać. Okazało się, że Basile także i na niej wywarł z początku bardzo korzystne wrażenie. Sposób mówienia zdradzał człowieka wykształconego, mężczyzna parę razy wtrącił cytaty z Szekspira. Był starannie ubrany, pachniał drogą wodą kolońską; na spotkanie przyniósł różę.

Przespacerowali się nabrzeżem w stronę hotelu „Ukraina”, ale pogoda była paskudna: od rzeki wiał przenikliwy, lodowaty wicher. Ania przemarzała do szpiku kości. Wówczas kawaler zaproponował, żeby poszli do restauracji, gdzie kobieta rozczarowała się co do kandydata na męża.

– Był jakiś obleśny. – Anna otrząsnęła się. – Najpierw długo się chwalił, jaki ma dom i firmę, potem zaczął interesować się moją sytuacją materialną.

Ania powiedziała mu prawdę. Że mieszka razem z rodzicami zmarłego męża, ma jednego syna. Staruszkowie uwielbiają synową, pragną, żeby znowu wyszła za mąż i

była szczęśliwa. Z pieniędzmi u niej jak u wszystkich, krucho, narzeczonemu nie może więc ofiarować nic prócz dobrego wychowania i starannego wykształcenia.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Wypytywał natarczywie, czy ktoś jest teraz w domu. Potem wpraszał się do mnie, mówił, że zakochał się od pierwszego wejrzenia, obiecywał złote góry...

Ale rozsądnej Ani takie zachowanie wydało się dziwne, przypomniała sobie ostrzeżenie Miki i oświadczyła zdecydowanie:

– Może innym razem!

Kawaler nadal nalegał, ale Ania była nieugięta. Nie, i już. Zmienił więc temat, zaczął opowiadać o Włoszech. Potem zadysponował wspaniałą wręcz kolację, zamawiając najdroższe dania – jesiotra z rożna, kawior, sałatki, lody, owoce i butelkę koniaku. Rozmowa obracała się wokół spraw kulinarnych. Basile bardzo zabawnie opowiadał, jak w Chinach dostał kiedyś na kolację jakieś białe sznurki. Najpierw myślał, że podano makaron, ale potem okazało się, że to specjalne robaki. Po prostu nie wiedział, gdzie się podziąć! Dokoła siedzieli Chińczycy, którzy jedli to samo danie z niezwykłym apetytem. Ania uśmiechnęła się i pomyślała, że być może Korzinkin nie jest aż taki odrażający, a do niej wpraszał się, bo mu się spodobała...

Kiedy podano kawę, przeprosił i wstał od stołu. Kobieta czekała na niego przeszło pół godziny. Potem przestraszyła się, że pretendentowi do jej ręki coś się stało, i pobiegnęła do męskiej toalety. Ale kawalera tam nie było. Szatniarz powiedział, że wysoki ciemnowłosy mężczyzna w jasnym palcie już dawno wyszedł z lokalu. Ania, nie wierząc własnym uszom, wróciła do sali. Musiała pogodzić się z faktem, że „narzeczony” po prostu zniknął, zostawiając ją z rachunkiem za wystawną kolację. Było to około trzech tysięcy. Takiej sumy nawet nie miała przy sobie. Trzeba długo było pertraktować z rozeźlonym starszym kelnerem i oddać w zastaw bransoletkę, kolczyki i dowód osobisty. Nazajutrz rano Ania pożyczyła pieniądze od przyjaciółki. Teściom nic nie powiedziała.

– Będą się zamartwiać, gryźć. – Machnęła ręką. – Sama jestem sobie winna, nie ma co się bawić w śluby i wesela. Dobrze mi tak, na szczęście nie zaprosiłam łajdaka do domu.

– Widziała pani jego dowód tożsamości?

– Od razu mi pokazał – odparła. – Basile Korzinkin. Nie, z tym wszystko było w porządku, może u Francuzów jest tak przyjęte, że w restauracji płacą kobiety.

Skądże, nic podobnego. Paryżanie są okropnie skąpi, ale nie do tego stopnia. Kiedy zapraszają damę na kolację, elegancko podpisują rachunek. To nie Amerykanie z ich obłąkańczym feminizmem. Cóż, Basile z pewnością zwariował.

Rozdział 5

Do Zoi już nie pojechałam. Spokojny głos na sekretarce poinformował mnie, że państwa nie ma w domu. Cóż było robić, wróciłam do Łóżkina. Dochodziła siódma. Z nieba sypały się lodowate krupy, porywisty wiatr atakował moje volvo i z wyciem przenosił się gdzieś dalej. W taką pogodę przyzwoity pies nie wyprowadza swego pana na dwór. W każdym razie wszystkie nasze psy siedziały w jadalni. Na bufecie stał talerz z plasterkami szynki i chleb, a na środku stołu – półmisek z ziemniakami i rybą w sosie serowym cieszył wzrok i powonienie. Z domowników był tylko Misza.

Mężczyzna siedział, lewą dłonią mierzwiąc swoją gęstą grzywę, prawą zaś szybko pisał coś na skrawku gazety.

– Dobry wieczór – powiedziałam. – Co u pana słychać?

Zołotariow podniósł na mnie absolutnie bezmyślny wzrok i wymamrotał:

– Dwa ce kwadrat dodać em...

– Misza – próbowałam ściągnąć go na ziemię. – Dobry wieczór.

– Och, przepraszam – odezwał się przytomniej i wstał. Rozległ się głuchy stuk.

To nieszczęsny Hootchuś znowu spadł z jego kolan na podłogę.

– Boże, całkiem zapomniałem, że on tu sobie śpi! – zawołał Misza i podniósł pieska.

Mops milczał. Oczywiście, przywykł do niespodziewanych upadków i pogodził się ze swoją dolą.

– Jest pan sam? – spytałam, przypatrując się wystygłej kolacji.

Misza podrapał się w głowę.

– Chyba są jeszcze inni domownicy: jakaś kobieta i Maszeńka z przyjaciółkami.

– Dlaczego pan nie je?

– Wie pani – zaczął się tłumaczyć – przyszedł mi do głowy znakomity pomysł, a tutaj leżała gazeta... Chciałem go zapisać, dopóki pamiętam...

– Misza! – dobiegł z korytarza rześki głos Mani. – Jesteś po prostu geniuszem, nawet Szczurek wszystko zrozumiał.

Zauważyłam, że Mania zwraca się do naszego profesora na „ty” i byłam ciekawa

jego reakcji. Zareagował natychmiast.

– Przecież ci mówiłem, że wszystko jest proste jak drut, najważniejsze to zrozumieć, o co w tym chodzi! – odkrzyknął radośnie.

Z podniecenia znowu poruszył się na krześle, Hootch stuknął więc o podłogę. Leżał teraz apatycznie w bardzo niewygodnej pozycji: na plecach, z zadartymi do góry czterema łapami. Wyraźnie rozumiał, że dziwny gość będzie regularnie zrzucał go na parkiet.

– Boże – znowu przestraszył się Misza. – Biedaczek...

Szybciotko podniósł pieska. Przyjaciółka Maszki, Szczurek, która naprawdę nazywała się Swietłana, powiedziała z wdzięcznością:

– No, dzięki, nareszcie mi się rozjaśniło w głowie.

– Mamuś! – krzyknęła Mania, potrząsając zeszytem. – On genialnie tłumaczy geometrię, po prostu znakomicie, dostałam pięć z klasówki! Miszeńka, wytłumacz jutro to idiotyczne twierdzenie jeszcze Wildanowowi i Kumyszkinej, no, co ci szkodzi?

– Absolutnie nic – zapewnił profesor. – To nawet ciekawe. Można zresztą spróbować jeszcze inaczej. Popatrzcie. – Po czym zawzięcie zaczął coś rysować na gazecie. Zobaczyłam, jak dwie dziecięce głowy pochylają się nad rysunkiem, i westchnęłam. A gdzież to nasza Gala Wiereszczagina, dla której cała sprawa została zaaranżowana?

Była u siebie w pokoju. Najzwyczajniej w świecie siedziała przed telewizorem i oglądała idiotyczny serial.

– Poznałaś się z Miszą?

Gala przecząco pokręciła głową.

– Dlaczego? – oburzyłam się. – Co, przez cały dzień nawet nie zeszłaś na dół?

– Jakoś tak głupio – wymamrotała stara panna. – Co on sobie pomyśli?

Wpadłam we wściekłość.

– Że w domu są jeszcze inni goście! Jak w takim razie zamierzasz się z nim zapoznać?

– Może lepiej innym razem...

– Dostyc tego – przerwałam jej. – Ubieraj się i schodź na kolację. A jeżeli nie zejdziesz, jutro wracasz do domu.

Gala pokornie otworzyła szafę i wyjęła czarną sukienkę. Cienka tkanina opinała jej pełną figurę; z boków, na plecach i brzuchu widać było wałeczki tłuszczu... Nie podobało mi się to, przewyciężając więc słaby opór ofiary, wpakowałam ją w gorset. Teraz suknia leżała znakomicie, pojawiło się nawet coś w rodzaju talii.

– Nie mogę oddychać – wyszeptała biedaczka.

Ja jednak byłam nieugięta.

– Nonsens.

– Żołądek dosłownie podjechał mi do gardła, nie przełknę ani kęska.

– To doskonale, mniej zjesz.

Prawie że kopniakiem wypchnęłam „narzeczoną” do jadalni i sama weszłam za nią. Najważniejsze, żeby Misza zwrócił uwagę na dziewczynę. Może poradzić jej, żeby wylała na niego herbatę?

Następnego ranka wstałam wcześniej i dodzwoniłam się do Zoi.

– Jestem pani bardzo wdzięczna – szczebiotała. – Akurat jemy z panem Korzinkinem śniadanie.

Poczułam, że kamień spada mi z serca, i poprosiłam:

– Proszę czekać na mój przyjazd, musimy podpisać kilka dokumentów.

– Nigdzie się nie wybieramy, chcemy spędzić cały dzień w domu – oznajmiła wesoło Zoja.

Pomknęłam na ulicę Niestierowa, z góry ciesząc się, że powiem Basile’owi, co o nim myślę. Dom budził respekt, a nawet strach. Brama wiodąca na podwórze była zamknięta, dyżurował przy niej ochroniarz, który zanim wpuścił moje volvo, zadzwonił najpierw do gospodarzy i spytał, czy kogoś się spodziewają.

Pierwsze drzwi w bramie okazały się zamknięte na zamek kodowy, drugie zaopatrzone w domofon. Kiedy w końcu dostałam się do środka, drogę zagroził mi windziarz. I to nie żaden trzęsący się ze starości dziaduś, ale zdrowy byczek o karku zapaśnika sumo. Z zapalem zaczął mnie przesłuchiwać; dobrze jeszcze, że nie zażądał wyników badania krwi. Potem znowu dzwonek do gospodyni... Kiedy w końcu dotarłam do celu, byłam już naprawdę zła. No, powiedzcie, kto się tak barykaduje? W mieszkaniu zaczęły się niespodzianki. Dźwięczny głos i modna fryzura zdawały się temu przeczyć, ale Zoja miała najwyraźniej koło sześćdziesiątki. Chociaż trzeba przyznać, że zakonserwowana była wspaniale. Wysportowana sylwetka, lekka opalenizna, wprawnie zrobiony makijaż. We wszystko, oczywiście, Zoja musiała włożyć kupę pieniędzy. O bogactwie krzyczały duże kolczyki z szafirami i bransoletka do kompletu. Pachniało nieznanymi, na pewno jednak bardzo drogimi perfumami. Meble w holu były zupełnie nowe, na podłodze leżały prawdziwe ręcznie robione dywany z Turkmenii...

– Agencja stanęła na wysokości zadania – szczebiotała dama, prowadząc „prawnika” do salonu. – Pan Korzinkin jest właśnie człowiekiem, o jakim całe życie marzyłam: mądry, inteligentny, przystojny...

Weszliśmy do olbrzymiego pokoju o czterech oknach. Bohater romansu stał odwrócony plecami, oglądając jakieś drobiazgi na kominku. Kiedy usłyszał kroki, odwrócił się i spytał:

– Mamy gości, Zojeczko?

Oślupiałam. Przede mną stał wysoki, ciemnowłosy i czarnooki mężczyzna w idealnie skrojonym garniturze. Wzrostem i rysami twarzy niezwykle wprost przypominał Korzinkina, ale to nie był Basile. Starając się nie okazać zmieszania, szybko zebrałam myśli i spytałam:

– Czy pan Korzinkin?

– Tak – uśmiechnął się mile samozwaniec. – Do pani usług.

Pozostało sprawdzić jeszcze jedną rzecz. Zrobiłam odpowiednią minę i zaczęłam błagalnym tonem:

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale w agencji zapomnieli zapisać numer i serię pańskiego dowodu tożsamości.

Mężczyzna wyjął z kieszeni granatową książeczkę. Z pewnością należy do Basile’a, ciekawe, jak ją zdobył?

– *Bonjour, monsieur* – powiedziałam, widząc, jak twarz łajdaka momentalnie się wydłużyła. – *Dites-moi...*

Facet przez bite trzy minuty słuchał mojej francuszczyzny i w końcu się zreflektował.

– Przepraszam – wymruczał łagodnie i niewyraźnie – ale doprawdy niezręcznie mi teraz rozmawiać w obcym języku. Zojeńka nic nie rozumie.

– Fakt – potwierdziła dama. – Ani w ząb.

Uśmiechnęłam się. Ciekawe, jak się pozbędzie kochanki? Okazało się, że bardzo łatwo.

– Kochanie – mruknął samozwaniec – zdaje się, że chciałaś iść do fryzjera? To idź, nie krępuj się, a ja wszystko z panią załatwię i przygotuję obiad! To ma być niespodzianka i dlatego nie chcę, żebyś przy tym była.

– Świetnie! – pisnęła podstarzała amatorka małżeństwa. – Cudownie! Uwielbiam niespodzianki! Już się ulatniam! – Po czym, siląc się na dziecięcą naiwność, zachichotała i wybiegła z pokoju.

Popatrzyłam na drania i znowu zaczęłam paplać po francusku. Ale oszust zamachał rękami.

– Dosyć, dosyć, wystarczy! Już pani wie, że nie znam języka.

Przytaknęłam.

– Kim pani jest? – spytał amator bogatych pań.

– Bliską przyjaciółką prawdziwego Basile’a Korzinkina.

– Ile pani chce za to, żeby się stąd wynieść?

Roześmiałam się.

– Pieniądze nie są mi potrzebne.

– To co w takim razie?

– Skąd pan wziął paszport i gdzie się podziewa prawdziwy Basile?

– Nie mam pojęcia – spokojnie oświadczył nabieracz.
Aż się zachnęłam ze złości.

– Proszę nie udawać idioty. Mogę zaraz zadzwonić do Kati i Anny. Obie chciałyby z panem porozmawiać od serca.

Mężczyzna zmienił się na twarzy, ale jeszcze nie dawał za wygraną.

– Nie mam zaszczytu znać tych pań. Nie, to po prostu śmieszne.

– Proszę posłuchać – przybrałam pojednawczy ton – to bardzo niemądrze z pana strony zaprzeczać oczywistym faktom. Bez trudu rozpoznają pana w agencji i restauracji „Ukraina”. Tak przy okazji: nie wstyd panu stawiać bezradną kobietę w takiej sytuacji? Personel mógł ją oddać w ręce milicji. A Kati też jest biedna, a pan ją okradł ze wszystkiego...

– Głupich trzeba uczyć – z niespodziewaną złością odparł „Basile”. – Nikt jej nie zmuszał, sama wszystko wywaliła na stół i zaczęła jęczeć: „Ożeń się ze mną”. A Ania niech się cieszy, że taki interesujący mężczyzna poświęcił jej czas. No, bo kto by chciał taką starą nudziarę, a już jak kraje mięso! Odstawi mały paluszek i kryguje się, tfu, co za idiotka.

Wytrzeszczyłam oczy na łobuza. Spod maski kulturalnego człowieka wyjrzała nagle gęba prostaka.

– No już – ponaglił mnie oszust. – Gadaj szybko, ile chcesz, i kończmy sprawę. Westchnęłam.

– A więc tak: trzy tysiące baksów, biżuteria Kati i trzy tysiące rubli. Aferzysta zaczął rechotać.

– A chcę nie łaska?

Zignorowałam jego chamstwo, wyjęłam z kieszeni komórkę, wybrałam numer i podałam mężczyźnie słuchawkę.

– Słuchaj, co powiedzą.

– Milicja, sto czterdziesty piąty, dzień dobry – rozległo się w telefonie. Wyrwałam mu aparat i poprosiłam:

– Połączcie mnie z pułkownikiem Diegtiariowem.

– Dobra, dobra – jęknął oszust. – Niech będzie po twojemu, ale zostały mi tylko dwa tysiące sałaty, więcej nie mam. Wydałem, rozumiesz?

– Prędejj! – powiedziałam rozkazującym tonem.

Casanova wyjął z marynarki portfel.

– A złoto?

„Basile” rozłożył ręce.

– Poszło.

– Skąd wzięłeś paszport?

Facet się zawahał.

– Tylko bez kitu – zapowiedziałam. – Zaraz wyjdziemy z mieszkania i pójdziesz sobie, gdzie oczy poniosą; nie jesteś mi do niczego potrzebny...

Westchnął. Jak wszyscy oszuści, był tchórzliwy i unikał jak zarazy stróżów prawa.

– Znalazłem – rzucił.

Ulubione wyjaśnienie kieszonkowców.

– Dobra – zgodziłam się łaskawie. – Boję się tylko, że trzymając się tej wersji, trudno się będzie wykręcić od zarzutu współuczestnictwa w porwaniu.

Oszust pobladł.

– Naprawdę znalazłem!

– Gdzie?

Casanova zaczął się kajać. Przez całe życie pozostawał w konflikcie z prawem, ale siedział tylko raz, i to niedługo. Ma rzadką „specjalność” – oszust matrymonialny. Co prawda, do ożenku z reguły nie dochodzi. Każda operacja opracowana jest do najdrobniejszych szczegółów. „Basile” przegląda ogłoszenia i kartoteki agencyjne, a potem udaje klienta. Interesują go przede wszystkim kobiety między czterdziestką a pięćdziesiątką.

– To najlepszy wiek – wyjaśniał „Korzinkin” podstawy swojej metody. – Albo wdowa, albo rozwódka. Świetnie wiedzą, że pociąg odjeżdża, i są gotowe na wszystko.

Ale oszust potrzebuje tylko pieniędzy albo kosztowności. Dlatego wprasza się do „obiekta” w gości i tak kieruje rozmowę, że ofiara sama pokazuje, co i gdzie ma schowane. Dalej już idzie łatwo: kilka tabletek nasennych do herbaty i „narzeczona” zasypia głębokim snem. Zresztą bywało, że ze szczególnie pociągającymi szedł najpierw do łóżka. Rezultat jednak był ten sam: biedne kobitki budziły się nazajutrz w ogołoconym mieszkaniu. Niemal żadna nie próbowała zgłaszać kradzieży na milicji. Jakoś wstyd im było przyznawać się do własnej głupoty. Zresztą łajdak też pracował ostrożnie. Nie odwiedzał dwa razy tej samej agencji, starając się w czasie jednej wizyty zdobyć jak najwięcej kandydatur. W jego posiadaniu znajdowało się kilka dowodów tożsamości, przedstawiał się więc to jako Aleksander, to jako Władimir, to znowu Nikołaj...

Osiem dni temu trafiło mu się bardzo ubogie mieszkanko. Napoił jego właścicielkę „koktajlem”, dokładnie spenetrował pokoik i kuchenkę. Nie znalazł dosłownie nic, nawet marnego pierścionka czy łańcuszka. Tylko w szafie wisiała wyzywająco wręcz luksusowa damska torebka z krokodylej skóry. Między kilkoma żalonymi sukienczyniami wyglądała niczym dama w balowej toalecie pośród żebraczek. Aferzysta wyszedł, zabierając torebkę.

W domu skrupulatnie zbadał trofeum, ale czekało go rozczarowanie. W torebce

znalazł cienką, wytworną chusteczkę do nosa, kosmetyczkę, flakonik francuskich perfum i pudełko pastylek miętowych. Więcej nic; ani portmonetki, ani portfela, ani koperty z pieniędzmi... Wściekły, chciał cisnąć zdobycz do kąta, ale za podszewką wymacał jakiś płaski przedmiot. Po chwili zobaczył zręcznie ukrytą kieszonkę. Czując od razu, że coś tam jest, wyciągnął z niej paszport na nazwisko Korzinkina. Facet na fotografii był do niego podobny, miał takie same oczy i włosy. Krótko mówiąc, następnego ranka zjawił się w kolejnej agencji już jako „Basile”.

– Komu zwinąłeś torebkę?

– Miała na imię Maja.

– Gdzie mieszka?

Mężczyzna zaczął sobie przypominać i w końcu podał adres: wielki ceglany dom koło stacji metra Aeroport; ostatnie piętro, ale numeru mieszkania nie zapamiętał, dziewięćdziesiąt pięć albo siedem, zresztą po co...

– Co zrobiłeś z torebką?

– Podarowałem Zoi – przyznał się.

– Przynieś ją tu.

Oszust pokazał palcem gdzieś w stronę parapetu.

– Tam leży.

Podeszłam do okna i zobaczyłam dużą, kosztowną torebkę z krokodylej skóry. Takiej żadna kobieta nie nosi, nie mając odpowiedniego ubrania, a co najważniejsze – obuwia. Projektanci mody na całym świecie uważają, że pantofle i torebki powinny być jednolite stylistycznie.

Za moimi plecami trzasnęły drzwi. Szybko się odwróciłam. Pokój opustoszał – łajdak dał drapaką, zostawiając na kanapie paszport Basile’a. Podniosłam książeczkę, wsunęłam torebkę pod pachę i ruszyłam do wyjścia. Jeszcze tego brakowało, żeby wróciła Zoja i zaczęła szlochać.

Koło wzmiankowanej stacji metra stały dwa żółte domy z cegły. Na ostatnie piętro tego po lewej stronie placu weszłam pieszo. Winda nie działała. Na podeście było troje drzwi: numer dziewięćdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt sześć, dziewięćdziesiąt siedem. Zadzwoiłam do pierwszych. Wyjrzała szeroka gęba o szklanych oczach.

– Czy tu mieszka Maja?

– Nie ma żadnego maja – czknęła osobistość, której ohydnie cuchnęło z ust. – Na dworze listopad, niedługo będzie zima, trzeba naprawić klozet...

Z tym gościem się na pewno nie dogadam; nacisnęłam dzwonek mieszkania obok.

Schludna staruszka przekonująco wytłumaczyła mi, że w całej klatce nie ma żadnej Mai. Musiałam więc iść do drugiego budynku. Były tam dwa wejścia, a na

ostatnich piętrach mieszkania miały całkiem inne numery. Wróciłam do pierwszego domu i zadzwoniłam do mieszkania dziewięćdziesiąt siedem. Najpierw rozległo się dziarskie ujadanie, potem w progu stanęła mała, chuda, wręcz zabiedzona kobieta. Na rękach trzymała czarno-białego pieska nieokreślonej rasy.

– Pani Maja?

– Tak, to ja. A pani od Margarity Lwowny? Proszę dalej.

Weszliśmy do pokoju. Dosłownie ze wszystkich kątów wyzierało ubóstwo, wręcz nędza. Poza tym było czysto i schludnie, choć mieszkanka najwyraźniej z trudem wiązała koniec z końcem. Prościutka, stara, ale nawoskowana meblościanka, wysłużona kanapa i fotele, okryte wyprasowanymi pokrowcami, kilim, zawieszony tak, żeby najbardziej wytarte miejsce zasłaniał stół. Sama gospodyni z pewnością nie dojadła; miała chyba koło pięćdziesiątki, a wyglądała jak staruszka. Wrażenie potęgował idealnie wyprasowany flanelowy szlafrok i wełniane skarpetki, robione na drutach. W pokoju było ciepło, ale głodny zawsze marznie.

– Proszę się nie obawiać – jęła zapewniać kobieta. – Jestem świetna jako pomoc domowa i biorę niedrogo, a że jestem chuda, to nawet jeszcze lepiej: wcisnę się w każdy kąt.

Patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem.

– Przed chwilą rozmawiałam z pani sąsiadką, która zapewniała mnie, że nie mieszka tutaj żadna Maja...

– Na pewno zadzwoniła pani do Alewliny Makarowny. – Kobieta uśmiechnęła się. – Biedaczka od dawna ma sklerozę, nic nie pamięta, wszystko myli, już mnóstwo razy przyprowadzali ją obcy ludzie, bo nie mogła trafić do domu. Zaraz pokażę dowód.

Obejrzałam dokument – Maja Iwanowna Kołosowa, rok urodzenia sześćdziesiąty czwarty. Ma zaledwie trzydzieści pięć lat! Kudłaty piesek zaczął, popiskując, obwąchiwać moje pantofle. Zrobiło mi się jakoś strasznie żal i jego, i jego pani. Ale cóż mogłam zrobić! Westchnęłam, wyciągnęłam drogą torebkę, rzuciłam ją na stół i spytałam:

– To pani?

Twarzyczka Mai wykrzywiła się, upodabiając kobietę do świnki morskiej. Biedaczka splonęła rumieńcem, a z jej oczu połały się łzy. Chlipiąc i pociągając nosem, wystękała:

– Boże, pierwszy raz w życiu diabeł mnie podkusił. Szlochała rozpaczliwie, piesek skamlał nerwowo. Poszłam do kuchni i otworzyłam starą lodówkę ZIŁ w nadziei, że znajdę tam walerianę albo walokordin. Na metalowych półkach było pusto, tylko w kieszeni drzwiczek bieląło jedno jedyne jajko. Zajrzałam do pojemnika na chleb – kilka kawałków żytniego...

Z pokoju przestały dobiegać szlochy, kiedy zaś tam wróciłam, ujrzałam jak biedaczka zamyka oczy i osuwa się na nienagannie wyczyszczony chodnik. Rzuciłam się na pomoc. Ale ani poklepywanie po policzkach, ani wylana za kołnierz zimna woda nie odniosły skutku. Maja nie wracała do przytomności, było z nią coraz gorzej. Wykręciłam zero trzy, starając się jednocześnie podtrzymywać głowę kobiety, ale kiedy zapadnięte policzki przybrały szarą barwę, przestraszyłam się i zaniechałam tych prób. Uspokajało mnie tylko to, że nieszczęśnica oddycha. Dziwne, ale nie musiałam długo czekać. Po piętnastu minutach, łomocząc metalową walizeczką, weszły do mieszkania dwie potężne, zasapane baby. Nie okazując najmniejszego choćby współczucia, przyjrzały się leżącej Mai. Potem jedna, pochrząkując, nachyliła się i poleciła:

– Wierka, szykuj to, co zwykle.

Druga dosyć zręcznie ukręciła łeb jakiejś ampułce, po czym obie przybyłe zaczęły wbijać igły w panią domu. Po trzecim zastrzyku z policzków Mai spęzła trupia żółtość, wargi z białych stały się różowawe, a oczy się otworzyły.

– No więc tak – zadysponowała lekarka. – Niech jej pani da zaraz gorącej herbaty z cukrem, białego chleba z masłem, a najlepiej kawałek dobrego mięsa z kartoflami albo rybę. No, w ogóle – trzeba kobietę porządnie nakarmić. Ale ją wzięło!

– Co jej jest? – spytałam nieśmiało.

– Niedobór masy ciała, wyniszczenie, omdlenie z głodu – wyjaśniła baba obojętnym głosem i zatrzasnęła walizeczkę. – Teraz zrobiliśmy zastrzyki, ale jeśli się nie odpasie, to znowu padnie jak neptek.

– Przenieśmy ją na kanapę – zaproponowałam.

Babska spojrzały na mnie.

– Zaraz się ocknie i sama wstanie, kto ma siły ją dźwigać!

Po czym wyniosły się, sapiąc jak mopsy. Popatrzyłam na leżącą Maję i wyprawiłam się po zakupy.

Rozdział 6

Dwa kroki od domu zobaczyłam olbrzymi supermarket. Nappełniłam z dziesięć plastikowych toreb i wróciłam do Mai, która już siedziała na kanapie. Kiedy mnie zobaczyła, zbladła. Przestraszyłam się, że kobiecina znowu straci przytomność, i szybko powiedziałam:

- Tutaj wszystko jest, zaraz coś zjemy.
- Dziękuję, nie – wymamrotała gospodyni, protestując nieśmiało.
- Tu ma pani sałatkę, a tu rybę w galarecie – ciągnęłam. – Niestety, gotuję okropnie, ale kawę mogę zrobić.

Parę minut straciłam na to, żeby przełożyć zakupy do lodówki i zaparzyć kawę. Pamiętając o zaleceniach lekarki, wysypałam na talerzyk czekoladowe trufle i zaniósłam je do pokoju. I miseczka po sałacie, i tacka, na której leżała ryba, były wylizane do czysta. Nalałam kawy do szczyrbatych kubków, wyciągnęłam gauloise’a i upewniłam się:

- Dym pani nie szkodzi?
 - Mogę papierosa? Moje się skończyły – wymamrotała Maja błagalnie.
- Przeraziłam się. Że nie ma jedzenia, to pół biedy, ale jak palacz może wytrzymać bez papierosów?
- Straciła pani pracę? – zapytałam, kiedy kobieta chciwie wciągnęła pierwszy haust w płuca.
 - Aha – odpowiedziała tylko smętnie.

Jej historia, tak jak przypuszczałam, była najbanalniejsza w świecie. Maja pracowała w instytucie naukowo-badawczym. Dopóki regularnie płacono zatrudnionym pensję, jeszcze dawało się jakoś żyć. Potem jednak instytut zdechł do reszty, a pracownicy musieli pofatygować się do pośredniaka. Niestety, Maja, z wykształcenia teatrolog, nic innego nie umiała robić. Zawód bez wątpienia ciekawy, ale w naszych czasach nikomu niepotrzebny. Przez rok otrzymywała stale zmniejszający się zasiłek, potem zatrudniła się w sklepie jako sprzątaczką. Ale nieszczęścia, jak wiadomo, lubią chodzić parami, okazało się więc, że biedaczka ma

mięśniaka, cystę, potem przyplątało się jeszcze coś. Krótko mówiąc, przeleżała w szpitalu prawie cztery miesiące i kiedy po trzech operacjach wyszła, ledwie trzymała się na nogach. Przyznano jej drugą grupę inwalidzką, to znaczy czterysta rubli renty i zniżkę na opłaty komunalne. Ale sto rubli tak czy owak idzie na same świadczenia, chociaż Maja na wszystkim oszczędza. Telewizor włącza raz dziennie, nie na długo, tylko żeby obejrzeć ulubiony serial. Światła prawie nie zapala, a czyta przy oknie. Ma się rozumieć, nie kupuje nic z odzieży, zamiast pasty do zębów używa proszku i nie wyrzuca nawet najmniejszych kawałeczków mydła. Musi, niestety, wydać jeszcze pięćdziesiąt drogocennych rubli, żeby nie chodzić brudna i zawszona. Za pozostałe dwieście pięćdziesiąt stara się wyżywić siebie oraz psa Kukę, z którym nie może się rozstać.

– Boże! – wyrwało mi się. – Jak można żyć za taką sumę?

– Ależ bardzo łatwo – uśmiechnęła się Maja – kiedy tylko dostanę rentę, od razu kupuję płatki owsiane, olej roślinny i kilo cukru. Czasem kaszę, ale nigdy gryczaną czy ryż, bo są za drogie.

Zwykle jakoś udaje jej się związać koniec z końcem; najgorzej było dziesięć dni temu, kiedy miała urodziny i dwie przyjaciółki wprosiły się w gości. Za nic nie chciała przyznawać się im, zamożnym i dobrze ubranym, do tego, że głoduje. Szarpnęła się więc na całkiem niecodzienne menu, robiąc sałatkę z ryżu, jajek i paluszków krabowych, ugotowała kartofle, zrobiła śledzie... Musiała podać masło i biały chleb... Sama od dawna kupuje tylko żytni. Ale gwoździem do trumny okazał się tort. Tak więc Majeczka została całkiem bez grosza. Co prawda przyjaciółki były zadowolone z przyjęcia i nawet przyniosły prezenty. Jedna elegancki zestaw – mydło, szampon i odżywka do włosów. Maja była po prostu szczęśliwa. Za to druga...

– Niech pani sobie wyobrazi – uśmiechnęła się ze smutkiem – że poszła i zgłosiła mnie do agencji matrymonialnej. Zniosła nawet zdjęcie zrobione, kiedy byliśmy na drugim roku. Zapłaciła kupę pieniędzy – tysiąc rubli. Lepiej by zrobiła, gdyby mi je po prostu dała. Ale któż połaszczy się na taką jak ja? Chociaż znalazł się jeden amator.

Pospacerowali trochę po ulicach, potem przyszli do niej. Pili tylko herbatę, Maja nic nie miała w domu; widząc taką nędzę, kawaler wyraźnie się rozczarował. Na domiar złego usnęła, siedząc przy stole. Pretendent naturalnie zmył się...

– A torebka? – przerwałam opowiadanie.

Maja zrobiła się paśowa, jej oczy napełniły się łzami. Bardzo chciałyby dostać pracę, ale z takim zawodem może liczyć na zajęcie tylko w charakterze sprzątaczkii albo pomocy domowej. Zdrowie jej jednak nie dopisuje; Maja po prostu nie daje rady biegać codziennie ze szmatą i szczotką. Ale od czasu do czasu coś się trafia i dzięki temu udaje jej się utrzymać.

Dwa tygodnie temu jej znajoma, Sonia Rogowa, ta sama, która zgłosiła jej kandydaturę do agencji matrymonialnej, zaproponowała jej zarobek u pewnych bogatych ludzi. Jeden wieczór w kuchni.

Zachorowała ich służąca – wyjaśniła Maja – a na jeden dzień nikt nie chciał się nająć.

Kołosowa zgodziła się z radością. Od samego początku jednak wszystko wyglądało bardzo dziwnie. Nie podano jej adresu. O drugiej po Maję przyjechało żiguli. Okna samochodu były zasłonięte, a przednie siedzenie od tylnego oddzielała czarna szyba z lufcikiem. Jechali czterdzieści minut, po czym znaleźli się za miastem, na dziedzińcu eleganckiej willi. Szofer kazał kobiecie iść do kuchennego wejścia. Tam powitała ją młoda dziewczyna, z wyglądu prawie dziecko, oświadczyła, że jest panią domu, i kazała jej włożyć strój pokojówki. Maja miała podawać kawę i ciastka. Przy obiedzie usługiwali kelnerzy.

W salonie znajdowała się tylko jedna para. O wpół do siódmej Maja zaniósła tam tacę ze słodyczami. O ósmej kazano jej pójść do tego samego pokoju i znowu zanieść ciastka oraz kawę. Tym razem na kanapie siedziała inna parka.

– Ja się tylko nie mogłam nadziwić – opowiadała Maja prostodusznie – jak też bogaci ludzie przyjmują gości.

Biegała tak przez cały wieczór; w sumie obsłużyła trzy pary, ale ani razu nie zobaczyła w salonie pani domu.

Gdzieś koło północy dziewczyna pojawiła się znowu. Wręczyła jej kopertę i kazała iść do auta na podwórze. Maja przebrała się w swoje rzeczy i dopiero wtedy zajrzała do koperty. Leżał tam samotnie banknot sturublowy. Tak mało nikt jeszcze jej nie zapłacił. Chciała więc porozmawiać ze skąpą gospodynią, wróciła przez elegancki hol do schodów i weszła na piętro. Nie zdążyła jednak zrobić bodaj paru kroków, gdy z pokoju wyszedł młody chłopak i zapytał, czego tu szuka. Biedaczka zaczęła coś mamrotać o pieniądzach. Chłopak kazał jej się zaraz wynosić.

Połykając łzy i rozumiejąc, że została oszukana, zeszła do holu. Na wieszakach wisiało kilka wytwornych damskich i męskich palt, od których bił zapach jakichś nieznanych perfum. Obok na stoliku leżały niedbale rzucone rękawiczki, szaliki i nieszczęsna torebka. Maja zrobiła wtedy coś, czego nigdy wcześniej nie robiła. Chwyliła ów wyzywająco elegancki przedmiot, wsunęła pod swój wyniszczony płaszczyk i poszła do samochodu. Kradzieży nikt nie zauważył. Tym razem szofer dowiózł ją tylko do stacji metra Twerska i kazał wysiąść.

– Proszę mi wierzyć – tłumaczyła się Maja – nigdy w życiu nie brałam cudzych rzeczy, ale nagle poczułam się taka pokrzywdzona! Mnie wcisnęli pogniecioną sturublówkę, a tam poniewierały się rękawiczki warte pięć tysięcy. Wiem, bo na wystawie widziałam dokładnie takie same. To było po prostu jakieś zaćmienie

umysłu, a ręce same chwyciły torebkę...

Oczywiście, zajrzała do środka, ale żadnych pieniędzy nie znalazła, powiesiła więc zdobycz w szafie. Nie ośmieliła się używać znalezionych tam kosmetyków i perfum, a wyrzucać cennej rzeczy nie chciała. Dlatego okropnie się ucieszyła, kiedy stwierdziła jej zniknięcie po wyjściu „narzeczonego”.

– No i proszę! – Maja była autentycznie zaskoczona. – Pretendent do mojej ręki okazał się złodziejem. Na pewno chciał mnie okraść i wsypał mi do herbaty jakiś środek nasenny. Dopiero się zdziwił, kiedy nic nie znalazł! Jestem mu wdzięczna, że zabrał torebkę. Bo patrząc na nią, nienawidziłam samej siebie. Codziennie bałam się, że zaraz po mnie przyjdą i wsadzą za kradzież do więzienia...

Znowu zapłakała cicho.

– No dobrze – powiedziałam. – Mogłaby mi pani pomóc, nie za darmo oczywiście. Jestem prywatnym detektywem, a moja klientka dobrze zapłaci za informację.

Mai po prostu odebrało mowę, kiedy zobaczyła szeleszczące zielone papierki.

– To dla mnie? Za co?

– Niech mi pani tylko da telefon i adres przyjaciółeczki, która poleciła panią do tej pracy.

– Sonia Rogowa – powiedziała szybko Maja, biorąc do ręki książkę telefoniczną.

Pogoda popsukała się do reszty. Z nieba lała się lodowata zupa, wiatr ciskał w twarz kawałki mokrego śniegu; zrobiło się zimno nie do wytrzymania, musiałam więc włączyć ogrzewanie. Zegarek wskazywał siódmą, ale na dworze panowały tak nieprzeniknione ciemności, jak gdyby była już północ. Czego zresztą chcę, nadchodzi przecież okres najdłuższych nocy. Rządcy przechodnie przemykali brudnymi ulicami, jak wystraszone myszy. Żeby się chociaż trochę rozweselić, włączyłam muzykę. I pojechałam do Łóżkina.

Zdumiewająca rzecz – wszyscy byli w domu i akurat przed chwilą usiedli do kolacji. Przy stole siedzieli: jak zwykle rozczochrany Misza, zmęczony Arkady, milcząca Kicia i paplająca z ożywieniem Marusia. Po prawej – troje nieznajomych dzieci.

– Mamusku – zerwała się Mania – to jest Sierioża Wildanow, to Nadia Krutikowa, a to Kirył Kogtiew. Nie będą długo, jak tylko Misza im wszystko wytłumaczy, to sobie pójdą.

Arkasa westchnął z rezygnacją. Nie tak dawno przyznał się, że chciałby mieszkać nad brzegiem morza, w wieży, za jedyne towarzystwo mając lodówkę i telewizor. Żadnych gości, żadnych krewnych! Absolutna cisza...

– Gdzie Gala? – zapytałam, nakładając sobie sałatkę na talerz.

– Mówi, że głowa ją boli – mruknęła Kicia z nieszczęśliwą miną.

W tej chwili drzwi się otworzyły i ukazała się nasza panna na wydaniu. Znowu miała na sobie czarną suknię, ale cielsko posłusznie wcisnęła w gorset. Z lekka się kołysząc na wysokich obcasach, dokuśtykała do stołu i zwała swoich sto kilo żywej wagi na krzesło, które zaskrzyphiało żałośnie. Następnie wyszeptła:

– Dobry wieczór.

– Cześć! – wrzasnęła Manusia.

Kicia i Arkady zmusili się do uśmiechu, Misza nawet nie podniósł głowy znad talerza. Ciekawe, co mogłoby go poruszyć? Nagle rozległo się radosne szczekanie, a do jadalni wparował objuczony pakunkami pułkownik.

– Hura! – zapiszczała Manusia i rzuciła się do całowania.

– Poczekaj, poczekaj – opędał się mój przyjaciel. – Popatrz lepiej, co przyniosłem.

Rzucił paczki na kanapę. Dawno temu matka pułkownika, nauczycielka, wpoila mu zasadę, której syn przestrzega do dziś: jedziesz w gości – zawieź prezenty.

Z radosnym kwikiem Mania rzuciła się na pudełko z ciastkami.

– Ptysie! Super!

– E, nie można jej dawać tyle słodczy – wyraził swoją opinię Arkady. – Wkrótce będzie grubsza ode mnie.

– O to nietrudno, bo jesteś... – zaczął Aleksander.

– ...glistą na diecie – dopowiedziała od razu Manusia, za co od razu dostała od Kici gazetą po karku.

– Mamo! – jęła się skarżyć Marusia. – Ona mnie bije...

Olga zignorowała te jęki, wyciągnęła natomiast sporą figurkę jamnika i zawołała:

– Ojej, ale cudny!

Kicia od wielu lat zbiera fajansowe pieski i jak wszyscy kolekcjonerzy jest zupełnie zblizkowana na tym punkcie. Każda figurka ma imię i żyje w „rodzinie”. Psie stada dobierane są przy tym według nieznaney nam reguły. Na przykład dwa pudle wcale nie stoją obok siebie, tylko na różnych półkach.

Rozpromieniony Arkasza kręcił w rękach brelok z napisem „Mercedes”, ja też zbliżyłam się, żeby dostać swój udział, gdy nagle rozległ się trzask, przerażający jęk i odgłos upadającego ciężkiego przedmiotu. Wszyscy się odwrócili. Przy stole, z niezgrabnie wykręconą nogą, leżała nieprzytomna Gala. Domownicy zaczęli biegać tam i z powrotem jak ogłupiali. Arkady, pułkownik i koledzy Maszki jakoś dociągnęli bezwładne ciało do kanapy i rzucili na poduszki.

– Trzeba wezwać lekarza! – orzekła Kicia.

Po czym wszyscy zaczęli udzielać mi bezsensownych rad:

– Przynieś wodę i walokordin – rozkazał pułkownik.

– Zmocz ręcznik w wodzie – polecił Arkady.

– Mamuś, w łazience jest amoniak – przypomniała Maniusia.

Wydawanie poleceń matce to najprzyjemniejszy ze zwyczajów panujących w mojej rodzinie. Wyjęłam telefon i po raz drugi w ciągu dnia wezwałam pogotowie.

Znowu szybko przyjechała karetka. Gala, co prawda, już przyszła do siebie i teraz mrugała oczami. Dość sympatyczny młody lekarz kazał wyjść dzieciom i mężczyznom, zmierzył jej ciśnienie i rzekł z naganą w głosie:

– Czy panie wiedzą, dlaczego w dziewiętnastym wieku damy z towarzystwa stale traciły przytomność? Przez gorsety! No, bo jak można się tak ścisnąć?! Szczuplejsza i tak pani od tego nie będzie, a zdrowie sobie nadweręży...

Potem rozejrzał się po pokoju, obrzucił wzrokiem stół, pudełka z ciastkami i doradził:

– Po siódmej kefir, a jeszcze lepiej francuska dieta.

– A jaka to? – zainteresowała się wiecznie odchudzająca się Kicia.

– Rano keks i seks, na obiad seks i keks, a na kolację – tylko seks. Jeśli nie pomoże, odstawić keks – oznajmił doktor z absolutnie poważną miną.

Roześmiałam się, Gala zrobiła się purpurowa. Gdy rozpięła gorset, widać było aż pręgi na skórze.

Pożegnałam eskulapa, kazałam Kici zaprowadzić Galę do sypialni i kiedy już sobie poszły, stwierdziłam obecność Miszy w najdalszym kącie pokoju. Matematyk usadowił się na skraj fotela, położył na kolanach dosyć dużą książkę, na niej – kartkę papieru, i zapamiętało coś gryzmolił, nawijając kosmyki włosów na palec lewej ręki. Targał jeden kosmyk, potem brał się do drugiego. Porzucone kędziory sterczały do góry.

– Misza – spróbowałam zwrócić jego uwagę.

Zero emocji. Musiałam podejść i potrząsnąć nim. Profesor popatrzył na mnie nieobecny wzrokiem.

– Misza, zaraz będziemy pili herbatę, niech pan siada do stołu.

– Oczywiście, oczywiście – posłusznie zamruczał mężczyzna i wstał. Książka upadła na podłogę.

– Wybacz, kochany – powiedział profesor i schylił się.

Przez chwilę przyglądał się tomowi, potem się roześmiał.

– Myślałem, że znowu strąciłem Hootchusia!

Potem omiół zdziwionym wzrokiem pokój i ze zdumieniem spytał:

– Gdzie są wszyscy? Co się stało?

Tylko westchnęłam. Bardzo dziwny okaz, w ogóle nie zwraca uwagi na otoczenie. Ciekawe, czy jeśli mu się podrzuci Galę pod kołdrę, to ją tam znajdzie? Prędzej czy później chyba jednak tak. Nie zdziwi się, tylko powie:

– Cieszę się, że panią poznałem, dobranoc.

Rozdział 7

Następnego ranka najpierw pojechałam do głupiej Kati i w skrzynce pocztowej zostawiłam jej kopertę z pieniędzmi, odebranymi pseudo-Basile'owi. Potem postanowiłam zająć się Sonią Rogową. Niewiasta, która protegowała Maję, bardzo mi się nie podobała. Ładne rzeczy, po prostu wystawiła przyjaciółkę, do tego absolutną nędzarkę. Wyglądało to tym paskudniej, że sama pani Rogowa robiła wrażenie osoby co najmniej dobrze sytuowanej. Adres, który dała mi Kołosowa, zaprowadził mnie na peryferie Moskwy, prawie za miasto, do pięknej piętrowej willi, otoczonej wysokim parkanem.

Zatrzymałam wóz niedaleko bramy, zapaliłam papierosa i zaczęłam się zastanawiać, jak najlepiej przedstawić się damie; wówczas jednak brama się rozstąpiła, wypuszczając wspaniałego czerwonego mercedesa. Za kierownicą dumnie zasiadała platynowoblond trzydziestolatka.

– Sofio Nikolajewna – dobiegł z podwórza rozpaczliwy krzyk – zapomniała pani torebki!

Mercedes zahamował. Kobieta uchyliła drzwi. Wymachując niedużym skórzanym kuferkiem, dziewczyna w granatowej sukience i białym fartuszką pędziła ku niej na złamanie karku.

– Dawaj – wycedziła przez zęby dama i zapaliła silnik.

Nie namyślając się długo, pojechałam za nią. Popatrzę, dokąd wybiera się sympatyczna Sofia; a nuż wymyślę, jak się do niej podkraść.

Cały dzień straciłam na śledzenie obiektu. Okazało się to rzeczą nader łatwą. Jeździła powoli i pedantycznie, żadnych długich tras nie robiła, kręciła się głównie w centrum. Najpierw odwiedziła drogiego fryzjera, potem wstąpiła do francuskiej cukierni i wyfrunęła stamtąd z pudełkiem ciastek, a na końcu pojechała na Głagolewską i zaparkowała przed niedużym jasnoróżowym domkiem z początku dwudziestego wieku.

Pływały męczące minuty oczekiwania. Po dwóch mniej więcej godzinach znudziło mi się siedzenie w samochodzie, wyszłam więc na powietrze.

Było zimno, ale słonecznie, na ławeczce siedziała zakutana w liczne szaliki babcia z wózkiem. Usiadłam obok niej. Staruszka zerknęła niezycyliwie na paczkę gauloise'ów i burknęła:

– Co to za nowa moda! Chłopy kurzą, a baby to samo, po prostu coś okropnego.

Szybciotko schowałam papierosy i pojednawczo wskazałam palcem wyzywająco luksusowego mercedesa.

– Ładne auto, na pewno bardzo drogie!

– A wiesz, czyje to? – niespodziewanie ożywiła się babcia. – Kochanka przyjeżdża do Łońki Gawriuszyna.

– A to dopiero! – podjudziłam plotkarkę. – Nie może być!

– Ja też tak myślałam! – zawołała staruszka z tryumfem. – Chłopak... co tam, dopiero osiemnaście skończył, a ona pewnie czterdziestkę ma na karku, chociaż oczywiście udaje młodziczkę. Włoży spódnicę do pępka, białe botki, cycki na wierzch wywali i kuśtyka na wysokich obcasiskach. Tutaj baby gadają, że uchroniła go przed wojskiem, to się jej odwdzięcza, jak może.

– I często się spotykają?

– Co tam często – codziennie, jak w zegarku. Punkt trzecia na zegarze ona już jest tutaj, a o piątej odjeżdża.

Popatrzyłam na zegarek – była za dziesięć piąta.

– O, o, popatrz pani – ożywiła się informatorka. – Zaraz się będą żegnać.

Z bramy wyszła parka: znana mi już Sofia Rogowa i atletycznie zbudowany chłopak. Pomimo zimna paradował w samej koszuli z krótkimi rękawami. Pewnie chciał się popisać wspaniałymi bicepsami. A patrzeć było na co. Sylwetka Romea przypominała odwrócony podstawą do góry trójkąt – szerokie plecy i wąskie biodra. Głowę zdobiły piękne jasne włosy, w dotyku z pewnością jedwabiste, twarz miała regularne rysy, ale wydawała się pozbawiona wyrazu. Słowem, chłopiec śliczny jak z reklamy mydła.

Uprzejmie trzymał Sofię pod rękę, podprowadził ją do auta i troskliwie pomógł otworzyć drzwi. Potem nastąpił namiętny pocałunek. Ja i babcia wytrzeszczyłyśmy oczy; parka nie zwracała na nas najmniejszej uwagi. W końcu Gawriuszyn z widocznym wysiłkiem oderwał kochankę od siebie i wepchnął do auta. Sonia wysunęła przez okienko lewą dłoń, którą Lonia zaczął natychmiast obcałowywać. W końcu silnik zawarczał, i niewiasta odjechała.

Stałam przez chwilę w zamyśleniu. Adres Rogowej znam, zawsze zdążę się do niej dostać. Może najpierw postraszyć tego namiętnego księcia, dowiedzieć się czegoś o Soni z trzeciej ręki! Chłopaczek tymczasem zniknął w bramie, a ja pomknęłam za nim. Kiedy szarpnął drzwi na pierwszym piętrze, zaczęłam szczebiotać:

– Panie Gawriuszyn, może zechce pan mi poświęcić parę minut...

Zaskoczony chłopak omal nie krzyknął, ale pohamował się i wybełkotał:

– Czego pani chce? Kim pani jest?

Uśmiechnęłam się.

– To trudno wyjaśnić, powiedzmy, że przedstawicielką rodziny Rogowów.

Chłopak zmienił się na twarzy i zapytał szeptem:

– Pani jest matką Soni?

Tak jeszcze nikt mnie nie obraził! Matką tej farbowanej lisicy?! Przecież wyglądam na jej młodszą siostrę! Albo Casanova całkiem zbzikował ze strachu, albo na schodach jest zbyt ciemno.

– Nie – powiedziałam dosyć ostro. – Z drugiej strony, krewną męża.

– O, Jezu! – wymamrotał piękniś, nie trafiając drżącymi rękami do kieszeni. –
Męża!

– To pan nie wie, że Sonia jest zameżna?

– Nie, to znaczy tak, a właściwie nie – zaczął się plątać nieszczęśnik.

Ładną, trochę zbyt nieruchomą twarz pokryły kropelki potu; cudowne czarne oczy, rzucające powłóczyście spojrzenia, biegały teraz na wszystkie strony. Marusia nazywa podobne osoby krótko i zwięźle: glut.

– Dziecino – powiedziałam cicho – nie bój się, nie zrobię ci nic złego, pogadamy sobie tylko, i już...

Ale chłopak nie mógł włożyć klucza do dziurki. Wyjęłam mu go z ręki i sprawnie otworzyłam mieszkanie.

W przedpokoju panowała ponura cisza.

– Mieszkasz sam?

Chłopak skinął głową, po czym weszliśmy do dosyć dużego pokoju. Wnętrze robiło wrażenie – mieszanka wschodniego bazaru, szlacheckiego dworku oraz burdelu w prowincjonalnej mieścinie. Wszystko zasłane dywanami jak mongolska jurta. Z sufitu zwieszał się żyrandol z brązu, zbyt duży jak na takie pomieszczenie. Luksusowy komplet wypoczynkowy z ciemnozielonej skóry, niski stolik, olbrzymi telewizor Sony, wideo, mnóstwo kaset i stos numerów pisma „Siemion”.

– Co jest tam? – zapytałam, wskazując palcem na czarne drzwi.

– Sypialnia – wybełkotał Lonia.

Chcąc się upewnić, że jesteśmy sami, pchnęłam drzwi i oniemiałam.

Całą powierzchnię pokoju zajmowało olbrzymie łóżko z wytworną koronkową pościelą. Ściany były ciemnofioletowe, w sufit wprawiono lustro. Podłogę wyłożono białym, nieprawdopodobnie puszystym dywanem. Na poduszce spał kot angorski w błękitnej obroży.

– Ładnie mieszkasz!

– Sonia kazała zrobić remont – zaczął się usprawiedliwiać Lonia.
Nie zwracając uwagi na to, co plecie, obejrzałam pełną perfum i kosmetyków łazienkę, po czym weszłam do kuchni.

Najwyraźniej madame Rogowa nie żałowała pieniędzy na kochanka.

– No to opowiadaj – rzuciłam, rozsiadając się na kuchennym krześle.

– Co?

– Wszystko, gdzie się poznaliście...

– A po co? – Chłopaczyna niespodziewanie próbował stawić opór. To zrozumiałe, w domu się uspokoił i nabrał odwagi.

– Wiesz, kto jest mężem Soni?

Lonia przytaknęła.

– To powiedz, gdzie pracuje!

– Po co?

– Chcę sprawdzić, czy masz ściśle informacje.

– Siergiej Nikołajewicz Rogow – jest właścicielem Mono-banku.

Gwizdnęłam w duchu z wrażenia; miałam nadzieję, że Lonia nie kłamie.

– Zgadza się; rozumiesz zatem, że pieniędzy mu nie brakuje?

– Owszem, jarzę.

– To teraz opowiedz wszystko o sobie i Sioneczce.

– Po co?

Co za ubogie słownictwo: facet zna tylko jedno pytanie.

– Po to, żeby pan Rogow wiedział, z kim żona spędza czas.

– To on wie? – Gawriuszyn znowu struchlał.

– Wie, wie – uspokoiłam go. – Jako mężczyzna nie ma czasu poświęcać Sioneczce uwagi, więc patrzy przez palce na jej sztuczki. Ale chce być pewny, że kochanek jest przyzwoity, zdrowy, z przyzwoitej rodziny.

– To dlaczego ona tak się boi, że mąż się dowie? Nigdzie nawet nie chodzimy razem – mruknął Lonia.

– I dobrze, niech się boi, nie trzeba jej nic mówić. Ale tobie, Lonieczka, pan Siergiej okaże wdzięczność za milczenie i akuratne zachowanie. Specjalnie wynajmuje mnie w takich celach. Przecież nie jesteś jej pierwszym. Dalej, koteczku, opowiadaj wszystko, bądź rozsądny.

Głupi Gawriuszyn westchnął i zaczął się zwierzać. Jest młody – dopiero co stuknęła mu osiemnastka, a z Sonią poznał się rok temu na zawodach. Pani Rogowa, wrażliwa widać na piękno męskiego ciała, bywała na pokazach i konkursach *body-building*. A Lonia z powodzeniem na wszystkich występował. Od czternastego roku życia nic poza prężeniem mięśni nie robił, toteż w dziewiątej klasie wyleciał ze szkoły. Przy wspaniale rozwiniętym ciele odznaczał się całkowitym brakiem

zdolności umysłowych.

Do ukończenia szesnastu lat Lońka mieszkał z rodzicami, parą zdeklarowanych alkoholików. Wszakże w wigilię jego siedemnastych urodzin tatuś i mamusia napili się jakiegoś świństwa – taniej podrabianej wódki – i nad ranem cicho umarli. Lonia pochował rodziców; urządził nawet skromną stypę, zaprosił sąsiadów, ale szczególnie nie rozpaczał. Jego życie po śmierci dwojga pijaczków tylko się polepszyło. Pieniądzy, co prawda, ledwie mu starczało. Kilka razy wystąpił w reklamie męskiej bielizny, zdobył dwie nagrody na konkursach kulturystycznych i z powodzeniem pracował w agencji modeli. Nawet nie zaczął pić, podobnie zresztą jak palić. Dbął o zdrowie, jadał regularnie, starannie dbając o równowagę białka, tłuszczów i węglowodanów. Żeby rosła masa mięśniowa, należy się dobrze odżywiać, ale też ryzykuje się utycie. Krótko mówiąc, co dzień był zajęty po uszy. Wtedy pojawiła się Sonia.

Była zima. Kobieta miała na sobie szare, skromne futerko, jak się wydawało prostodusznemu Loni, z królików. Później odprowadzające ją zawistnymi spojrzzeniami szatniarki wyjaśniły chłopakowi, że futro z szynszyli kosztuje majątek.

Sonieczka niedbale rzuciła je na krzesło i została w spódniczce supermini, tudzież obcisłej bluzce. Siemion Żezłow, który przebierał się w tym samym pomieszczeniu co Gawriuszyn, szybko się ulotnił.

Krótko mówiąc, pojechali razem do Loni. Sonieczka skrzywiła się z obrzydzeniem na widok obscurnego mieszkanka i orzekła:

– Trzeba tu zrobić remont.

Następnego dnia przyszli fachowcy, którzy marne pokoiki zamienili w królewskie komnaty. W ślad za nimi przybyły nowe meble. Sonia szybko rozwiązała wszystkie problemy. Jakimś sposobem udało jej się załatwić kochankowi zwolnienie z wojska. Lonia zaczął się inaczej ubierać, strzyc u eleganckiego fryzjera, robić manikiur i pedikiur; studiował też książkę *Fantazje erotyczne*. Kochanka płaciła za wszystko, od Loni wymagała tylko jednego – żeby w określonych godzinach był w domu, i to w gotowości bojowej. Nie interesowało jej, jak spędza resztę dnia. Nie wprowadziła swego ulubieńca w świat, tłumacząc to patologiczną zazdrością męża.

– Jest jak pies ogrodnika – wyznała kiedyś. – I sam nie może, i innym nie pozwala. A ja jestem kobietą z temperamentem...

Co prawda, to prawda. W łóżku pani Rogowa była nie do opanowania – jak pożar torfowiska. Miała zadziwiające fantazje; Lonia cisnął w kąt wszystkie podręczniki sztuki erotycznej. Nie znalazł w nich nic z tego, co potrafiła owa dama. Czasem po namiętnych uściskach Sonieczka przeciągała się jak syta kotka i stwierdzała:

– Cóż, Lonieczka, jesteś po prostu znakomity i nie próżnujesz w łóżku, ale pogadać to z tobą nie ma o czym. Prędko mi się znudzisz.

Gawriuszyn zaczynał ją wówczas całować i zapewniać o swojej miłości.

– Nie bój się – uspokajała go cynicznie rozbawiona Sonia. – Nie jesteś moim pierwszym i nie będziesz ostatnim; wszystkich swoich facetów potrafię świetnie urządzić.

Sonia nigdy nie zostawała na noc, nawet kiedy małżonek wyjeżdżał. Lonia, włączając telewizor, często dowiadywał się, że Rogow bawi to w Anglii, to we Francji.

– Chętnie bym u ciebie przenocowała – wzdychała Sonia. – Zabawilibyśmy się na maksa, ale mąż zatrudnił nadzorcę – Ester Grigorjewnę. Baba mnie śledzi i wszystko mu donosi: gdzie byłam, dokąd jeździłam, kiedy wróciłam. Wiesz, jak Siergiej wyrzucił swoją pierwszą żonę, Marinę? Gołą i bosą, tak jak ją wziął. A ja absolutnie nie mam na to ochoty, tym bardziej że on już ma sześćdziesiąt pięć lat, łatwo mogę zostać bogatą wdową, sama mam ledwie trzydziestkę...

Wysłuchawszy spowiedzi chłopaka, bardzo zadowolona pojechałam do Łożkina. Cóż, teraz wiem, jak przycisnąć do muru gorącokrwistą Sofię!

I w jadalni, i w salonie panowała cisza. Ciekawe, gdzie się wszyscy podziali? Weszłam na górę, pchnęłam drzwi i oniemiałam. Pokój był pełen dzieci. Pięć dziewczynek, sześciu chłopców. Na ścianie między półkami na książki wisiała tablica. Przy niej stał rozczochrany jak zawsze Misza z czołem umazanym kredą.

– Do tej pory wszystko rozumiecie? – spytał.

– Tak – chórem odpowiedzieli chłopcy.

– Świetnie, idźmy dalej. Siedem be do kwadratu minus osiem ce...

Uczniowie gorliwie zaskrzypieli piórami. Na wprost tablicy siedział Hootchuś, wydawało się, że mops usiłuje zrozumieć podstawy algebry.

Cichutko zamknęłam drzwi i zajrzałam do pokoju Gali. Leżała na łóżku i czytała *Kochaj mnie wiecznie*. Jeśli dalej tak pójdzie, to zostanie jej jedno: przeżywać cudze namiętności. A to dopiero – mieszkają pod jednym dachem i chyba jeszcze się nawet nie poznali...

Na podwórzu trzasnęły drzwiczki samochodu. Wrócił zmęczony Arkady.

– Jak leci? – zapytałam, schodząc do holu.

Syn spojrzał na stertę adidasów, botków i pantofli, po czym spytał z westchnieniem:

– Znowu goście?

– Marusieńka przyprowadziła cały swój college, a Misza na górze, w gabinecie, prowadzi zajęcia z matematyki...

– No, no – mruknął Kiesza.

W jadalni smętnie dziobnął parę razy rybę widelcem i odsunął prawie nietkniętą.

– Zmęczony jesteś?

Arkady podniósł wzrok.

– Im dłużej pracuję, tym bardziej nabieram przekonania, że otaczają mnie sami idioci. Dzisiaj zjawiał się nowy klient. Zabójca, szesnaście lat. Udawał diabła.

– Kogo?

Wszystko zdarzyło się kilka dni temu w jednej z dzielnic-sypialni. Około północy do mieszkania osiemdziesięcioletniej Anny Stiepaszyniey ktoś zadzwonił. Dziwiąc się tak późnej wizycie, staruszka dokuśtykała do drzwi, zerknęła przez wizjer i zamarła. Na skąpo oświetlonej klatce schodowej stał najprawdziwszy diabeł. Jego oblicze było czarne jak szuwaks, pobłyskiwały w nim tylko białka oczu. Na małej głowie sterczały groźne rogi. W prawej ręce trzymał widły, w lewej – długi ogon z kitką na końcu. Anna Markowna krzyknęła z przerażenia. Była niezwykle pobożna, obchodziła wszystkie święta, przestrzegała postów; wizyta diabła przeraziła ją śmiertelnie.

Niespodziewany gość usłyszał krzyk i zawołał:

– Otwieraj, Stiepaszyna, przyszedłem po twoją duszę.

Po czym wydał z siebie okropny chichot. Anna Stiepaszyna runęła na podłogę. Akurat jednak u staruszki nocował wnuk. Słyszając krzyki, wyszedł do przedpokoju. Zobaczył leżącą na podłodze babcię, zerknął na korytarz i od razu otworzył drzwi. Niespodziewający się tego „diabeł” czmychnął do windy, ale wnuk, młody, silny mężczyzna, złapał go za ogon i zaciągnął do mieszkania. Zamknął wysłannika piekieł w pokoju, podbiegł do babci i stwierdził, że ta nie żyje.

Wezwana milicja szybko ustaliła tożsamość „diabła”. Był nim Kostia Sirotkin, szesnastoletni uczeń, sąsiad pani Stiepaszyniey, która ciągle miała do niego o coś pretensje. A to, że pali na schodach, a to, że wystaje na rogu z kolegami...

W końcu chłopczyzna postanowił zemścić się na wstrętnej staruszce. Znając jej religijność, przebrał się za diabła i zaczął harcować pod drzwiami.

– No, skąd mogłem wiedzieć, że umrze – buczał chłopak, rozmazując po twarzy gile z nosa razem z pastą do butów. – Myślałem, że się tylko przestraszy...

Zabójstwo to jednak zabójstwo, toteż zabrali smarkacza na milicję. Rodzice zaczęli na gwałt szukać adwokata i trafili do Arkadego.

– I jak ja mam bronić takiego cymbała? – wściekał się syn. – „Przepraszam, wysoki sądzie, on nie chciał”? Co za głupota! Szesnaście lat, a taki kretyn!

W korytarzu dał się słyszeć hałas, potem śmiech; dzieciaki wyraźnie zbierały się do wyjścia. Wszedł Misza, a za nim, jak przywiązany – Hootchuś.

– Bardzo, bardzo dociekliwi młodzi ludzie – rzekł profesor. – Niestety, w szkole niezbyt dobrze im tłumaczą różne rzeczy, ale postarałem się wszystko wyjaśnić. Puczmy się jakiś miesiąc i wszystko będzie grało. Można herbaty?

– Oczywiście, Miszka, mój kochany! – zawołała, wpadając z impetem, Maszka. – Dostaniesz jeszcze ciastko, móżg potrzebuje cukru.

– Dzięki – mruknął Misza, wyciągnął z kieszeni jakąś kartkę i zaczął coś szybko pisać.

– Idź, poproś Galę na kolację – powiedziałam.

Maruśka skrzywiła się, ale posłusznie podreptała na górę. Kiesza nadal rozdlubywał rybę, Misza pisał, ja piłam w milczeniu herbatę.

Po pięciu minutach do jadalni weszła Gala. Tym razem nie miała gorsetu, nic więc dziwnego, że pod sukienką widać było wałeczki tłuszczu.

– Siadaj koło Miszy – rozkazałam.

Dziewczyna posłusznie usadowiła się na krześle.

– Misza, jedz – surowo powiedziała Mania.

Mężczyzna, nie patrząc, wyciągnął rękę, chwycił pokrywkę od maselniczki i podniósł do ust.

– Ależ nie to! – zawołała Maniusia, wrywając mu fajansowy przedmiot. – Masz jeść to.

I podsunęła profesorowi pod nos eklera.

– Nic nie rozumiem! – krzyknął Misza.

– A co tu jest do rozumienia? – zdziwiła się Mania. – Ekler i tyle.

– Nic a nic! – ponownie krzyknął matematyk i ze złością odsunął kartkę. – Jakieś bzdury mi wychodzą.

– Lepiej niech pan zje kolację – westchnął Arkady – bo znowu w nocy nadeptnie pan na Bundy’ego.

Uśmiechnęłam się. Wczoraj profesor zapomniał o bożym świecie i cały dzień nic nie jadł. O trzeciej w nocy poczuł straszny głód, w nadziei więc, że w lodówce znajdzie coś do jedzenia, skierował się do kuchni, nie zapalając światła.

Nasz pitbull lubi akurat spać na progu. Nie wiedząc o tym, Misza z rozpędu nastąpił mu na cienki ogon. Przerażony Bundy zawył i oczywiście się zsiakł. Matematyk, który przestraszył się nie mniej od niego, poślizgnął się i upadł w kuchni z hukiem... Kicia się obudziła, zbiegła na dół i w naszym, że tak powiem, zakładzie zbiorowego żywienia zastała ruchomą mieszaninę ludzkich i psich nóg, skropioną w dodatku aromatyczną ciecżą.

– Ma pan rację, Arkady – z całą powagą przytaknął profesor i przesunął się bliżej ryby.

– Tutaj chyba należy zastosować inną metodę – rozległ się nieśmiały głos.

Wszyscy skierowali wzrok na Galę. Po raz pierwszy bowiem odezwała się sama, a nie tylko odpowiedziała na pytanie. W rękę trzymała kartkę profesora.

– O, właśnie – mruknęła. – Błąd jest tutaj!

Misza chwycił papier w rękę. Dwie głowy, czarna i ruda zbliżyły się do siebie.

Wymieniliśmy z Kieszą spojrzenia.

– Proszę wybaczyć, Galu – zapytał mój syn – kim pani jest z zawodu?
– Fizykiem teoretykiem – odpowiedziała kobieta, oblewając się rumieńcem.
– Ależ ma pani rację! – wykrzyknął podekscytowany profesor. – Boże, że też ja tego nie zauważyłem! A propos, jak pani na imię?...

O jedenastej, chcąc się już położyć do łóżka, zajrzałam do jadalni. Na dywanie poniewierały się zapisane kartki papieru. Misza i Gala, ślęcząc z ołówkami nad kolejną, zawzięcie się kłócili. Widząc, że zupełnie tak samo nawijają przy tym kosmyki włosów na palec, odetchnęłam z ulgą. No cóż, znajomość została nawiązana, teraz poczekamy na rozwój wypadków.

Rozdział 8

Następnego dnia około jedenastej podjechałam do willi Rogowów i odważnie zadzwoniłam. Z domofonu zaraz usłyszałam:

- Kto tam?
- Czy pani Sofia Rogowa jest w domu?
- Pani nie przyjmuje – doleciało z głośnika.

O, tego właśnie trzeba nauczyć służącą! Nasza Ira wpuszcza wszystkich jak leci.

- Proszę przekazać, że przyjechała stara przyjaciółka.
- Jak nazwisko?
- Luba Gawriuszyna.

Popatrzmy, jak nasza kochana Sonia zareaguje na nazwisko kochanka! Brama się otwarła, a ja wolno podjechałam do frontowego wejścia. Na schodach stała młodzieńka pokojówka w garsonce i białym fartuszk.

W holu dyżurowała szczupła pani w wieku około sześćdziesięciu lat, ubrana w angielski kostium. To pewnie ta strażniczka, Ester Grigorjewna. Zaprowadziła mnie do salonu. Zdenerwowana Sonia wstała, ale nie zdążyła otworzyć ust, kiedy rozłożyłam szeroko ręce i zaszczebiotałam:

– Soniu, kochaneczko, jestem prosto z Paryża i od razu do ciebie, a ile mam do opowiadania! Każ służącej podać kawę!

Sofia okazała się całkiem niegłupia, bo wskazała mi fotel i zaprosiła:

- Siadaj, kochana!

Potem zwróciła się do cerberki i poleciła:

- Ester Grigorjewno, proszę zrobić, co należy!

Kobieta wyszła. Patrzyłyśmy na siebie w milczeniu. Sonia, nadal bez słowa, wstała i wyjrzała za drzwi, potem zamknęła je dokładnie i szepnęła:

- Kim pani jest?

- Luba Gawriuszyna, bliska krewna Loni – powiedziałam z uśmiechem.

Rogowa drgnęła i uważnie obejrzała mój spodnium od Diora i pantofle od Gucciego.

– Jakoś mi pani na to nie wygląda – mruknęła. – Chce pani pieniędzy?

– Nie, nie wiem, co robić ze swoimi – uspokoila ją.

Sofia, przyzwyczajona do rozwiązywania wszelkich problemów za pomocą karty kredytowej, nieco się zafrasowała. Za drzwiami rozległ się szmer. Wtedy błyskawicznie przywołała na twarz uśmiech i tonem światowej damy powiedziała:

– Centrum Pompidou jest doprawdy wspaniałe!

– Boskie! – odpowiedziałam. – Ale Saint-Denis robi jeszcze większe wrażenie!

Druga pokojówka, też młodziutka i ładna, napełniła aromatycznym napojem cienkie fajansowe filiżanki, po czym zastygła w wyczekującej pozie.

– Możesz odejść, Marina – rzuciła Sonia, niedbale machnąwszy ręką.

Dziewczyna z szacunkiem ukloniła się i znikła. No proszę, nam coś takiego nawet się nie śniło. Ciekawe, jak można sprawić, żeby służba tak się zachowywała? Pewnie płacąc jej niebotyczne pensje.

– W Moskwie taka nuda – kapryśnym tonem powiedziała pani domu, ostrzegawczo podnosząc palec do ust. – Zaraz ci pokażę zdjęcia z Włoch, jeśli gdzieś można się rozerwać, to na pewno w Rzymie!

Zaczęła grzebać w antycznej sekreterze, wyjęła elegancki album, a ja zaczęłam go przeglądać. Na kolana spadła mi kartka o treści: „Tu nie możemy rozmawiać, służące podsłuchują”.

– Tak, to miłe – wycodziłam, szybko mnąc papierek. – Ale chciałam zaprosić cię do siebie. Wiesz, Basile kupił nowy dom, mały, co prawda, zaledwie jedenaście pokoi, ale bardzo przytulny!

– Cudownie! – zawołała Sonia i poszliśmy do holu.

Ester Grigorjewna z ważną miną poprawiała kwiaty w ogromnym ogrodowym wazonie.

– Wrócę przed kolacją – rzuciła gospodyni, wkładając skórzany płaszcz, podbity lamparcim futrem.

Wyszliśmy na mokre podwórze, Sonia rzuciła się do mercedesa, a ja do volva. Po chwili czerwone auto ruszyło w kierunku bramy i żwawo pomknęło szosą; pojechałam za nim. Trochę dziwna kolejność, jeśli wziąć pod uwagę, że jechałyśmy do mojego „nowego domu”. Ale Sofia oczywiście wiedziała, którądy jechać, bo całkiem pewnie krążyła po wiejskich niemal drózkach, póki w końcu nie zatrzymała wozu przed chatką zbudowaną w *russian style*. Z drzwi wyskoczył chłopak odziany jak posługacz w karczmie: granatowa satynowa rubaszka, czarne pluszowe portki, biała serwetka, wetknięta za pas. Do takiego stroju pasują miękkie safianowe buty, ale chłopak miał najzwyklejsze czarne półbuty. Za to gęste włosy były szcudrze wybrylantynowane, ze starannym przedziałkiem pośrodku.

– Witamy, witamy! – zawołał z entuzjazmem. – Prosimy do środka, bardzo nam

miło.

– Tu jest zupełnie bezpiecznie – oświadczyła Sonia, kiedy usiadłyśmy przy wielkim, drewnianym stole z pękatym samowarem. – Mieszkam w kłębowisku żmij. Służący o wszystkim donosi mężowi, a on...

Machnęła ręką z rezygnacją. Niespodziewanie zrobiło mi się jej żal. Sama wychodziłam cztery razy za męża, ale w końcu doszłam do wniosku, że najlepiej żyć samej. Nie trzeba się nikogo bać ani się przed nikim tłumaczyć, nie trzeba wysłuchiwać wymówek..

Może gdzieś w lasach kryją się prawdziwi mężczyźni: uczciwi, mądrzy, dobrzy, uprzejmi, rozumiejący, ale mnie się taki nigdy nie trafił.

Za każdym razem, kiedy wychodziłam za męża, byłam przekonana, że to po raz ostatni. Nigdy nie szukałam bogatego męża i majątek nie był dla mnie decydującą sprawą. Uważałam po prostu, że całkowita zależność od mężczyzny, nawet kochającego i kochanego, nic dobrego nie wróży. Sonia Rogowa najwyraźniej była innego zdania, no i teraz płaci za swoją lekkomyślność.

– Moje życie jest okropne – skarżyła się rzekomej siostrze swego kochanka. – Żyję po prostu w złotej klatce. Żadnych przyjaciół ani przyjaciółek, nawet porozmawiać nie mam z kim!

– Dlaczego? – zdziwiłam się całkiem szczerze.

– Mąż nie pozwala mi się zadawać z byle kim – wyjaśniła tonem żalącego się dziecka. – Jedynie z żonami swoich przyjaciół, a to same idiotki i istne piranie. Myślą tylko, jak wydusić więcej forsy od swoich chłopów. Mój Siergiej nie jest skąpy, baksów nie liczy, kupić mogę absolutnie wszystko, na co mam ochotę... Za to zazdrosny jak Otello.

Istotnie, biedaczka naprawdę chyba nie ma z kim pogadać, jeśli otwiera duszę przed pierwszą napotkaną osobą. W dodatku oczy Soni błyszczały gorączkowo, a cienkie nozdrza nerwowo się rozdymały. Chyba nie bardzo ją przestraszyła i nie zdziwiła wizyta obcej kobiety...

– Zatrudnił Ester Grigorjewnę – skarżyła się Rogowa. – Prawdziwy detektyw z tej baby. Wszystko widzi i słyszy, pokojówki też są nadgorliwe i donoszą mężowi. A tu jeszcze pani się zjawia u mnie, i po kiego licha? Nie mogłyśmy się spotkać u Loni? Chce pani pieniędzy za milczenie, ile? Brat pani mi się podoba, ładny chłopak, boję się tylko, że Siergiej coś wywęszy. Wie pani, pod jakim pretekstem wyjeżdżam z domu?

Jeszcze mocniej rozdęła nozdrza i zaśmiała się.

– Uczę się malarstwa. Całkiem nieźle to wymyśliłam! Wynajęłam bezrobotną kobietę, ubrałam, uczesałam tak, żeby była podobna do mnie... No i biega na zajęcia, maluje jakieś okropne pejzaże. Ja je później pokazuję Siergiejowi, a on bardzo mnie

chwali...

Zaczęła histerycznie chichotać, chwyciła torebkę i poszła do toalety. Byłam kompletnie zaskoczona. Któż się tak zwierza nieznanemu? Na idiotkę baba nie wygląda, więc co tutaj jest grane?

Rogowa wróciła spokojna i opanowana. Nerwowe drganie rasowych nozdrzy ustało.

– No więc czego pani żąda? Pienędzy?

Proszę, co za okropna kobieta: absolutnie nic nie pamięta i w dodatku co chwila zmienia jej się nastrój.

– Zna pani Maję Kołosową? – odpowiedziałam pytaniem.

– Myszkę? – zdziwiła się małżonka bankierowa. – Oczywiście, chodziliśmy do jednej klasy. Nie poszczęściło się biedaczce, jest w strasznej nędzy. Byliśmy z Alką u niej na urodzinach i wyszliśmy po prostu zaszokowane...

A czemuś nie pomogła przyjaciółce? – pomyślałam. – Dałabyś jej paręset baksów; czyżby ci było szkoda?

Sofia nadal rozwodziła się nad tragicznym losem Mai.

– Na kolację, wyobraża sobie pani, dała nam sałatkę z paluszków krabowych, śledzie, kartofle i okropny tort z różyczkami z margaryny.

Wspominając, z jakim zachwytem Maja opisywała przygotowany poczęstunek, przerwałam Soni:

– A dokąd ją pani wysłała, żeby sobie dorobiła jako służąca? Pamięta pani?

– No... – odezwała się dama – ...do Nikitinów, a bo co?

– Muszę tam pójść i porozmawiać z panią domu.

Sofia nachyliła się nad stołem, a jej wprawnie umalowana twarz znalazła się tuż przed moją. Nozdrza rozmówczyni znowu zaczęły się poruszać, olbrzymie, bezdenne źrenice wpiły się w moje oczy.

– Dziwne to wszystko – powiedziała. – Bardzo dziwne...

Koniuszek nosa zadrgał, a ja dostrzegłam bardzo drobny biały pyłek nad górną wargą Sofii. Teraz wszystko stało się jasne. Rogowa wachała kokainę. Stąd gwałtowne zmiany nastroju, nerwowa gadatliwość, wyuzdanie seksualne i histeria. Ciekawe, czy zazdrosny małżonek o tym wie?

– Po co pani Wanda Nikitina? – dopytywała się dalej Sonia. – Jeśli chce pani sobie u niej dorobić, to bierze tylko mężatki.

Ciekawe. Czyżbym miała wypisane na czole, że nie mam męża?

– Maja Kołosowa też nie jest zameżna – przypomniałam. – Przecież sama pani zgłosiła przyjaciółkę do agencji matrymonialnej, a wzięto ją...

Rogowa przyjrzała się moim brylantowym kolczykom, prezentowi urodzinowemu od Arkadego, i cicho dodała:

– Przecież pani nie będzie pracować tam jako służąca...

– A jak jeszcze można zarobić u Nikitinów? No, jako sekretarka, dama do towarzystwa; jak zwał, tak zwał, wszystko to służba.

Sonia zaśmiała się histerycznie.

– To pani nic nie wie? Boże, ależ to zabawne!

Poczekalam, aż się uspokoi, i obrażonym tonem spytałam:

– Czego niby nie wiem?

Sofia znowu wpatrzyła się we mnie tymi swoimi oczyskami. Oczywiście miała odlot, bo wyglądała na odprężoną, zadowoloną i nawet sytą, chociaż nie tknęła apetycznej sałatki z kurczaka.

– Słuchaj uważnie – przeszła na „ty”. – Nikitinowie mają w domu bajzel; burdel, rozumiesz?

– W jakim sensie?

– W zwykłym: dom publiczny, tyle że nietypowy...

Sonieczka wyciągnęła ze złotej papierośnicy skręta i po chwili nad naszym stolikiem unosił się charakterystyczny słodkawy dym. Aha, na dodatek pali trawkę. Jeśli dalej pójdzie tą drogą, szybko zacznie łykać prochy, siądzie na igłę i najzwyczajniej w świecie nie doczeka się upragnionego spadku! Ale Sofii podobne myśli nie przychodziły widocznie do głowy; z błogą miną zaciągała się skrętem, potęgując stan narkotycznej nirwany.

Wanda, była żona Aleksego Nikitina. A raczej nie była, tylko porzucona. Aleksy nie rozwiódł się z nią, lecz po prostu odszedł do innej baby. Córce i małżonce zostawił wspaniałą willę, samochód, nie dał jedynie pieniędzy.

– Wystarczy wam to, co macie – oświadczył kategorycznie.

Rozpieszczone, nieprzywykłe czegokolwiek sobie odmawiać, najpierw się załamały, a potem Wandzie przyszedł do głowy całkiem niegłupi pomysł.

W olbrzymiej dwupiętrowej budowli mieszkają w sumie trzy osoby, nie licząc oczywiście służącej. Sama Wanda, jej córka z pierwszego małżeństwa Julia i siedmioletnia Ritka, owoc małżeńskiego pożycia Nikitinów. Miejsca w willi jest mnóstwo, pokoje trudno zliczyć, korytarze i łazienki tak samo...

Zaradna Wanda wiedziała, że licznym żonom „nowych Rosjan”, arcybogatych ludzi, doskwiera brak dwóch rzeczy – zainteresowania małżonków i, jakkolwiek dziwnie by to brzmiało, pieniędzy. Najczęściej są to młode dziewczyny, rozmaite „misski”, modelki, aktoreczki, które wyszły za mąż za worek dolarów. Głuptaski myślały, że wreszcie będą mogły pozwolić sobie na wszystko i często srodze się rozczarowywały. Mężowie kupowali im biżuterię, auta, futra, umieszczali w pięknych domach, nie dawali tylko upragnionej gotówki. Najpewniej słusznie uważali, że rozrzutne idiotki roztrwonią setki tysięcy na głupstwa.

Ślicznotki jeździły sobie zatem eleganckimi autami, w szalowych strojach, ale bez grosza w luksusowych torebkach. Przy tym z reguły mężowie wracali z pracy głęboką nocą i zwalali się jak wory na łóżko, ściskając w rękach telefony komórkowe. Seks z ukochaną żoną prawie zawsze uważali za niepotrzebny ambaras, coś w rodzaju obowiązkowych ćwiczeń gimnastycznych. Naturalnie, nie przynosiło to małżonkom żadnej radości ani satysfakcji...

Biedne żony próbowały zabijać dłużący się czas, jak umiały: jedna szukała pociechy w butelce, druga fundowała sobie kochanków... Ale czasem w niektórych domach pojawiała się Wanda, bogato ubrana pani w nieokreślonym wieku. Roztaczając upojną woń francuskich perfum, madame Nikitin proponowała absolutnie proste wyjście z beznadziejnej, zdawałoby się, sytuacji. Wariujące z nudów dziewczyny zapraszała do siebie. W tym samym czasie, zupełnie przypadkowo, przyjeżdżali tam z wizytą mężczyźni, wszyscy co do jednego bogaci i na stanowiskach. Miła rozmowa w przytulnym, zaciemnionym pokoju, znakomite trunki, przyciszona muzyka... Wszystko kończyło się na wygodnym, szerokim łóżku w sąsiednim pomieszczeniu. W finale dziewczyna dostawała niedużą kopertę z szeleszczącymi zielonymi papierkami. Sumy, leżącej w środku, z reguły nie starczało na długo, tak że znowu trzeba było jechać do willi Nikitinej.

Cała akcja przebiegała w absolutnej tajemnicy. Służba dobierana była spośród głuchoniemych. Dlatego pokojówki nic nie mówiły, wszystko wyjaśniając gestami. Ochrona przeważnie też milczała. Mężczyzn zapraszano wyłącznie z prowincji, żeby po Moskwie nie rozeszły się plotki. Klientów nie brakowało, stołeczny gród często odwiedzali merowie wielkich miast, gubernatorzy i ich zastępcy, wyżsi dowódcy wojskowi... Wielu zapisywało numer komórki Wandy, a potem przekazywało go przyjaciołom i kolegom. Ale Wanda bynajmniej nie zamierzała przyjmować wszystkich. Wejście do willi otwarte było tylko dla najbardziej sprawdzonych, bogatych i wysoko postawionych.

Niewierne żony nigdy nie spotykały się nawzajem, „seanse” odbywały się ściśle według planu, jak w łaźni. Kobiety trzymały język za zębami, wołały po cichu zdobywać zaskórniaki. Przed zamążpójściem niejedna wiodła życie co najmniej swobodne i teraz nie miała wyrzutów sumienia.

– A pani skąd to wszystko wie? – zainteresowałam się.

– Przecież ona mnie do siebie zapraszała – wyjaśniła Sonia. – Długo zapewniała, że nie ma się czego bać, skoro, mówiła, przez tyle lat ani jeden z mężów się nie dowiedział, ale ja mimo to odmówiłam. Siergiej daje mi pieniędzy, ile tylko zechcę, tak że, dzięki Bogu, nie muszę na nie zarabiać ciałem. Wolę już sama sobie kupić kochanka, to prostsze...

Sofia Nikołajewna zdecydowanie nie chciała zostać call-girl. Ale kiedy

odwiedziła Maję, postanowiła zaprotegować przyjaciółkę i zadzwoniła do Wandy. A że tej akurat grypa zmoła pokojówkę, wzięto na jeden wieczór Kołosową.

Sonia Rogowa znowu zaczęła niespokojnie poruszać rękami, chwyciła torebkę i pobiegła do toalety. Bez apetytu dłubałam widelcem w sałatce. Ciekawa rzecz! Aleksego Nikitina znaleziono martwego w bagażniku mojego auta. Basile, który przyjechał do niego w jakichś sprawach zawodowych, zniknął. A paszport Korzinkina leżał w torebce jakiejś pindy, uszczęśliwiającej prowincjonalnego dygnitarza. Drobiazg, powstaje dowiedzieć się, czyja to była torebka, i wypytać gospodynię.

Rozdział 9

Do domu leciałam niemal na skrzydłach, chociaż zmęczyłam się, jakbym pracowała przy wyrębie lasu.

Sonia, która kolejny raz wróciła z toalety, wcale nie dociekała, dlaczego „siostra Gawriuszyna” musi dostać się do domu Wandy. Zadzwoiła i z punktu zaprotegowała mnie do Nikitinych. Jak się okazało, dla siedmioletniej Rity poszukiwano guwernantki ze znajomością języka obcego; mogę więc spróbować szczęścia w roli wychowawczynie.

– Z pewnością potrzebne są referencje – powiedziałam w zadumie, zastanawiając się, którą z przyjaciółek można poprosić o podobną przysługę.

– Ritka to po prostu katastrofa – spokojnie podsumowała Sonia, chowając telefon. – Przedtem, istotnie, omal nie żądano od wszystkich rodowodu do dziesiątego pokolenia wstecz; zatrudniano wychowawczynie tylko przez agencję, z dziesięcioma referencjami, specjalistycznym wykształceniem, zaświadczeniem lekarskim... Ale żadna niańka nie wytrzymała tam dłużej niż tydzień... Mogą im obiecywać złote góry, tak czy owak wszystkie uciekają przerażone.

– Dlaczego?

– Sama zobaczysz – powiedziała Sonia zagadkowo. – Tak że teraz zgodzą się na każdą kandydatkę, żeby tylko trochę z dziewczuchą posiedziała. Przecież ona nie chodzi do szkoły.

– Dlaczego?

Sonia zachichotała:

– Już z czterech szkół ją wyrzucili, zresztą co tam gadać, od razu się zorientujesz. Czekają na ciebie jutro przed pierwszą. Wcześniej nie przyjeżdżaj, tam dopiero w południe jada się śniadanie.

Sofia wypaliła jeszcze jednego skręta, potem w znakomitym nastroju siadła za kierownicę mercedesa i rzuciła łaskawie:

– No, dobra, jak będziesz czegoś potrzebowała, to dzwoń, nie krępuj się.

Pisnęły hamulce i wspaniałe auto zniknęło za zakrętem. Wsiadłam do volva. Cóż,

baba z tej Sofii całkiem do rzeczy, tyle że narkomanka. Długo pewnie w tym futrze z lamparta nie pochodzi. Bankierowi szybko znudzi się jej nader swobodny tryb życia. Bogaty Siergiej Rogow jest, jak sędzę, świetnie poinformowany o rozrywkach swojej małżonki. Potrzebna mu jest tylko do celów reprezentacyjnych, dlatego ją trzyma, póki nie znajdzie nowej...

Przez następne dwie godziny jak głupia biegałam po wszelkich sklepach i butikach, jakie tylko sprzedawały wyroby ze skóry. Ekspedienci oglądali torebkę i kiwali głowami. Takiego towaru nigdy nie mieli. Po którymś z rzędu niepowodzeniu zapaliłam papierosa i postarałam się zebrać myśli. Może torebka przyjechała tu z zagranicy? W każdym razie nadzieje na to, że dama, która ową rzecz kupiła, jest stałą klientką jakiegoś „shopu”, spełzły na niczym. To znaczy, że trzeba będzie jednak pojechać do Nikitinów.

Ranek upłynął mi na męczących rozmyślaniach: jak powinna wyglądać guwernantka? Do tej pory nie znałam żadnej przedstawicielki tego zawodu. A poza tym – przecież już raz przyjechałam do Nikitinów i rozmawiałam ze starszą córką Wandy. Nie przedstawiłyśmy się wówczas sobie, ale dziewczyna mogła mnie zapamiętać; powinnam więc maksymalnie zmienić wygląd zewnętrzny.

Po długich wahaniach wybrałam kostium od Chanel. Rzecz droga, ale uszyta bardzo prosto, absolutna klasyka – wąska spódnica, za kolana oraz zakiet z kościanymi guzikami. Pod spód włożyłam skromną bluzkę i byłam bardzo zadowolona z efektu. Ot, pani w nieokreślonym wieku.

Teraz zajmijmy się twarzą, ale przedtem trzeba zajrzeć do Kici – ta ma pełno różnych cudów...

Olga pojechała wczesnym rankiem do instytutu, Arkady zaś był oczywiście w pracy; do ich łazienki weszłam więc, nie krępując się zbytnio. Półeczki jak zawsze ugięły się pod ciężarem flakoników, buteleczek, słoików... Zaczęłam przeglądać. Tipy, peruki, korektory maskujące defekty skóry, pudry we wszelkich odcieniach, samoopalacz, sztuczne rzęsy, kolorowe soczewki, staniki powiększające biust; majteczki obciskające pupę; farba do włosów, cienie do powiek; różne żele...

Nie, z pewnością mężczyźni słusznie robią, nie chodząc z kobietami do sklepów, bo wszystkie ich iluzje od razu by prysły. Paznokcie, włosy, a nawet kolor oczu mogą okazać się w oryginale całkiem inne... Przypomniałam sobie, jak wiele lat temu mały Kiesza gościł na daczce u Polańskich. Kolejna żona Maksa przed chwilą skończyła pranie i rozwiesiła swoją piękną bieliznę. Synek dotknął palcem koronkowego biustonosza z prelonowymi wkładkami i spytał naiwnie:

- Dlaczego ciocia Żenia ma takie dziwne staniki?
- Żeby piersi wydawały się większe.
- To bardzo brzydko! – oburzył się uczciwy malec. – A czy Maks wie, że żona go

oszukuje?

Przypomniało mi się to, śmiałam się więc, przymierzając ciemnokasztanową peruczkę, która wyglądała jak lekko potargany pęczek słomy. Moja twarz momentalnie zrobiła się okrągła. Potem przykleiłam sobie soczewki koloru czekolady i prawie nie poznałam się w lustrze. Po prostu wspaniale, teraz wysmarujemy się ciemnym make-upem, wybierzemy perłową pomadkę... Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Wesóło pogwizdując, zeszłam do holu, gdzie natknęłam się na Bundy'ego i Snapa, spokojnie siedzących w fotelach.

Zaczęłam głaskać ich jedwabiste mordki, ale wówczas drzwi się otwarły i wszedł Kiesza. Kiedy mnie zobaczył, powiedział odruchowo:

– Niech się pani nie boi, pieski nie gryzą; szczekają tylko, kiedy widzą nieznajomych. Pani do kogo?

Milczałam speszona. A to dopiero, okazuje się, że robił coś w garażu...

Arkady powtórzył niecierpliwie:

– Kim pani jest?

– Nie poznałeś mnie?

Syn aż podskoczył.

– Matka? Cóż to za idiotyczna maskarada?

– Cóż, postanowiłam odrobinę zmienić image – mruknęłam, szybko wychodząc na podwórze. – Wybacz, lecę do pracy, już jestem spóźniona.

– Do jakiej pracy! – ryknął za moimi plecami Kiesza, ale ja już wpadłam do garażu i po chwili zapalałam silnik.

Rzeczywiście się śpieszyłam, bo przed wizytą u Nikitinów trzeba było jeszcze odwiedzić sklep „Gwarancja bezpieczeństwa”.

Miły ekspedient, z wyglądu – rówieśnik Kieszy, spokojnie wysłuchał, o co chodzi, i absolutnie niezdziwiony, upewnił się:

– Pani chce śledzić męża?

Ochoczo pokiwałam głową. Przez następne pół godziny chłopak pokazywał mi najróżniejsze urządzenia. Czego tam nie było! Aparaty fotograficzne, a nawet kamery wideo w kształcie guzików, zegarków, pierścionków i papierośnic... Różne „pluskwy”, zarówno nagrywające rozmowy, jak przekazujące je na dosyć dużą odległość... Szpieg czy szantażysta mają dzisiaj robotę ułatwioną wprost nieprzyzwoicie. Postawi się w pokoju absolutnie niewinnie wyglądający wazonik, a następnego dnia zabiera nagrany taśmę. Pozostaje drobiazg – niepostrzeżenie dostać się do cudzego mieszkania...

Podwórze Nikitinów wciąż cieszyło oko nienaturalną schludnością, a w drzwiach znowu pojawiła się szczuplutka dziewczynka. W jej głosie dźwięczała jednak pogarda: tak mówi człowiek, którego wszyscy zwykli słuchać bez szemrania. W

dotadku panna posiadała umiejętność, którą od dawna wykorzystują sprytni przywódcy: mówiła ledwie słyszalnym szeptem, tak że trzeba było zamienić się w słuch, żeby zrozumieć, o co jej chodzi.

– Przysłała panią Sofia Rogowa?

– Tak.

– W porządku – skwitowała panna i przedstawiła się: – Julia Matwiejewna.

Według mnie, za smarkata była na to, by zwracać się do niej w ten sposób, ale takich rzeczy „pani” się nie mówi. Odpowiedziałam:

– Lubow Pawłowna Bodrowa.

– Świetnie, Luboczko, niech pani słucha. – Tym razem bezczelna dziewczucha opuściła moje imię odojcowskie, dając do zrozumienia, kto tu jest kim. – Mam nadzieję, że przepracuje pani u nas przynajmniej miesiąc. Rita jest bardzo rozpuszczona, należy okazać wobec niej trochę surowości. A teraz proszę iść na piętro, dziewczynka jest u siebie w pokoju. Lena pani pokaże.

Na wezwanie zjawiła się młoda pokojówka w granatowej sukience i poprowadziła mnie na górę. Po drodze westchnęła ze współczuciem i szepnęła:

– Jak już bardzo pani dokuczy, to niech ją pani zamknie w komórce na jakiś czas...

– Rodzice pewnie nie pochwalą mnie za takie metody wychowawcze...

– Wandy teraz nie ma, a Julia jej nie cierpi. – Lena wzruszyła ramionami. – Rita boi się tylko siły. Dzięki Bogu, nie mam z nią stałej styczności, ale to, co widzę, zupełnie mi wystarczy.

Otworzyła drzwi i głośno zaanonsowała:

– Margarito Aleksiejewna, przyszła nowa guwernantka.

– Jeszcze jest wcześnie. Śpię! – dobiegło z ciemnego pokoju. – Niech poczeka w kuchni.

Lena spojrzała na mnie wyczekująco, ja zaś weszłam do środka. Moje oczy nie od razu przywykły do półmroku, ale stopniowo zaczęłam dostrzegać umeblowanie. W olbrzymim, czterdziestometrowym pomieszczeniu wszędzie poniewierały się zabawki. Przy jednym z okien stało wielkie biurko z komputerem, w prawym kącie telewizor i magnetowid, w lewym – wieża stereo. Jedna ze ścian była całkowicie zastawiona szafami, oczywiście, robionymi na zamówienie; pod drugą zobaczyłam łóżko niesamowitych rozmiarów, nad nim – różowy baldachim. Oprócz tego – pięć foteli, dwie kanapy, krzesła. Na podłodze leżał puszysty dywan, okna zasłonięte były ciężkimi portierami. Podeszłam do jednego z nich i odciągnęłam zasłonę. Do pokoju dziecięcego przeniknęło szare listopadowe światło. Kupa kołder niemrawo się poruszyła, a spod niej dobiegł kapryśny głosik:

– Do diabła! Mówiłam, że śpię. Wynoś się!

Nie zwracając uwagi na te skandaliczne odzywki, wyrzałam przez okno. Dom miał kształt greckiej litery „pi”. Dwa skrzydła i środkowa część plus idiotyczna wieżyczka. Pokoi, pokoików i ciemnych kątów w budynku jest na pewno do licha i trochę. Muszę znaleźć pomieszczenie, w którym odbywają się tajne schadzki, i zostawić tam zamaskowany aparat; tylko tak można zidentyfikować właścicielkę torebki...

– Ej, ty! – rozległ się za moimi plecami zduszony złością dziecięcy pisk. – Czego stoisz, chodź tutaj!

Odróciłam się. Rita siedziała na łóżku, goła, ze spuszczone nogami. Dziewczynka była nieco zbyt tęga jak na swoje siedem lat, ale buzię miała ładniutką i włosy też – gęste, kręcone.

– No, dalej! – krzyknęła wychowanka. – Ubieraj mnie! Myślisz, że będę tak cały dzień siedziała?

– To już od ciebie zależy – odpowiedziałam spokojnie.

– Dostyc tego! – wrzeszczała dziewczynka – Przynies bieliznę...

– Gdzie się u was pije kawę? – spytałam.

– Ty w kuchni, a ja w jadalni – nieoczekiwanie spokojnie poinformowała Rita.

– Pójdę wypić coś gorącego – oświadczyłam.

– Co? – zdumiała się grymaśnica. – Jak śmiesz zostawiać mnie tu gołą, przecież zmarznę!

– To wleż pod kołdrę – poradziłam i ruszyłam w stronę drzwi.

Rita krzyknęła ze złości i rzuciła we mnie poduszką. Dość ciężki, nabity puchem wałek nie doleciał do celu i upadł na środku pokoju. Troskliwie go podniosłam, podziwiając przy okazji jakość jedwabnej bielizny pościelowej, i mocno odrzuciłam z powrotem. Poduszka walnęła okropne dziewczynisko prosto w łeb. Zaskoczona Rita upadła na wznak.

Dobrą chwilę błądziłam po korytarzach, ale na szczęście znalazłam kuchnię. Przy dużym stole siedziały dwie kobiety i spokojnie piły herbatę. Na widok nieproszonego gościa nastroszyły się; od razu je uspokoiłam.

– Poznajmy się. Jestem Luba, nowa guwernantka.

– Możemy pani tylko współczuć – westchnęła starsza i grubsza. – Proszę siadać, jestem Nastia, kucharka, a to Wiera, pokojówka. Herbatki?

Zgodziłam się ochoczo, a życzliwe panie zaczęły wtajemniczać nowicjuszkę w sprawy domu Nikitinów. Jest podzielony na dwie połowy. Jedna należy do Wandy i Rity, druga do Julii. Mają osobną służbę. Wanda zatrudnia zwyczajne kobiety, Julia – głuchonieme.

– Można się ich przestraszyć – zwierzała się Wiera. – Chodzą jak cienie, niech pani nie będzie zaskoczona, jak pani taką spotka. Zresztą one tu nie zagląдают, a na

drugą stronę ochrona nie puszcza.

– Dlaczego? – zdumiała się.

– Chodzi o kolekcję – poważnie wyjaśniła Nastia. – Ojciec zostawił Juli zbiór starych statuetek; po prostu bezcennych, dlatego boją się, że ktoś je ukradnie. My przecież jesteśmy dochodzące, możemy coś zabrać i zniknąć...

– Pewnie trudno w takim domu pracować...

– Szkoda gadać! – Wiera machnęła ręką. – Dobre jest tylko jedno: że punkt szósta wszystkie rozchodzimy się do domów; ani razu nas nie zatrzymano dłużej. A płacą świetnie, jasna sprawa. Za taką forszę człowiek zgodzi się na wszystko, tylko niańki nie wytrzymują. Takie z Rity ziółko!

Nie zdążyła skończyć, gdy do kuchni wpadła jak bomba moja podopieczna. Mimo wszystko wołała się ubrać samodzielnie niż nudzić się w łóżku.

– Jak śmiałaś?! – zapiszczała od progu. – Płacą ci, żebyś robiła wszystko, co ci każę!

– Ładny macie ogród – zwróciłam się do Nasti, ignorując te kwiki.

– A latem jest po prostu cudowny – odpowiedziała zapytana.

Rozwścieczona do reszty Rita podbiegła i szarpnęła mnie za rękę. Filizanka z herbatą się przewróciła. Wzięłam ze stołu butelkę z wodą mineralną, powoli odkręciłam białą zakrętkę i najspokojniej wylałam zawartość na głowę małej histeryczki. Zaskoczona Rita wrzasnęła, a Nastia z Wiera odwróciły do okna zadowolone twarze.

– Zaraz pójde do Juli i każę, żeby cię wyrzucili! – Mokra Ritka uderzyła w bek.

– Proszę bardzo, tylko szybko, nie zwlekaj ani chwili – zachęciłam ją.

Dziewczynka biegła już do drzwi, ale zatrzymała się i spytała:

– Nie boisz się?

– Przeciwnie, tylko się ucieszę!

– Ciekawe, dlaczego? – zapragnął się dowiedzieć bezczelny bachor.

– To bardzo proste – wyjaśniłam. – Zapłacono mi za trzy miesiące z góry, jeśli więc stąd odejdę, to tylko na tym wygram!

Mała łajdaczka zatrzymała się i potrząsając mokrymi włosami, lamentowała:

– Mogę się przeziebić, bluzka jest mokra...

– To idź się przebrać.

– Chcę jeść!

– Więc siadaj do stołu i poproś Nastię, żeby ci naląła herbaty.

– Co to ja jestem, służąca, żeby jeść w kuchni? Mnie się podaje w jadalni.

– Świetnie, idź tam i poproś o śniadanie.

– Ja nigdy nie proszę, tylko rozkazuję, a wy za to dostajecie pieniądze.

– Ile płacisz Nasti miesięcznie?

– Nie wiem – lekko speszyła się Rita. – Mama daje... Pewnie dużo, bo my nic nie kupujemy tanio.

– A więc to mama może rozkazywać, a ty musisz prosić!

– Cha, cha, cha! Nic nie muszę, sama sobie wezmę...

Pobiegła do olbrzymiej lodówki, wyjęła puszkę violi, a potem wzięła długą bułkę i podała mi nóż.

– Ukrój!

– Sama ukrój!

– Nie umiem.

– To siedź głodna albo grzecznie poproś.

– Idź do cholery – oświadczyło to miłe stworzenie i niezgrabnie trzymając nóż, zaczęło masakrować białą bułkę.

Mięsz uginał się, ale świeże pieczywo nie poddawało się łatwo. Mała niezgraba naciskała coraz mocniej, aż stało się to, co się musiało stać: nóż się ześlizgnął i skaleczył dziewczynkę w palec. W kuchni rozległo się dzikie wycie.

– Ajaajaaj! – krzyczała Rita. – Jak boliii...

Odczekałam, aż najgłośniejsze wrzaski ucichną, i poprosiłam:

– Potrząśnij ręką.

Dziewczynka osłupiała.

– Po co?

– Bądź tak dobra i potrząśnij.

Rita posłusznie pomachała dłonią.

– No i co?

– Jeśli palec zaraz odleci, to gorzej, ale jeśli nie – to głupstwo, zajodynujemy go i zapomnimy o nim.

– Nie chcę jodyny, będzie szczypać! – Rita tupała nogami.

– Obejdzie się – zgodziłam się od razu i spokojnie nalałam sobie jeszcze jedną filiżankę znakomitej herbaty.

Nastia i Wiera z zapartym tchem śledziły przebieg batalii.

– Nie będziesz mnie zmuszać? – nadspodziewanie łagodnie spytała Rita.

– Nie. Twój palec – ty decydujesz. Jak chcesz, żeby bolał i ropiał – proszę bardzo, nie mam zamiaru się z tobą kłócić.

I dalej popijałyśmy wszystkie trzy aromatyczny napój. Ritka ucichła. Przyzwyczała się, że niańki i guwernantki, bojąc się stracić miejsce, na wyścigi spełniają wszystkie jej zachcianki, moje zachowanie było więc dla niej zupełną nowością.

W końcu burknęła:

– Pewnie trzeba zajodynować.

Udałam, że nie słyszę.

– Ogłuchłaś?! – zapiszczała znów wychowanka. – Natychmiast zajodynuj!

Siedziałam nieruchomo jak głaz.

– Nie słyszysz?

– Nigdy nie słyszę, kiedy ktoś nie mówi „proszę”.

Obrażona Rita zaczęła posapywać. W jej kapryśnej łepetynce coś wreszcie zaskoczyło, wykrztusiła więc:

– Dobrze, jak chcesz, to proszę, zajodynuj mi skaleczenie.

To było pierwsze zwycięstwo; następne przyszły mi łatwiej.

Przed obiadem wyszliśmy do ogrodu i pospacerowały wokół domu. Do Juli należało lewe skrzydło, a w jego tylnej części były drzwi. Asfaltowa dróżka wiodła wprost od nich do niedużej furtki.

Podeszłam do ogrodzenia. Po drugiej stronie zobaczyłam wygodne miejsce do parkowania. Tak, niezłe wymyślone. „Gejsze” i goście mogą całkiem niezauważeni wchodzić do budynku.

– Chodźmy! – Rita szarpnęła mnie za rękę. – Julia krzyczy, kiedy się tu stoi.

– Dlaczego?

– Ona jest nienormalna. Ciągłe się przed kimś chowa, dookoła poustawiała ochroniarzy. Nie ma jej w domu całymi dniami, a oni pilnują...

– Pewnie nikogo do niej nie dopuszczają.

– Mnie zawsze – dumnie oświadczyła Rita. – Ale tylko do szóstej.

Uśmiechnęłam się.

– A ja myślałam, że tobie niczego nie można zabronić.

– Nikt mi nie zabrania – wyjaśniła Rita. – Po prostu o szóstej zawożą mnie na zajęcia do centrum psychologii. A do domu wracam dopiero o jedenastej. Julka ma wieczorami gości. Ale tam jest nudno, ciągle rozmawiają o polityce. Chcesz, pokażę ci jej połowę?

– A nie nakręcą na nas?

– Mama jest w Karlowych Warach, Julka gdzieś pojechała, teraz ja tu jestem panią – dumnie odparła Rita.

Wymacałam w kieszeni figurkę jamnika i powiedziałam:

– Idziemy.

Rita podeszła do tylnych drzwi i zadzwoniła. Dzwonka nie usłyszałam, ale otwarto nam natychmiast.

Rozdział 10

Do domu wróciłam dopiero przed ósmą. Punktualnie o szóstej Ritę zawieziono do centrum psychologii, a guwernantce kazano iść do domu. Wyszłam z bramy i skierowałam się w stronę szosy. Po trzystu metrach skręciłam za róg, zamierzając obserwować tylną furtkę, ale w porę zauważyłam schowaną w gałęziach drzewa kamerę. Musiałam udać, że po prostu chcę złapać taksówkę.

Volvo dla konspiracji zostawiłam w domu, w garażu.

To nic, pocieszałam się. Za to jak sprytnie ustawiłam aparat fotograficzny!

Co prawda, to prawda. Ritka oprowadziła mnie po wszystkich pokojach należących do starszej siostry. Było ich w rzeczywistości nie tak dużo – pięć i kuchnia.

Jula zajmowała trzy. Mnie najbardziej interesowały pomieszczenia dla gości – salon i pokój z olbrzymim dwuosobowym łóżkiem oraz łazienką.

– Na pewno u Juli Matwiejewny często bywają goście? – spytałam Rity.

– Nie wiem. – Dziewczynka wzruszyła ramionami. – Tak naprawdę ona mnie nie cierpi, a ja jej. Mamy tylko wspólną mamę, a ojców różnych. Mój, Aleksy Iwanowicz, jest bogaty, to on wszystko kupił i zbudował, a ojciec Julki to gołodupiec, bez przerwy wyciąga pieniądze od Wandy, ciągle się tylko szlaja...

– A gdzie jest twój tata? – zadałam prowokacyjne pytanie, przyglądając się efektownym narzutom na łóżku w sypialni „dla gości”.

– Wspólnicy go zabili – wyjaśniło dziecko ze spokojem – ale ojciec i tak zdążył schować pieniądze; za nie żyjemy.

Zadziwiająca bezduszość jak na siedmioletnią dziewczynkę, pomyślałam, niepostrzeżenie stawiając figurkę jamnika na komodzie. Było już tam podobnych bibelotów – pastuszek i pasterka, kilka porcelanowych krów i kóz, jamnik pasował tu jak ulał. Nie udało mi się tylko zajrzeć do wieżyczki.

– Co jest tam? – spytałam, wskazując palcem na nieduże drzwi.

– Nic – odpowiedziała Ritka i szarpnęła klamkę. – Julka znowu zamknęła, ona jest nienormalna, ciągle kogoś się boi... tam jest taki mały pokoik, trzyma się w nim

pościel, nic ciekawego. Nawet dwie osoby się w nim nie zmieszczą.

Rozumiem, pomyślałam, przypomniał mi się, jak ktoś machał z okna białą szmatką, służąca trzepała powłoczkę.

– A gdzie jest stawna kolekcja Juli?

Rita zachichotała.

– Żadnej kolekcji nie ma. Juleczka jest psychiczna, nienormalna. Nikogo ze służby tutaj nie wpuszcza, tylko swoich, głuchoniemych. To żeby pokojówki nie plotkowały, jaka Julka jest głupia, mama wymyśliła, że trzymamy tam kolekcję. No i teraz wszyscy myślą: nie wpuszczają nikogo, bo się boją złodziei.

W domu znowu zastałam całą hałastę; najwidoczniej Manusia postanowiła nauczyć matematyki cały college. Dzisiaj jednak te miłe, dobrze wychowane dzieciaki tylko mnie cieszyły. Ciekawe, skąd biorą się takie okazy jak Rita? Ani Marusia, ani Arkady nigdy nie odważyliby się tak rozmawiać z ludźmi. Zresztą nie muszę się długo zajmować tą rozwydrzoną dziewczynką, potrzebne mi są tylko zdjęcia...

Ale kliszę udało się odzyskać dopiero po trzech dniach. Łamałam sobie głowę, myśląc, jak znowu dostać się do pokoju „dla gości”. W końcu zaproponowałam Ricie:

– Zabawmy się w coś ciekawego. Ja ci mówię, jak wygląda jakiś przedmiot, a ty biegasz po domu i go szukasz.

– Dobra! – radośnie zapiszczała Rita.

Pomimo mnóstwa zabawek, komputera i innych rzeczy nie umiała się niczym zająć i umierała z nudów, zaczepiając pokojówki i ochroniarzy.

– Wielka, czerwona w białe groszki, stoi na kuchni!

Ritka pobiegła i dosyć szybko przydźwigała puszkę na mąkę.

– Świetnie, teraz płaskie, szare, jest w jadalni!

Dziewczynka z wielkim hałasem rzuciła się na dół i po pięciu minutach wróciła z tacą.

– Dobrze – pochwaliłam ją. – Widzę, że to zadanie było zbyt łatwe, teraz słuchaj uważnie, bo następne będzie trudniejsze. W połowie należącej do Juli, w jednym z pokoiów dla gości, jest rude, małe, ma cztery nogi i obrozę na szyi!

Biedne, niepodważające podstępów dziecko rzuciło się pędem do drugiego skrzydła. Tym razem dziewczynki nie było dosyć długo. Po pół godzinie zaczęłam się niepokoić, że może ochrona znalazła aparat... Wtem usłyszałam radosny śmiech, a do pokoju wpadła moja rozgorączkowana podopieczna, ściskając jamnika w małej piąstce.

– Cudownie – powiedziałam. – Teraz trzeba odnieść rzeczy na miejsce.

– E tam! – Ritka machnęła ręką lekceważąco. – A od czego jest pokojówka?

Mimo wszystko udało mi się ją przekonać, żeby odniosła przynajmniej puszkę na

mąkę. Ja tymczasem szybko schowałam przyniesioną figurkę do torebki, a na jej miejsce podsunęłam dokładnie taką samą, kupioną w najzwyklejszym sklepie. Pozostawało tylko doczekać do wieczora.

Czas, jak na złość, okropnie się dłużył, tak że miałam ochotę przesunąć do przodu wskazówki zegara; zdawało się, że stanęły w miejscu.

W końcu przez okno usłyszałam klakson, to szofer wzywał Ritę. Ciesząc się w duchu z końca dnia pracy, sprowadziłam dziewczynkę na dół. Ta niespodziewanie zwróciła się do mnie z propozycją:

– Wsiadaj, podwożę cię, tu nie złapiesz taksówki i będziesz zasuwać pięć kilometrów piechotą.

Zdziwiona taką troską, weszłam do tapicerowanego skórą samochodu i wygodnie dojechałam do metra.

Sprzedawca ze sklepu „Gwarancja bezpieczeństwa” powiedział, że kliszę mogę wywołać u nich. Wziął jamnika i obiecał, że zdjęcia będą gotowe za godzinę. Niecierpliwiłam się tak bardzo, że nigdzie nie poszłam; przesiadziałam cały ten czas na fotelu w laboratorium. W końcu dostałam do rąk grubą kopertę. Z trudem powstrzymując ciekawość, popędziłam do Łożkina.

Zrobić u nas coś po kryjomu po prostu się nie da. Nie zdażyłam po cichutku uchylić drzwi, jak z ogłuszającym szczekaniem wypadł Bundy.

– Ciszej, ciszej, kochany – szepnęłam, rzucając się ku schodom.

Ten ucichł, rozzłościł się za to rottweiler.

– Cicho bądź, Snap! – Szybko ściągnęłam peruczkę.

Pies, który pobiegł za mną do sypialni, z rozdziawionym pyskiem obserwował moje poczynania. Umyłam się, rzuciłam na łóżko i rozłożyłam zdjęcia przed sobą. Było ich w sumie dwadzieścia cztery, z czego na ośmiu widniał pusty pokój. Czarodziejski aparat miał jeden dosyć istotny mankament. Pracował zgodnie z zadanym programem, nie dbając o to, co znajduje się przed obiektywem...

Są takie specjalne budziki dla karmiących matek. Nastawia się je tylko raz na dobę, a on dzwoni co trzy godziny, przypominając o porze karmienia. Aparat działał na takiej właśnie zasadzie. Można było wybrać częstotliwość, nastawiłam więc największą. Raz na godzinę jamnik lekko mrugał okiem, utrwalając wszystko, co widzi. Osiem razy mrugnął bez pożytku, za to reszta... Zdjęcia po prostu erotyczne! Niekiedy widać tylko jakieś splecione ciała, ale dziesięć fotografii miało nieocenioną wartość. Na jednej, ku swemu ogromnemu zdziwieniu, poznałam członka Dumy Zaokskiego, ustawicznie lamentującego nad postępującą demoralizacją społeczeństwa. Tym razem był bez marynarki i krawata, zresztą, skoro już mowa o ubraniu, nie miał na sobie żadnego. Na kolanach trzymał młodą, również nagą dziewczynę o wyjątkowo ładnej twarzy. Uśmiechała się miło wprost do obiektywu, a

kolorowa klisza znakomicie utrwaliła olbrzymie zielone oczy, kasztanowe włosy, pięknie zarysowane usta i uroczy dołek w prawym policzku. Idealnie gładka szyja i piersi świadczyły, że ślicznotka ma nie więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Trzydziestolatka nie miałyby już tak świeżej skóry, nawet gdyby od rana do nocy smarowała się najdroższymi kremami. Ów delikatny blask mają tylko ciała bardzo młodych dziewcząt. Nawet Kicia już go utraciła.

Następna pani była o wiele starsza, a o jej partnerze niewiele mogłam powiedzieć – korpulentny, łysawy, o krzywych włochatych nogach. Zresztą włosy porastały całe utuczone cielsko, aż musiałam na chwilę odwrócić wzrok. Wyglądał okropnie, jak pokraka, i był bez wątpienia „narodowości kaukaskiej”. Pani zaś była blondynką, już lekko więdnącą, ale zachowała olśniewającą figurę. Najpewniej nie obeszło się bez liftingu i drogiej kosmetyczki. Wiek w takim wypadku trudno określić – może trzydzieści, a może bliżej pięćdziesięciu. Facet palił papierosa, siedząc na brzegu łóżka, partnerka zaś wyciągnęła się na kołdrze, demonstrując nienaganny kształt długich nóg...

Przy widoku trzeciej „gejszy” omal nie spadłam z łóżka. Na wpół obrócona, kompletnie ubrana, nawet w eleganckim czerwonym kapeluszu, stała przede mną... Lola, kochanka zabitego Aleksego Nikitina.

Nie ma co mówić, urocza rodzinka! Mąż odchodzi, a żona nie traci głowy, tylko zatrudnia swoją następczynię jako damę do towarzystwa.

Jeszcze raz przerzuciłam zdjęcia i postanowiłam: jutro odwiedzę Maję Kołosową. Pokażę jej fotografie i spytam, czy przypadkiem którąś z tych kobiet widziała.

Listopad rozhulał się nie na żarty. Kiedy koło jedenastej przed południem zaparkowałam przed domem Mai Kołosowej, na ulicy panowały ciemności, prawie jak w nocy. Niebo nad Moskwą było szare, niskie; z mrocznych chmur sypał się drobny śnieg.

Nie zdążyłam wygramolić się z samochodu, jak zadzwoniła komórka.

– Daszeńko – płakała do słuchawki Suzette, która tym razem nie wiadomo dlaczego mówiła po rosyjsku. – Boże, co za nieszczęście!

– Co się stało? – przestraszyłam się i od razu przypomniałam sobie, że paszport Korzinkina mam w torebce.

– Basile zwariował! – szlochała Suzie. – Po prostu kompletnie zwariował. Słyszałam, oczywiście, że facetom koło pięćdziesiątki czasami odbija, ale myślałam, że jemu coś takiego się nie zdarzy!

– Mów po ludzku, o co chodzi – rozzłościłam się.

Pochlipując i pociągając nosem, Suzette zaczęła opowiadać nowiny. Dzisiaj wczesnym rankiem przyszedł list z Moskwy. Korzinkin bardzo uprzejmie informował żonę, że już jej nie kocha i zamierza jakiś czas zostać w Rosji. Spotkał tutaj inną

kobietę, młodą i piękną. Za kilka miesięcy wróci do Paryża i zajmie się sprawą rozwodu, a na razie prosi, żeby się nie denerwowała i nie szukała go. Mieszka u damy swego serca i jest najzupełniej szczęśliwy.

Suzette była po prostu nieprzytomna z rozpaczy.

– Boże, tyle lat razem, no powiedz, co też mu strzeliło do głowy?

Pomyślałam, że strzeliło mu nie do głowy, ale o wiele niżej. Słyszałam od swoich przyjaciółek, jakie numery wykręcają całkiem przyzwoici mężowie w wieku przedemerytalnym. W pogoni za umykającą młodością puszczają się na najrozmaitsze przygody. Z reguły kończy się to dla zbereźników zawałem lub rozwodem. Gotowa byłabym więc nawet uwierzyć, że Korzinkin też zapragnął posmakować wolności, ale jak sobie radzi bez paszportu?

Suzie nadal płakała.

– Wiedziałam, że te pieniądze nic dobrego nie przyniosą. Czyż nie wystarczyłoby nam to, co mieliśmy? Nie, zachciało mu się więcej, pojechał, no i proszę, oto skutki. Po prostu zwariował! O jakiej tu miłości może być mowa z jego prostatą i zwyrodnieniem stawów?

– Poczekaj – przerwałam ten potok żalów. – O jakich pieniądzach mówisz?

Suzette umilkła, bo zorientowała się że powiedziała za dużo. Ale ja już ucałowałam ją niczym pies myśliwski.

– Ciekawe, prosisz mnie, żeby znaleźć Basile'a i zatajasz tak istotną informację. To ja jak idiotka biegam po Moskwie z wywieszonym ozorem, szukając twego ślubnego... Jazda, opowiadaj, po co przyjechał do Moskwy – albo szukaj go sama.

Suzie chlipnęła żałośnie. Rzeczywiście, nieładnie z mojej strony, że tak ją objechałam. Przecież ten jej artretyzm jest okropny. Wiosną i jesienią ból się nasila, a nieszczęsna Suzette najpewniej chodzi teraz po domu o kulach. W wilgotną pogodę nawet nie ryzykuje wyjścia na ulicę. Co dopiero mówić o podróży do Rosji!

Moja przyjaciółka wahała się przez chwilę; potem jednak postanowiła wyjawić prawdę.

Basile rzeczywiście prowadził interesy w Moskwie. Miał tam kilku partnerów. Biznes szedł niezbyt dobrze, Korzinkin wydawał mało znanych autorów, ale książki traktował po prostu jak hobby. I Basile, i Suzette dostali w spadku po rodzicach tyle pieniędzy, że mogliby żyć, w ogóle nie pracując. Ale Korzinkin z natury był człowiekiem czynu, nie lubił próżnowania, dlatego bawił się w edytorstwo.

Ostatnimi czasy jednak, ku ogromnemu zdziwieniu żony, miłe hobby zaczęło przynosić po prostu świetny dochód. Przełomowy był moment, w którym Basile poznał Nikitina.

– Aleksy ma najpotężniejszą firmę tej branży w Moskwie! – krzyczała w

słuchawkę Suzie. – Olbrzymie wydawnictwo, własną drukarnię.

Co prawda, Korzinkin musiał teraz latać do Rosji co najmniej raz w miesiącu, ale rekompensatą za ten dyskomfort były bajeczne wręcz pieniądze.

– A jeszcze ten idiotyczny pomysł ze skarbem! Basile tak się do tego zapalił!

– Z jakim skarbem? – Kompletnie już przestałam rozumieć, o co chodzi.

– Pamiętasz ojca Basile'a?

Czyż można było zapomnieć staruszka! Nikołaj Korzinkin dożył stu dwóch lat i właściwie był nie ojcem, ale dziadkiem Basile'a. Z ojcem wiązała się jakaś mętna historia. Podobno córka Nikołaja urodziła dziecko zaraz po weselu, a młody mąż umarł w niejasnych okolicznościach. Nigdy oczywiście go nie widziałam, wiem tylko, że nazywał się Andriej Obnorski. Też pochodził z rodziny rosyjskich emigrantów i jak narzekał czasem dziadek, nie śmierdział groszem. Zmarł młodo, mając ledwie dwadzieścia lat. Matka Basile'a też odumarła syna wcześniej, tak że chłopaka wychowywał dziadek. Usynowił go i zapisał mu cały majątek.

Nikołaj był człowiekiem nietuzinkowym i przeżył ciekawe życie. Awanturnik z natury, stale w coś się wplątywał, ale zawsze wychodził z tarapatów zwycięsko, w odróżnieniu od innych poszukiwaczy przygód.

W roku tysiąc dziewięćset osiemnastym dwudziestoletni Kola, jak już wspomniałam, szczęśliwie dotarł do Paryża, mając przy sobie rodzinne klejnoty i pieska Fokę. Zgodzicie się, coś takiego nie wszystkim się udawało. Dokładnie w rok później zakochała się w nim czterdziestoletnia Amanda Rachele i uczyniła go swoim kochankiem. Wprowadziła też chłopaka w wielki świat i poznała z całą elitą – właścicielami potężnych banków, bogatymi ziemianami, magnatami przemysłowymi. Związek trwał aż do śmierci Amandy w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku.

W czasie wojny Mikołaj był bardzo aktywnym uczestnikiem Ruchu Oporu. Dowodził oddziałem francuskich partyzantów – *maquis*.

Niemcy wyznaczyli olbrzymią nagrodę za jego głowę, ale nikt nie wydał Nicolasa. Był ulubieńcem generała de Gaulle'a, który protegował Korzinkina jak mógł. W pięćdziesiątym pierwszym Nikołaj został dziadkiem. Miał wtedy pięćdziesiąt cztery lata. Wnuka uwielbiał do szaleństwa. Córkę urodziła mu dwadzieścia lat wcześniej nie Amanda, tylko ślubna żona, i szczerze mówiąc, Nikołaj nie bardzo lubił dziewczynkę. Pewnie dlatego, że z jej matką, Natalią Wodowozową, ożenił się w tysiąc dziewięćset trzydziestym, na polecenie Amandy, która chciała zachować pozory przyzwoitości. Nikołaj usłuchał kochanki, ale nigdy nie pokochał małżonki; ją oraz córkę tylko utrzymywał. Śmierć żony mało go obeszła, stratę Amandy natomiast przeżył tak, że na pewien czas nawet wyjechał z Paryża. Córka rosła z dala od ojca, za to na punkcie wnuka Nikołaj po prostu miał bzika. Zastępował

mu ojca i matkę, sam odprowadzał go do szkoły i nigdy się z nim nie rozstawał.

Ostatniego lata skonał na rękach Basile'a. I teraz się okazuje, że przed śmiercią zdradził wnukowi tajemnicę. Kiedy w osiemnastym roku uciekał z Rosji, zabrał ze sobą najcenniejsze kamienie, należące do rodziny. Ale przecież nie wszystkie! Ojca i matkę Nikołaja jeszcze w siedemnastym roku zabili chłopci, którzy płądrowali dwór. Kola zaś w tym czasie był w Moskwie. Rozumiejąc, że całego majątku nie wywiezie, ukrył część kosztowności. Przed śmiercią powiedział wnukowi, gdzie znajduje się drogocenna szkatułka.

– Myślałem, że sam pojedę i ci je przywiozę, ale widać nie było mi to pisane – wzdychał.

– Pewnie te rzeczy dawno już przepadły – trzeźwo zauważył Basile.

– Nie sądzę – kategorycznie oświadczył staruszek. – Wszystko zostało bardzo dobrze schowane.

Basile wyprawił się zatem po skarb.

– Gdzie jest ten schowek? – spytałam.

Suzette umilkła.

– No, mów! – ponagliłam ją.

– Wieś Gorłowka leży o czterdzieści kilometrów od Moskwy. Jest tam cmentarz. Trzeba znaleźć grób niemowlęcia nazwiskiem Ziemcow. U wezłowania leży kamień; jeśli się go odwróci, otworzy się nisza, w niej znajduje się kuferek.

– Dobra – oświadczyłam zdecydowanie. – Sprawdzę to. A czy Basile podał ci nazwisko swojej nowej wybranki? Może telefon albo adres? Jak można się z nią skontaktować?

– Nie, nie – znowu zaszlochała Suzie. – Po prostu na końcu listu napisał: „Jeśli będę Cię potrzebował, zadzwonię”. Kochana Daszeńko, znajdź mi tego idiotę, błagam...

– Dobrze, dobrze... – zaczęłam, a wtedy nagle połączenie zostało przerwane.

Mało który telefon wytrzyma tyle rozmów, a ja w dodatku wczoraj znowu zapomniałam naładować komórkę. Teraz trzymałam w ręku bezużyteczny kawałek plastiku.

Huczało mi w głowie; żeby się uspokoić, zapaliłam papierosa. Ciekawe, dlaczego Basile oszukiwał żonę? Bo że kłamał, to pewne. Mało prawdopodobne, żeby nigdy nie odwiedził firmy Nikitina. Widziałam ten „kwitnący” biznes. Jeden malutki pokój i kiepsko ubrana pracownica. Jeśli nawet Nikitin i Korzinkin rzeczywiście robili kokosowe interesy, to chyba nie dzięki wydawnictwu „Świeca”. W takim razie czym się zajmowali? Zmarły Aleksy, sądząc po zamczystej budowli z wieżą, raczej nie cierpiał nędzy. Basile, według słów żony, zgarniał olbrzymie pieniądze. Trudno to osiągnąć, publikując książki mało znanych autorów. No i gdzie się podział? Czy

znalazł skarb? Skąd wziął się jego paszport w damskiej torebce? Jaką kochankę sprawił sobie Korzinkin? I co było przyczyną śmierci Nikitina? No i wreszcie nieźle byłoby się dowiedzieć, jakim cudem zwłoki wydawcy trafiły do bagażnika mojego samochodu?

Zadawałam sobie w myślach te pytania i westchnęłam, nie znajdując odpowiedzi na żadne z nich. Pójdę do Mai, pokażę jej zdjęcia, a potem zdecyduję, co dalej.

Drzwi nikt nie otwierał. Dziwna sprawa, może dostała pracę? Na wszelki wypadek zadzwoniłam jeszcze raz i usłyszałam cichy szmer. W mieszkaniu ktoś był, ale wcale nie miał zamiaru mnie wpuszczać. Szmer nasilił się, potem usłyszałam drapanie do drzwi i wycie. A jednak nikogo nie ma, po prostu pies został sam i teraz rozpacza.

– Niech pani dzwoni mocniej – rozległ się przyjazny głos.

Otworzyły się drzwi sąsiedniego mieszkania, na progu uśmiechała się miła staruszka. Pamiętam, Maja mówiła, że babcia jest sklerotyczką. Co prawda, wcale nie taką nie wygląda: starannie ubrana, uczesana i rozmawia całkiem normalnie.

– Niech pani zaczeka, kochana – poradziła. – Majeczka siedzi na balkonie, pewnie nie słyszy!

– Na balkonie? – zdumiałam się. – W taką pogodę?

– Sama się dziwię – odpowiedziała grzecznie babcia. – Że też nie zmarznie, od wczoraj w samym szlafrocuku...

– Mogę zobaczyć? – spytałam, pełna najgorszych przeczuc.

– Pewnie, gołąbeczko, niech pani wejdzie – zaprosiła mnie staruszka.

Weszłam do czyściutkiego przedpokoju.

– Tędy, tędy – mówiła życzliwa gospodyni.

Znalazłyśmy się w dosyć obszernej kuchni; babcia otworzyła drzwi na balkon.

Lodowaty wicher wdarł się do mieszkania, a ja wyszłam na łodzię i zobaczyłam sąsiedni balkon. W kącie na krześle, wyprostowana, siedziała Maja. Miała na sobie lekką kretonową podomkę, głowa opadła jej na piersi, ręce zwisały bezwładnie.

– Maju! – zawołałam, rozumiejąc beznadziejność sytuacji. – Majeczko...

Żadnej reakcji oczywiście nie było.

– Niech pani jeszcze raz zawoła – zaproponowała babcia. – Chyba nie słyszy. Że też nie zamarzła!

Rozdział 11

Milicja przyjechała dopiero po dwóch godzinach. Dwaj sierżanci, a może chorążowie – nie rozróżniam w ogóle dystynkcji na rękawach, wyłogach i naramiennikach – spokojnie spytali:

– Co się tu stało?

Poprosiłam ich do kuchni i pokazałam palcem balkon. Chłopcy przez parę chwil patrzyli na krzesło, a potem jeden zapytał:

– Może zasnęła?

Drugi westchnął.

– Na takim zimnie? W dodatku już drugi dzień tak siedzi – rozwiałam ich nadzieje.

Milicjanci spojrzeli po sobie i wezwali posiłki. Dopiero po półgodzinie zjawiała się grupa ponurych facetów. Przewodził im dryblas z olbrzymią walizką.

– Panie sąsiadki? – spytał jeden.

– Tak – odpowiedziałyśmy z babcią chórem.

– Będą panie świadkami rewizji – zarządził szef. – Imię, imię ojca, nazwisko...

– Nie pamiętam, synku – powiedziała łagodnie babcia, ale ja zauważyłam na kredensie dowód i podałam go milicjantom.

Wysoki obejrzał dokument i korzystając z tego, że staruszka poszła zagotować wodę, spytał szeptem:

– Babcia chyba trochę...

– Tak jest – potwierdziłam tak samo cicho. – Tylko wygląda na normalną...

– Dobra – zgodził się starszy. – A pani jak się nazywa?

– Olga Jewgienjewna Woroncowa – palnęłam bez namysłu i od razu pożałowałam, że podałam się za Kicię.

Powiedzieć, że się pomyliłam i naprawdę nazywam się inaczej? Ależ po takim oświadczeniu milicja każe obie mieszkające bez nadzoru chore psychicznie kobiety odwieźć do wariatkowa!

Za ścianą usłyszałam głucho uderzenia, oczywiście wylamywano drzwi. Coś

długo to trwa, moim zdaniem, wystarczyłoby raz porządnie kopnąć...

– Olegu Michajłowiczu! – rozległo się z klatki schodowej.

– Zaraz! – odkrzyknął szef ekipy i dalej mnie przesłuchiwał:

– Jest pani tu zameldowana?

– Nie, Sirieniewy Bulwar 23, mieszkania 24 – wyrecytowałam gładko zmyślony adres, a następnie swój prawdziwy telefon w Łożkinie.

– Kim pani jest dla właścicielki mieszkania?

– Siostrzenicą; tylko że ona mnie nie poznaje, uważa za kogoś obcego, rozumie pan?

– Pewnie, że rozumiem – westchnął śledczy, któremu okropnie nie chciało się przystępować do pracy. – Skleroza to skleroza! Dobra, jak się pani boi, może pani nie wchodzić do mieszkania...

– Przepisów trzeba przestrzegać – oświadczyłam i zważnym krokiem ruszyłam do sąsiedniego pomieszczenia.

Drzwi na balkon były otwarte na oścież i zimno wypełniło pokój. Nieoczekiwanie wyjrzało słońce. Słabe światło przeniknęło do wnętrza, którego ubóstwo stało się dzięki temu jeszcze bardziej przerażające.

– Tak czasem bywa – nieśmiałym głosem powiedział młody milicjant w mundurze. – Może wyszła rozwiesić pranie, wyskoczyła z ciepłego pokoju w samym szlafrocuku, i serce nie wytrzymało...

Ale cywilni funkcjonariusze nie zareagowali na tę uwagę. Oczywiście, nikt się nie cieszył z jeszcze jednego zabójstwa w dzielnicy. Bo to, że Maja nie zmarła śmiercią naturalną, było widać od razu. Po pierwsze, w pokoju panował okropny bałagan. Jedyne szafa była otwarta, a skąpa bielizna rozrzucona po podłodze; przy wejściu do kuchni leżała otwarta walizka, tu i ówdzie poniewierały się jakieś szmatki. Szuflady były powyciągane, łóżko przestawione, obrus pod stołem. Wyraźnie ktoś tutaj czegoś szukał.

Kiedy zaś ciało Mai wciągnięto do środka, stało się jasne, że kobieta przed śmiercią została mocno pobita, a potem zastrzelona; w dodatku zabójca był profesjonalistą. Jeden strzał oddał w serce, drugi – dla pewności – w głowę...

– Jak ci się zdaje, od kiedy nie żyje? – spytał jeden ze śledczych faceta w gumowych rękawiczkach, który przykucnął koło trupa.

– Zdaje, zdaje – mruknął tamten. – Jak zobaczę treść żołądka, to powiem!

– W żołądku nic nie ma – wtrąciłam się. – Maja żyła z nędznej renty, głodowała...

– Ale pęcherz moczowy chyba miała? – obstawał lekarz przy swoim.

– Olgo Jewgienjewno – przerwał starszy tę pasjonującą dyskusję. – Proszę iść do domu, nie ma co się tu obijać; w razie czego wezwiemy panią.

Próbowałam się opierać, ale milicjanci sprawnie mnie wymanewrowali. Nie było

gadania, musiałam się podporządkować. W maleńkim przedpokoju, za szafką na buty, usłyszałam nagle szmer. Nachyliłam się i zobaczyłam dwoje błyszczących oczu. Boże, biedna psina! Siedziała tu tyle czasu głodna, nikt jej nie wyprowadził, a teraz trzęsie się z przerażenia w ciemnym kącie. Jak się wabi – Koka? Kika? Kuka!

Kiedy piesek usłyszał swoje imię, wysunął się zza szafki. Wyciągnęłam go stamtąd, czując jak jego serduszko puka pod obciągniętymi skórą żebrami.

W domu, w Łóżkinie, panowała taka cisza, aż dudniła w uszach. Dzieci rozjechały się, jedne do szkoły, inne do pracy. Psy – Bundy i Snap – spokojnie drzemały w jadalni; kiedy zobaczyły Kuke, zaczęły poruszać nosami, obwąchując przybysza. Nieszczęśliwa suczka ze wszystkich sił chciała się zapaść w dywan, a tymczasem jeszcze Hootchuś, Julie, Cherry i kotki... wszystkie przyszły obejrzyć nowy nabytek. Kuki nie ucieszyła nawet miska z mięsem. Niemrawo obwąchała jedzenie i odeszła.

– Dziwna jakaś – powiedziałam do Irki. – Niby głodna, a nie je.

– Skąd pani ją wzięła? – zainteresowała się pomoc domowa.

– Znalazłam na ulicy – skłamałam – siedziała taka nieszczęśliwa...

– To pewnie w domu chowana, czyściutka – mruknęła Irka. – Wie pani, wielu ludzi teraz nie może dawać psom mięsa, więc zwierzaki nie znają nawet jego smaku. Trzeba jej dać to, do czego jest przyzwyczajona.

Zdumiona popatrzyłam na kobietę – przecież to po prostu zoopsycholog!

– A do czego, według ciebie, jest przyzwyczajona?

Irka wzruszyła ramionami.

– Pewnie do owsianki na wodzie.

Kiedy Kuka dostała talerz płatków „Herkules”, gdzie Ira dla smaku dołożyła jej kawałek kielbasy, zaczęła chciwie łykać poczęstunek. Poszłam na górę. Po prostu nie mogłam już dziś nigdzie jechać, przed oczami miałam martwą Maję, nie wiadomo dlaczego przywiązaną przez morderców do krzesła...

Lepiej położę się na kanapie i spokojnie poczytam książkę. Ale nawet ulubiony Rex Stout nie pomagał. Natknęłam się na zdanie: „Zakrwawiony trup wpatrywał się szeroko otwartymi oczami w jesienne niebo” – i zamknęłam tom. Nie, kryminałów dzisiaj nie będzie. Wezmę lepiej jakiś romans z sypialni Kici. Cudze namiętności – oto czego teraz potrzebowałam.

Na nocnej szafce między łózkami znalazłam pudełko po lodach czekoladowych i cały stos pism.

Aha, mnie łaje za każdy zjedzony przed snem cukierek, a sama opycha się lodami! No, czekaj, łakomczuchu...

Zaczęłam przeglądać czasopisma. Były bliźniaczo do siebie podobne. Błyszczące kartki, zdjęcia. Porady kulinarne, rubryka „Jak utrzymać przy sobie męża”, nowości z

wielkiego świata... Mój wzrok spoczął na reportażu z promocji nowego teledysku piosenkarza Wikułowa. Chudy, rozczochrany chłopak w otoczeniu kobiet, dziewczyn i dziewczątek, rozradowany, gapił się w obiektyw. Nigdy nie mogłam zrozumieć fenomenu popularności tego chłopaczka. Weźmy choćby takiego Filę Kirkorowa, jest przynajmniej na co popatrzeć – wzrost jak się patrzy, błysk w oku... W dodatku głos niezły... A Wikułow? Mały, pewnie metr sześćdziesiąt na palcach; przez grubą warstwę podkładu przebijają młodzieńcze wągry; rzadkim włosiętom nie pomoże nawet najlepszy stylistka... Na scenie ta dziwaczna istota porusza się w olbrzymich butach na ogromnych platformach i cicho szepcze do mikrofonu słowa idiotycznych piosenek: „Jakie masz oczy, jakie masz oczy, masz takie oczy, no, co za oczy...”. Przy trzecim takcie zbiera się na mdłości. Sale jednak nie wiedzieć czemu pękają w szwach. Publiczność piszczy z zachwytem; telewizja bez końca kręci jego klipy, w eter płynie jego beczący kozi tenorek...

Nie, absolutnie nie przemawia do mnie ta muzyka... No i jakie dziewczyny kleją się do tego kurdupla! Zwłaszcza ta z zielonymi oczami i kasztanowymi włosami, piękna jak malowanie!

Nagle na czoło wystąpiły mi krople potu. Ślicznotka w eleganckiej czarnej sukni, trzymająca Stefana Wikułowa pod rękę, to przecież ta sama dziewczyna, która na zdjęciu siedziała naga na kolanach członka Dumy Zaokskiego...

– Jak ci nie wstyd! – rozległ się głos Kici. – Rozłożyła się na moim łóżku i jeszcze się opycha lodami!

– Nic nie jadłam – zaczęłam się usprawiedliwiać. – Miseczka już tutaj stała.

– Nie kłam – surowo upominała mnie Olga. – Ani ja, ani Arkady nie mamy ohydneho zwyczaju jedzenia w łóżku, coś takiego robisz tylko ty. Jeśli lubisz spać na upačkanej pościeli, to proszę bardzo, ale dlaczego u mnie?

Podejrzanie się potwierdziło. W magazynie ilustrowanym i na zdjęciach była ta sama osoba. Gorączkowo wertowałam notatnik. Gdzieś miałam telefon Iljuszy, dawnego kolegi z klasy, który teraz prowadzi w telewizji program muzyczny; często widuje się jego pełną, uśmiechniętą twarz.

U Iljuszy włączyła się sekretarka. Wysłuchałam tradycyjnych słów, zalecających mówić po sygnale dźwiękowym, doczekałam się koniecznego piśnięcia i zaczęłam mówić, o co chodzi. Nagle rozległ się wesoły bas Iljuszki:

– Słyszę, słyszę!

– Jesteś w domu? – zdziwiłam się.

– Boże – westchnął przyjaciel – wkrótce zapomnę, gdzie mieszkam! Rano zdjęcia – wieczorem eter, rano antena – wieczorem zdjęcia. A przecież trzeba jeszcze pokręcić się między ludźmi, znaleźć sponsorów. Ty, na przykład, nie chciałabyś wyłożyć paru tysiączków? Mam cudowną dziewczuszkę...

– Daj mi telefon Stefana Wikułowa...

– I ty też! – ze złością wykrzyknął Iljuszka. – Po pierwsze, tak naprawdę to on jest zwykły Stioпка, a po drugie, po cholere ci ten pokurcz? I tak już go rozdmuchali ponad wszelką miarę, wszystkich prześcignął, utarł nawet nosa tym „Na-Na”. Lepiej posłuchaj, jaką mam dziewczuszkę: śliczna, mądra, a co za głos!

– Iljuszeńka – musiałam wymyślić coś na poczekaniu – nie mogę w nikogo wkładać pieniędzy. Po prostu moja córka Masza jest fanką Wikułowa...

– Jakoś nie zaszczepiłaś dziecku dobrego smaku artystycznego – burczał dalej Iljuszka. – Kup jej abonament na koncerty w konserwatorium, bo pewnie myśli, że Mozart to ten facet od czekoladek, a Czajkowski – od keczupu...

Czekałam cierpliwie, aż przyjaciel skończy się nade mną znęcać. W końcu, kiedy już się ponatrząsał do woli, podał mi numer, uprzedzając:

– Stioпkę łap w dzień. Wieczorem śpiewa, a w nocy gania po klubach i kasynach.

Zegar wskazywał trzecią, a ja szybko wciskałam palcem guziczki telefonu. Na pewno też włączy się sekretarka. Ale w moje ucho nieoczekiwanie pisnął tenorek:

– Helouu...

– Poproszę pana Stefana Wikułowa.

– Kto mówi? – nasrozył się gospodarz, kiedy usłyszał kobiecy głos.

Mając taką kupę fanek, każdy by się bronił przed babą.

– Tu francuskie przedstawicielstwo firmy His Master’s Voice.

– Słucham – błyskawicznie zmienił ton Stioпа.

– Mamy dla pana propozycję. Chcemy nagrać teledysk – próbowałam naśladować styl macherów od nagrań. – Wolałabym omówić sprawę osobiście.

– Może pani przyjechać do mnie? – od razu zaproponował Wikułow. – Przepraszam, że do domu, ale wieczorem mam koncert, a teraz – próbę.

Aha, myślałam, zapisując adres, starasz się wmówić zagranicznej idiotce, że przez cały dzień ćwiczysz gamy i solfeż.

Ale zdaje się, że Wikułow naprawdę coś robił. W każdym razie zaprowadził mnie do pokoju, którego większą część zajmował olbrzymi koncertowy fortepian. Sam idol, ubrany po domowemu w niebieskie dżinsy i kraciatą koszulę, z bliska wyglądał naprawdę żałośnie. Wydawał się jeszcze chudszy niż na zdjęciu. Mała pryszczata twarzyczka i trzy włoski na okrągłej łepetynie przedstawiały smętny widok.

W ciągu kwadransa omówiliśmy przyszłe występy w Paryżu. Niespecjalnie się targowałam i przyjąłam warunki kapryśnego gwiazdora: apartament w „Hotel de Ville”, do dyspozycji – cadillac z szoferem, astronomiczne honorarium i dziesięć koncertów w „Moulin Rouge”. Mam nadzieję, że cymbał dowie się kiedyś, iż ten światowej sławy kabaret ma swój własny program-show i nigdy nie zaprasza artystów estrady...

Nieznający jednak Paryża Wikułow nadzwyczajnie się podniecił, wyobrażając sobie tłumy Francuzów bijących mu brawo, zrozumiałam, że klient już dojrzał, i przystąpiłam do dzieła.

– Lubimy, kiedy piosenkarz otoczony jest na scenie ładnymi dziewczynami.

– No, z tym nie ma problemu – oświadczył Stiopka. – Mam sześćosobowy chórek i ośmioosobowy balet. Dziewczyny pierwsza klasa, dwie czarne.

Akurat czarnoskórymi dziewczynami trudno zadziwić Paryż, ale naiwny Wikułow po prostu pękał z dumy. To dopiero, czarna tancerka, super...

– Mojemu szefowi szczególnie spodobała się jedna z dziewcząt z pańskiego otoczenia i chciałby zawrzeć z nią kontrakt.

Stiopka wpatrzył się w zdjęcie z czasopisma, a potem roześmiał się:

– Nie, ta nie może.

– Dlaczego? – zdziwiłam się nieszczerze. – Dobrze zapłacimy.

– Ona nie potrzebuje pieniędzy. – Artysta machnął ręką. – Wie pani, kto jest jej mężem? Aram Indżykian, właściciel banku; mógłby kupić cały ten wasz „Moulin Rouge” razem z wami wszystkimi!

– Piękna dziewczyna – dalej ciągnęłam swoje. – Jak ma na imię?

– Wika, Wiktorja.

Pogadaliśmy jeszcze trochę, po czym wyszłam, zostawiając oszukanego Wikułowa. Niech sobie czeka na telefon od pana Lorraine’a. Tak naprawdę nie mam pojęcia, kto jest właścicielem „Moulin Rouge”. Ale Arama Indżykiana akurat znam dobrze. Właśnie przez jego bank otrzymujemy pieniądze z Paryża. W swoim czasie razem z innymi szacownymi klientami zapraszano nas na wszelkie możliwe imprezy, które ów bank urządza. Indżykian jest znanym mecenasem sztuki, kupuje obrazy rosyjskich malarzy, przy czym każdą transakcję zawiera z wielką pompą. Kiedy nabył płótno Ajwazowskiego, w obecności prasy i ogromnej liczby gości przekazał je Galerii Tretiakowskiej w darze.

Potem wydał luksusowy bankiet. Uszczęśliwieni dziennikarze przez kilka dni trąbili o szczodrym finansście. O ile jednak pamiętam, miał inną żonę – czterdziestoletnią, dosyć korpulentną Ormiankę Lianę. Co prawda, nie widziałam pana Indżykiana już od dwóch lat, a przez tak długi czas można pewnie zmienić żonę...

W mieszkaniu bankiera słuchawkę podniosła starsza kobieta, oczywiście służąca.

– Proszę, chciałabym mówić z Wiktorją – poprosiłam uprzejmie.

– A kto mówi? – surowo zapytała moja interlokutorka.

– Wanda Nikitina.

Zapanowała cisza, a potem jakaś dziewczyna odezwała się dźwięcznym głosem:

– Wandziu, kochana, słucham cię.

– Musimy się spotkać.

– Kto mówi? – zdziwiła się Wika. – Czego pani chce?

– To pani chce. – Uśmiechnęłam się do siebie. – To w pani interesie leży, żeby śmiałe zdjęcia z panem Zaokskim nie trafiły na biurko Arama Indzykiana.

Trzeba oddać dziewczynie sprawiedliwość. Większość paniuś na jej miejscu zaczęłaby bezsensownie pochlipywać i pytać o moje nazwisko. Wika zaś umilkła na chwilę, a potem powiedziała rzeczowo:

– Ulica Sokołowa, kawiarnia „Rusałka”, dzisiaj, piąta po południu, zdąży pani?

Po czym nie czekając na odpowiedź, trzasnęła słuchawką. Rozłożyłam plan Moskwy i znalazłam tę ulicę gdzieś na końcu świata, aż w Lianozowie.

Ciekawe, czy załatwia tam swoje interesiki, czy po prostu wymieniła pierwsze lepsze miejsce, byle jak najdalej od domu?

Za kwadrans piąta weszłam do małej, ciemnej i wręcz brudnawej sali. Sytuacji nie ratowały wymalowane na ścianach rusałki o okrągłych rizańskich buziach. Wyraźnie nie był to lokal pierwszej kategorii. Lepkie plastikowe stoły czuć było brudną ścierką. Kilku robociarzy po zmianie popijało w kącie piwo. Kelnerki nie było, zamawiało się wszystko przy barze i samemu zanosilo do stolika. Posiedziałam pięć minut, a niezadowolona barmanka wycedziła:

– Tu nie park, trzeba coś zamówić.

– Czekam na przyjaciółkę – wyjaśniłam.

– Mnie tam wszystko jedno – ostro odpowiedziała dziewczyna. – Może pani czekać nawet na królową angielską. Tylko niech pani coś zamówi, a potem siedzi sobie, ile chce.

Musiałam wziąć jasnobrazowej barwy napój, noszący dumne miano „kawy po turecku”. Gratis dodawano do niej ohydne ciastko, przypominające zgniecione pudełko po butach w miniaturze.

Zaniosłam to wszystko na stolik i z ulgą zapaliłam papierosa. Drzwi się uchyliły, w kawiarni pojawiła się Wika. Ubrana była stosownie do sytuacji: zwyczajne czarne dżinsy, ciemno-zielona kurtka, a na głowie beret, pod który starannie schowała swoje piękne kasztanowe włosy. Żadnych pierścionków, kolczyków czy nawet zegarka; tylko drogie obuwie zdradzało jej status majątkowy. Nie chciała włożyć tanich butów, szkoda jej było nóg.

Od razu odgadła, kto na nią czeka. Co prawda, byłam jedyną kobietą na sali.

Szybkim krokiem zbliżyła się do stolika, odsunęła niezbyt reprezentacyjne krzesło i spytała dosyć nieuprzejmie:

– Ile?

Oj, te bogate damy! Wszystko przywykły załatwiać za pomocą pieniędzy.

– Co ile? – udałam, że nie rozumiem.

Pannica obrzuciła wzrokiem moją odzież, potem zerknęła na torebkę z krokodylej skóry, leżącą na stole, i westchnęła:

– Niech pani przestanie udawać idiotkę. Ile pani chce za milczenie? Co pani ma, fotografie?

Skinęłam głową i pokazałam kopertę. Wiktoria zapaliła papierosa, spokojnie obejrzała zdjęcia i stwierdziła:

– Negatywy oczywiście są w bezpiecznym miejscu?

Jej opanowanie mnie zdumiewało, ale skinęłam głową.

– No – powtórzyła Wika niecierpliwie – to ile za wszystko razem?

Ciekawe, co by zrobiła, słysząc sumę miliona dolarów? Dziewusze należała się zresztą nauczka, więc również zapaliłam i powiedziałam cicho:

– Melona. Zielonymi.

Wiktoria uniosła do góry cienkie, narysowane brwi, piękne oczy wpatrywały się we mnie bez cienia zdziwienia.

– Taniej wypadnie, jak się panią po prostu zabije. – Uśmiechnęła się. – No więc niech pani słucha. Aram pani nie uwierzy. Powiem po prostu, że moi wrogowie zrobili zręczny fotomontaż. Ale wolę zapłacić, żeby uniknąć przykrych rozmów z mężem. Musiałabym wtedy płakać, udawać niewiniątko, a to jest bardzo męczące. Tak że niech pani poda rozsądną sumę i rozstaniemy się. Ja pani pieniądze, pani mnie negatywy.

Taką beczelną, pewną siebie dziewczuchę spotkałam po raz pierwszy.

– Nie potrzebuję pieniędzy. – Postanowiłam zagrać va banque.

– Ooo! Cóż to, plany się zmieniły? – zapytała dziewczyna drwiąco.

– Lepiej niech pani powie, gdzie pani zostawiła tę torebkę.

Wika obejrzała krokodylową torbę.

– Takiego szajsu nigdy nie miałam.

– Dobrze pani pamięta?

Wiktoria wzruszyła ramionami.

– W szafie mam czterdzieści różnych torebek, każda do innej pary butów.

Wszystkich po prostu nie pamiętam, ale wyrobów ze skóry gadów nie lubię, wolę antylopę albo kangura. Widzi pani?

Wysunęła do przodu zgrabną nóżkę w miękkim jasnobrązowym mokasyńcu.

Przy niewysokim wzroście noszę obuwie numer trzydzieści dziewięć, więc mimo woli pozazdrościłam Wice małej stopki. Może w dzieciństwie bandażowano jej nogi, jak Chince?

– A więc nie należy do pani... – powiedziałam, nie kryjąc rozczarowania. –

Wobec tego, proszę powiedzieć, zna pani tę panią?

Wiktoria z namysłem popatrzyła na zdjęcie podstarzałej ślicznotki, siedzącej przy

stole i całkowicie ubranej. Mając takie zdjęcie, trudno kogokolwiek szantażować, ale zidentyfikować – czemu nie?

– Spotykamy się czasem u kogoś – oświadczyła madame Indżykian – ale nie jesteśmy bliskimi znajomymi, kłaniamy się sobie.

– Jak się nazywa ta osoba?

Wika podniosła ogromne zielone oczy, przez chwilę nic nie mówiła, potem powiedziała:

– To przecież żaden sekret. Karina, żona Władimira Sołomatina.

– A kto to jest?

Wiktoria się uśmiechnęła.

– Bardzo pożyteczny facet, ginekolog. Przez jego klinikę przewinął się cały wielki świat. Modny lekarz. Jeszcze jakieś pytania?

Wahałam się przez sekundę, po czym wyciągnęłam z kieszeni mały pakiecik z negatywami, demonstracyjnie włożyłam go do koperty z kompromitującymi zdjęciami i zapytałam z naciskiem:

– Rozumie pani oczywiście, że nasze spotkanie powinno pozostać tajemnicą?

Wiktoria siedziała z kamienną twarzą. Rany boskie, powinna chyba pracować jako agentka FBI, była po prostu fenomenalnie opanowana.

Cisnęłam kopertę na stół.

– Masz wszystkie, zabieraj!

– Ile? – absolutnie spokojnie zapytała „ofiara szantażu”, wyjmując portfelik i stukając nim o blat stołu. – Tysiąc, dwa, trzy?

– Wsadź je sobie w tyłek – poradziłam jej uprzejmie i ruszyłam do wyjścia.

Miałam nadzieję, że takie nietypowe zachowanie nieco zbije z tropu niewzruszoną lady. W drzwiach nie wytrzymałam i obejrzałam się. Wiktoria spokojniutko paliła papierosa, oczy jej wyraźnie się śmiały, ale usta miała zaciśnięte. A to ziółko! Może chociaż Karina Sołomatina okaże się inna.

Dostać numer domowego telefonu modnego lekarza to rzecz najprostsza w świecie. Najpierw odwiedziłam należącą doń klinikę. Wytworny hol, drogie meble i arcyuprzejma pielęgniarka w rejestracji. Podbiegłam do dziewczyny i podnosząc oczy do góry, zaczęłam trajkotać jak rozkapryszona idiotka:

– Kochana, taki kłopot, tylko wy możecie...

Dziewczyna obdarzyła mnie profesjonalnym uśmiechem i powiedziała uspokajająco:

– Proszę się nie denerwować, w naszej klinice pomagamy absolutnie wszystkim, każdy problem można rozwiązać.

Dziewczyna skierowała niebrzydkie oczy na mój całkiem płaski brzuch; oczywiście myślała, że muszę czym prędzej zrobić skrobankę.

– Ach, to cudownie, wspaniale – wyglupiałam się dalej, niby to od niechcienia migając jej przed nosem złotym zegarkiem od Cartiera. – Dzisiaj są imieniny Kariny, żony Wołodi...

– No to co? – szczerze zdziwiła się rejestratorka.

– ...a ja zgubiłam notes z adresami! Jak teraz pošlę im kwiaty? Niech pani wejdzie w moje położenie, kochanie: Karinka się obrazi, jeśli nie dostanie ode mnie życzeń... Między nami mówiąc, parę lat temu Wołodia bardzo mi pomógł! Zrobił wszystko po cichu, szybko, no, rozumie pani? Tak że bardzo proszę, dziecinko, niech mi pani da ich namiary!

Położyłam na ladzie sympatyczny zielony papierek. Siostra spojrzała na moją biżuterię, obejrzała kurtkę podbitą norkami i uznała, że ma przed sobą jedną z ekstrawaganckich, lekko stukniętych dam. A że trzy czwarte pacjentek kliniki to pewnie osoby tego rodzaju, powiedziała spokojnie:

– Stałym pacjentkom doktor Sołomatin zwykle podaje telefon prywatny, proszę zapisać...

Podskakując z radości, pobiegłam do samochodu.

Rozdział 12

Do domu przyjechałam wcześniej. U Sołomatinów nikt nie podnosił słuchawki, a na ulicy rozszalała się prawdziwa burza. Zanim wbiegłam do domu, mokry śnieg zdążył dokumentnie oblepić mi kurtkę. A mówiono nam, żebyśmy zrobili zejście do garażu wprost z holu! Dzieciaki podniosły wtedy lament, że to niehigieniczne łączyć pomieszczenie mieszkalne z miejscem postoju samochodu. No to teraz się męczymy. Z jadalni dobiegały ożywione głosy. Jakoś tam przyglądałam sterczące na wszystkie strony kudły, żwawym krokiem weszłam do pokoju i spytałam:

– Co to, wojna?

– Spóźniłaś się, już po wojnie. – Kiesza uśmiechnął się. – Kicia wytoczyła nawet ciężką artylerię.

– A co się stało?

– To, że ktoś leżał na moim łóżku i najzwyczajniej w świecie się obżerał! – krzyknęła oburzona Olga. – Przychodzę z zajęć i co widzę? Okropność! Dwa puste pojemniki po chińskiej zupie na szafce; no, kto może jeść takie paskudztwo?

Maruśka usiłowała się schować za szklanką soku. Wiem, że niekiedy późnym wieczorem, a raczej już nocą, podkrada się do kuchni i zalewa wrzątkiem proszek z nie całkiem jadalnym makaronem. Po prostu lubi te wszystkie „gorące kubki”, mięsne i grzybowe. Bardzo łatwo je kupić, kiosk stoi dziesięć kroków od naszej bramy. Wiedząc jednak, że takie obżarstwo wywoła gniew Arkaszy i Kici, Maniusia pochłania ulubione danie tylko w swoim pokoju, pilnie chowając się przed argusowymi oczami rodziny. Nigdy w życiu nie jadłaby nic w sypialni brata i bratowej, za coś takiego mogłaby nieźle oberwać!

– Na podłodze – ciągnęła rozgniewana Olga – walają się łupiny po fistaszkach, papierki po chipsach i lizakach! A na nocnej szafce Kieszki aż trzy puste opakowania po lodach czekoladowych i lepkie plastikowe łyżeczki!

– A teraz – roześmiał się syn – mnie się dostało. Podobno ja narobiłem tego bajzlu!

– Może byłeś pijany? – zasugerowała Mania, za co zaraz dostała szturchańca od

Olgi.

Tak naprawdę miała rację. Jej uwielbiany braciszek nie je właściwie nic, a już lodów nie znosi od dziecka. Kiedy jego rówieśnicy, aż podskakując z niecierpliwości, wypraszały u opornych rodziców kopiejki na lody, Kieszka odwracał się z obrzydzeniem od każdego, czy były na patyku, czy w waflu.

– Jeśli nie on, to kto? – drażyła Kicia. – Ufoludki?

Rozgniewana Olga zatrzymała wzrok na mnie.

– Dopiero co weszłam – spieszenie podałam swoje alibi. – Przez cały dzień biegałam po mieście.

– Wiem – westchnęła synowa. – Ciebie pierwszą podejrzewałam, ale Irka powiedziała, że samochodu nie ma w garażu...

W tej chwili pomoc domowa wniosła wielki półmisek z pieczonymi kurczakami i postawiła na stole. Misza i Gala, milczący przez cały czas, jednocześnie oderwali po nóżce.

– A gdzie jest Hootchuś? – spytała po paru minutach Mania.

Mops uwielbia kurczaki, a kawałek piersi z drobiu to jego największy przysmak. Kiedy poczuje zapach brojlera, pędzi do jadalni i wyczekująco spogląda na stół. Dzisiaj jednak tłoczyły się przy nas wszystkie psy, wliczając w to Kukę, oprócz niego.

– Hootch – zawołała Olga. – Chodź tu, dostaniesz kurczaczka!

Żadnej reakcji.

– Hootchuś, Hootchuś – zaczęliśmy wołać na różne głosy, ale piesek jakby się zapadł pod ziemię.

– Może przypadkiem wybiegł na dwór i teraz skomli pod drzwiami? – wyraziła przypuszczenie Mania i rzuciła się do holu.

Prawdę mówiąc, wątpię. Hootch, właściciel krótkich, krzywych łapek, nie jest miłośnikiem pieszych wycieczek. W dodatku bardzo nie lubi zimnej, deszczowej, wietrznej pogody.

Rankami włazi, posapując, na kanapę w gabinecie i smętnie patrzy przez okno. Jeśli na dworze pada śnieg albo siąpi deszczyk, spokojnie idzie do kocięj toalety i nie zwracając uwagi na pełne złości syki Fifiny i Kleopatry, melancholijnie korzysta z kociego żwirku. Potem zagrzebuje się pod koce i cicho pochrapuje, czekając na zmianę pogody.

Maruśka otworzyła drzwi wejściowe na oścież, lodowaty wiatr wdarł się ze świstem do holu. Nie, to nie pogoda dla ciepłolubnego mopsa.

Przez następną godzinę błędziliśmy po domu, szukając Hootcha. Misza i Gala cicho siedzieli w jadalni. W poszukiwaniach nie brali w ogóle udziału, odsunęli tylko talerze na bok i z zapamiętaniem gryzmolili coś w notesach.

Biegając po jadalni, z krzykiem „Hootchuś, gdzie jesteś?”, zdążyłam spostrzec, jak Misza odskubuje drugą ręką kawałki kurczaka.

W końcu zebraliśmy się w salonie i doszli do wniosku: mopsik zaginął.

– Jak powiemy o zniknięciu pieska Aleksandrowi? – martwiła się Masza.

Wszyscy umilkli zafrasowani. Tak naprawdę Hootch jest własnością pułkownika. Podarował mu go francuski komisarz policji, Perrier, z którym Aleksander kiedyś się zaprzyjaźnił.

W Moskwie jednak mały mops całymi dniami siedział w pustym mieszkaniu, czekając, kiedy w końcu pan wróci z pracy. Potem zaczął chorować, nie chciał jeść... Choroba nazywała się tęsknotą. Pożałowaliśmy go i wzięli do siebie, mimo wszystko jednak uważając, że jest to nadal pies pułkownika.

– I jak teraz spojrzymy Aleksandrowi w oczy? – ciągnęła swój monolog Maniunia niczym tragiczka na scenie.

– Dlaczego nie możecie mi patrzeć w oczy? – rozległ się wesoły głos, i do salonu wszedł pułkownik.

– Hootchuś przepadł! – chlipnęła Masza.

– Naprawdę? – zdziwił się przyjaciel. – Sprawdzaliście w komórce?

Rozpoczął się nowy etap poszukiwań. W końcu pułkownik wpadł na świetny pomysł – na pewno ktoś przypadkowo zamknął psa w garażu!

Wszyscy pobiegliśmy hurmem przez podwórko. Pstryknęłam parę razy wyłącznikiem, ale nie zrobiło się jasno, pewnie przepaliła się żarówka.

– Tam, na półce, leży latarka – powiedział Arkady.

– Ja pójdę – ofiarował się Aleksander i zniknął w ciemnościach, nawołując regularnie: – Hootchuś, Hootchuś...

My tymczasem drżałyśmy z zimna przed wejściem. Nikt nie wpadł na to, żeby zabrać kurtkę.

– Po lewej, na górze! – krzyknął Kiesza, gdy nagle rozległ się hałas, brzęk i odgłos padającego na podłogę ciężkiego worka.

W garażu rozległ się krzyk, zamarliśmy z przerażenia.

– Kanał! – wrzasnął syn. – Tam przecież jest kanał!

Ostrzeżenie padło jednak za późno.

Kiesza pobiegł, klnąc, w najdalszy kąt garażu, za nim, potykając się o żelastwo i wpadając na samochody, pokłusowali wszyscy domownicy.

Mocny promień światła oświetlił dosyć głęboką jamę. Na dnie, w kałuży czegoś czarnego i śmierdzącego, siedział Aleksander.

– Żyjesz! – wykrzyknęłam uradowana.

Przyjaciel podniósł do góry całkiem czarną twarz, resztki siwych włosów zmieniły się niespodziewanie we wronie pióra.

– Matko święta! – szepnęła Kicia. – Murzyn!

– Nie – wyjaśnił Arkady także szeptem. – Po prostu wylał na siebie puszkę solidolu.

Spuściliśmy drabinę, wyciągnęliśmy nieszczęśnika i zaprowadzili go do domu. Irka przygotowała wannę pełną piany, Arkady wsadził tam pułkownika i zaczął zeń zmywać lepką maź. W ruch poszło wszystko – szampon, żel, peeling... Potem zobaczyłam, że syn niesie do tej „pralni chemicznej” butelkę wódki.

– Nie lej tego skarbu na moją łysinę – bronił się Aleksander.

Woda bulgotała, słyszeliśmy plusk i ciche jęki. Solidol z uporem trzymał się skóry.

– Kiesza, spróbuj rozpuszczalnikiem – doradziła podskakująca przed drzwiami łazienki Mania.

– Przynieś – rozkazał brat. – I weź też benzynę.

Marusia wydała okrzyk wojenny Komanczów, i po chwili wpadła z dwiema dużymi butelkami do łazienki.

– Wyjdźże stąd, na miłość boską! – krzyknął Aleksander.

Drzwi się uchyliły i mokra ręka Arkadego wypchnęła stawiającą rozpaczliwy opór siostrę, która natychmiast się rozdarła:

– Ach tak... Ale jak trzeba przynieść, to ja?! Dlaczego mnie wyrzucasz?

Ze złością szarpnęła za klamkę.

– Maniusiu! – Kicia usiłowała wyjaśnić sytuację. – Biedny pułkownik jest rozebrany!

– A co to ja, gołego faceta nie widziałam? – fuknęła na nią Mania. – Wielkie mi rzeczy! Nie jestem już mała, pamiętacie, jak opowiadałam o ogonie?

Mania miała jakieś pięć lat, kiedy widząc kąpiącego się w łazience Arkadego, zainteresowała się budową jego ciała.

– Co to jest? – spytało dziecko, wskazując palcem obiekt największej męskiej dumy.

Zaskoczony chłopak najpierw odruchowo przykrył się gąbką, a potem, nie wiedząc, czy można wtajemniczać dziecko w różnice między kobietą a mężczyzną, palnął bez namysłu:

– Ogon.

– A dlaczego ja nie mam ogona? – oburzyła się siostrzyczka. – Gdzie jest mój ogon?

– Widzisz – zaczął jej tłumaczyć brat. – To nieładnie mieć ogon, po prostu wstyd. Dlatego tobie ucięto go zaraz po urodzeniu.

– I co? – uparta dziewczynka drażyła sprawę. – Wszystkim się ucina?

– Oczywiście.

– A dlaczego tobie zostawili?

Arkady usiadł w wannie i zakrył twarz gąbką. Omal nie udusił się ze śmiechu, ale Maszce wydawało się, że brat płacze.

– Kiesza – poprosiła nieśmiało. – Powiedz mi...

– Kiedy ty przyszedł na świat – odpowiedział zdławionym głosem – mama i Nataszka miały już pieniądze na operację, ale kiedy ja się urodziłem, musiały oszczędzać. Dlatego pałętam się po świecie z ogonem.

– Jak wam nie wstyd! – krzyknęła wówczas Masza, rzucając się na Bogu ducha winną Nataszkę. – Natychmiast utnijcie mu ogon!

Trzeba było wyjąć atlas anatomiczny i tłumaczyć, czym chłopcy różnią się od dziewczynek.

Czy pomógł rozpuszczalnik, czy też benzyna wywarła cudowny wpływ na solidol, Aleksander w końcu wyszedł z łazienki, owinięty we włochaty szlafrok Arkadego. Twarz i łysina pułkownika pyszniły się ciemnopurpurową barwą. Przytrzymując poły szlafroka, mój zmordowany przyjaciel oznajmił:

– Napiłbym się herbaty.

Gala i Misza siedzieli nadal w tych samych pozycjach. Na talerzu matematyka piętrzyła się góra kości kurczęcia. Dziwiąc się w duchu apetytowi profesora, powiedziałam:

– Galu, Misza, poznajcie naszego przyjaciela, Aleksandra Diegtiariowa.

Niezwykła para oderwała oczy od papierów. Przez chwilę twarze obojga wyrażały takie zdumienie, jak gdyby powrócili z innej planety. Potem Gala mruknęła cichutko:

– My się znamy.

– Bardzo mi miło – uprzejmie odezwał się Misza, po czym wstał z krzesła i podał pułkownikowi rękę.

Rozległ się głuchy stuk, a my ze zdumieniem popatrzyliśmy na spadającego Hootchusia. Nie obudziło go nawet uderzenie o podłogę. Jego brzuch przypominał piłkę.

– Hootch spał u pana na kolanach! – krzyknęła Kicia. – A my go cały czas szukaliśmy! Jak to? Czyżby pan nie słyszał, co się dzieje?

– Nie – całkiem szczerze odpowiedział profesor. – A ty?

Gala pokręciła głową przecząco.

– Im się nie ma co dziwić! – zawołała Maniunia. – Oboje są nienormalni, ale dlaczego Hootch się nie odzywał?

– Właśnie – zaintrygowała się Kicia. – Dlaczego?

– Dlatego, że był zajęty jedzeniem kurczaka, którym ktoś usłużnie go karmił – westchnął pułkownik, wskazując palcem na stertę kości.

– Misza! – oburzyłam się. – Wepchnął pan w mopsa prawie dwa kurczaki!
– Nie wiem – wymamrotał zakłopotany profesor. – Jakoś tak wyszło, on prosił, a ja mu dawałem...

– Dobra – westchnął Aleksander. – Powiedzmy, że chciałem się po prostu wykąpać!

Nazajutrz rano dodzwoniłam się do Kariny. Biedną kobietę niemal zatkało ze strachu. Potem dosyć głupio zaczęła zaprzeczać:

– Nie znam żadnej Wandy Nikitinej!

– Czyżby? – szydziłam. – Dobrze, wyślę fotografię pani mężowi, niech sam sprawdzi, jak było.

– Nie trzeba, na miłość boską, niech pani mnie nie gubi – płakała Karina. – Ile pani chce za milczenie?

I ta do mnie z tą śpiewką. Choć nie potrzebuję pieniędzy, gwałtem mi je wciskają.

Biedna Karina musiała chyba oszaleć, bo zaproponowała mi spotkanie w McDonaldzie. Wyobraziłam sobie pełną dzieci salę i kazałam pani Sołomatinej przyjść do restauracji „Kapitan” przy Leśnej. O ile pamiętam, nigdy tam nie ma tłumów.

Przyjechałam zgodnie ze swoim zwyczajem dziesięć minut wcześniej, ale Karina już siedziała przy stoliku. Piękną, rasową twarz pokrywały czerwone plamy. Wypielęgnowane ręce, najpewniej nieznające prac domowych, nerwowo skubały koronkową chusteczkę.

Kiedy kobieta mnie zobaczyła, poderwała się i niemal krzyknęła:

– Zdjęcia pani ma?

– Mam – uspokoiliam ją, pokazując fotografie.

Karina Sołomatina najpierw zalała się czerwienią przechodzącą w fiolet, potem zrobiła się niebieska, w końcu oznajmiła tragicznym głosem:

– Wiedziałam, że to się tak skończy. Zawsze podejrzewałam Wandę o nieuczciwość. A teraz chce jeszcze zarobić na szantażu! Widać mało jej przyniosłyśmy dochodu...

Łzy bezsilnej złości popłynęły z perfekcyjnie umalowanych oczu. Dzięki Bogu, wynaleziono jednak tusz odporny na wilgoć, więc krople, które ściekały po policzkach, były przezroczyste.

– Ile na mnie zarobiła ta bandytka! – zaliła się Karina. – Pewnie siedzi na forsie, a mnie, żmija, płaciła grosze...

Patrząc na rubinowe kolczyki i futerko z delikatnych karakułów, trudno było uwierzyć w skrajną nędzę ich właścicielki. Ale Karina nie przestawała lamentować:

– Jestem żebraczką, nie mam ani grosza, ale oddam wszystko, co mam! Może być w naturze?

– W czym? – przeraziłam się.

– W naturze.

– Co ma pani na myśli?

– No, choćby te kolczyki – wykrzyknęła rozpaczliwie, dotykając palcem ucha.

Nieźle się musiała wystraszyć! Najprawdopodobniej biżuterię podarował jej kochający mężulek, któremu trudno będzie potem wyjaśnić, gdzie się podział prezent.

– Pieniądze nie są mi potrzebne – próbowałam uspokoić histeryczkę, ale tylko jeszcze bardziej ją nastraszyłam.

– A co? Czego pani potrzebuje? – zaczęła powtarzać w kółko, szcękając idealnie równymi implantami.

– Kilku informacji.

– Nic nie wiem – powiedziała szybko Karina.

– Kto panią poznał z Wandą? Jak ona werbuje kobiety?

Karina westchnęła.

– To chytra bestia. Nie wiem, jak z innymi, żadnej tam nie widziałam; ale ze mną było zupełnie zwyczajnie.

Wanda spotykała się z Kariną na różnych imprezach – promocjach, premierach i urodzinach wspólnych znajomych. Obie prowadziły światowe życie, stale obracały się w kręgach elity. Dlatego madame Sołomatina wcale się nie zdziwiła, kiedy Wanda zadzwoniła i zaprosiła ją na walentynki. Wciąż szukające pretekstu do spotkań towarzystwo wymyślało coraz to nowe okazje.

Karina zdziwiła się od razu, gdy tylko przyszła. W wielkiej jadalni usiadły przy stole raptem trzy osoby: Wanda, nieznajomy mężczyzna o władczym głosie i ona. Kolacja upłynęła im bardzo miło. Gospodyni kilka razy na dłuższy czas opuszczała gości, a facet obsypywał wówczas Karinę komplementami.

Następnego ranka skoro świt zadzwoniła do niej Nikitina.

– Kochana – szczebiotała w słuchawkę – zrobiłaś wczoraj na Lwie olbrzymie wrażenie. Mówi ciągle tylko o tobie, po prostu oszalał na twoim punkcie. Bądź tak dobra i przyjedź dzisiaj przed siódmą, napijemy się kawki, pogadamy; wiesz, jest po prostu zakochany... Ale ma tak wysoką pozycję, że nie może pokazywać się w miejscach publicznych, od razu zbiegną się reporterzy, napstrykają zdjęć...

Każdej kobiecie jest miło, kiedy ktoś okazuje jej zainteresowanie. Karina zaś zupełnie nie była zmanierowana. Nie tak dawno obchodzili z Władimirem srebrne wesele. Ginekolog, zajęty ostatnio wyłącznie kliniką i rozszerzającą się wciąż klientelą, właściwie nie bywał w domu. Karina nie miała żadnego zawodu, nigdy nie pracowała, zawsze tylko była gospodynią domową. Ale dzięki majątnemu mężowi mogła sobie pozwolić na służącą. Dzieci Sołomatiniowie nie mieli. Karina kupiła sobie perską kotkę i całymi godzinami rozczesywała sierść ulubienicy. Nie

opuszczała ani jednej wystawy kotów, z zapamiętaniem kolekcjonując medale i rozetki, które dostawała Murka...

Ale i tak większą część dnia spędzała, leżąc bez celu na kanapie albo przed telewizorem, zwłaszcza że dobry mąż kupił antenę NTW-plus, zwiększając dzięki temu wydatnie liczbę dostępnych kanałów.

Niestety, duże pieniądze zmieniły i Władimira. Kiedy pracował jako zwyczajny lekarz w szpitalu i dorabiał skrobankami, wcale nie był skąpy: oddawał żonie wszystkie zarobione pieniądze, zostawiając sobie zaledwie parę groszy na papierosy. Teraz to się raptownie zmieniło. Pomoc domowa dostawała od Sołomatina określoną sumę i musiała rozliczać się z wydatków. Karinie Władimir wydzielał środki finansowe, bez końca powtarzając, że nie ma w piwnicy drukarni pieniędzy. Kiedyś żona nie wytrzymała i oświadczyła, że obrzydły jej niekończące się wymówki. Dzieci nie mają, dla kogo tu odkładać?

– Chyba nie myślisz, że będę pracował do samej śmierci? – odparł ginekolog. – Już teraz nie widzę tak dobrze, jak kiedyś. Z latami będzie jeszcze gorzej, a nie zamierzam egzystować za nędzną emeryturę. Ubóstwo można znosić, kiedy się jest młodym, na starość to po prostu hańba. Ty, moja kochana, w życiu nie zarobiłaś grosza, ciesz się więc, że masz rozsądnego i oszczędnego męża.

Po takim dictum żona przestała prosić o pieniądze, ale potrzebowała ich jak dawniej. Czuła się okropnie niezręcznie, przyjmując zaproszenia przyjaciółek. Wypadało choćby od czasu do czasu się rewanżować, stawiając obiady i kolacje w lokalach. A już całkiem poniżało ją to, że musi jeździć pod Moskwę do krawcowej i udawać potem, że jej ciuchy pochodzą z ekskluzywnych firm...

Krótko mówiąc, Karina znowu pojechała do Wandy. I znowu: kolacja przy świecach, dużo wina, znikająca gdzieś pani domu...

Z trudem przypominała sobie, co było dalej. Wydawało jej się, że to tylko sen. Sama nie wiedziała, jak znalazła się w luksusowej sypialni w ramionach czulego Lwa Andriejewicza.

Przebudzenie było koszmarne. Około dziesiątej wieczór pani Solomatina się ocknęła. Ktoś energicznie potrząsał ją za ramiona; zobaczyła uśmiechniętą twarz Wandy.

– Wyspałaś się, kochana?

Pokręciła bolącą nieznośnie głową; ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Ale tamta podała jej dosyć grubą kopertę.

– Weź, moja droga. Lew zostawił coś dla ciebie.

W środku była dosyć duża suma. Karina o mało nie zwymiotowała: zapłacono jej jak prostytutce! Ale następnego dnia już nie wydawało się jej to taką tragedią. Zaprosiła do restauracji trzy przyjaciółki i kupiła luksusowe pantofle.

Pieniądze jednak mają pewną niemiłą cechę – bardzo szybko się kończą. Dlatego kiedy po tygodniu Wanda zadzwoniła znowu i poinformowała uprzejmie, że pan Lew jest w Moskwie, Karina w te pędy pobiegła do niej, z góry ciesząc się na zawartość koperty. Potem nastąpiły spotkania z czarującym Siergiejem i znacznie mniej pociągającym Glebem... Nazwiska partnerów się zmieniały, stałym elementem pozostawała tylko koperta z pieniędzmi.

A teraz pojawiłam się ja z kompromitującymi zdjęciami. Był to niewątpliwie powód, żeby stracić głowę. Dlatego Karina zaczęła mi proponować za milczenie coraz to nowe kosztowności.

– Czy to pani własność? – przerwałam potok szlochów i pochlipywań.

Karina Sołomatina przestała narzekać i z zaciekawieniem spojrzała na torebkę.

– Droga rzecz!

– Ale czy należy do pani?

– Nie.

– Wie pani, czyja jest?

Karina przesunęła palcem po kształtnym nosie.

– Gdzie ja widziałam taką torebkę? Całkiem niedawno ktoś ją miał w ręku, a może leżała na stoliku...

Westchnęłam. Pewnie to było w holu u Nikitinów, skąd właśnie ukradła ją Maja.

– Przypomniało mi się! – radośnie krzyknęła Karina. – Oczywiście, u Loli! Widzi pani, przy rączce jest złota litera „W”? Lola mówiła jeszcze, że torebka jej się bardzo podoba, ale nie lubi mieć niczego z cudzym monogramem. Doskonale pamiętam. Siedziałyśmy w „Nationalu” i Lenoczka Matwiejenko zapytała, dlaczego jest na niej „W”, a Lola na to:

– Dlatego, że chłopcy to durnie. Zobaczył w sklepie i kupił dwie naraz, na literę nie zwrócił uwagi, no, czy nie kretyn? Właściwie trzeba ją wyrzucić, ale prezent jest od syna przyjaciółki. Kupił taką swojej matce i mnie, dlatego chociaż to bez sensu, czasem muszę ją nosić. Skłamię kiedyś, że mi tę torbę ukradli.

Nawet nie musi kłamać, przemknęło mi przez myśl, ale na głos powiedziałam coś całkiem innego:

– Lola? Kto to jest?

Karina poczuła się w swoim żywiole. Brudne plotki – tak, to było coś dla niej.

Pani Sołomatina nieco się uspokoiła, zapaliła papierosa i poinformowała:

– Lapanalda Artaszewsowna Momogagebian – to ci dopiero! No, niech pani sama powie, czy ktoś w Moskwie to wymówi od razu?

– Pewnie nie. – Uśmiechnęłam się. – Pierwszy raz coś takiego słyszę. Lapanalda!

Karina wyjaśniła:

– Imię wymyślił dziadek Loli, to skrót od słów „Obóz papaninowców na krze” –

Lapanalda. Był radiotelegrafistą, latał na biegun północny po członków wyprawy Papanina. Wie pani, był kiedyś taki podróżnik, jeszcze w latach trzydziestych...

Kiwnęłam głową. Czy ona myśli, że nie uczyłam się historii?

– A w pierwszej klasie dzieci przechrzcili ją na Lolę – ciągnęła Sołomałina. – I tak zostało, ona zresztą inaczej się nie przedstawiała, co jest całkowicie zrozumiałe!

– Gdzie Lola pracuje?

– O, prowadzi elegancki biznes – agencję turystyczną. Wysyła naszych Bóg wie dokąd na Bahamy, do Tunezji, Maroka, nad Wielkie Jeziora amerykańskie!

Najwyższy standard! Zarabia kupę forsy!

– To znaczy, że Nikitin nie pomagał jej finansowo?

– Jaki Nikitin? Aha, Aleksy? Wie pani – Karina rozgadała się na dobre – nie mogłam wyjść z podziwu, jak się między nimi układa. No, niech pani sama powie: niby dla niej zostawił Wandę, ale trudno w to uwierzyć.

– Dlaczego?

– Zna pani Wandę?

– Nie.

– Jak pani ją zobaczy, to pani zrozumie. Takich osób się nie rzuca, to kobieta-przeznaczenie; piękna, mądra, chociaż łajdachka i żmija. Lola, oczywiście, też niczego sobie, ale o wiele bardziej zwyczajna. Pierwszy gatunek, że tak powiem, ale nie ekstraklasa. No więc powiedzmy, Aleksy przychodzi gdzieś z Lolą. Natychmiast ją zostawia i zaczyna zajmować się innymi paniami. Ona nie pozostaje mu dłużna, po chwili otacza ją cały wianuszek wielbicieli. Potem wracają do siebie i wychodzą razem.

Westchnęłam. Znam takich dwoje, z których każde bardzo lubi flirtować z obcymi w obecności tego drugiego. I nic, wciąż są razem i opowiadają sobie nawzajem o swoich romansach. Ale Karina plotkowała nadal.

– No i ten chłopaczek!

– Kto?

Okazało się, że Lola poznała gdzieś młodego chłopaka, Jegora Atamanienkę, i wszędzie zabierała go ze sobą.

– Śmiechu warte – z drwiącym parsknięciem opowiadała Karina. – Zatrudniła go w swojej agencji, chodziła z nim pod rączkę na wszystkie imprezy. Cyrk! Z przodu Aleksy, z tyłu ta słodka parka. Chłopczyna dwa razy od niej młodszy! A ta robi słodkie oczy i szczebiocze: „On zastępuje mi syna”. Ha! Znamy, znamy takich synków!

– Gdzie się mieści agencja Loli?

– Priamikowa dwa – poinformowała Karina ochoczo.

Adres wydał mi się znajomy. Zdaje się, już jeździłam na tę ulicę, tylko po co?

Rozdział 13

Nazajutrz postanowiłam dotrzeć do pani o egzotycznym imieniu. Do domu już kiedyś mnie nie wpuściła, spróbuję dopaść ją w pracy. Ledwie podjechałam pod dom numer dwa, od razu przypomniałam sobie, że znajduje się w nim wydawnictwo Nikitina. Tyle że „Świeca” zajmowała ubogi pokoik, agencja „Albatros” zaś wyglądała po prostu wystrzałowo.

Cały parter dosyć długiego budynku mienił się i lśnił, wszędzie wisiły emblematy z białym ptakiem. Wystrój wewnątrz także świadczył o dostatku. Na podłodze leżała wykładzina dywanowa; idealnie białe ściany ozdobiono obrazami, drzwi wykonano z jasnego drewna. Przytwierdzono do nich tabliczki: Maroko, Singapur, okolice Moskwy, Francja. Pewnie interes rozkręcony jest na dużą skalę.

Na samym końcu korytarz się rozszerzał, przechodząc w recepcję czy sekretariat. Za biurkiem siedziała czarująca dziewczyna z szerokim amerykańskim uśmiechem. Kiedy mnie ujrzała, dosłownie rozkwitła ze szczęścia i oświadczyła od razu:

– Witamy w „Albatrosie”. Już zdecydowała pani, dokąd jedzie, czy też chce zasięgnąć rady?

Westchnąwszy, spojrzałam w jej wniebowzięte oczy i oświadczyłam:

– Tak w ogóle to Lola obiecała, że sama zajmie się moim wyjazdem.

Dziewczę rozkwitło jeszcze bardziej. Miałam wrażenie, że sama wzmianka o szefowej czyni ją bezgranicznie szczęśliwą.

– Jaka szkoda, Lola dzisiaj rano pojechała zbadać nową trasę!

– Nie rozumiem.

– Otwieramy jeszcze jeden kierunek – Wyspy Zielonego Przylądka. Podobno to rajskie miejsce! Przez okrągły rok temperatura powietrza dwadzieścia pięć stopni Celsjusza; temperatura morza taka sama; trzysta sześćdziesiąt słonecznych dni w roku i europejska obsługa za śmieszna cenę. Lola zawsze sama odwiedza ewentualne miejsca wypoczynku, potem dopiero sprzedaje skierowania. Polecieli z Jegorem o siódmej.

– Kiedy wróci?

– Za trzy lub cztery dni, dokładniej, niestety, nie mogę pani powiedzieć.

Wysłałam na ulicę i ucieszyłam się z nieoczekiwanej słonecznej pogody. Nie ma deszczu ani śniegu, chmury się rozprzeczły. Przechodnie zrobili się śmielsi, a ten i ów miał nawet na sobie jasne spodnie. Trochę to dziwne, jeśli wziąć pod uwagę, że jest listopad. Dobrze, poczekam na powrót przedsiębiorczej niewiasty, a na razie pojedę do hotelu „Inturist”.

Groźny ochroniarz z zasepioną twarzą zagroził mi drogę, ale jego ponura fizjonomia goryla w cudowny sposób się rozpogodziła, gdy tylko zobaczył francuski dowód tożsamości. Podeszłam do lady, położyłam tę cudowną książeczkę przed recepcjonistką i zdecydowanym tonem zapytałam:

– W którym pokoju mieszkał turysta z Francji, pan Basile Korzinkin?

Dyżurna, korpulentna dama w wieku pięćdziesięciu pięciu lat, pamiętająca dobrze czasy, kiedy cudzoziemców można było policzyć na palcach, westchnęła i spytała:

– Po co pani ta informacja?

– Pan Korzinkin zostawił w pokoju drobiazg, notes z telefonami. Nie przedstawia on żadnej wartości materialnej, ale jest mu niezwykle potrzebny, prosił mnie więc, żebym się dowiedziała, czy może pokojówka go nie znalazła.

– Mamy przechowalnię rzeczy znalezionych – nie poddawała się panusia.

Udałam, że się cieszę.

– To znakomicie!

Po dziesięciu minutach okazało się, oczywiście, że w przechowalni notesu nie ma, więc dyżurna niechętnie podała mi numer pokoju. Wjechałam na czwarte piętro i zaczęłam szukać pokojówki. Ładniutka dwudziestopięcioletnia dziewczyna świetnie zapamiętała Basile’a. Po pierwsze dawał dobre napiwki, po drugie, praktycznie w hotelu nie bywał.

– Oczywiście – zwierzała się dziewczyna – mało kto przyjeżdża, żeby siedzieć w pokoju. Wszyscy jednak wracają na noc, a pani znajomy jak w poniedziałek wyjechał, tak wrócił dopiero we wtorek. Brudny, aż strach! Pół dnia się potem mył i prał swoje rzeczy. Ja jeszcze się zdziwiłam – sam, w wannie, rękami! Jest u nas przecież pralnia, i to całkiem niedroga! A potem w ogóle przepadł. Przyjechała tylko kobieta, Rosjanka, bardzo ładna. Ja akurat weszłam do pokoju z odkurzaczem, a ona zabierała rzeczy...

Pokojówka najpierw się przestraszyła i uznała, że do apartamentu wtargnęła złodziejka. Ale kobieta od razu rozwiała jej wątpliwości, pokazując paszport Korzinkina. Z jej słów wynikało, że Basile mocno się przeziębił i leży u niej w domu; prosił tylko o spakowanie rzeczy. Dziewczynie zresztą było wszystko jedno. Pobyt został opłacony, a to, gdzie turysta mieszka, nikogo nie obchodzi. Kobieta zabrała torbę podróżną, a po kilku dniach numer zajął biznesmen z Berlina.

– A nie była to przypadkiem szczupła mała blondynka?

– Całkiem przeciwnie – wysoka, duża brunetka.

Lola! To ona zabrała walizkę Basile’a, co znaczy, że wie, czy przynajmniej wiedziała, gdzie jest Korzinkin. I gdzie przepadł na całą noc? Nie miałam pojęcia. No i ani razu do mnie nie zadzwonił! A przecież zawsze, ledwie zjawił się w Moskwie, od razu powiadamiał o swoim przyjeździe, odwiedzał nas, przekazywał pozdrowienia od Suzette.

Wróciłam do Łożkina, przywożąc kilka paczek z ciastkami. Należało spokojnie się zastanowić, co robić dalej. Ale jeśli gdzieś można pograć się we własnych myślach, to na pewno nie u nas w domu.

Z piętra dobiegały wrzaski bliźniaków i gniewny głos Serafimy.

– Co się stało? – Wsunęłam głowę do dziecinnego pokoju.

– Ańka chciała wypić szampon truskawkowy, a ja nie pozwoliłam! – wyjaśniła niania.

Dobra, tutaj wszystko w porządku. Mania jest w klinice weterynaryjnej, Arkady z Olgą gdzieś łązą, a gdzie Misza i Gala?

W jadalni zastałam mnóstwo zapisanych kartek i męskie kapcie, w salonie stertę pokreślonego papieru i jeden damski pantofel domowy. Może poszli do gabinetu, do komputera? Ale w przestronnym pokoju nie było nikogo, a na ekranie kręciła się wirtualna niebiesko-biała piłeczka... W sypialniach pusto... Gdzież się wszyscy podziali? Nawet psy zniknęły. Na pewno chodzą po ogrodzie.

Nikt jednak nie spacerował po zasypianych gnijącymi liśćmi ścieżkach. Chociaż świeciło słońce, było dosyć zimno, a nasze psy są wielkimi miłośnikami ciepła i w taką pogodę wolą spać, wtulając się w koce. Pary też nie było.

Wróciłam do domu i poszłam do kuchni, ale Irka i Katierina, spokojnie oglądające telewizję, tylko wzruszyły ramionami.

– Są gdzieś tu, do miasta nie pojechali – poinformowała mnie służąca.

Weszłam na piętro i otworzyłam na oścież drzwi do sypialni syna i synowej. Na łóżku Olgi spokojnie leżał profesor. Na nocnej szafce ujrzałam górę łupin od fistaszków, kilka skórek banana i dwa plastikowe kubki po lodach... Obok, na łóżku Kieszy, leżały pitbull i rottweiler. Pyski miały całe w okruchach chipsów. Matematyk czytał grubą książkę, od czasu do czasu wsuwał rękę do dużej torby z napisem Pringles. Psy, radośnie merdając ogonami, czekały, aż im coś da. Hootchuś ułożył się na brzuchu profesora, Julie i Cherry spokojnie spały w fotelach. Ani terierka, ani pudlica nie lubią słonych rzeczy, wolą coś słodkiego.

– Misza! – wściekłam się. – Co pan tu robi?

Mężczyzna oderwał się od książki i przez chwilę spoglądał na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Potem niespodziewanie ocknął się, wrócił do pozycji

siedzącej i spytał:

– Dasza? Jestem pani potrzebny?

Gwałtowny ruch spowodował, że Hootch stoczył się na drugą połowę łóżka. Ale był tak objedzony, że nawet się nie ruszył.

Rozzłościłam się nie na żarty.

– Mopsowi nie wolno dawać tyle jeść!

– Ale on prosi – próbował się usprawiedliwiać Misza.

– Ten psiak nie ma sygnału stop, będzie jadł, póki nie pęknie. I dlaczego leży pan w tym pokoju?

Misza ze zdziwieniem rozejrzał się po sypialni:

– A ja tu nie mieszkam?

– Nie, do pańskiego eremu prowadzą następne drzwi.

– Rzeczywiście – wymamrotał profesor. – To mi się nawet wydało dziwne. Rano budzę się – jedno łóżko, przyjdę za dnia – dwa, a wieczorem znowu jedno!

– Po prostu cały czas myli się pan i przychodzi dzień w dzień do pokoju Arkadego. A więc to pan jadł w łóżku?

Matematyk zaczął zawijać kosmyki włosów.

– Taki odruch. Przywykłem, wie pani, pracować i jeść, no więc wziąłem najpierw lody, potem fistaszki, a tu jeszcze Manusia przyniosła chipsy...

– Dobra – przerwałam te wyjaśnienia. – Posprzątamy tutaj, i niech pan idzie do siebie, bo zaraz wróci Olga i zacznie się awantura.

– Ma pani rację, strasznie głupio wyszło... W dodatku otworzyłem szafę i zastanawiałem się, skąd tutaj damskie rzeczy?

Zaczęłam wypychać wariata za drzwi. Następnie sama uprzątnęłam resztki jedzenia, strząsnęłam skorupki i okruszki z narzuty i wypędziłam psy, po czym zapukałam do Miszy.

– A gdzie jest Gala?

– Kto? Jaka Gala? – Znowu z trudem oderwał się od książki.

– Gala Wiereszczagina, fizyk teoretyk – wyjaśniłam cierpliwie.

– Ach, Galinka! Gdzieś wyszła. Zdumiewająca kobieta. Wyjątkowy, jasny umysł, absolutnie niestandardowe myślenie, olśniewająca logika i niemal encyklopedyczna wiedza. Do tej pory nie spotykałam podobnych kobiet. Po prostu wspaniale się czuję w jej towarzystwie.

Zamknęłam po cichu drzwi i poszłam do siebie. I jakże tu, powiedzcie sami, można swatać takiego osobnika? Przecież ledwie po dwóch minutach zapomina imienia ukochanej!

Pół nocy wierciłam się bezsenność i w końcu znalazłam genialne rozwiązanie. Według Suzette, Basile przyjechał, żeby odzyskać skarb zakopany przez sprytnego

dziadunia. To oczywiście jakaś bzdura. Co prawda, jeden z naszych znajomych nagle się wzbogacił i kupił ogromne mieszkanie na Starym Arbacie. Apartamenty, ostatni raz remontowane w roku tysiąc dziewięćset szesnastym, zamieniono na komunalkę, i tak było aż do niedawna. Potem lokal przechodził z rąk do rąk, a nowi właściciele poprzestawali na malowaniu sufitów i wymianie tapet.

Można sobie wyobrazić minę Piotra, kiedy wszedł po raz pierwszy do zapaskudzonych pokoi. Wziął się jednak na serio do roboty. Wszystko musiało być nowe – sanitariaty, podłogi, drzwi i okna. Akurat kiedy robotnicy zabrali się do wyłamywania starych ram okiennych, zdarzyło się coś niesłychanego. Zaledwie oderwali parapet, a już z niewielkiego wgłębienia wypadło metalowe pudełko z napisem „Landrynki”. Piotr nie stracił kontenansu. Szybko schował je do kieszeni, a majstrom postawił kilka butelek wódki i zakąskę.

W pudełku znalazł trzy śliczne bransoletki i kilka dosyć dużych drogich kamieni – szmaragdów czy może brylantów. Krótko mówiąc, po ich sprzedaży starczyło pieniędzy na remont i jeszcze trochę zostało. To było w dziewięćdziesiątym szóstym; skrytkę najprawdopodobniej zrobił dawny właściciel, wzięty moskiewski adwokat, od razu po rewolucji wyrzucony z mieszkania przez bolszewików. Pewnie myślał, że ten bajzel długo nie potrwa... Kosztowności leżały sobie tak prawie osiemdziesiąt lat...

Może i to, co ukrył Nikołaj Korzinkin na cmentarzu we wsi Gorłowka, też czeka spokojnie na właścicieli? Basile pewnie teraz tam jest. Ale dlaczego się zatrzymał na tak długo? Po prostu zachorował: kopał na deszczu w wilgotnej ziemi, dostał zapalenia płuc i leży w jakimś wiejskim szpitalu, zajeździe albo w chacie...

Wyobrażam sobie, jak go tam leczą! Pewnie ma czterdzieści stopni gorączki, jest nieprzytomny... Muszę natychmiast jechać do Gorłowki i szukać Basile’a. Mieszkańcy naturalnie wiedzą, gdzie się podział przybysz. Choćby wieś była nie wiem jak duża, wieści rozchodzą się błyskawicznie. Tyle że Basile nie afiszuje się ze swoim francuskim obywatelstwem; po rosyjsku mówi, jakby się urodził w Moskwie, nawet przeciąga sylaby stołecznym zwyczajem. Tak, zaraz pojedę do Gorłowki.

Ledwie doczekawszy ósmej, popędziłam do biblioteki. Mamy świetne wydawnictwo, które dziesięć lat temu ofiarował mi jeden z wdzięcznych studentów – *Atlas wojskowy*. Okolice Moskwy przedstawione są w najdrobniejszych szczegółach; naniesiono na nie nie tylko szosy, ale i polne drogi, dróżki, do najmniejszej niemal ścieżynki. Wpadłam do pokoju i natknęłam się na siedzącego przy biurku Arkadego.

– Mama? – zdziwił się. – Dlaczego się zerwałaś tak wcześnie?

– Chcę zajrzeć do atlasu. A ty pracujesz?

Kiesza chrząknął i wyprostował się.

– No powiedz, dlaczego wiecznie muszę bronić jakichś idiotów?

Tak, to dobre pytanie. Syn długo studiował i w odróżnieniu od wielu kolegów

nigdy nie opuszczał zajęć. Wyższe wykształcenie miał „podwójne” – skończył prawo na uniwersytecie moskiewskim i na paryskiej Sorbonie. Wydawało się, że takiego adwokata będą sobie wyrywać z rąk. Okazało się, że wcale nie.

Najpierw był po prostu konsultantem prawnym, odpowiadającym na pytania w rodzaju: „Ile dni zwolnienia przysługuje choremu na wrzód żołądka?”. Oskarżeni z kryminalnymi paragrafami woleli zwracać się albo do kogoś starszego, albo do pań o wilczym spojrzeniu, moich rówieśnic. Zrozpaczony Arkady zapuścił rzadki wąsik, przez co przypominał nieogolonego kogucika. Marny puszek nad wargą nie dodał mu jednak powagi. Z czasem sprawy mimo wszystko ruszyły z miejsca i pojawili się pierwsi klienci: drobny oszust, sprzedający jako pierwszego gatunku „Arabicę” coś, co dawno już straciło smak i wygląd kawy; student, który spił się do nieprzytomności i ukradł w kiosku dwa snickersy; pijak, który włamał się na podwórzu do auta sąsiada... Myślę, że wystarczyłoby im solidnie sprać tyłek i odesłać do domu. Ale wobec drobnych przestępców rosyjskie prawo jest surowe; wszyscy oni powędrowali do mamra. Nie udało się załatwić, by mogli odpowiadać z wolnej stopy, nawet jeśli by się zobowiązali do nieopuszczania miasta; uznano ich za na tyle niebezpiecznych, że wszystkich zamknięto w Butyrkach.

– Gdyby zwolnić z aresztu wszystkich idiotów, kretynów i drobnych złodziejasków – gorączkował się Kiesza – można byłoby trzymać prawdziwych przestępców w normalnych warunkach. A tak to przecież i ludzi męczą, i często naruszają prawo: nie ma miejsca, więc współnicy trafiają do jednej celi! No powiedz, jakie zagrożenie stanowi gówniarz, który zwinął parę czekoladek? Dobra, sądziecie go sprawiedliwie, zakażcie oddalać się z miejsca zamieszkania, ale po co go zamykać?! Ale milicja ma swoje wyliczenie. Więzienia przepelnione? W porządku, widać organy pracują.

Potem zaczęły pojawiać się nowe sprawy; kilka bardzo poważnych, no a teraz kolejna...

– Chcesz przeczytać? – zapytał syn i podsunął mi swoje notatki.

Zaczęłam przeglądać kartki zapisane dużymi, wyraźnymi literami i przez chwilę nie wiedziałam, czy się śmiać, czy płakać.

Dwaj zupełnie porządni robotnicy, Gwozdiew i Podolski, spuścili z cysterny trzy litry spirytusu. Ucieszeni niespodziewanym sukcesem, przybiegli z puszką do kanciapy, gdzie spokojnie jadł obiad trzeci z uczestników tragicznej historii – Nikandrow. Robociarze chcieli uraczyć się zdobyczą, ale stwierdzili, że w owej wodzie ognistej pływają różne śmieci.

– Nie szkodzi. – Gwozdiew podrapał się w głowę. – Odcedzimy.

Od pomysłu do przemysłu droga niedaleka. Zaczęli szukać jakiejś szmatki, przetrząsnęli pakamerę – bez rezultatu. Wtedy Nikandrow wpadł na znakomity

pomysł.

– Chłopaki! – zawołał. – Żona kazała mi kupić pampersy dla córki, to przez nie przefiltrujemy.

Natychmiast rozerwali opakowanie pieluch, wyciągnęli jedną, podstawili pod nią ronderek, a z góry zaczęli ostrożnie lać spirytus. Kiedy wylali cały, radośnie zatarli ręce, podnieśli jakąś dziwnie ciężką pieluchę i osłupieli. W rondelku było pusto. Cały napój został wchłonięty. Rozwścieczeni, zaczęli wykręcać pampersa, ale ten nie uronił ani kropli. Tak jak obiecuje reklama, płyn zamienił się w żel. Pechowi robociarze rozłożyli diabelski wynalazek na czynniki pierwsze... i nic, zostały tylko lekko wilgotne wnętrzności. W jaki sposób trzy litry płynu zniknęły w niedużych papierowych spodenkach, pozostało niepojętą zagadką.

– O, kurwa! – tyle tylko zdołał powiedzieć Nikandrow.

– Wszystko przez ciebie, baranie – rozeźlił się Gwozdiew.

– Sam jesteś baran – odciął się Nikandrow.

Od słowa do słowa, wywiązała się bójka; podczas niej, mówiąc językiem protokołu milicyjnego, „ob. Gwozdiew użył niebezpiecznego narzędzia, którym zadał ob. Nikandrowowi siedem ran kłutych lub ciętych, co spowodowało zgon wyż. wymienionego”. Wynik tej pampersjady – jeden trup i jeden aresztowany. Właśnie Gwozdiew został klientem mego syna.

– Wyobrazasz sobie, jak zareaguje sąd, kiedy zapozna się ze sprawą? – spytał smętnie Kiesza. – No, powiedzmy sędzia jakoś się opanuje, ale ławnicy będą się śmiali do rozpuku!

Rzeczywiście, myślałam, wertując atlas, bardzo śmieszne. Ubaw po pachy: człowiek zginął z powodu paru litrów spirytusu!

Rozdział 14

Wieś Gorłowka znajdowała się, tak jak mówiła Suzette, czterdzieści kilometrów od Moskwy. Dość szybko dotarłam do miejsca, gdzie trzeba było skręcić. Potem jeszcze przez jakiś czas volvo podskakiwało na wybojach; w końcu zobaczyłam przed sobą małą, wąską i raczej brudną rzeczkę. Za most służyło kilka na wpół przygniłych żerdzi. Mowy nie było o tym, żeby sforsować go samochodem. W oddali, na pagórku, widać było chatki – to właśnie Gorłowka.

Zamknęłam samochód i weszłam na chwiejącą się przeprawę. Zmurszałe drewnianka groźnie podrygiwały. Ciekawe, jak tu dojeżdżają miejscowi? Przecież chyba dowożą im chleb, inne produkty żywnościowe czy chociażby pocztę.

Ale kiedy już dotarłam do wsi, zrozumiałam: Gorłowka jest wyludniona albo prawie wyludniona. Na wąziutkiej uliczce stało może dziesięć domów – pochylonych i szerniałych, otoczonych rozwalonymi płotami. Chaty straszyły wybitymi oknami, drzwi pootwierane były na oścież. Nie czekały psy, nie krzyczały dzieci, nie gdakały kury. Tylko jeden dom, ostatni, wyglądał na zamieszkanym. Na podwórzu majtało się na sznurku parę szmat, a na drzwiach wisiała ciężka, zardzewiała kłódka. Pomocowałam się z nią chwilę i westchnęłam. Może gospodarz jest gdzieś niedaleko, pojechał tylko po coś do jedzenia? Poczekam trochę, a na razie rozejrzę się po okolicy.

Droga biegła w dół i skręcała do lasu. Szłam powoli, wdychając cierpkie, jesienne zapachy. Dzień był nadzwyczaj ciepły i suchy, takie zdarzają się najczęściej w początkach października. Nagle jodły się rozstały, a przede mną wyrósł pusty piętrowy dom, z pewnością dawna siedziba szlachecka. Nad drzwiami wisiał odwrócony do góry nogami szyld: „Kolonie letnie przedszkola nr 2456”.

Wszystko jasne: w czasach radzieckich wiele takich placówek wywoziło swoich wychowanków pod Moskwę. Nieoceniona pomoc dla pracujących rodziców i samotnych matek. Kosztowało to grosze, a dziecko przez cały dzień było pod nadzorem, najedzone i na powietrzu. Z nadejściem dzikiego kapitalizmu instytucja kolonii zaczęła pomału obumierać; przed oczyma miałam właśnie taki zapuszczony

ośrodek.

W środku było kilka przestronnych pokoi, jedna wielka sala, kuchnia, łazienka; brakowało jednak mebli, a ze ścian zwisały pooddzierane strzępy tapet...

Wyszłam tylnymi drzwiami, przeszłam jeszcze kawałek wzdłuż rzeki i natknęłam się na cmentarz. Beztroskie jesienne słońce oświetlało zapuszczone groby. Człowiek instynktownie odsuwa myśl o śmierci, ale jeśli już ma być pochowany to najlepiej w takim miejscu – w zupełnej ciszy, nad rzeką, pod drzewami, gdzie śpiewają ptaki...

Pchnęłam zardzewiałą furtkę i weszłam na teren cmentarza. Dzielił się on na dwie części w jednej stało kilka pięknych marmurowych pomników, w drugiej – zwykłe drewniane albo metalowe krzyże.

Pierwszy nagrobek przedstawiał klęczącego anioła. „Glikeria Korzinkina, z domu Rokotowa, 1836-1901, Fiodor Korzinkin, 1829-1900”. Boże mój, to przecież przodkowie Basile’a! Następny był grób Michała i Warwary Korzinkinów, obok dziecięce pochówki – mały Piotr i dziewczynka, Ania, w samym kącie – Dormidont i Praskowia Korzinkinowie, którzy poumierali dawno, w latach 1856 i 1861.

W drugiej części cmentarza było wiele drobnych kopczyków, a na krzyżach różne nazwiska; ostatni pochówek sprawiono tutaj w roku osiemdziesiątym szóstym – pogrzebano Awdotię Kozłową. Żyła długo, urodziła się w roku 1906. W samym końcu stał zwykły drewniany, już poczerniały krzyż. Z trudem odczytałam litery „Panie, przyjmij do siebie niewinnie zamordowanych Andrieja, Marię i Trofima Korzinkinów, rok 1917”. To znaczy, że spoczywają tu pradziadek i prababka Basile’a, rodzice Nikołaja, zabici przez zbuntowanych chłopów! A grób małego Ziemcowa, domniemane miejsce ukrycia skarbu?

Wróciłam do „bogatszej” części cmentarza i zaczęłam się rozglądać. Z lewej strony, za płotem, dostrzegłam jeszcze jakiś wzgórek. Przelazłam przez ogrodzenie i zobaczyłam nieduży murowany obelisk z napisem „Przebacz, Boże, córce naszej grzech samobójstwa. Anastazja Korzinkin, lat 16, i Ziemcow, niemowlę”.

Biedna dziewczyna! Pewnie zaszła w ciążę bez ślubu i nie zniosła hańby – zabiła siebie i dziecko; dlatego mogiłka jest poza ogrodzeniem i nie ma na niej krzyża. Ale gdzie kamień, który trzeba obrócić?

Obeszłam cały pagórek. Nie było nawet śladu kamienia, tylko nieduży obelisk, mający mniej więcej metr wysokości. Może właśnie to miał na myśli umierający dziadek?

Pomnik z białego, lekko pociemniałego marmuru nie dawał się ruszyć z miejsca. Szarpałam go, starając się rozkołysać – wszystko na nic. Po półgodzinnych daremnych zmaganiach usiadłam na niedużej, trochę nadwerężonej marmurowej ławeczce i zapaliłam gauloise’a. Dobrze znany smak uspokoił nerwy potem zachciało mi się pić. Słońce świeciło mocno, szczerze oświetlając cmentarny pejzaż. W trawie,

ciągle jeszcze wysokiej i choć to listopad zielonej, błyszczał jakiś przedmiot. Usiadłam w kucki i podniosłam złotą zapalniczkę Ronsona z literą „B”. Tak, Basile był tutaj. Na tym sympatycznym gadżecie Kicia kazała wygrawerować pierwszą literę imienia Korzinkina i sprezentowała mu go na ostatnie Boże Narodzenie. Widać i Basile siedział na ławeczce; pewnie po coś się schylił, a płaski, mały drobiazg wysunął mu się z kieszeni.

Zaczęłam uważnie oglądać spód ławki, obmacałam nogę... Może właśnie ją trzeba obrócić? Nagle coś się przełamało pod moimi rękami, rozległo się ciche skrzypnięcie i obelisk lekko się przesunął. A to dopiero! W ławeczce ukryto mechanizm odsuwający kamień, a ja przypadkowo nacisnęłam „guzik” – kawałek marmuru, właśnie ten, który należało nacisnąć.

Podeszłam do skrytki i zajrzałam do środka. Nieduże, starannie zrobione wgłębienie, całkiem suche, bez żadnych pajęczyn. Jasne, że Korzinkin przyjechał na cmentarz i najprawdopodobniej znalazł skarb. Dziadek miał rację – na taki schowek trudno natrafić przypadkiem. Ja wiedziałam, gdzie szukać, a przecież niczego się nie domyśliłam.

Droga powrotna do wsi wydała mi się okropnie długa. Kiedy znowu ujrzałam zaniebane przedszkole, zwolniłam i popatrzyłam na wybite okna. A więc to jest właśnie kolebka rodu Korzinkinów, ukochany dom, w którym przeżywano radość wesel i smutek pogrzebów... Stoi nikomu niepotrzebny i umiera, podobnie zresztą jak i sam ród. Suzette i Basile nie mają dzieci, i wkrótce ta ostatnia gałąź uschnie.

We wsi podczas mojej nieobecności nic się nie zmieniło: panowała ta sama martwa cisza, tylko z drzwi domu, który wydawał się zamieszkały, zniknęła kłódka i ubyłó szmatek na sznurze.

Weszłam na przekrzywiony ganek i zawołałam:

– Jest ktoś w domu?

– Wchodź, otwarte – odezwał się rzeński męski głos.

Znalazłam się w obszernej kuchni. Plecami do drzwi stał chłop w łachmanach. W rękach trzymał uchwyt do garnków i grzebał nimi w olbrzymim rosyjskim piecu.

– Dzień dobry – wymamrotałam.

Gospodarz się odwrócił, a wtedy zobaczyłam, że jest jeszcze krzepki, ale okropnie stary. Całą twarz porały mu zmarszczki; wyglądała nawet nie jak pieczone jabłko, ale spękana gleba pustyni. Ciemna skóra – skutek letniej opalenizny, a może po prostu wieku; zapadnięte usta i niespodziewanie jasnochabrowe oczy pod siwymi krzaczastymi brwiami.

– Witaj, córciu, chyba że przyjechałaś sobie żarty robić – głośno odpowiedział gospodarz, ze stukiem stawiając czarny kociołek na podstawkę. – Dobrze trafiłaś, zdążyłaś prosto na kapuśniak. Siadaj, zjedz coś gorącego.

Zaczął grzebać w szafce, wyciągnął dwa talerze ze złotym napisem „Żywnienie zbiorowe”, aluminiowe łyżki i pojemnik z kawałkami kostropatej szarej bułki.

– Wybacz – powiedział – teraz sam piekę. Dawniej dźwigałem ze spółdzielni, a teraz już nie daję rady. Daleko trzeba chodzić, całych dziesięć kilometrów, przyniosę mąki, kaszy, cukru, masła i – zdechł pies. Jak żona żyła, to dobry chleb piekła, a mnie się nie udaje. Niby daję to samo, co ona, a wszystko na nic. A kiedyś tu i sklep był, i elektryczność, i gaz... Teraz nic, świeczkę palę.

– Czemu pan stąd nie wyjedzie?

– A dokąd? Dzieci pan Bóg nie dał, do domu starców nie chcę. Lepiej niech już mnie tutaj przy staruszce pochowają, przy Awdotii. Ostatniśmy z Gorłowki zostali, wszystko powymierało, teraz sam jestem. I tak sobie umyśliłem: zbiłem pudło z desek i wstawiłem do szopy. A tym na poczcie powiedziałem, że jak piątego nie przyjadę po emeryturę, to niech wiedzą, że umarłem. Pieniądze mogą sobie zabrać, tylko, mówię, włóżcie mnie do trumny i zakopcie. Obiecali, że tak zrobią. Pewnie już niedługo.

– Ile pan ma lat? – wyrwało mi się.

– W dziewięćset drugim mnie ochrzcili – odparł dziadek.

To już prawie sto lat! Jak on żyje tutaj sam? Staruszek chyba usłyszał moje myśli, bo powiedział:

– Normalnie żyję. Studnia dobra, mam ogród, sadzę kartofle, kapustę, marchew, buraki. Miałem kury, ale pozdychały, zarazy, a poza tym wszystko dobrze! Gazety kupię raz w miesiącu i czytam. Oczy widzą, uszy słyszą, głowa pracuje, po co się skarżyć i Pana Boga obrażać? Miastowe chłopcy w moim wieku już dawno nie żyją albo nie wstają z łóżka, a ja nawet okularów nie noszę.

Zaczął pałaszować krupy tak szybko, aż miło było patrzeć. Przyłączyłam się do niego. Zupa bardziej przypominała kaszę niż kapuśniak, ale była bardzo smaczna i dobrze pachniała. Raz-dwa zmiotłam wszystko z talerza, a dziadunio uśmiechnął się, kiedy usłyszał, że łyżka skrobie o dno.

– No i jak ci, córciu, podchodzi zupa z pieca?

– Wspaniała!

– Ano właśnie, to całkiem insza inszość. Nie taka, jak na gazie albo na nafcie.

Piec ma lepszy ciąg.

Sięgnął do wiszącego na oknie woreczka, odsypał stamtąd garść tytoniu z własnego ogrodu, skręcił z gazety „kozią nóżkę” i z zadowoleniem zapalił. Wyjęłam gauloise’y. Dziadek chrząknął na znak przygany.

– A to co znowu? Baba jesteś, palić ci się nie godzi! Pewnikiem i wódkę pijesz?

– Nie, tylko palę. A pan pewnie pamięta Korzinkinów?

– Państwa? Jakżeby nie! Piętnaście років miałem, kiedy dobrodziejów bolszewiki rozstrzelały.

– A powiadają, że to chłopci ich zabili...

Dziadek aż parsknął z oburzenia:

– My?! Swoich państwa?! Gdzieżby tam! Słuchaj no, jak to było.

Dziadek się zaczerwienił, czy to po zjedzonym kapuśniaku, czy też dlatego, że nagle znalazł chętną słuchaczkę. Opowiadał składowo, dodając różne istotne i mniej istotne szczegóły.

Korzinkinowie mieszkali w Gorłowce przez całe życie. W każdym razie prababka mojego rozmówcy wspominała, że gdy jej matka wychodziła za mąż, dostała od państwa chatę i krowę jako wiano. Należała do Korzinkinów w dawnych czasach nie tylko Gorłowka, ale także Siergiejewo, Kostino, Pawłowo, Marjino i jeszcze piętnaście innych wiosek. Byli to więc typowi dziedzice, wyzyskiwacze pracującego chłopstwa, jak pisano w moich dziecięcych podręcznikach historii.

W rzeczywistości jednak wyglądało to inaczej. Korzinkinowie zbudowali we wsi szkołę, szpital, otworzyli bibliotekę i nigdy żaden z chłopów nie został wychłostany. Na Boże Narodzenie, Wielkanoc i w dni imienin urządzali przyjęcia dla ludu z piernikami, samowarem i podarkami. Opiekowali się bezdzietnymi starcami i wdowami...

– Ej, co tam gadać – rozczulił się dziadek. – Byli dla nas jak rodzice, a my dla nich jak dzieci. Biedy nie zazналиśmy, byle każdy pracował uczciwie, chodził do cerkwi i nie pił wódki.

Alkoholizm tępony był bezlitośnie, pijaków zamykano w piwnicy. Jeśli zaś to nie pomagało, doktor leczył amatorów gorzałki okładami z lodu i jakimis ziołami, po których delikwent dostawał mdłości i biegunki.

– Dziesięć lat skończyłem – ciągnął stary – kiedy Maria Antonowna, Panie, świeć nad jej duszą, wezwała matulę i powiedziała: „Przyprowadź syna do dworu”.

Matka Prochora była pokojówką i powiernicą pani. Ale zachowywała dyskrecję i nie zdradzała pańskich tajemnic.

– Maria Antonowna miała dwóch chłopaczków – wyjaśnił Prochor – Trofima i Nikołaja; między nimi był rok różnicy. Do młodszego, Koli, państwo wzięli mnie za lokajczyka. Prawda, że trochę starszy był ode mnie, ale nic złego nigdy mi nie zrobił. Takeśmy sobie razem rośli: jak miał lekcję z nauczycielem, to i ja przy nim byłem, jak się bawił, to...

– Chwileczkę – przerwałam mu. – Coś się panu pomyliło. Nikołaj był jedynakiem, nie miał żadnych braci...

Prochor uśmiechnął się i spojrzał na mnie swoimi jasnymi oczami.

– Eee, dawne sprawy, nikt już z tamtych nie żyje. Historia się u państwa zdarzyła, miłosna niby...

Starsi państwo Glikieria i Fiodor mieli dwanaścioro dzieci, ale prawie wszystkie

poumierały, zostało tylko dwoje – Andriej i Anastazja. Chłopczyk był trochę starszy. Kiedy Nastia skończyła szesnaście lat, rodzice ku swemu przerażeniu stwierdzili, że córka jest w ciąży. Z obcych we dworze mieszkał tylko nauczyciel muzyki, Jelizar Ziemcow. Jemu więc przypisano winę i wypędzono go z domu bez odprawy. Ale po kilku miesiącach, kiedy niechciane dziecko przyszło na świat, Glikieria nabrała okropnych podejrzeń. Noworodek miał ciemnobłękitne oczy Andrieja i olbrzymie znamię między łopatkami, dokładnie takie samo jak wujek.

Matka zamknęła się z córką w sypialni, potem wezwano tam i ojca. Służba zrozumiała, że dzieje się coś niezwykłego, pochowała się po kuchniach i komórkach. Z pokoju Nasti nie dobiegał żaden dźwięk. Potem państwo stamtąd wyszli, Glikieria wyglądała jak niespełna rozumu, ręce jej drżały. Pokojówkom powiedzieli, że położnica śpi i nie wolno jej niepokoić.

Przed obiadem Fiodor kazał zaprząć bryczkę i złożyć na nią spakowane w pośpiechu rzeczy. Wyprawił Andrieja do Moskwy, do babki ze strony matki.

– Nie ma co się tu obijać – wyjaśnił. – Niech sobie poszuka narzeczonej na jarmarku...

Nastia nie zeszła na kolację, posłano po nią pokojówkę. Po pięciu minutach kobieta z krzykiem wpadła do jadalni. Znalazła dziewczynę wiszącą pod sufitem, koło pieca; w kołysce leżało uduszone niemowlę.

Ojciec i matka udali najpierw przerażenie, potem rozpacz i wezwali lekarza. Doktor tylko rozłożył ręce, a nieszczęśników pochowano za cmentarnym płotem.

Służba jednak cichutko szeptała po kątach. Marfa, która znalazła Nastię, mówiła swojej najbliższej przyjaciółce, że Glikierii i Fiodora wieść o śmierci córki wcale nie zaskoczyła, zdawali się jej nawet oczekiwać.

– Złękła się hańby – powiedział ojciec.

– Niech ją Bóg osądzi – westchnęła matka.

– Oni sami ją uśmiercili – rozpaczała Marfa.

Następnego dnia państwo dali pokojówce trochę pieniędzy, podarowali jej dom, krowę i najrozmaitsze sprzęty – rzekomo za dobrą służbę – i wyprawili dziewczynę do Potapowa, położonego o sto dwadzieścia kilometrów od Gorłowki. Dobrych kilka dni drogi końmi.

– Czyżby naprawdę zabili rodzoną córkę? – wyrwało mi się.

– A jakże – odpowiedział Prochor. – Straszny to grzech – z bratem dziecko spłodzić! Jeśli zdarzało się u panów coś takiego, to zawsze dziewczynę oddawali do klasztoru albo gdzieś daleko, do rodziny. A niemowlęta dusili, nieraz niańka dosypała im czegoś do mleka.

– Boże, dlaczego?

– Krwi strzegli, bali się potworków w rodzinie. Nawet jak dziecko normalne by

się urodziło, to jego dzieci już na pewno byłyby głupie.

– A córkę czemu wyganiali?

– No, przecież syna trzeba ożenić, dziewczucha zły przykład daje młodej żonie. A i knuć zacznie przeciwko niej, to na nic! I za mąż nikt jej nie weźmie – nadpsuty towar! Jedno zostaje: albo wymodlić przebaczenie, albo zostać starą panną przy dalekich krewniakach...

– To niesprawiedliwe – oburzyła się tkwiąca we mnie feministka. – Kobieta cierpi, a mężczyźni wszystko uchodzi na sucho. Do łóżka sama nie szła, tylko razem z bratem...

– On miał ród przedłużyć – oświadczył Prochor surowo – ożenić się, nazwisko zachować, a dziewczyna między ludzi idzie, do rodziny męża.

Andrieja Korzinkina rodzice potrzymali kilka lat w Moskwie, a kiedy zapomniano o sprawie, wezwali go do Gorłowki i kazali ożenić się z Marią Wiaziemską. Ale prawdziwej miłości w tym stadle nie było, chociaż młoda pani w dziewięć miesięcy po weselu urodziła syna, Trofima. Nie minął tydzień od jego urodzin, jak Andriej wdał się w romans z dziedziczką z sąsiedztwa, potem związał się z drugą, trzecią, krótko mówiąc – prowadził kawalerskie życie. A po śmierci rodziców zatracił już wszelki wstyd i całe noce spędzał poza domem.

Maria zajmowała się ogrodem: wciąż przycinała róże, chcąc wyhodować nową ich odmianę. Cicha, potulna, stale milcząca. Nikt nie słyszał, żeby kiedykolwiek podniosła głos. Latem zdarzało się, że wychodziła na cały dzień do lasu i wracała z naręczem kwiatów dopiero na kolację... Całkowicie zaskoczyła Andrieja jej druga ciąża, chociaż odwiedzał ją niekiedy w sypialni. Ale do reszty zdumiał się, kiedy zobaczył potomka. Oboje małżonkowie mieli włosy blond, jasną karnację i niebieskie oczy, a urodził im się chłopak ciemnowłosy, smagły i czarnooki.

– Wykapany dziadek – oświadczyła Maria z uśmiechem.

Służba znowu zaczęła szeptać. Im starszy był Nikołaj, tym wyraźniej było widać, że on i Trofim nie są z tego samego łoża. W końcu różnica ta zaczęła tak się rzucać w oczy, że młodszego wysłano na naukę do Moskwy. Między braćmi nigdy nie było wielkiej zażyłości. Starszy często bił Mikołaja i po cichu nazywał „bękartem”. Kiedy usłyszała to Maria, Trofima po raz pierwszy i ostatni wychłostano różgami. Od tej pory zaczął tylko uprzejmie uśmiechać się do brata i przestał z nim w ogóle się zadawać.

– To nic – wzdychała matka. – Podrosną, ożenią się, przydzielimy im wioski; zaczną gospodarzyć, to wszystko się ułoży. Z mojego dziadka był istny Cygan; on i prawnuk są do siebie podobni jak dwie krople wody, a Trofim po prostu zazdrości, przejdzie mu to z wiekiem.

W grudniu siedemnastego roku do Gorłowki przyszli czerwoni z papierem

nakazującym właścicielom opuścić dwór.

– Tera tutaj będzie szpital dla rannych, wynoście się, miłe państwo, jużście dosyć napaśli się – oświadczył podpity chłopak w szynelu.

Maria rzuciła się, żeby pozbierać srebra stołowe.

– A tego wam akurat nie wolno, obywatelko. – Dowódca uśmiechnął się złośliwie. – Konfiskujemy wszystko na potrzeby rewolucji.

Maria niepewnie popatrzyła na męża. Ten zaproponował uprzejmie:

– A może żołnierze chcą coś wypić i zjeść? Zarządź tam, co trzeba, kochana!

Od razu nakryto olbrzymi stół. Młodziutkie pokojówki z przerażeniem obserwowały, jak żołnierze rękami rozrywają na kawałki smakowity, pieczony drób. Z piwnic dźwigano rzadkie wina i koniaki. Wkrótce „konfiskatorzy” zaczęli śpiewać, a potem zapadli w ciężki, pijacki sen. Dla pewności do trunków dosypano im środka nasennego.

Kiedy krasnoarmiejcy spali, roztaczając woń niepranych onuc, służący i państwo miotali się po pokojach, zbierając najcenniejsze rzeczy. To i owo zakopali na podwórzu, część zabrali ze sobą.

– Nie na długo się rozstajemy, kochani – pocieszał Andriej, żegnając się ze służbą. – Wkrótce chamów przegonią i znowu wróci dawne życie.

Pożyczwszy ubrania od klucznicy i kucharza, pan z panią poszli drogą do wsi. Trofim, który przebrał się za koniucha, niósł walizkę z rzeczami i klejnotami.

W Gorłowce przenocowali. Rankiem żołnierze się obudzili, znaleźli Andrieja i Marię, wyprowadzili na dziedziniec i rozstrzelali.

– A tak dobrze ich sołtys chował – wzdychał Prochor – ale znaleźli... i zaraz za chatą załatwili...

Pod wieczór wierni słudzy sklecieli trumny i pochowali państwa na cmentarzu.

– A Trofim?

Prochor przestał kaszleć i na ostatek powiedział:

– No cóż, komunistów przeklętych dawno już nie ma. Uratował się chłopak.

Córka Jewłampii, Awdotia, leżała chora, zmogła ją gorączka, położono więc Trofima obok niej, a żołnierze bali się wejść do chaty. Nasi panicza nie wydali, to i przeżył...

Wkrótce z miasta przybył Nikołaj i długo płakał na mogile rodziców. Pogodził się z bratem, młodzieńcy rzucili się sobie w objęcia i postanowili razem emigrować. Ale w noc przed wyjazdem Trofima chwyciła gorączka; oczywiście zaraził się od Awdotii. Razem z nim zachorował jeszcze jeden chłopak – Aloszka Nikitin.

– Sam uciekaj, synku, pókiś żywy – nakazała Nikołajowi Jewłampia. – Cóż, nieszczęście, ale że Trosza umrze, to pewne jak amen w pacierzu.

Koła wyjechał, zalewając się łzami i tuląc do siebie pieska Fokę. A Trofim

niespodziewanie wyzdrowiał, umarł za to Aloszka Nikitin. Mądra Jewłampia kazała pochować nieszczęsnego razem z państwem, a na krzyżu wypisać imię Trofim. Prawdziwy Trofim dostał papiery Aloszki i żył odtąd jak chłopski syn, starannie ukrywając szlacheckie pochodzenie. Nikt ze wsi ani słówka nie pisał, nawet kiedy zrozumiano, że władza radziecka nastąpiła na serio i na długo.

Wyjęłam paszport Korzinkina i podsunęłam dziadkowi:

– Czy przyjeżdżał tutaj ten mężczyzna?

Prochor z wyteżeniem wpatrywał się w zdjęcie, potem zaczął pociągać nosem.

– Boże, wykapany Koleńka! Wyżył, znaczy się, mój pan, wysłuchał Zbawiciel modlitw!

– To znaczy, że Basile’a tu nie było?

Prochor jednak prawie nie zwracał na mnie uwagi.

– A to dobra nowina – powtarzał. – Rodzina nie wymarła. Dzieci Trofimka są zapisane jako Nikitinowie. Przyjechało tutaj dwoje, mężczyzna i kobieta. Aleksy Iwanowicz i Wiera Iwanowna. Mówili, że są wnukami Korzinkina, długo szukali po wsi, czy ktoś nie przechował dokumentów, aktu własności domu. Wszystko na próżno. Prawda, że nieboszczka Jewłampia, dworska ekonomka, coś tam ukryła. Ale córka Awdotia po jej śmierci wszystko spaliła. Bała się. Wnukowie Troszki bardzo się strapili, kobieta nawet adres mi zostawiła – na wszelki wypadek.

– Nie wyrzucił go pan?

Prochor podszedł do ikony i wyciągnął zza niej pomiętą karteczkę. Cóż, chyba niczego więcej się nie dowiem. Basile był tutaj, ale dziadka nie widział, zresztą pewnie nawet do głowy mu nie przyszło, że ktoś mieszka w opuszczonej wsi.

Wysłałam z domu i poszłam w prawo, do samochodu.

– Córciu! – krzyknął dziadek. – Na drogę to w lewo.

– Mam tam samochód.

– Coś takiego – zdziwił się Prochor. – Tamtą ścieżką się nie przejedzie, a i mostek rozwalony. Jedź prosto i skręć koło stróżówki.

Posłałam mu całusa. Dziadek odkasznął.

– Wiesz co, córciu, bądź taka dobra – jak masz auto, to pojedź do apteki. Dla ciebie niedaleko, a ja nie dojdę. Kup buteleczkę walokordinu... Poczekaj, pieniądze ci dam... Teraz jest drogi, zaraza.

Nie wzięłam rubli od dziadka, podjechałam do apteki, potem jednak przypomniałam sobie szarą bułę domowego wypieku i zajechałam do miejscowego supermarketu o dumnej nazwie „Zwycięzca”. Volvo ma duży bagażnik, ale i tak wszystkie zakupy się nie zmieściły, to i owo musiałam wrzucić na tylne siedzenie. Pudełka z makaronem i butelki z olejem słonecznikowym, paczki ryżu, kaszy jaglanej, perłowej i jeszcze jakiejś nieznanej mi – zwanej „Artek”. Trzydzieści kilo

mąki, dwadzieścia kostek masła, górę konserw wieprzowych, a prócz tego herbatę, kakao, cukierki, pięćset świec, lampę „Nietoperz”, butlę nafty, gazety, dwadzieścia różnych kryminałów, mydło, szampon... Przez najbliższą zimę Prochor nie będzie nic dźwigał z miasta, może tylko jeździć po emeryturę. Pomyślawszy jeszcze chwilę, kupiłam mu tranzystor i zapas baterijek – zawsze będzie mu się weselej żyło.

Kiedy dziadek zobaczył, że moje volvo przypomina teraz samochód handlarza obwoźnego, na chwilę stracił mowę.

– Gdzie to, po co, nie trzeba – bełkotał, kiedy sapiąc, taszczyłam worki i pudła.

– Prochorze – powiedziałam poważnie – wszystko to kazał mi dla pana kupić Basile Korzinkin, wnuk Nikołaja. Były właściciel pamiętał pana i lubił, to są podarunki od niego. Wiosną przyjadę, to przywiozę jeszcze.

Dziadek zapłakał, potem otarł oczy.

– Ej, że też żona nie dożyła tej radości... Jak masz, córciu, na imię?

– Dasza.

– To, Daszeńko, pojedziesz z powrotem i zobaczysz dwie drogi. Obie prowadzą do szosy, ale ty, dziecinko, nie jeźdź tą dobrą, tylko tam, gdzie beton położyli, skręć na przysiółek.

– Dlaczego?

Prochor zmieszał się.

– Koło wąwozu stoi chatka. Kiedyś mieszkał w niej kowal – Nikanor. Odludek, milczek, to i pobudował się osobno. Dom jest od dawna pusty. A teraz do niego jakieś waryjaty przyjeżdżają. Pomieszkają miesiąc i wyjadą. Teraz też jeden mieszka. Po rosyjsku ani w ząb. Ciągłe gada „mesje”, „mesje” – Francuz albo udaje Francuza. No to sobie myślę: po co uczciwi ludzie, w dodatku z obcego kraju, wybierają się na takie odludzie? Może to maniaki albo zabójcy chowają się przed milicją? Wciąż piszą w gazetach o jakichś okropnościach, morderstwach.

Podziękowałam dziadkowi i pojechałam z powrotem. Droga rzeczywiście się rozwidlała, przy czym jakoś niepostrzeżenie, po prostu nagle w krzakach mignęły betonowe płyty; kiedy jedzie się do Gorłowki, nie sposób ich dostrzec. Volvo mknęło rażno, podskakując na stykach. Serce zaś skakało mi z radości: chyba odnalazłam Basile’a!

Rozdział 15

Kowal rzeczywiście musiał być mizantropem. Nieduża chata stała w lesie i latem była całkiem niewidoczna. Teraz wszakże, kiedy drzewa utraciły listowie, ciemne bale ostro odcinały się od nagich pni. Zobaczyłam trzy okna, dwa miały szyby, skrajne zabito dyktą. Podeszłam do przegniłego, chylącego się ganku i zawołałam:

– Ej, Basile, wychodź, Daria Wasiljewa przyjechała po twoją duszę!

Odpowiedzią była cisza. Szarpnęłam zwykły żelazny skobel; nie było klamki. Drzwi nie drgnęły, nie usłyszałam żadnego dźwięku, ale zorientowałam się, że w dziurce tkwi klucz. To znaczy, że w środku ktoś jest, tylko po prostu nie chce się odzywać.

– Basile, nie wygłupiaj się! – krzyknęłam po francusku. – Suzette w Paryżu odchodzi od zmysłów, zlituj się nad żoną, dosyć zabawy w Robinsona Crusoe.

Zamek zazgrzytał, ciężkie drzwi się otwały, a na progu pojawił się wysoki, chudy blondyn w brudnych dżinsach i grubym swetrze. Zupełnie nie przypominał Basile'a. Nie zdążyłam się zdziwić, kiedy facet spytał nienaganną francuszczyzną:

– O Boże, pani z Paryża?

– Tak – odpowiedziałam. – Pan oczywiście też?

– Coś podobnego! – rozeźlił się dzikus. – Zostało jeszcze trzy dni! Jak śmieli przysłać kogoś nowego, poskarżę się agencji! Już drugi raz mnie niepokoją! A we wsi mieszka człowiek!

Kompletnie nic nie pojmując, na wszelki wypadek wyjaśniłam:

– Szukam pana Basile'a Korzinkina, wydawcy z Paryża!

Robinson Crusoe złagodniał:

– To znaczy, że nie będzie pani nocowała?

– Nie.

– Dobra, niech pani wejdzie.

Weszłam do chatki i natychmiast uderzyłam głową o niskie nadproże.

Rozcierając czoło, poszłam za gospodarzem do tak zwanej świetlicy. W środku stało żelazne łóżko ze starą siatką, przedpotopowy stół, dwa kulawe krzesła i kuta skrzynia,

prawdziwy rarytas. Każdy pracownik muzeum etnograficznego zaniemówiłby na widok czegoś takiego. Za obrus służyła gazeta, a na łóżku nie było widać żadnej bielizny pościelowej, tylko podartą watowaną kołdrę i poduszkę w brudnej wyspie.

– No – spytał Francuz nader nieuprzejmie – niech pani teraz powie po ludzku, czego pani chce?

Postanowiłam pokazać grubianinowi, gdzie jego miejsce, i siląc się na światowy uśmiech, zaszczebiotałam:

– Poznajmy się, jestem baronowa Natalie MacMeyer.

Francuzi to okropne snoby; i ten nie był wyjątkiem.

– Proszę, madame, niech pani siada, nazywam się Claude Rabel. Jakież to sprawy przywiodły tak czarującą osobę do tej głuszy?

Zauważyłam, że dzięki tytułowi od razu zyskałam w jego oczach, i powiedziałam:

– Szukam przyjaciela, Basile’a Korzinkina; powiedział, że jedzie na jeden dzień do Gorłowki, i przepadł.

– Jak to? – zdziwił się z kolei Claude. – Czyżby pani nie przyjechała do Rosji z biurem podróży „Albatros”? Nie jest pani turystką ekstremalną?

– Kim? – rozłościłam się nie na żarty. – Niech pan mi w końcu wytłumaczy, co to wszystko ma znaczyć?

Rabel się zacukał. Widząc jego wahanie, dodałam bezczelnie:

– Dopóki się nie dowiem, o co tu chodzi, nie wyjadę.

Claude westchnął. Pewnie uznał, że od takiej natrętnej baby niełatwo się uwolni.

Historia, którą opowiedział, okazała się interesująca. Pan Rabel kierował dużą firmą w Paryżu. Codziennie kręcił się jak wiewiórka w kole. Drażniło go wszystko – kapryśni i głupi klienci, tępi podwładni. W domu czekała postrzelona żonka i trójka uroczych nastolatków. Krótko mówiąc, nie miał spokoju ani w dzień, ani w noc.

Parę lat temu lekarze wykryli u niego wrzód żołądka i zabrali go do szpitala, gdzie poznał wesołego faceta imieniem Alexander. Alex opowiedział Claude’owi o wspaniałym relaksie, który organizuje chętnym rosyjsko-francuska agencja turystyczna „Albatros”. Turystyka ekstremalna, kosztuje bardzo niewiele, za to jakie doznania! Pobyty uwzględniają indywidualne upodobania, można zamówić wszystko, czego dusza zapagnie.

Ledwie Claude wyszedł ze szpitala, pobiegł do siedziby biura. Alex uprzedził, że rozmawiać warto tylko z panią imieniem Helene trzeba się powołać na Alexandre’a, powiedzieć, że to on dał adres. Bo interes nie jest całkiem legalny.

Miło się uśmiechając, Helene zaczęła opowiadać osłupiałemu Claude’owi o usługach. Można posiedzieć przez miesiąc w rosyjskim więzieniu albo obozie, pojechać do zapuszczonej wsi na głębokiej prowincji i mieszkać tam w takich samych

warunkach jak tubylcy. Proponowano też ekscytujące i lubiane przez wielu przygody – zostanie ofiarą gwałtu albo odegranie roli kata. Jedni bawią się w bezdomnych, inni w sutenerów, jeszcze inni mieszkają po prostu na którymś z moskiewskich osiedli-sypialni, mając jedynie trzysta rubli przy duszy. Podniecające bywa też zamknięcie w szpitalu psychiatrycznym...

Claude myślał, myślał, i w końcu postanowił zakosztować losu więźnia łagru. Już po dwóch tygodniach powitano go w moskiewskim oddziale „Albatrosa”. Piękna, postawna brunetka imieniem Lola odebrała mu paszport, mówiąc:

– Lepiej niech leży u mnie w sejfie.

Potem wsadzono Claude’a do auta i wieziono przez mniej więcej godzinę. W końcu samochód zatrzymał się przed tabliczką: „Stać, teren obozu!”. Wzdłuż wysokiego płotu zwieńczonego drutem kolczastym i szeregiem wież strażniczych doszli do jakiegoś budynku; tam Claude’owi wydano czarną kurtkę, takie same portki i czapkę. Konwojenci wepchnęli go do baraku.

W niedużym pomieszczeniu stały trzy piętrowe żelazne prycze, pomalowane na niebiesko. Szybko pojawili się „koledzy” – dwaj faceci o prostackich gębach. Claude zapamiętał ich imiona: Wania i Sasza. Więcej nic nie zrozumiał, bo nie znał ani słowa po rosyjsku. Co prawda, przez okres „odsiadki” kilku się nauczył – „chleb”, „herbata”, „cukier” i jeszcze paru przekleństw.

Popłynęły dni w zonie, podobne jeden do drugiego jak dwie krople wody. Pobudka, ścielenie, apel, praca, spacer. Trzy razy dziennie dawano jeść. Jedzenie było okropne, nie dawało się przełknąć. Strażnicy parę razy lekko dali Claude’owi po karku. Wania i Sasza mu nie dokuczali. Byli nawet życzliwi: częstowali go papierosami, dzielili się sucharami i herbatą, a po wieczornym apelu uczyli Francuza złodziejskiej kminy, natrzęsając się z jego wymowy.

Pobył w łagrze urządzono Claude’owi tak, że wcale nie stykał się z innymi więźniami. Z rzadka widywał stuosobową grupę, z dziarską piosenką na ustach maszerującą do stołówki, a w warsztatach, gdzie szyto brezentowe rękawice, każdy siedział przy swojej maszynie, i strażnicy ucinali wszelkie rozmowy.

Po dwóch tygodniach, najpewniej wskutek więziennej diety, wrzód zniknął, a w każdym razie przestał Francuzowi dokuczać. Potem skończyły się problemy ze snem. O dziesiątej wieczór Claude’owi powieki same się zamykały, zanim jeszcze złożył głowę na posłaniu. Minał tępy ból w potylicy. W ostatnim tygodniu odsiadki Rabel z niezwykłym apetytem zmiótł „zupę rybną” i kaszę z olejem silnikowym.

Do Paryża wrócił absolutnie zdrowy, wesoły i wspaniale wypoczęty.

W tym roku postanowił pożyć jak pustelnik. Tym razem przywieziono go do Gorłówki i zostawiono w chacie kowala z niedużym zapasem żywności. Z początku wszystko szło wręcz cudownie. Claude własnoręcznie wyszorował chatynkę,

dźwigając w wiadrze wodę z rzeczki. Całymi dniami krzątał się, gotując zupę i czyszcząc podwórze z kamieni. Kładł się spać o ósmej, wstawał koło szóstej. Właśnie w tej opuszczonej wsi przypomniało mu się, że w młodości pisał wiersze, zaczął je więc znowu układać. Świadomość, że jest całkiem sam, odcięty od świata, nappełniła go niezwykłym spokojem.

Ale zabawa szybko się skończyła. Paryżanin stwierdził najpierw, że we wsi mieszka staruszki. Prochor mu nie przeszkadzał, spotykali się rzadko, ale poczucie zupełnej samotności zniknęło. Potem zjawił się jakiś cudzoziemiec, mówiący po francusku.

– Korzinkin? – wyrwało mi się.

– Nie wiem, nie podał nazwiska.

– Ciemnowłosa, czarnooki, o smagłej cerze?

– Owszem, tak.

Gość zapukał w nocy do okna. Claude trochę się przestraszył i spojrzął na zegarek – była północ.

– Kto tam? – krzyknął po francusku, rozumiejąc, że to nie ma żadnego sensu. Nikt go przecież nie mógł zrozumieć.

Niespodziewanie usłyszał odpowiedź w ojczystym języku:

– Proszę otworzyć, na miłość boską, niech się pan nie boi.

Rabel otworzył drzwi i zobaczył mężczyznę, brudnego i usmarowanego jak nieboskie stworzenie.

– Przejeżdżałem w pobliżu – wyjaśnił tamten. – Przebiłem oponę, starałem się zmienić po ciemku koło, ale się nie udało. Niech pan nas przenocuje...

– Nas? – zdziwiłam się.

– No, tak, była z nim dziewczyna. Wysoka blondynka o prześlicznych nogach. Pomyślałem nawet: taki brzydka i taka ślicznotka!

– Co było dalej? – Całkiem jak Mania, przebierałam niecierpliwie nogami. – No, niech pan powie wreszcie!

– Kiedy nie ma o czym mówić – przynieśli z samochodu torbę z żywnością i zjedli kolację. Potem się położyli.

Claude odstąpił swoje łóżko dziewczynie, sam położył się na leżance, a mężczyzna jakoś urządził sobie legowisko na podłodze. Wczesnym rankiem gość zmienił koło, po czym parka odjechała.

Byłam rozczarowana.

– I to wszystko?

– Wszystko.

– Jak dziewczyna miała na imię?

Claude rozłożył ręce.

– Nie wiem, nie przedstawiła się. Zresztą i mężczyzna na pytanie, jak się nazywa, burknął coś niewyraźnie. Młody człowiek nie był zbyt dobrze wychowany.

– Młody?

– Tak, na oko mógł mieć jakieś dwadzieścia sześć lat, powiedzmy, dwadzieścia siedem...

Niepojęte. Wyjęłam paszport Basile'a i podsunęłam Claude'owi pod nos.

– To on?

– On – potwierdził Rabel. – Tylko że tutaj wygląda jak mój rówieśnik. Zresztą po francusku mówił z akcentem... Na pewno nie był Francuzem.

No tak. Basile zwariował do reszty: ucharakteryzował się i udaje młodego Romea, kaleczy paryską wymowę. A to dureń!

Claude był zbyt rozdrażniony, żeby zawierać bliższą znajomość z nieproszonymi gośćmi. Przez pół nocy, słuchając ich pochrapywania, obmyślał, co powie pracownikom „Albatrosa”. I wieś jest zamieszкана, i obcy ludzie go niepokoją. Moja wizyta ostatecznie wyprowadziła go z równowagi.

Chciałam pocieszyć nerwowego Francuza.

– Zaraz wyjeżdżam, interesował mnie tylko Korzinkin.

Claude patrzył podejrzliwie, jak idę do volva, a potem krzyknął:

– Chwileczkę! Pani pewnie będzie się widziała z tym Basile'em?

– Mam przynajmniej taką nadzieję.

– To niech mu pani przekaże coś, co ci dwoje tu zostawili. Zniknął w chacie i po chwili podał mi przez okno niedużą reklamówkę z napisem „Marlboro”.

Dojechałam do szosy, zatrzymałam się i zajrzałam do reklamówki. Nic specjalnego – składany damski parasol i *Sto lat samotności* Marqueza. No jasne, panna z kulturalnej rodziny nie wzięła ze sobą na drogę kryminału ani fantastyki, tylko snobistycznego Marqueza.

Do domu dojechałam przed dziewiątą wieczór, ostatecznie przestając cokolwiek rozumieć. Głowa mi pękała od nadmiaru informacji. Zaraz napiję się herbaty, zjem parę kanapek i pójdę do sypialni. Siądę w fotelu, spróbuję ogarnąć myślą sytuację.

W jadalni z kamienną twarzą robiła na drutach Olga.

– Hej, witaj – odezwała się głosem ze stali.

Przestraszyłam się, bo jej ton nie wróżył nic dobrego.

– Co się stało?

– To ja powinnam cię spytać, co się stało – wycodziła Ola prokuratorskim tonem i krzyknęła:

– Panie Aleksandrze, proszę tutaj!

Rozległy się kroki, do pokoju wszedł pułkownik. Kiedy mnie zobaczył, serdecznie się uśmiechnął i zapytał:

– Daszeńko, gdzieś ty latała? Pewnie jesteś zmęczona?

Ale ja doskonale wiedziałam, że takie zachowanie zapowiada rychłą burzę.

Dlatego starałam się nie denerwować przyjaciela.

– Najpierw jeździłam po sklepach, potem wstąpiłam do Polańskich...

– Aha, aha. – Aleksander pokiwał głową. – Napić się herbatki, poplotkować o tym i o tamtym, prawda?

– No właśnie – przytaknęłam ostrożnie, wyczuwając niebezpieczeństwo. – A jak tobie minął dzień?

– Mnie? Zwyczajnie. – Pułkownik uśmiechnął się pod nosem. – Za to Kicia miała niezwykle szczęście, same przygody. Oj, nie nudziła się dziewczyna!

Olga tylko parsknęła i zaczęła ostentacyjnie mieszać łyżeczką herbatę. Miarowe pobrzękiwanie wyprowadziło mnie z równowagi, nie wytrzymałam więc:

– No, mówcie, co się, u licha, stało?!

– Słuchaj! – wybuchnęła Kicia.

– Poczekaj; poczekaj – powstrzymał ją Aleksander. – Pozwolisz, że opowiem wszystko po kolei.

Rankiem do Olgi zadzwoniono z komisariatu milicji i poproszono, żeby przyjechała złożyć zeznania w sprawie Mai Kołosowej. Kicia nie miała pojęcia, o co chodzi, ale posłusznie zjawiała się w pokoju numer siedemnaście, gdzie przyjął ją surowy kapitan. Rozmawiali jak gęś z prosięciem – zero porozumienia.

– Niech pani opowie, jak zobaczyła ciało Kołosowej na balkonie – polecił milicjant.

– Kto to jest? – zdumiała się Olga.

Przesłuchujący nie dał za wygraną.

– Pani sąsiadka.

– Nie mam sąsiadów – broniła się synowa.

– Nie trzeba się denerwować, nie jest pani na razie o nic oskarżona – „uspokoił” ją kapitan.

Olga zaczęła się ciskać, śledczy – denerwować, i tak ciągnęło się to przez półtorej godziny. Milicjant wielokrotnie się upewniał:

– Pani jest Olga Jewgienjewna Woroncowa?

– Tak – potwierdziła Kicia.

I znów to samo. W końcu kapitana zmęczyły powtarzane w kółko odpowiedzi Olgi. Roześlony do reszty, przyprowadził do gabinetu jakąś staruszkę.

– Poznaje pani swoją siostrzenicę?

– No pewnie, witaj, dziecko drogie – odpowiedziała sąsiadka Mai, sklerotyczka Alewtina.

– Dlaczego pani wszystkiemu zaprzecza? – zaatakował śledczy Kicię. – Pani coś

ukrywa? Jak tak dalej pójdzie, to zatrzymam panią na trzy doby.

Ale Kicia nie na darmo jest żoną adwokata. Kiedy zobaczyła, że dzieje się coś, czego nie rozumie, oświadczyła twardo:

– Mam prawo do jednego telefonu i bez obrońcy nie powiem więcej ani słowa.

Kapitan się wściekł, ale podał jej słuchawkę. Biedaczka zdażyła tylko krzyknąć: „Panie Aleksandrze, niech pan prędko przyjeżdża”, jak już odebrano jej telefon, a ją samą wepchnięto na dołek – do chwili ustalenia tożsamości.

Nieporozumienie wyjaśniło się dopiero wtedy, kiedy przyjechał pułkownik. Pogadał z oficerami i od razu się zorientował, że „siostrzenica”, która podała się za Olgę Jewgienjewnę, była starsza. Elegancka blondynka w wieku trzydziestu pięciu lat, oczy błękitne, paliła papierosy z biało-niebieskiej paczki, a z miejsca zdarzenia odjechała volvem...

– Jak mogłaś? – ryknęła Kicia. – Co ci strzeliło do głowy, żeby się podawać za mnie?!

Rzeczywiście, to była kompletna głupota.

– A jeszcze mówią, że milicja źle pracuje – wyrwało mi się. – Czyżby w Moskwie była tylko jedna Olga Jewgienjewna? I jak Kicię znaleźli?

Aleksander spojrział na mnie i wybuchnął gromkim śmiechem.

– Jesteś nie do podrobienia! Przecież sama podałaś śledczym swój telefon domowy, a ci po prostu zadzwonili.

Rzeczywiście, drugiej takiej idiotki ze świecą szukać. Przyjaciel spowaźniał.

– Po co chodziłaś do Kołosowej?

– Ja? Nawet o tym nie myślałam i nie wiem, kto tam był!

Pułkownik znowu się roześmiał.

– Posłuchaj i rusz wreszcie głową, bo to po prostu śmieszne. Po pierwsze, w mieszkaniu zdjęto odciski palców. Do Mai Kołosowej rzadko ktoś wstępował, „palców” obcych ludzi nie ma wiele, zidentyfikują i twoje. Poza tym jest żywy dowód.

– Jaki?

Milcząca do tej pory Kicia krzyknęła:

– Kuka! Chodź tutaj.

Drzwi skrzypnęły, kudłata suczka wpadła do pokoju i z zapalem zaczęła merdać ogonem. Najwyraźniej niedawno została wykapaną, bo jej sierść błyszczała i przyjemnie pachniała szamponem. Na szyi Kuki ładnie prezentowała się nowa obroża.

– Proszę – powiedział pułkownik, podnosząc palec. – Zamordowana miała pieska mieszańca, wabił się Kuka. Pies zniknął po śmierci właścicielki.

Zrozumiałam teraz, co czują prawdziwi zbrodniarze pod ciężarem dowodów, i

poddałam się.

- No dobrze, byłam tam!
- Dlaczego podałaś się za Olgę?
- Przypadkiem tak wyszło.

Kicia zerwała się z krzesła i wybiegła z pokoju, z rozmachem trzasnąwszy drzwiami.

– Dobra – mruknął Aleksander. – Nie chcesz, to nie mów, ale musisz wiedzieć, że Kołosową przed śmiercią torturowano.

– Jak to?! – przeraziłam się.

– Okrutnie. Połamali jej palce rąk i nóg; na piersi i brzuchu są ślady oparzeń, nos miała złamany i parę zębów wybitych. Potem biedaczkę zastrzelili i wystawili na balkon.

– Boże, dlaczego?

– Sądząc po bałaganie w mieszkaniu, czegoś tam szukali. Przy czym, jeśli wziąć pod uwagę kilka rozdartych książek, zniszczony album ze zdjęciami i rozprutego pluszowego misia – starali się znaleźć nieduży, najpewniej płaski przedmiot.

Paszport Basile’a Korzinkina! Czyżby właśnie z tego powodu zabito nieszczęsną Maję?

– Jak myślisz – spytałam cicho – czy zbrodniarze znaleźli to, czego szukali?

– Któż to może wiedzieć? – rzekł z westchnieniem mój przyjaciel. – Mam nadzieję, że tak.

– Dlaczego?

– Dlatego, że w przeciwnym wypadku musiałbym przyjąć, że ów przedmiot jakimś sposobem dostał się w twoje ręce.

– Bzdura! – rzuciłam i wystraszyłam się.

– To po co chodziłaś do Kołosowej?

– Ależ nie u niej byłam, tylko u pomyłonej Alewtiny. Znam ją od dawna, teraz już zupełnie nie kontaktuje. Poszłam ją odwiedzić i zobaczyłam trupa na balkonie...

Dlaczego ją tam wynieśli?

– Żeby zapach z mieszkania się nie rozniósł. To ostatnie piętro, mało kto widzi balkon. Mieli nadzieję, że milicja nie od razu znajdzie ciało. Dlaczego udawałaś Olgę?

– Z głupoty, przestraszyłam się. Wiecznie się wplątuję w jakieś historie.

– To racja – westchnął Aleksander. – No dobra, zapytam staruszki, czy cię zna.

A pytaj, pytaj, grubasku, uśmiechnęłam się w duchu, nalewając sobie herbaty.

Nieźle się ubawisz, bo babunia jest kompletnie stuknięta.

Rozdział 16

Dobry nastrój opuścił mnie całkowicie, wystarczyło tylko, bym znalazła się sama w swoim pokoju. Biedna, biedna Maja. Taki straszny koniec ciężkiego, pełnego udruk życia. Czyżby biedaczkę zabito z powodu paszportu Korzinkina? Może nie zginęłaby, gdybym kazała jej zwrócić torebkę? Nie, raczej nie. Co stąd wynika? Lola w jakiś sposób domyśliła się, kto był złodziejem, i nasłała na Maję płatnych zabójców? Nie ma co, ładną właścicielkę ma firma „Albatros”! A gdyby tak wszystko opowiedzieć pułkownikowi? No cóż, od razu aresztuje Lolę, a ja nie znajdę Basile’a, Lola zaś wszystkiego się wyprze. Paszport dostałam od oszusta matrymonialnego, oprócz niego nie ma innych świadków.

Może jednak nie szukali paszportu, może wszystko było inaczej? Nie, ten pseudo-Korzinkin mówił, że obszukał mieszkanko, kiedy Maja spała. Jeszcze się zalił na skrajną nędzę „obiekta” – ani łańcuszka, ani pierścionka, ani pieniędzy. Pewnie spenetrował wszystkie kąty w poszukiwaniu zdobyczy. Ale na to wystarczyły mu zapewne dwie godziny. To znaczy, że jednak paszport.

Otworzyłam okno i ostrożnie zapaliłam, starając się, żeby mocny dym od razu ulatniał się do ogrodu. Domownicy nie palą i gniewnym chórem potępiają moją słabostkę.

Zrobiło się zimno. Z nieba zaczęły padać śnieżynki. Zima za progiem, wkrótce nadejdą mrozy... Lola! Niespodziewanie kobieta staje się główną postacią. Miałam dużo szczęścia, że nie chciała ze mną rozmawiać. A zatem uporządkujmy wszystkie informacje.

Dziadek Prochor mówił, że odwiedził go wnuk Trofima, Aleksy Nikitin. A zabity wydawca tak się nazywał, może to był właśnie on? Łatwo sprawdzić – mam adres, pojedę i się popytam. Ciekawe, czy skarb był na swoim miejscu? Kto wyjął go ze schowka? Gdzie się podział Basile? Jak daje sobie radę bez paszportu? A może...

Na czoło wystąpiły mi kropelki potu, a ręce zaczęły się okropnie trząść. Po raz pierwszy przyszła mi do głowy najprostsza myśl: Basile’a mogli zamordować. Ale kto? I gdzie są zwłoki? Pewnie Lola zna odpowiedzi na te wszystkie pytania, ale jak

ją pociągnąć za język? Może zresztą o losie Korzinkina wie coś tajemnicza towarzyska jego podróży na wieś? Tylko jak ją znajdę, nie znając imienia ani nazwiska? Mam jedynie parasolkę i książkę.

Zaczęłam wertować tom Marqueza. Na pierwszej stronie widniała pieczęć „Biblioteka nr 3467”. Świetnie; słaby, co prawda, ale mimo wszystko jakiś ślad.

Nazajutrz zeszłam na śniadanie koło dziesiątej. Olga siedziała z nieprzystępną miną; najwyraźniej nadal była obrażona.

– Kiciu – zaczęłam merdać ogonem – strasznie schudłaś, to po prostu nie do wiary.

Olga stale jest na diecie i obmacuje biodra w poszukiwaniu śladów cellulitisu. Każdego innego dnia podobna uwaga wprawiłaby dziewczynę w zachwyt, ale nie dzisiaj.

Kicia wstała od stołu i oświadczyła lodowato:

– Nie podlizuj się, i tak ci nie uwierzę.

Patrząc, jak opuszcza jadalnię, z trudem ukryłam niezadowolenie. Będzie mi tu odstawać jakiś teatr! „Nie uwierzę”!

Obrałam najpierw łatwiejszą drogę i wyruszyłam na poszukiwanie biblioteki. Znalazłam ją na końcu świata, w uroczej dzielnicy Diegunino. Jechałam tam prawie półtorej godziny. Z nieba waliła lodowa kasza, szare chmury oblegały miasto; musiałam za dnia włączyć światła. W końcu dotarłam do sześciopiętrowego bloku i zeszłam do suterenu.

Sroga niewiasta o twarzy nauczycielki matematyki spytała ostrym tonem:

– Czego pani chce?

Inteligentne pytanie, czegoż można chcieć od bibliotekarki; oczywiście, pół kilo kiełbasy. Ale nie chcąc złościć nieużytej niewiasty, rozplywając się w uśmiechach, podałam jej książkę i wyszeptalam:

– Chciałabym ją oddać.

– Imię, nazwisko, dzień?

Masz ci los, jaki znowu dzień?

– Szybciej – ponagliła mnie baba. – Jaki dzień?

Sądny, przemknęło mi przez głowę, ale na głos powiedziałam naturalnie co innego:

– Przepraszam, nie rozumiem.

– O Boże – westchnęła bibliotekarka. – Że zapominają staruszki, to rozumiem, ale pani chyba nie ma jeszcze sklerozy! Czyż tak trudno zapamiętać datę?

Oślupiałam.

– Jaką datę?

– Termin oddania książki – warknęła. – No, kiedy pani miała oddać? Piętnastego,

szesnastego?

– Widzi pani – zaczęłam wyjaśniać sytuację – książka nie jest moja. Przyjaciółka zachorowała; prosiła, żeby ją odnieść, i nie mówiła nic o dacie.

– Ładne rzeczy! – oburzyła się baba. – Karty są ułożone według dni; i co, mam teraz wszystkie przeglądać? Co za ludzie! Nieodpowiedzialni, nieporządni, po prostu coś okropnego!

Słuchałam tych złorzeczeń i przyglądałam się kobiecie. Wiek – około pięćdziesiątki, żółtawa skóra, wąskie, zacięte usta, małe, głęboko osadzone oczka, a na głowie – wronie gniazdo. Obrączki nie widać. Siedzi tu i złości się, a życie przepływa obok, nie przynosząc jej żadnej satysfakcji. Szkoda biedaczki.

W końcu nazrędziła się do woli i zażądała surowo:

– Nazwisko, imię...

– Czyje? Znowu nie wiedziałam, o co jej chodzi.

– Przecież nie pani – odparła. – Tej przyjaciółki, która kazała oddać książkę. No tak, tego właśnie chciałam się dowiedzieć w bibliotece.

– Nie wiem.

Mój język sam powiedział coś tak głupiego.

Tamta aż podskoczyła na krześle.

– Przyszła tu pani żarty sobie ze mnie robić? Jak to, nie zna pani imienia przyjaciółki? Zwariowała pani?

Słuszne pytanie. Pora rozwiązać problem w inny sposób. Pomachałam przed nosem osłupiałej kobiety bordową książeczką z literami MWD i oświadczyłam surowo:

– Major Wasiljewa z wydziału walki z bandytyzmem.

Bibliotekarka wlepiła wzrok w „legitymację”, dawno temu kupioną na targu za dwadzieścia pięć rubli, i zbladła:

– Co się stało?

– Nie mam prawa tego rozgłaszać – mruknęłam. – Tajemnica śledztwa jest chroniona prawem.

Oj, warto by choć raz zajrzeć do kodeksu karnego albo *Zasad prowadzenia śledztwa*, leżących stale na biurku Arkaszy. Bo wkrótce mogę trafić na kogoś, kto naprawdę zna się na tych sprawach.

Ale nieuprzejma baba była na serio przerażona. Błyskawicznie zrobiła się uprzejma, wręcz nadskakująca.

– Dlaczego pani od razu nie powiedziała, że jest z milicji? – rzekła z delikatnym wyrzutem. – O co chodzi?

– Musimy ustalić, kto pożyczył tę książkę.

W tej chwili do biblioteki weszła, postępując, wiekowa babuleńka. Odziana

zgodnie z modą obowiązującą w roku tysiąc dziewięćset dwunastym – bluzka ze stojącym kołnierzykiem, długa prawie do ziemi spódnica, rękawiczki; na głowie miała płaski toczek z wyszywaną koralikami woalką.

– Pani Nadieżdo – zaszczebiotała, uśmiechając się błagalnie. – Niech się pani nie gniewa, moja duszko. Znowu zapomniałam daty. Jedno tylko pamiętam: że w listopadzie.

Pani Nadieżda już otwierała usta, ale przypomniała sobie o obecności „majora” i rozciągnęła usta w grymasie, który mógłby być uśmiechem, gdyby zmije mogły się uśmiechać.

– Dobrze, pani Anno, niech się pani nie przejmuję. Lepiej niech pani pogrzebie w nowościach, ja zaraz skończę obsługiwać czytelniczkę i zajmę się panią.

Anna, która nie spodziewała się tak łaskawego przyjęcia, zamrugała jak dziecko zdumionymi oczami. Potem niespodziewanie spytała:

– A pani jak się czuje, może pani chora?

– Tam leży nowy numer „Zdrowia” – odpowiedziała bibliotekarka.

Staruszka rzuciła się do stolika. Nadieżda zerknęła na mnie.

– Słyszała pani? Zwrócić im uwagę, to płaczą i skarżą się dyrektorowi, a jak się człowiek zacznie uśmiechać, robią się po prostu bezczelni.

W bibliotece przesiedziałam do popołudnia, wykonując mozolną pracę: przeglądałam karty wszystkich czytelników szukając śladu po Marquize.

Przed drugą straszliwie rozboleła mnie głowa, przed oczami skakały mi czarne punkciki. Nadieżda Andriejewna troskliwie przyniosła szklanekę obrzydliwej herbaty. Gdzieś koło trzeciej do ciasnego pomieszczenia weszła gromada ludzi: przeważnie uczniowie starszych klas i studenci, głośno żądający lektur. Czy to bibliotekarka wolała odgrywać się na staruszkach, czy też wstydziła się mnie, dość że nie użerała się z nastolatkami; była wręcz uprzejma. Straciła cierpliwość tylko raz i dziewczynie proszącej o *Zbrodnię i karę* Czechowa, odpowiedziała ostro:

– W twoim wieku wypada już wiedzieć, że autorem tej powieści jest Dostojewski.

Tamta coś odburknęła. Popatrując w moją stronę, Nadieżda wygłosiła tyradę o nieuactwie współczesnej młodzieży. Ale młodzież nie bardzo mnie interesowała, bo akurat natknęłam się na upragniony zapis. Książkę pożyczyła Kira Wieliczko, w karcie figurował też jej adres i tajemnicze litery AIL, oznaczające miejsce, gdzie czytelniczka się uczy.

Spocona, z nosem pełnym kurzu, wyszłam na dwór i momentalnie zaczęłam się trząść z zimna. Jak większość kierowców, nie noszę ani palta, ani kozuska. Za kółkiem wygodniej jest siedzieć w kurtce, a jeśli się zmarznie, zawsze można włączyć ogrzewanie. Ale na zewnątrz bywa niekiedy zimno.

Mieszkanie Kiry znajdowało się w tym samym domu, co biblioteka. Zrozumiałam to, kiedy znalazłam się za rogiem budynku. Wieżowiec miał kształt litery T, a jego lewa strona nie wiadomo czemu miała inny numer.

Brudna klatka schodowa i żadnych oznak obecności windziarza. Ciekawe, o co chodziło architektom? Ten ciemny, oddalony od wejścia zakamarek zaprojektowali chyba z myślą o złodziejach i gwałcicielach. Tłumów nigdy tu chyba nie ma. Kiedy przestępca zaciągnie do tej windy ofiarę, nikt mu nie przeszkodzi.

Dźwięg, groźnie poskrzypując, sunął na dziesiąte piętro. Ściany zabazgrano napisami dalekimi od oryginalności. Można było z nich wyciągnąć wniosek, że męska część mieszkańców kibicowała „Spartakowi”, a żeńska – uwielbiała niejakiego Kolkę. W kącie windy ktoś zostawił kałużę. Zatkaną nos chusteczką, ale i tak o mało się nie udusiłam od smrodu.

Długo naciskałam dzwonek; ten dzwonił, słyszałam, ale poza tym odpowiadała mi cisza. Uznałam, że nikogo nie ma, kiedy nagle usłyszałam słaby głosik:

– Kto tam?

– Z biblioteki, od pani Nadieжды.

Wysunął się trójkątny pyszczek, ledwie widoczny spod turbanu z ręcznika.

– Pani jest Kira Wieliczko?

Dziewczynina skinęła głową.

– Przepraszam, myłam głowę; czym mogę służyć?

– Pożyczała pani z biblioteki Sto lat samotności Marqueza?

Małe oczka dziewczyny spojrzały na mnie z przestachem. Wymamrotała:

– Niech pani wejdzie, tylko proszę się nie zdziwić. Rodzice wyjechali na urlop, a wczoraj byli u mnie goście, jeszcze nie ogarnęłam mieszkania.

Wepchnęła mnie do dość przestronnego pokoju i uciekła. Z daleka usłyszałam szum suszarki.

Obejrzałam się. Tak, pewnie co dzień odbywała się tu pijatyka. Butelki stały wszędzie – na stole, na podłodze, na parapecie i na telewizorze.

Wszędzie poniewierały się też pogniecione serwetki, niedojedzone kawałki sera i kielbasy... W popielniczkach piętrzyły się niedopałki, wydzielające okropny zapach. Jak wielu palaczy, nie znoszę smrodu petów, dlatego energicznie otworzyłam lufcik. Lodowate listopadowe powietrze wdarło się do środka. Można było znowu oddychać, ale gospodyni się oburzyła:

– Proszę zaraz zamknąć, przeziębnię się.

Ze swoją bladą buzią i ciemnymi podkrążonymi oczami istotnie wyglądała na chorą. Przyczyną jednak najwyraźniej było nie przeziębienie, ale ustawiczne pijaństwo, które bardzo źle wpływa na nieokrzepty jeszcze dziewczęcy organizm. Kira miała na oko szesnaście lat.

– Gdzie jest książka? – spytałam groźnie. – Wszystkie terminy minęły, inni czytelnicy o nią pytają!

Kira westchnęła.

– Zgubiłam!

– Co? – zdziwiłam się nieszczerze. – Zgubiła pani własność biblioteki?

– No, przepraszam, zapłacę dziesięciokrotną wartość!

– Po co niepotrzebnie wyrzucać pieniądze? Niech pani spróbuje sobie przypomnieć, gdzie zostawiła tego Marqueza.

Kira zmarszczyła niewysokie czółko.

– Szczerze mówiąc, książkę posiadała gdzieś Ninka Samochwałowa. Wzięła do poczytania, i koniec, przepadło. Przypominałam jej tyle razy, a ta tylko rozkłada ręce – nie pamięta, gdzie ją podziała.

– Adres pani zna?

– Czyj?

– Niny Samochwałowej.

– Mieszka w akademiku, na Masłowce; instytut ma tam wykupioną jedną klatkę schodową.

Zostawiłam nieletnią pijaczkę, żeby w spokoju leczyła kaca, wyszłam na ulicę i odetchnęłam pełną piersią. Chmury opadły już całkiem nisko, ściemniało się, robiło się coraz chłodniej. Nie, lepiej pojedę do domu; trochę sobie podjem, a jutro będę szukała nadal. Zresztą i tak trzeba będzie zmienić zamszowe półbuty na ciepłe botki, bo nogi zupełnie mi przemarzły. Ale zanim pojechałam do Łożkina, wstąpiłam do antykwariatu na Twerskiej i za straszliwe pieniądze kupiłam okropny kicz – figurkę chłopca z olbrzymim, rudym psiskiem. Olga całe życie zbiera porcelanowe pieski; miałam nadzieję, że taki prezent przełamie między nami lody.

Tak też się stało. Kiedy Kicia zobaczyła te potworki, zaczęła się rozplýwać w uśmiechach.

– Ale cudo! Wspaniałe, gdzie to dostałaś? Nie mam jeszcze czegoś takiego!

Synowa zapomniała o wszystkich urazach i popędziła na górę szukać miejsca dla nowego cennego bibelotu.

Mimo wszystko przyjemnie jest wejść do jasno oświetlonego pokoju, gdzie na pięknie nakrytym stole pachnie pieczeń wieprzowa. Tym bardziej gdy na dworze szaleje prawdziwa burza, istny huragan. Porywisty wiatr szarpał gałęziami łożkińskich drzew; latarnia nad garażem niebezpiecznie się kołysała. Psy pochowały się po kątach, koty pewnie śpią w koszyku w kuchni, a Hootchuś znowu grzeje się na kolanach profesora. A propos, gdzie Misza i Gala?

Parcę zastałam w gabinecie. Oboje jak zawsze błędnym wzrokiem patrzyli gdzieś przed siebie. Koło komputera stały dwa pojemniki po zupie chińskiej. Tak, jeszcze

dwoje amatorów niejadalnych zup. A tymczasem tam stygnie wspaniała pieczeń wieprzowa z grzybami, w którą Katierina włożyła cały swój kunszt kucharski.

– Chodźcie na kolację – powiedziałam.

– Zaraz – oświadczyli równocześnie matematycy, kręcąc stojące dęba włosy. –

Tylko dokończymy...

– Nie zgadzam się – oświadczyłam. – Zjedzcie jak ludzie, a potem siedźcie sobie nad równaniami.

Gala i Misza niechętnie porzucili papiery i skierowali się do jadalni.

Tam już żwawo operowała sztukami Mania.

– Mamuś! – wykrzyknęła. – Wyobraź sobie, że dostałam piątkę z klasówki!

Esmeralda o mało nie dostała zawału. Nie uwierzyła, że rozwiązywałam sama, i dała mi jeszcze jedno zadanie, a ja je trach! Znowu na pięć. Baba o mało długopisu nie pogryzła ze złości. A wszystko dzięki Miszy, nauczył mnie, jak rozwiązywać zadania!

Matematyka przychodzi Maniusi z trudem, w dodatku nauczycielkę ma surową i wymagającą. Dostać u niej piątkę jest prawie niepodobieństwem. Nie wiadomo dlaczego uczniowie przewalili ją Esmeraldą. Maszka dalej tryumfowała, opowiadając o swoich sukcesach.

– Miszeńka, zjedz mięso i nie zapomnij o kartoflach. I weź konfiturę do herbaty! Przecież jeszcze trochę u nas pomieszkasz? No, proszę, nie wyjeżdżaj! – prosiła Miszę.

Profesor w zadumie wsunął do ust kawałek pieczeni.

– Kiedyś remont się skończy i wrócę w domowe pielesze. Ale szczerze mówiąc, żal będzie się z wami rozstawać. Do wszystkich się przyzwyczailem. Nawet nie wiem, jak sobie poradzę bez Gali! Wicie, jest świetnym analitykiem.

Kobieta zaczerwieniła się i utkwiała wzrok w zielonym groszku.

– A po co macie się rozstawać? – zdumiała się prostoduszna Marusia. –

Pobierzcie się, i po kłopotcie!

Gala zakaszlała się i wielkimi łykami zaczęła pić sok pomidorowy. Misza wlepił wzrok w Manię.

– Co powiedziałaś, dziecko?

– Nic takiego. – Mania zachichotała. – Wie pan, ludzie czasami się pobierają, więc czemu pan jest sam?

– Jakoś się nad tym nie zastanawiałem – oświadczył profesor, upuszczając widelec i próbując jeść pieczeń rękami.

– No widzisz! – z satysfakcją skwitowała to córka. – Po pierwsze, weź inny widelec, a po drugie, pomyśl o tym, co ci powiedziałam. I pośpiesz się, bo Gala odda rękę i serce innemu.

Panna Wiereszczagina zerwała się od stołu i mamrocząc coś niezrozumiale, wybiegła z jadalni. Misza odłożył widelec i popatrzył za nią.

– No dalej! – ponagliła go Mania. – Biegnij, dogoń ją i szybko wyznaj jej miłość.

– Ale ja wcale jej nie kocham – zaczął się bronić mężczyzna. – Nie płonę uczuciem...

– Ha! – parsknęła Mania. – A czy kiedykolwiek pan płonał?...

Maszka jakoś nie mogła się zdecydować: czy zwracać się do Miszy per „ty”, jak do rówieśnika, czy jednak uznać go za dorosłego.

Zamarłam: teraz Miszka zwymyśla bezczelną smarkulę. Gość wszakże nader spokojnie odparł:

– W młodości szalałem za pewną ślicznotką, ale ona wolała innego... Potem wciągnęła mnie praca; szczerze mówiąc, najważniejsze są dla mnie badania...

„Swatka” nie milkła:

– To cudowna z was para. Gali też nic prócz matematyki nie potrzeba. I jest naprawdę śliczna, tylko troszkę za tęga, no, ale nic; przejdzie na dietę, to schudnie...

– Tuszy jakoś nie zauważyłem – wymruczał Misza. – Jak na kobietę, ma wybitne zdolności do matematyki, nawet mało który mężczyzna ma takie. Wyobraźcie sobie, że zaproponowała dla funkcji zmiennej...

– To na co pan czeka? – przerwała Mania. – Nie chce pan chyba do śmierci żyć samotnie, a tu ma pan bratnią duszę...

– Rzeczywiście – mruknął profesor. – Twoje uwagi brzmią całkiem rozsądnie. Wstał i wyszedł na korytarz.

– No! – Mania podskoczyła na krześle. – Załatwione! Teraz najważniejsze to dopilnować, żeby poszli do urzędu, ale już moja w tym głowa. To taki fajtłapa!

– Myślę, że za nadto przyspieszasz bieg wydarzeń – zauważyłam nieśmiało, zdumiona zapalem, z jakim Manusia swata profesora.

– Przecież to niedojdy – westchnęła córka. – Przez cały dzień siedzą obok siebie i nic; żeby się choć pocałowali! No dobra, zmuszę ich, tylko boję się, że będziemy musieli sami urządzić wesele. Ciekawe, jak będzie lepiej – w restauracji czy w domu. I jeszcze: ślub mają brać w cerkwi czy nie?

– Nie wiem, dziecko. Jeśli Misza i Gala zechcą się pobrać, to sami rozwiążą ten problem.

Mania spojrzała na mnie z politowaniem.

– Mamuś, oni nie umieją rozwiązywać niczego poza równaniami. Niech się cieszą, że mają mnie.

Wygłosivszy to skromne stwierdzenie, Mania chwyciła czwarty pierożek i wybiegła na korytarz. W milczeniu piłam wystygłą herbatę. Dziewczynka najwyraźniej postanowiła wziąć los Miszy w swoje ręce.

Rozdział 17

Dolna Masłowka to ulica z brzydkimi domami z szarej i żółtej cegły, powstałymi gdzieś w latach pięćdziesiątych. Kończy się ślepym zaułkiem i pętlą tramwajową. Za płataniną szyn, na lewo od stacji benzynowej i autoserwisu, wznosi się dziwaczny gmach z odpadającym tynkiem.

Przy wejściu zobaczyłam puste krzesło. Akademika nikt nie pilnował, a na podwórzu kilku Wietnamczyków, wesoło ćwierkając, ładowało do gazeli olbrzymie kraciaste torby z towarem. Dookoła czuć było jakiś niemiły zapach. Wciągnęłam go w nozdrza. No proszę, nic się nie zmienia, ci wciąż tak samo smażą śledzie.

Kiedy byłam studentką, często biegałam do koleżanek w akademiku. Podobało mi się tam wszystko prócz Wietnamczyków, stale krzątających się z patelniami przy kuchni. No bo jak można smażyć marynowane śledzie?

Pokoje na parterze były otwarte. Zajrzałam do jednego z nich. W środku zobaczyłam pełno dzieciaków. Chuda jak drut do robótek ręcznych dziewczyna uśmiechnęła się i zaszczebiotała:

– Chcesz adidas? Nie? A może dres? Zobacz skarpetki. – Zaczęła wybebeszać olbrzymią torbę. – Szminkę chcesz? Nie? Bierz, tanio sprzedam.

– Znasz Ninę Samochwałową? – przerwałam wietnamskiej handlarce.

Tamta pokręciła głową.

– Parter – Wietnam, pierwsze piętro – Wietnam, drugie – Rosja. Idź na drugie.

Brudnymi schodami ruszyłam na górę. Znowu wąski korytarz, za to cisza i pokoje pozamykane. Niewiele się zastanawiając, zapukałam do pierwszego.

Wysunęła głowę jakaś dziewczyna i powiedziała ze złością:

– Wietnamski bazar jest na dole.

– Szukam Niny Samochwałowej.

Studentka złagodniała.

– Już mi to naprawdę obrzydło. Całymi dniami przychodzą klienci, dzieciaki się dra, smród, a my musimy się tutaj uczyć. Wyobraża sobie pani, co za łobuz z naszego rektora: wynajął Wietnamczykom część akademika. Kto bogatszy, dawno już znalazł

pokój na mieście. Ninka zresztą też.

– A nie wie pani, gdzie ją mogę znaleźć?

Dziewczyna wskazała palcem na koniec korytarza.

– Niech pani idzie pod dwudziesty drugi, tam mieszka Ira. Ona na pewno zna adres.

Gadatliwa Irocza od razu powiedziała mi wszystko, czego potrzebowałam, i dodała:

– Niech pani idzie do niej i powie, że biznes biznesem, a uczyć się trzeba. Nina nie zdała trzech kolokwiów, mogą jej nie dopuścić do sesji. Chociaż pewnie się wykupi. Nasza Ninka jest bogata, nie to, co my.

– Gdzie pracuje?

Irocza zainteresowała się:

– Papierosków pani nie ma? Nie wychodziłam dzisiaj z domu.

Podaliśmy jej paczkę gauloise'ów i zostałam wpuszczona do pokoju.

W kwadratowym pomieszczeniu stały trzy łóżka, trzy szafki, szafa i biurko. Na parapecie przycupnął czajnik elektryczny, a obok niego w wielkim nieporządku – puszki z kawą, kakao i herbatą.

Irka zaciągnęła się papierosem i powiedziała:

– Ninka to cwaniara, a na co ona pani?

– Pożyczyła w bibliotece książkę i nie oddaje.

Ira się roześmiała.

– Pewnie zgubiła, ale niech się pani nie krępuje, tylko od razu żąda zwrotu kasy, ona ma baksów od metra. Nieźle się urządziła, robi świetne biznesy.

– Ale gdzie pracuje?

– W biurze podróży. Wierka jej załatwiła.

– Kto?

Chęć poplotkowania o mającej taki fart koleżance po prostu rozpierała prostoduszną Irkę, spytała więc:

– Nie śpieszy się pani?

– Ani trochę.

– To napijmy się kawy; od rana piszę referat i nawet nie schodziłam na dół. Nie jestem Niną, nikt mi nie da zaliczenia na piękne oczy.

– A jej dają?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– A jakże, po prostu na życzenie.

– Dlaczego?

Irina ostrożnie nasypała brązowych granulek do plastikowych kubeczków i mruknęła:

– No, jest za co.

– Pewnie wszystko świetnie wie – usiłowałam nakłonić ją do zwierzeń.

Dziewczyna poczerwieniała ze złości.

– Wiedza nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu wszyscy wykładowcy są dłużnikami Wiery.

– Daje im pieniądze?

– Daje, ale nie pieniądze.

– A co? – nie pozwalałam się zbyć, równocześnie kładąc na stół sto dolarów. –

Co daje Wiera?

– A pani przypadkiem nie z milicji? – spytała Irka z obawą.

Ruchem głowy wskazałam zielony papierek.

– Czy od gliniarza dostała pani kiedyś baksy?

– Fakt, że nie – uznała Irocza słuszność argumentu. – Za stówę sami daliby się powiesić. A nie doniesie pani Nince, że to ja mówiłam?

Gdy zapewniłam, że nie, Irina odetchnęła z ulgą i zaczęła gorliwie paplać o cudzych sekretach.

Ich uczelnia jeszcze kilka lat temu była tylko nędzną szkołą pomaturalną z marnymi wykładowcami. Dostawał się tu każdy, kto chciał, bez egzaminów; zresztą solidnego wykształcenia też nie mógł się spodziewać. Wypuszczano kiepskich księgowych i nikomu niepotrzebnych specjalistów, zagadkowo nazywanych „operatorami sterowania maszynowego”. Nagle jednak stan rzeczy zmienił się radykalnie. Rektorem został ambitny Andriej Kortniew. W ciągu pół roku świeżo upieczony szef wyrzucił prawie wszystkie astmatyczne belferki w dwuogniskowych okularach. Na ich miejsce zatrudnił wyłącznie energicznych mężczyzn między trzydziestką a czterdziestką. Zmienił się i profil, i ranga szkoły: teraz nazywała się ni mniej, ni więcej, tylko akademią.

Księgowość została, ale w programie studiów zajmowała skromne miejsce, zepchnęły ją w cień nowe, modne przedmioty: reklama, zarządzanie i marketing, socjologia, psychologia, angielski.

Absolwenci liceów tłumnie rzucili się do nowej uczelni. Kortniew nie na darmo specjalizował się w sztuce reklamy. Parę artykułów w bulwarowej prasie, kilka audycji radiowych, wystąpienie w programie „Bohater dnia”... Po roku tylko ślepi i głusi nie wiedzieli nic o akademii.

Zorganizowano oczywiście także płatne studia. Czesne zresztą nie było wysokie, więc chętnych do nauki nie brakowało.

Ira i Ninka dostały się na uczelnię razem. Obie były złotymi medalistkami z małego miasteczka o śmiesznej nazwie Pticzj. Była to raczej, jak mawiano dawniej, osada typu miejskiego. Szkoła była jedna; dziewczęta rywalizowały zatem od

pierwszej klasy. Irince łatwiej szły przedmioty humanistyczne, Ninie – ściśle. Lepiej by zrobiły, przyjaźniąc się i pomagając sobie na klasówkach, ale nie: siedziały daleko od siebie i z zazdrością patrzyły jedna na drugą. Najśmieszniejsze, że we wszystkim bardzo były do siebie podobne. Tata Iriny był komendantem milicji powiatowej, Niny – naczelnikiem zakładu karnego. Ojcowie często spotykali się w pracy, utrzymywali bliskie kontakty: razem chodzili do łaźni, razem polowali. Matki też miały wspólne zainteresowania. Mama Irki była stomatologiem, Niny – ginekologiem.

Ale córki wcale nie chciały zostać przyjaciółkami. Tyle że los dosłownie stukał je o siebie głowami. Najpierw równocześnie zakochały się w Olegu Kolesnikowie i każda cierpiała w milczeniu, gdy on odprowadzał rywalkę do domu. Potem obie niespodziewanie zostały sierotami: mama Iry umarła w pracy na zawał serca w maju, a mama Ninki pół roku później wpadła pod ciężarówkę. Ale nawet wspólne nieszczęście nie zbliżyło dziewcząt. Do Moskwy, na studia, jechały oddzielnie, chociaż ojcowie wsadzili je do jednego przedziału.

W stolicy zaczęło się inne życie. U siebie, w Pticzim, należały do miejscowej elity, do kręgu, jak to się mówi, złotej młodzieży. Ładnie ubrane, w dobrej sytuacji materialnej...

W Moskwie nagle się okazało, że do elity im daleko. Kostiumiki z dzianiny, kupione u handlarzy, nosiła tu biedota; pieniędzy przysyłanych przez troskliwych ojców wystarczało ledwie na tydzień. Moskwiarki z płatnych studiów chodziły w czarnych obcisłych spodniach i prostych T-shirtach z napisem „Naf-Naf”. Irinka wstąpiła kiedyś do sklepu o takiej nazwie i dosłownie ją zatkało – najzwyklejsza koszulka kosztowała tu około czterech tysięcy. Na dyskotekach obie często podpierały ścianę; chłopcy woleli mieć do czynienia z zadbanymi mieszkankami stolicy.

Ale na drugim roku życie Niny raptownie się zmieniło. Na letnie wakacje dziewczyna nie pojechała do domu, przyjaciółom i znajomym powiedziała, że zostaje w mieście na praktyce. Irocza, która wróciła pod rodzicielskie skrzydła, parsknęła śmiechem, ale nie zdemaskowała kłamczuchy. Za to we wrześniu czekała ją niemila niespodzianka.

Pierwszego Ninka pojawiła się na zajęciach w luksusowych dżinsach marki Trussardi i czerwonej bluzeczce „Naf-Naf”. Niedbale wymachując szykowną skórzaną torebką, usiadła koło najładniejszej na roku Alisy Komarowej. Aliska, wcześniej z uporem niedostrzegająca prowincjuszek, zaczęła gawędzić z Niną. Irocza cicho siedziała w sąsiednim rzędzie, zżerana prymitywną zawiścią.

W sylwestra znenawidzona Ninka przyjechała na uczelnię nowiutkim ziguli, głośno trzasnęła drzwiczkami i pobiegła na zajęcia. Akademik dawno już opuściła, wynajmowała mieszkanie. To dopiero był cios! Irina z trudem się opanowała.

Musiła zdławić w sobie instynktowną chęć przedziurawienia opon w samochodzie.

Potem czekało ją najsroższe poniżenie. W akademiku świętowano nadejście nowego roku. Ira czekała na przekaz od ojca, ale nawet dwudziestego dziewiątego nic nie nadeszło. Musiała z bólem serca zwrócić się o pożyczkę do bogatej przyjaciółki.

Ninka bez słowa otworzyła elegancką portmonetkę, wyciągnęła gruby plik dolarów i dopiero podając Irce studolarowy banknot, spytała kpiąco:

– Wystarczy na początek?

Zdołowana do reszty Irocza zaczęła coś bełkotać o rychłym zwrocie długu, ale dawna koleżanka z klasy tylko machnęła ręką.

– Bzdura, nie będę nagabywać przyjaciółki o marnych parę groszy. Ty byś, Irka, lepiej poszukała pracy; ze stypy nie wyżyjesz, a ojciec dużo ci teraz nie przyśle. Mój cały czas się skarży, że nie dostaje pensji, żyje z tego, co wyhoduje w ogrodzie.

Ira w milczeniu przełknęła tę uwagę. Od dawna starała się gdzieś dorobić, ale bez rezultatu. Próbowwała prawie wszystkiego – sprzedawała hamburgery w McDonalddie, biegła jako kurier z B-line, roznosząc klientom rachunki; opiekowała się dziećmi jako baby-sitterka... To, co zdołała zarobić, z trudem wystarczało na skromne obiady.

– A gdzie pracuje Nina? – zainteresowałam się.

– Diabli ją wiedzą, zatrudniona jest w agencji turystycznej, ale niech pani powie, czy takie pieniądze można zarobić uczciwie? – wykrzyknęła Ira ze złością. – Ona i Wierka cały czas coś kombinują, szepczą po kątach.

– Kto to jest Wierka?

– Wiera Iwanowna Nikitina, szefowa działu nauczania. Ninka teraz nawet sesję zalicza nie jak wszyscy, ale wcześniej, i prawie nie chodzi na zajęcia – paplała dobra przyjaciółka. – Pewnie opłaca się wykładowcom. U nas pani Wiera ma władzę absolutną!

Wzięłam adres szczęściary, i głęboko zamyślona zeszłam na dół. Wiera Nikitina! Czy to przypadkiem nie siostra Aleksego, którego zwłoki znalazły schronienie w bagażniku mojego wozu, i czy to nie ona jeździła na wieś do Prochora? No i dokąd tu iść najpierw? Do Ninki?

Dziewczyna najwyraźniej niczego sobie nie odmawiała, bo mieszkanie wynajęła nie byle gdzie, ale przy Czerniachowskiego, w domu zajmowanym wyłącznie przez pisarzy i członków ich rodzin. Naturalnie, wejście zaopatrzone było w domofon, dość zresztą przedpotopowy. Pokręciłam metalową gałką, ale nie doczekałam się odpowiedzi.

Z mieszkania osiemdziesiąt trzy nie dobiegł żaden dźwięk. Na moje przeciągłe dzwonki wychyliła się stara windziarka.

– Pani do kogo?

– Szukam Niny Samochwałowej.

Staruszka się udobruchała.

– Ninoczka wróci dopiero jutro, pojechała do domu. O, tu klucz zostawiła, żeby nakarmić kotkę, Milada Lwowna kazała doglądać.

– Kto? – nie zrozumiałam.

Staruszka zaprosiła mnie do ciemnowej, ale czystej i ciepłej klatki schodowej, i momentalnie wszystko wypaplała.

W mieszkaniu osiemdziesiąt trzy, na czwartym piętrze, przez całe życie mieszkał prozaik Arkadjew z żoną. Sam już dawno zmarł, a wdowa po nim, Milada, dwa lata temu przeniosła się do sąsiedniego domu, do córki. Własne apartamenty przekazała siostrzenicy, bardzo miłej dziewczynie imieniem Nina.

– Śliczna dziewczyna – pytlowała staruszka. – A jaka mądra. Zawsze wita się uprzejmie: – „Dzień dobry, pani Katierino”. Częstoje herbatą, cukierkami.

Pani Milada zostawiła w mieszkaniu kotkę, bo córka jest uczulona na kocią sierść. Ninka karmi stworzenie, a kiedy wyjeżdża, zostawia babci Kati klucze, żeby kicia nie zdechła z głodu.

– I często jej nie ma?

– No, przecież taką ma pracę!

– Jaką?

– A pani kim dla niej jest? – Babcia okazała przyływ czujności.

Ale ja wiedziałam już, co odpowiedzieć.

– Pani pozwoli, że się przedstawię – Lubow Pawłowna; pracuję na uczelni, muszę się dowiedzieć, dlaczego Nina opuszcza zajęcia.

– Ciężko przecież biedaczce pracować i się uczyć – westchnęła Katierina. – Ze stypendium się teraz nie wyżyje. Z emerytury zresztą też nie, na starość muszę siedzieć tutaj, przy drzwiach.

Aluzję zrozumiałam bezbłędnie i podałam stróżce sto rubli. Ta błyskawicznie schowała papierek i oświadczyła:

– Niech pani da spokój dziewczynie; należy ją podziwiać za to, co robi!

– A gdzie pracuje?

– W towarzystwie inwalidów. Opiekuje się beznogimi, bezrękami, czasem nawet przywożą jej ich do domu. Wie pani, Ninka mi to kiedyś tłumaczyła: przyjeżdża człowiek do Moskwy na operację, a mieszkać nie ma gdzie i nie ma kto go zawieźć, gdzie należy. Ninoczka wtedy odbiera chorego, zawozi do szpitala, opiekuje się nim... To bardzo, bardzo szlachetna praca i dobrze płatna. Tydzień temu popsuł się jej samochód, a trzeba było odebrać jakąś kobietę. No to poprosiła Jurkę, stróża, i dała mu pół tysiączka. Z radości pił potem przez trzy dni.

Słuchając tej niekończącej się paplaniny, wyszłam na podwórze i zaczęłam szukać dozorcey. Po drodze intensywnie się zastanawiałam. Gdyby Ninka oficjalnie

pracowała jako pielęgniarka środowiskowa, to nie mogłaby mieć pieniędzy. Pracownicy służby zdrowia zarabiają grosze. To znaczy, że ma jakiś prywatny biznes. Krewni chorych gotowi są płacić, żeby samemu się nimi nie zajmować, zwłaszcza jeśli trzeba ich przewozić z jednego miasta do drugiego. Ale czyżby za to bulili taką forszę, że można za nią wynajmować mieszkanie w prestiżowej dzielnicy, szykownie się ubierać i sypać studolarówkami na lewo i prawo?

Stróża znalazłam za niedużymi drzwiami z napisem „Zsyp”. Chłop stał przy kupie odpadków i smętnie przyglądał się pustej butelce po whisky „White horse”. Kiedy mnie zobaczył, chrząknął i powiedział z przejęciem:

– Widziałas, co ludzie w gardło wlewają? Żeby choć raz wyrzucili niedopitą, tobym też spróbował.

– Nie smakowałyby panu – pocieszyłam go.

– Skąd wiesz? – obruszył się Jura. – Może bym polubił whisky, ale nie mam forsy na takie trunki...

Uśmiechnęłam się. Mniej więcej w osiemdziesiątym siódmym, w szczytowym punkcie nierównej walki Gorbaczowa z alkoholem, weszłam do sklepu spożywczego przy ulicy Kirowa. Półki były zupełnie puste; nie wiadomo skąd wzięła się na nich butelka likieru benedyktyńskiego, jadowicie zielonego, absolutnie niezachęcającego do spożycia. Strach coś takiego wziąć do ust, ale dwaj robociarze patrzyli na benedyktyna z pożądaniem. Przeliczyli pieniądze, kupili likier i bez specjalnych ceregieli ukreślili główkę butelce. Jeden z obawą powąchał trunek i spytał:

– Jak myślisz, można pić?

Drugi, śmielszy i bardziej energiczny, rzekł sentencjonalnie:

– Wypić można wszystko, co płynne. No, dalej, zaczynaj. – Podał butelkę przyjacielowi.

Pierwszy ostrożnie łyknął i wsłuchiwał się w siebie, badając, jak płyn spływa przewodem pokarmowym do żołądka.

– No – ponaglił drugi – powiedz, jakie to jest?

Chłopina wziął głęboki oddech i wymamrotał:

– Normalne. Tylko że ślizgie.

Myślę, że nie sposób lepiej określić benedyktyna. Stróż spojrzał na mnie wzrokiem pełnym melancholii.

– Czego chcesz? Łyżka ci do zsypu wpadła? Chociaż tyś chyba nie od nas?

– Nie, chciałam porozmawiać.

– A o czym mamy gadać? – ożywił się Jurka.

– Znasz Ninę spod osiemdziesiątego trzeciego?

– A jakże! Samodzielna panna, ładna i ma pieniądze.

– Co to za kobietę do niej podwoziłeś?

Stróż pociągnął nosem, drapiąc się weń jednocześnie brudnym palcem.

– Życie się zrobiło okropnie drogie! A zarobki marne, ledwo co na chleb starcza.

Wyjęłam portmonetkę i znacząco zaczęłam ją obracać w rękach. Jura się ożywił.

– O Ninco mógłbym różne rzeczy opowiedzieć. Dużo różnych rzeczy!

– Naprawdę? – udałam zdziwienie. – Ee, bujasz pewnie?

– Kto, ja? – oburzył się stróż. – Ja przecież wszystko wiem o wszystkich, śmieci mi powiedzą.

– Kto? Śmieci?

– No, śmieci, ze zsypu – wyjaśnił. – No popatrz. – Wyciągnął palec w kierunku cuchnącej sterty. – Trzy pudełka po zefirach w czekoladzie, to znaczy, że Sołowjowej z osiemdziesiątego pierwszego przysłali emeryturę; torby z hipermarketu Rumstore wywalili z siedemdziesiątki dziewiątki, widać, że będą mieli gości; pięć butelek na pewno wyrzucił Sieriożka, rodzice wyjechali, to szaleje. Anelia Polikarpowa, mieszkania siedemdziesiąt osiem, niedawno wyszła za męża. Biała suknia, welon... Babki na ławkach mało nie umarły, tak się rozczuliły: to dopiero narzeczoną, absolutną niewinność, nie to, co dzisiaj! Nie pije, nie pali i chłopu do ślubu nie dawała, tylko pod rączkę chodzili. Staruszki cmokają z zachwyty, a ja wiem swoje. Z narzeczoną może i faktycznie nie spała, tylko niech mi powiedzą jedno: kto do zsypu rzuca prezerwatywy, i to takie, co udają pieski, zajaczki? W tym pionie, gdzie mieszka, oprócz Anelii niebożątka, jedna ma osiemdziesiąt, druga siedemdziesiąt pięć... Na pewno takich bajerów nie używają.

– A Nina?

– Pewnie już nie możesz wytrzymać w tym smrodzie? – przejawiał dozorca niespodziewaną troskę o moją osobę. – Chodźmy do „Wielbłąda”, tam pogadamy.

Przecieliśmy nieduży plac i podeszli do restauracyjki z napisem „Camel”. W środku przyjemnie pachniało smażonym mięsem i kawą. Jura usiadł przy stoliku i krzyknął:

– Łuska, daj no kurczaka z grilla!

Oczywiście, dobrze go tutaj znali, bo kobieta, która wyjrzała z drzwi na zaplecze, spytała surowo:

– Pieniądze masz?

– Pani płaci – wyjaśnił Jura.

Przytaknęłam i sięgnęłam po portmonetkę. Luśka zaczęła machać rękami:

– Co też pani, porządnego klienta od razu poznam, ale Jurkę trzeba zawsze sprawdzić. Tyle razy chlał, a potem uciekał! Korzysta z tego, że się przyjaźni z jego żoną. Tylko pieniędzy niech mu pani nie daje: pijus z niego.

– Szoruj do kuchni – rozzłościł się Jura i odwrócił się do mnie: – Płacisz za żarcie i jeszcze dwieście rubli.

– A warto?

– Warto!

Kiedy Jurka dostał forszę i kurczaka, błyskawicznie uporał się ze swoim daniem, beknął z zadowoleniem i powiedział:

– Posłuchaj: Ninka jest dilerką narkotyków.

– Skąd taki wniosek, znowu śmiecie ci to podpowiedziały?

– Nie – oświadczył całkiem poważnie. – No, bo pomyśl tylko. Często przychodzą do niej różni ludzie, ale pokażą się tylko i już ich nie ma. Wszyscy ubrani na czarno, żeby nie zwracać uwagi. Kręcą się tam i z powrotem kaleki, same przygłupy.

– Dlaczego kaleki?

– A diabli ich wiedzą. Może wpadli pod tramwaj; jeden nie ma ręki, drugi nogi. A tutaj widzę, że baba leci za granicę...

– Jaka baba? – przestałam rozumieć cokolwiek. – Mów po ludzku.

Jurka westchnął. Cóż, formułować myśli też trzeba umieć; jak ktoś nie jest do tego przyzwyczajony, to nie od razu mu wychodzi. W końcu stróż zdołał jakoś poskładać opowieść do kupy.

On sam przez cały dzień sterczy na podwórzu. Po pierwsze, bo ma małe mieszkanie, które jeszcze jego rodzicom przypadkiem się trafiło w domu dla elity, a po drugie, czeka na dodatkowy zarobek. W mieszkaniach zostały same staruszki – wdowy po pisarzach. Jurkę znają od dziecka i ufają mu: wpuszczają go bez obaw, kiedy trzeba wymienić żarówkę albo uszczelkę w kranie. Do poważniejszych prac się nie bierze. No, jeszcze znosi na górę różne cięższe rzeczy – torby z zakupami czy bieliznę z pralni. Poza tym ma samochód, całkiem przyzwoite zięguli, toteż wiekowe panie proszą czasem, żeby je podwiózł do apteki albo na rynek.

– Nie boją się z tobą jeździć, skoro pijesz? – spytałam.

– Co, myślisz, że jestem alkoholik? – obraził się. – Piję tylko cyklami.

– Czym?

– No, mam taki cykl: trzy tygodnie pracuję, jeden piję. Ale żeby codziennie – w życiu!

Westchnęłam. Aha, nie alkoholik, tylko, można powiedzieć, pijak cyklista.

Właśnie podczas takiej trzeźwej części cyklu przyszła do niego Ninka i poprosiła, żeby przywiózł kobietę ze szpitala, bo samochód Niny się popsuł. Mówiła, że to jej krewna. Jura się ucieszył i dostawił młodą dziewczynę. Pasażerka wyglądała okropnie – blada, prawie szara, z opuchniętą twarzą. Prawej stopy nie miała – nogawka była po prostu spięta szpilkami – a lewą nogę zagipsowaną aż do biodra. Inwalidka nie mogła iść samodzielnie, stróż musiał dźwigać ją na rękach do mieszkania.

Po jakichś dwóch dniach Amalia Karłowna z mieszkania numer sto siedemdziesiąt pięć wyprawiła Jurkę na Szeremietiewo. Jej córka, stale mieszkająca

w Anglii, przekazała okazją przesyłkę dla matki. Stróż szybko dotarł na miejsce, zabrał pakunek i już chciał ruszać z powrotem, gdy koło stolików, gdzie wypełniano deklaracje, zauważył Ninę. Dziewczyna szybko coś pisała. Obok, na wózku inwalidzkim siedziała owa beznoga kobieta. Wyglądała trochę lepiej: na jej policzkach pojawił się rumieniec, usta miała umalowane.

Nie bardzo wiedząc czemu, Jurka schował się za kiosk z gazetami i zaczął śledzić dziwną parę. Wówczas ogłoszono odprawę pasażerów do Paryża, a Nina rąco powiozła wózek do stanowiska odprawy celnej. Stróż poszedł za kobietami.

Przy ladzie czekały jeszcze dwie nieszczęsnice. Jedna bez ręki, druga ze wszystkimi kończynami; za to łyśa, jak nowo narodzone prosię. Różowawą skórę głowy pokrywał jedynie rzadki puch. Nina podtoczyła tam wózek i wręczyła papiery jakiemuś postawnemu mężczyźnie. O czym rozmawiali, Jurka nie zrozumiał, nie znając żadnego obcego języka; zapamiętał tylko jedno słowo – *bien, bien, bien*, które bez końca powtarzała Nina. W końcu celnik przepuścił osobliwą kompanię.

– Jasne, że to dilerzy narkotyków – podsumował Jura.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– A co tu mają do rzeczy narkotyki?

– Widziałaś *Brylantową rękę*? Pamiętasz, jak Nikulin przewoził złoto w gipsie? A te, niech skonam, szmuglują heroinę! Pieniądze pewnie łopata zgarniają – rozmarzył się stróż.

Jego wzrok zmętniał. Najwyraźniej Jurka wyobrażał sobie walizki pełne dolarów. Milczałam, starając się zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– No, to na razisko. – Jura nieoczekiwanie przerwał rozmowę. – Nie mam czasu mleć tu ozorem, robota czeka.

Skierował się do wyjścia, nie przestając bekać. Odruchowo spojrzałam w ślad za nim. Boże, w co się tym razem wpakowałam?!

Rozdział 18

Domownicy nie skontrolowali centralnego ogrzewania, tak że w jadalni panował żar iście tropikalny. Katierina zrobiła na deser po kolacji bardzo lubianą przeze mnie galaretkę mleczną. Arkasza w dzieciństwie nazywał to „trzęsionką” i nie chciał nawet dotknąć białego wzgóreczka. Zresztą dzisiaj też gwałtownie odsunął talerz z budyniową masą i burknął:

– Jak można jeść takie świństwo!

– To bardzo smaczne, Kieszka – zawołała wszystkożerna Mania. – Spróbuj tylko.

– Nigdy w życiu – odmówił brat kategorycznie.

– W takim razie ja zjem twoją porcję – zaproponowała Manusia, łakomie przyglądając się jego porcji.

– Nie pozwolę. – Arkady pokręcił głową.

– Dlaczego?

– Bo niedługo zrobisz się szersza niż dłuższa – wyjaśnił życzliwy brat. – Mama będzie cię wozila na wózku, o samodzielnym chodzeniu zapomnij; nogi ci się złamią jak zapalki pod ciężarem ciała.

Maruśka wściekła się i krzyknęła:

– Sam jesteś glista na diecie, figa za centa! Jak ta Kicia z tobą wytrzymuje?

Wiem już, dlaczego postawiła szafkę między łózkami: żeby się nie obijać o twoje kości.

Olga rzeczywiście niedawno zamieniła olbrzymie łóżko małżeńskie na dwa oddzielne łóżka.

– Zawsze budzi się o siódmej i przełazi przeze mnie, żeby wstać – skarżyła się. – Niech teraz śpi oddzielnie...

W tej sprawie między Olgą a Arkadym nigdy nie ma zgody. Jedno jest sowa, drugie – skowronkiem: ona chce rankami dłużej pospać, on zaś nie rozumie, jak można się wylegiwać do jedenastej. Za to wieczorem, ledwie tylko odezwie się sygnał telewizyjnych wiadomości, Arkasza zaczyna spazmatycznie ziewać. My z Kicią jesteśmy świeżusieńkie, mogłybyśmy siedzieć do północy.

– Za mała jesteś, żeby oceniać, kto i jak śpi – syknął Kiesza do siostry.

A Mania, jeśli czegoś nie znosi, to przede wszystkim aluzji do swego wieku. Dziewczynka się nabundziurzyła i niewiele myśląc, cisnęła w brata kawałkiem galaretki. Śliska, ciężka gruda nie doleciała do celu i klapnęła na talerz milczącego Miszy. Wcale niezdziwiony, matematyk zaczął obracać łyżką niespodziewany poczęstunek.

– Mamo – zwrócił się do mnie oburzony Arkady – jak możesz tak rozpuszczać dziecko? Wkrótce wszystkim wejdzie na głowę, wtrąca się do rozmów, paple bez końca, a poza tym niedługo nie nastarczymy jej jedzenia, ma apetyt jak Gargantua.

Wsadziłam nos w talerz. Boże, jacy oni śmieszni, kłóć się jak małe dzieci! Najwyraźniej ta sama myśl przyszła do głowy Oldze, bo burknęła:

– Odczep się od dziecka, Arkady, niech je, póki ma ochotę. Jak zechce, to schudnie.

– Co, może jestem gruba? – rozdarła się oburzona Manusia. – Przecież jem jak ptaszek.

– Eleonora też zawsze przytaczała ten argument – mruknął braciszek.

– Tylko nie mów nic o Norze – natychmiast oświadczyłyśmy z Kicią chórem.

Eleonora to moja pierwsza teściowa, babcia Arkaszy. Przy wzroście mniej więcej metr pięćdziesiąt ważyła sto pięćdziesiąt kilo. Wystarczyło sięść do stołu, by mamunia zaczęła głośno podawać wartość kaloryczną każdego dania i bez końca powtarzać: „Dario, jedz mniej, bo bardzo przytyłaś”. W naszej rodzinie wspomnienie o Norze uważa się za nieomylną wróżbę: będą przykrości.

– Przecież jem dużo mniej od Gali – szalała dalej Mania.

Gala, która nałożyła sobie na talerz już czwartą porcję galaretki, drgnęła nerwowo i odsunęła deser. Wówczas Kicia postanowiła błysnąć talentem pedagogicznym.

– Nieladnie mówić takie rzeczy. Galu, niech pani nie zwraca uwagi na jej wyskoki. Proszę jeść, w pani wieku to już wszystko jedno – uzupełniła taktownie.

Kiesza chrząknął i zaczął starannie rozsmarowywać masło na chlebie. Ale Manusia nie zamierzała się uspokoić.

– Wcale nie jestem gruba – jazgotała, starając się dosięgnąć do talerza z galaretką. – Teraz po prostu rosnę, a jak skończę szesnaście lat, przestanę tyle jeść.

Brat też nie pozostawał jej dłużny.

– Jak słusznie stwierdziła Olusia, wtedy będzie już za późno, komórki tłuszczowe powstają w dzieciństwie.

Siostra wydała okrzyk bojowy i zerwała się na równe nogi, chcąc rzucić się na niego z pięściami. A zawsze cechowała ją zadziwiająca niezręczność. W dzieciństwie z regularnością godną lepszej sprawy zrzucała na podłogę wszelkie naczynia –

wazon, filiżanki, rondle. „Demon destrukcji” – Kiesza długo tak nazywał Manię. Z czasem jednak się ucywilizowała i teraz już potrafi się trochę opanować, ale tylko kiedy nie jest rozgorączkowana. Teraz też, zrywając się z miejsca, łokciem zwała na Kicię imbryk, na szczęście z zimną zawartością. W naszym domu nigdy nie można wypić gorącej herbaty.

– Ojej! – krzyknęła Olga. – Mańka, ty niezgrabny małpiszonie!

– Sama jesteś małpiszon – burknęła dziewczynka, ani trochę niezbita z tropu.

– Natychmiast przeproś Olgę – rozkazał Arkady.

– A ty co się wtrącasz? – oburzyła się Mania. – To nasza sprawa.

Odwróciła się gwałtownie i drugim łokciem strąciła talerz Miszy. Tym razem dość gorące puree ziemniaczane pacnęło na Hootcha, spokojnie śpiącego na kolanach matematyka. Mops zawył nie tyle z bólu, ile ze strachu. Misza, też niespodziewający się niczego złego, odruchowo wstał. Psiak, od stóp do głów oblepiony ziemniakami, kolejny raz plasnął o podłogę i nagle zaskomlił cieniutkim, żałosnym głosikiem.

– Hootchuś! – krzyknęli chórem Arkady, Olga i Mania.

W następnej chwili rzucili się do nieszczęsnego piszczącego mopsa, i wtedy stało się coś zupełnie fatalnego. Dwumetrowy Arkady zaczepił nogą o skraj dywanu i runął jak długi na podłogę. Padając, instynktownie chwycił się Miszy i pociągnął matematyka za sobą. Obaj zwalili się wprost na Hootcha. Ten rozdarł się takim głosem, że teraz już wszyscy runęli na pomoc. Mania w pośpiechu zawadziła ręką o stojącą lampę.

– Trzymajcie ją! – wrzasnęła Kicia, biegnąc ku lampie. Niestety. Z przeraźliwym łoskotem ciężki słupek z brązu grzmotnął w leżących na podłodze mężczyzn. Hootch skowyczał jak zarzynany. Słyszając to, Snap pomyślał pewnie, że przyjaciel za chwilę wyda ostatnie tchnienie, i zawył, Julie i Cherry natychmiast włożyły pod kanapę, a Bundy, oczywiście, nie stracił kontenansu i od razu zsikał się na progu.

– Kisha! – krzyczała Olga.

– Misza! – krzyczała Gala.

– Hootchuś! – darła się Mania. Jednocześnie wszystkie kobiety rzuciły się, by ratować lampę.

– Żyjecie? – upewniłam się, śpiesząc na pole bitwy.

– No, no! – rozległo się nagle w progu. – Normalny repertuar kochanej rodzinki. Powiedzcie mi tylko, kto nasikał przy drzwiach?

Domownicy zamarli. Wiedzieliśmy dobrze, kim jest gość, i mogę się założyć, że przez wszystkie głowy przemknęła jednocześnie ta sama myśl: „Boże, spraw, żeby Jefim zniknął!”.

Używając modnego słowa, można powiedzieć, że w naszej rodzinie rzadko dochodzimy do konsensusu. Mówiąc prościej, ciągle się kłócimy. Jeśli na kolację jest

ryba, to Mania żąda mięsa. Wystarczy zadysponować mięso, by wprawić w zły humor Kicię, a z kolei drobiu nie znosi Arkady. Dobrze chociaż, że teraz każdy ma w pokoju telewizor, bo w ten sposób unikamy cowieczornych batalii o program. Kiedyś, na swoje nieszczęście, postanowiliśmy wyremontować nasz dom w Paryżu i wybierając kolory ścian, bez przerwy sobie wymyślaliśmy. W ogóle jesteśmy zupełnie różni, a każdy chce, żeby jego radość stała się udziałem innych.

– Kiciu, zjedz kawałek, świetne ciasto – proponuje Maszka Oldze, która stale jest na diecie.

Kicia z kolei krzyczy niekiedy wieczorem:

– Daszka! Podrzuciłam ci do sypialni parę romansów.

A ja nie znoszę łzawych historii jak zarazy; wolę kryminały. Czasem zapominam się i podsuwam synowi talerz.

– Kiesza, masz tu świeże truskawki!

Arkady, który dostaje czerwonych plam na całym ciele, kiedy tylko na nie spojrzy, od razu ucieka.

Przeważnie udaje nam się opanować, czasem tylko zaczynamy na siebie wrzeszczyć. Istnieje natomiast pewna sprawa, która jednoczy całą rodzinę – wszyscy nienawidzimy Jefima Iwanowicza, który właśnie przyszedł z wizytą.

Nikt nie wie, ile lat ma ów tęgi mężczyzna, wielki amator trunków, pięknych kobiet i dobrego jedzenia. Podobno urodził się w roku tysiąc dziewięćset szóstym. Tyle że, niczym podstarzała kokietka, ukrywa swój wiek i od dwudziestu lat świętuje sześćdziesiąte piąte urodziny. Zresztą wygląda co najwyżej na sześćdziesiąt lat. Wyprostowany, szczupły, energiczny, o świdrujących oczach.

To mój były teść. Ściślej mówiąc, pierwszy mąż mojej teściowej Eleonory Jakowlewny, matki Kostika, ojca Arkadego. Teraz wiecie? Nora zerwała z Jefimem jeszcze pod koniec lat czterdziestych, wyszła za mąż za eleganckiego oficera i urodziła mu syna. Z Jefimem nie miała dzieci. Były mąż szybko ożenił się ponownie i wyjechał do Soczi. Ale że z jedną żoną Jefim po prostu nie może wytrzymać dłużej niż trzy lata, jego życie to nieprzerwany ciąg rozwodów. Tutaj wyprzedza mnie zdecydowanie – osiem czy dziewięć małżeństw i mnóstwo krótkotrwałych związków.

Za każdym razem lowelas zostawiał mieszkanie byłej małżonce, nic więc dziwnego, że przeprowadzał się z jednego miasta do drugiego. Mieszkał w Soczi, w Jałcie, w Mińsku, Tbilisi, Baku. W ostatnich latach osiadł w Petersburgu. Ale każdej jesieni regularnie jak w zegarku odwiedzał Eleonorę. Ta ze stoickim spokojem znosiła jego wizyty; po jej śmierci zaś ja przejęłam Jefima Iwanowicza w spadku.

Kostia nie znosi go jak zarazy i po prostu nie wpuszcza do domu. My też się krzywimy na widok byłego aktora, ale przekłete dobre wychowanie nie pozwala nam wyrzucić go za drzwi.

– To kto nasikał przy wejściu? – powtórzył pytanie gość, błyskając oczami.
– Dobry wieczór – mruknęła Kicia, która oprzytomniała wcześniej niż inni.
– Cześć – rzucił Jefim, bezceremonialnie obmacując wzrokiem jej zgrabną figurkę. – Pora przejść na dietę, bo sporo ci przybyło od ubiegłej jesieni, widzę wałeczki tłuszczu!

Swoim zwyczajem zaczął od impertynencji, ale w chwili zagrożenia domownicy jednoczą się, więc dopiero co wrzeszcząca na Olgę Maniusia rzuciła się jej na pomoc.

– Dobry wieczór, dziadku Fima! Prawda, że Kicia trochę przybrała na wadze? Fajnie! Strasznie jej na tym zależało, co wieczór popijała piwo... Będziesz u nas obchodził swoje dziewięćdziesiąte piąte urodziny?

Staruszek skrzywił się. Bardzo nerwowo reaguje, kiedy się mówi o jego wieku. Maniusia patrzyła na Jefima niewinnym dziecięcym wzrokiem. Dziewczynka doskonale wie, że odmładzający się Casanovą wykorzystuje wszelkie sposoby, walcząc z postępującą starością: farbuje włosy i brwi. Bywający z nim czasem w łaźni Arkady twierdzi, że dotyczy to nawet miejsc bardziej intymnych. A Masza zawsze nazywa zbereźnika dziadkiem, co doprowadza go do wściekłości.

Ustawwszy jakoś lampę z powrotem na swoim miejscu, Misza i Arkasza obmacali Hootcha, a upewniwszy się, że jest cały i zdrowy, usiedli do stołu. Jefim nie ma w ogóle serca do zwierząt, kiedy więc kochany Hootchuś oparł się łapkami o jego kolana, rzucił ze złością:

– A pójdziesz ty stąd, szczurze! Psom nie wolno siedzieć przy stole.

Zresztą nasze psy też niezbyt lubią staruszka, Bundy zaś na takie dictum zaczął cicho powarkiwać. Tymczasem Jefim już zauważył Miszę i poprosił:

– Dasza, poznaj mnie ze swoim absztyfikantem.

– Misza jest narzeczonym Gali – szybko poinformowała go Mania.

– Ty, jak widzę, nadal paplasz bez ustanku. – Gość najwyraźniej nie dawał się udobruchać.

– Oczywiście, dziadku Fima, co racja to racja – odezwał się Arkady. – Manieczka to bardzo miła dziewczyna. Mogę zaproponować coś do jedzenia? Są doskonałe kotlety. A, przepraszam, zapomniałem. Zeszłym razem mówił pan, że po dziewięćdziesiątce już nie jada mięsa.

Jefim spurpurowiał. Jeszcze nie tak dawno bezkarnie pokpiwał sobie z dzieci, ale teraz, kiedy podrosły, stały się dlań godnymi przeciwnikami.

– A ja myślałem – znowu ruszył do ataku – że Darła już całkiem zbzikowała i znowu chce się wydać. Chociaż wiadomo, że i tak nic by z tego nie wyszło, to przecież wieczna rozwódka.

– A po co Daszy mąż? – zdumiała się Kicia. – Dzieci ma, kochanków od metra, a pieniędzy tyle, że starczy nawet na dziesięć żyć. To już lepiej niech zostanie, tak jak

jest: sama sobie sterem!

Na wzmiankę o moim majątku Jefim Iwanowicz posmutniał. Ma kilka namiętności, między innymi karty i wyścigi. Ale mówią, że jeśli ktoś ma szczęście w miłości, to nie ma go w grze. Dlatego dziadunio stale przegrywał i najwyraźniej chciał mnie teraz poprosić o tysiączek lub dwa.

Dziadek zaczął się uśmiechać, odsłaniając nienagannie wykonane protezy, gdy nagle zauważył siedzącą spokojnie Galę.

– Pani pozwoli, kochana, że się przedstawię, Fima, aktor filmowy.

Rzeczywiście zagrał nawet w paru filmach, które nie miały szczególnego powodzenia. Przez całe życie przeważnie podkładał tylko głosy w studiu.

Galinka zarumieniła się. Casanova wziął ją za rękę i pocałował w nadgarstek.

– Jakie cudowne perfumy! – Staruszek zrobił słodkie oczy.

– Nie używam perfum – wyszeptła jeszcze bardziej zawstydzona kobieta.

– To znaczy, że pani skóra tak pachnie, szalenie podniecająco!

Twarz Gali przybrała kolor buraka. Jefim uśmiechał się z galanterią, Misza zaczął nerwowo zakręcać włosy na palcu. Arkasza zacisnął zęby tak mocno, że zaczęły mu drgać mięśnie policzków. Kicia szybko wymknęła się z jadalni, ja za nią. Zdaje się, że w najbliższym czasie w domu będzie gorąco.

Za każdym razem, kiedy się czymś przejmę, nie mogę zasnąć. Dzisiaj też wierciłam się w łóżku, zrzucając kołdrę i bez końca przewracając poduszkę. W końcu zapaliłam papierosa i spróbowałam poukładać sobie w głowie wszystko jak należy.

Trup Aleksego Nikitina z niewiadomych powodów znalazł się w moim bagażniku. Basile Korzinkin, związany interesami z Nikitinem, zniknął bez śladu. Maja Kołosowa została zamordowana, są jeszcze tajemnicza Wiera i raptownie wzbogacona Ninka... Co panna Samochwałowa i Basile robili w opustoszałej Gorłowce? Szukali skarbu? Po co stary dureń zabrał ze sobą obcą kobietę? Chociaż dlaczego obcą? Może Ninka właśnie jest tą tajemniczą kochanką, dla której rzucił Suzette? Ciekawe, czy znaleźli skrytkę?

Co więcej: jeśli Aleksy i Wiera rzeczywiście są wnukami Trofima, to tym samym również krewnymi Basile'a. Czy on o tym wie? I gdzie się właściwie podział? Może pojechał z Ninka do miejscowości Pticzij?

Energicznie cisnęłam przez okno niedopałek do ogrodu i popatrzyłam na budzik – druga w nocy. W Paryżu północ, Suzette najprawdopodobniej nie śpi; rzadko kładzie się przed pierwszą.

Suzie rzeczywiście od razu podniosła słuchawkę.

– Daszka! No i gdzie jest Basile?

– Posłuchaj, czy mąż mówił ci coś o krewnych w Moskwie?

– Nie ma żadnych krewnych – powiedziała moja przyjaciółka. – Miał tylko

dziadka. Szukaj Basile'a, błagam! – I rozplakała się.

Z trudem uspokoiłam biedaczkę i odłożyłam słuchawkę. To znaczy, że Basile nic nie wiedział! Dobrze, jutro pojedę do miasteczka Pticzij, potem spróbuję dowiedzieć się prawdy o Nikitinach.

Do Pticziego prowadzi szosa ryska, a nazwę z pewnością wzięło od znajdującej się w pobliżu fermy. Mała, senna osada z paroma kioskami na przydworcowym placu. Zatrzymałam się koło przemarzniętego sprzedawcy i spytałam:

– Podobno gdzieś tutaj jest zakład karny?

– Jedź pani wzdłuż torów do pętli tramwajowej – poinformował.

Po dziesięciu minutach podjechałam do odrapanego budynku z cegły. Za ciężkimi drzwiami znajdowała się krata z napisem „W pomieszczeniu mogą znajdować się najwyżej dwie osoby”. Obok dzwonek. Kiedy go nacisnęłam, odezwał się okropnym, wibrującym dźwiękiem. Usłyszałam szczęknięcie, wejście otwarto.

– Słucham panią? – zapytał chłopak o okrągłej twarzy.

Starannie przygotowałam się na spotkanie z ojcem Minki, dlatego wyjęłam ładną ciemnobordową legitymację z tłoczonym napisem „Telewizja” i wsunęłam w maleńkie okienko. Dyżurny przyjrzał się dokumentowi i nieśmiało spytał:

– A czego pani potrzebuje?

– Chciałabym rozmawiać z pańskim szefem, naczelnikiem Samochwałowem.

Chłopczyna zniknął w sąsiednim pomieszczeniu, skąd dobiegł mnie dźwięk obracanej tarczy telefonicznej. Dosłownie w sekundę później do dyżurki wszedł rostry mężczyzna, prawdziwy przystojniak. Nic mu nie brakowało: wzrost prawie dwa metry, szerokie ramiona, wąski w pasie.

Wiek trudno określić, około pięćdziesiątki, a twarz całkiem gładka. Pewnie dużo przebywa na świeżym powietrzu i o nic nie musi się troszczyć. Naczelnik przyjaźnie się uśmiechnął, a ja z zazdrością zauważyłam, jakie ma białe, mocne zęby; można takimi orzechy gryźć. Nie to, co moje – same plomby i sztyfty.

– Kto do nas przyjechał z telewizji?

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

– Jestem z programu „Bohater dnia”, chciałam porozmawiać.

Po czysto zamiecionych schodach weszliśmy na piętro; naczelnik z galanterią przepuścił damę przodem. Gabinet wyglądał wspaniale. Na podłodze leżał jasny dywan, w kącie stał duży telewizor z magnetowidem. Na biurku zobaczyłam podstawkę do piór, przypominającą nagrobek, i piękną lampę, którą można było wyginać na różne strony. Pod oknem znalazło się miejsce dla dwukomorowego boscha, na nim stała wieża z odtwarzaczem CD. A mówi się, że więziennictwo jest niedoinwestowane!

– Lubię wasz program – ciągnął mężczyzna. – Ale cóż panią sprowadza do nas?

– No właśnie. – Rozłożyłam ręce. – Chciałabym pokazać nie tylko znane osobistości, ale i zwykłych ludzi. W dodatku środki masowego przekazu otrzymały ostatnio zaszczytne zadanie: pokazać pracowników MSW w pozytywnym świetle, dlatego wybrano pana. Nie ukrywam, że pańscy przełożeni mi to doradzili.

– Program chyba prowadzi inna redaktorka – dał wyraz swym wątpliwościom naczelnik. – Taka wygadana, z długimi włosami.

– Tak, oczywiście – uspokoiłam podejrzliwego faceta. – Zajcewa. Ale ona przyjeżdża już bezpośrednio na rozmowę, a przygotowanie programu należy do nas. Oglądamy miejsce ewentualnych zdjęć, poznajemy bliżej bohatera, wyszukujemy ciekawe szczegóły. To może zaczniemy od razu. Proszę się przedstawić.

– Jeśli panią skierowali moi przełożeni, to pewnie podali pani moje imię i nazwisko – rozsądnie zauważył rozmówca.

– Oczywiście, panie Samochwałow, ale mimo wszystko będzie pan musiał przedstawić się telewidzom.

– Feliks Michajłowicz Samochwałow – powiedział ostatecznie skołowany naczelnik i wyjaśnił: – Ojciec służył w organach i nadał mi to imię na cześć Dzierżyńskiego.

– Znakomicie! – zachwyciłam się. – A teraz proszę więcej szczegółów o sobie.

– Nasz zakład... – zaczął naczelnik.

– Nie, nie – przerwała od razu. – Chodzi tylko o sprawy osobiste.

Feliks Samochwałow westchnął i zaczął opowiadać swój życiorys. W skupieniu zapisywałam jego słowa długopisem w notesie, udając dziennikarkę. W końcu naczelnik powiedział:

– Mam córkę na studiach.

– Świetnie, z nią też chcielibyśmy porozmawiać.

– Ninka uczy się w Moskwie, do domu przyjeżdża tylko na wakacje – wyjaśnił kochający tatuś. – Chce pani, to podam jej adres?

– Tak rzadko się pokazuje? – chciałam się upewnić.

– Po życiu w stolicy nudno jej u nas. – Samochwałow uśmiechnął się promiennie.

– Nie ma teatrów, rozrywek. Ja zresztą nie protestuję. Ale to dla młodych, my oboje, ja i pani, jesteśmy już na to za starzy.

Przełknęłam tę nietaktowną uwagę i wypytywałam dalej. Rzeczywistość okazała się niezbyt budująca. Ninka rzadko odwiedzała ojca. Dzwoniła tylko, meldując o postępach w nauce.

– Córka jest na czwartym roku. – Tatuś nie ukrywał dumy. – Tyle że ciągle sama. Ja już nieraz wprost jej mówiłem: „Szukaj, dziecko, męża w Moskwie, żebyś później nie siedziała sama tu, na prowincji”. Ale Ninka tylko machała ręką, za dumna jest; wdała się w matkę.

Przez następne półtorej godziny niczego istotnego się nie dowiedziałam.

Obiecałam powiadomić pana Feliksa o dacie przyjazdu ekipy i zaczęłam zbierać się do wyjścia. Samochwałow z galanterią podprowadził mnie do volva i z szacunkiem zauważył:

– Nieźle pani zarabia, takie auto, no, no, moje trochę skromniejsze. – I pokazał palcem lśniące bmw.

Pewnie krewni więźniów dają mu łapówki, bo z milicyjnej pensji na taki kabriolet by nie uskładał. Zaczęliśmy się żegnać i wymieniać ukłony, gdy nagle przed wartownią zatrzymała się milicyjna suka. Konwojent zadzwonił. Krata się rozsunęła, samochód powoli wjechał na teren więzienia. Po pięciu minutach, kiedy już zapalałam silnik, w bramie otwarła się furtka i starszy milicjant zawołał:

– Feliksie Michajłowiczu!

Uśmiechnęłam się na pożegnanie, a naczelnik udał się tam, gdzie go wzywano. Przez otwartą furtkę było widać, jak z suki wysiada kilku przywiezionych więźniów. Ostatni szedł jakoś bokiem, niezręcznie wymachując lewą ręką. Furta się zatrasnęła. Ruszyłam w stronę Moskwy. Który to z moich znajomych chodzi w taki sam sposób: jakby tylna część ciała starała się prześcignąć nogi? Dostrzegłam w tym kryminaliście coś znajomego.

Rozdział 19

Cały Pticzij można objechać w ciągu kwadransa. Dlatego na drogę do domu uśmiechniętego Feliksa straciłam dosłownie pięć minut. Nieduży budynek z jasnej cegły, drzwi zamknięte, przy wejściu domofon. Nowoczesność dotarła i tutaj.

Zaczęłam naciskać guziki, w końcu rozległ się drżący głos:

– Tak?

– Pogotowie.

Drzwi od razu się otwały. Dawno zauważyłam, że lekarza ludzie wpuszczają od razu. Spróbujcie podać się za pracownika służb komunalnych albo nawet milicjanta – zamęczą was pytaniami; ale przed lekarzem otwierają się wszystkie wrota.

W środku było nadspodziewanie jasno i czysto. W dosyć przestronnym holu, przy biurku, spokojnie czytał gazetę sześćdziesięcioletni silny mężczyzna o twarzy oficera rezerwy. Tuż za nim zaczynały się wyściełane czerwonym chodnikiem schody. Windy w czteropiętrowym domu oczywiście nie było.

– Pani do kogo? – zapytał facet.

Starając się uśmiechać tak miło, jak tylko potrafiłam, wyjęłam legitymację i wyjaśniłam:

– Otwieramy w mieście biuro korespondenckie NTW, chcemy wynająć mieszkanie, w merostwie powiedziano mi, że wasz dom jest najbardziej reprezentacyjny.

– To prawda – zgodził się.

Nagle w głębi holu otwały się drzwi i wyszła z nich dwudziestoletnia dziewczyna. To znaczy, że jednak w budynku jest winda.

– Dzień dobry, Fiodorze Stiepanowiczu – przywitała dziewczyna ochroniarza.

– Dzień dobry, Swietko – uprzejmie odpowiedział dyżurny. – Chyba za lekko się ubrałaś, na dworze jest zimno.

– Naprawdę? – zdziwiła się Swieta, podeszła do okna i zaczęła lustrować pustą ulicę. Fiodor Stiepanowicz kontynuował rozmowę ze mną.

– Telewizję lubię, a szczególnie wasze NTW. Taka jedna czarnulka mi się tam

podoba, z ostrym noskiem, czyta wiadomości...

– Mitkowa?

– Ona jest i ładna, i mówi sensownie. A nasz dom rzeczywiście jest najlepszy, tu mieszka elita. Ale mieszkań nikt nie wynajmuje, nic pani u nas nie znajdzie.

Na stole zadzwonił telefon. Ochroniarz podniósł słuchawkę, a potem podszedł do windy. Swietka oderwała się od okna i spytała nieśmiało:

– Pani z telewizji?

– Tak, NTW Chcieliśmy w waszym domu urządzić biuro dla korespondenta, ale pewnie nic z tego.

– A jak można u was dostać pracę?

– Rozmaicie. Jedni przychodzą z własnej inicjatywy, innych polecają znajomi...

– No, że ci z własnej się dostają, to nie bardzo wierzę – powiedziała dziewczyna.

– Zawsze marzyłam, żeby być w telewizorze.

Westchnęłam: być w telewizorze można chyba tylko wtedy, gdy się usunie tylną ściankę i wyjmie wszystko ze środka.

– Chwileczkę – ciągnęła Swietka. – A jak powiem, do kogo się zwrócić, żeby wynająć mieszkanie w naszym domu, to pomoże mi pani, pozna, z kim trzeba?

Wówczas drzwi windy się otworzyły, a Fiodor wytoczył z nich wózek.

– Chodźmy – szepnęła dziewczyna. – Tutaj niedaleko jest jedno miejsce, posiedzimy, pogadamy.

Zaprowadziła mnie do niedużej kawiarni, zapaliła marlboro i powiedziała:

– Samochwałow wybudował sobie willę przy wyjeździe z miasta. Z czerwonej cegły, z wieżyczką. Mówił mojej mamie, że mieszkanie chce wynająć. Mogę panią zawieźć do niego.

– Pewnie ma rodzinę?

– Córkę Ninę, już dorosłą.

– No, widzi pani – udałam rozczarowaną – na pewno będzie chciała mieszkać oddzielnie, nie z rodzicami, to zatrzyma mieszkanie.

– Ależ skąd! – Swieta wzruszyła ramionami. – Ninka studiuje w Moskwie, tutaj się nie pokazuje.

– W ogóle nie przyjeżdża?

– Od lata jej nie widziałam.

– Może pani po prostu nie zauważyła?

– Dom stoi tak, że z mojego pokoju widać jej okno, i wiem, że od sierpnia nikt tam nie odsuwał firanek. W dodatku dobrze się znamy. Ninka przyjechała na kilka dni w lipcu i od razu do mnie, chciała się pochwalić nową bryką. No cóż, ojciec pewnie daje jej tyle forsy, ile Nina chce – zakończyła Swieta.

Obiecałam przemyśleć tę propozycję i pojechałam do Moskwy. Przy wyjeździe z

miasteczka zatrzymałam się i obejrzałam dużą piętrową willę z cegły ogniotrwałej. Była całkiem gotowa, okna oszklono i nawet wyasfaltowano ścieżki w ogrodzie. Ciekawe skąd sympatyczny pan Feliks wziął na to pieniądze? Nietrudno zgadnąć. Do zakładu karnego trafiają różni ludzie i każdy chciałby jak najlepiej się urządzić. O ile wiem, przyjęcie dodatkowej paczki dla więźnia w Butyrkach kosztuje sto dolarów. A w takim zakładzie możliwości jest więcej – trzydniowa wizyta żony, przepustka do domu, prawo do zameldowania po odsiadce – wszystko za odpowiednią opłatą. Źródło zamożności naczelnika nie stanowi więc żadnej tajemnicy. Dla mnie ważne było co innego: Nina się tu nie pokazywała, więc nie mogła przywieźć Basile’a.

Chmury trochę się rozpięzchły; przejaśniło się i bardzo pochłodziło. Włączyłam ogrzewanie na maksa i ruszyłam szosą, starając się mocno trzymać kierownicę. Osiemdziesiąt na godzinę to straszliwa prędkość. Prowadzę już pięć lat i nauczyłam się nawet parkować samochód tyłem, ale nie lubię jeździć zbyt szybko. Mój prędkościomierz rzadko pokazuje więcej niż sześćdziesiąt. I w żaden sposób nie mogę się wyzbyć tego głupiego nawyku: kiedy hamuję, z całej siły ciągnę do siebie kierownicę. Złośliwy Arkady radzi przy tym koniecznie wołać: „Prr, maluśkie!”. Ale ja staram się nie zwracać uwagi na te ironiczne przytyki, w końcu nie wszyscy rodzą się z kluczami w dłoni.

Po sennej mieścinie Moskwa wydała mi się nader hałaśliwa. Naturalnie, przy wjeździe na Szosę Wołokołamską utknęłam w olbrzymim korku i wynudziłam się niesamowicie, w żółwym tempie posuwając się do przodu. Koło stacji metra Aeroport zatrzymałam się. Przejdę pieszo na drugą stronę prospektu Leningradzkiego i sprawdzę: a nuż Nina wróciła? W bramie siedziała teraz inna babina.

– Rano tu była – powiedziała. – Ale już poszła. Może na uczelnię albo do szpitala po jakiego inwalidę? Ona się nimi opiekuje.

Stróża Jury też nie znalazłam. Zazwyczaj zawsze się tu kręci, ale dzisiaj nikt go nie widział. Rozczarowana wróciłam do Łożkina.

W domu było cicho. Wzięłam z gabinetu gruby notes z telefonami i poszłam do sypialni. Półtorej godziny później uporządkowałam rezultaty. Pielęgniarek do opieki nad samotnymi inwalidami dostarczają lokalne oddziały Czerwonego Krzyża i w żadnym z nich nie pracuje Nina Samochwałowa. Ale w stolicy istnieje mnóstwo prywatnych agencji pielęgniarskich. Wykręciłam numer „Pomocnika” i zaczęłam chlipać do słuchawki:

– Chciałam prosić o kogoś do opieki nad sparaliżowanym ojcem.

Uprzejmy głos od razu podał cenę: jeden dzień – dziesięć dolarów; naturalnie, lekarstwa, pampersy, środki czystości na koszt klienta. Do niego też należy całodzienne wyżywienie opiekunki. Jeśli w grę wchodzi transport do innego miasta – płaci się dwa razy drożej.

Odłożyłam słuchawkę, a za minutę zadzwoniłam jeszcze raz do tej samej agencji, starając się zmienić głos.

– Czy potrzebują państwo pracowników? – zapytałam.

Ten sam nienagannie uprzejmy głos upewnił się:

– Ma pani wykształcenie medyczne?

– Jestem dyplomowaną pielęgniarką.

– Sto dolarów na miesiąc plus obiad w domu chorego, no i, naturalnie, napiwki.

– A ile zwykle dają?

– Na dwadzieścia dolarów miesięcznie może pani śmiało liczyć.

– Zatrudniacie tylko profesjonalistki?

– Po przedstawieniu dyplomu – uściślił głos.

Zadzwoniłam do innej agencji. Ceny mniej więcej się pokrywały i wszędzie przyjmowano tylko dyplomowane pielęgniarki.

Zamyślona zesłam na dół. Gdzie właściwie dorabia Nina? Na legalną pracę nie ma żadnych szans, bez dyplomu szkoły medycznej, studiuje na uczelni o innym profilu. Na opiece dużo by nie zarobiła; każą się człowiekowi cieszyć z dwudziestu dolarów napiwków na miesiąc. Nina Samochwałowa pewnie za samo mieszkanie płaci trzysta; a na samochód, benzynę, dzinsy Trussardi, bluzki Naf-Naf to co... tato przysyła? Przecież niedawno zbudował dom, włożył w niego wszystkie pieniądze. Nie, dziewczyna musi jednak sama zarabiać. Ale jak? Może Basile utrzymuje kochankę? Owszem, jest dobrze sytuowany, ale niemożliwie skąpy, jak wszyscy Francuzi. Rosjanie naczytali się *Trzech muszkieterów* i stworzyli sobie fałszywy obraz paryżanina – wesołka i hulaki, nieliczącego się z wydatkami na piękne panie i pijatyki. W rzeczywistości statystyczny Francuz nigdy nie zaprasza nikogo do domu; a jeśli już się na to zdecyduje, na stole będą fistaszki i talerz z serem. Jeśli się naprawdę szarpnie, poda szynkę. Przy czym jeśli gości jest sześcioro, to na pięknym, odziedziczonym po babci półmisku będzie leżało tylko sześć plasterków – po jednym dla każdego, i nie wypada prosić o dokładkę. To z pewnością nie Korzinkin zapewnia Ninie luksusowe życie. On mógłby jej co najwyżej ofiarować perfumy albo jakiś niedrogi pierścionek...

Na kanapie w salonie leżał Arkady. Na stoliku zobaczyłam kilka pism i odruchowo wzięłam do ręki jedno z nich.

– Nie patrz – ostrzegł syn.

Ale ja w przerażeniu wlepiłam wzrok w zdjęcie na pierwszej stronie.

Przedstawiało młodą, uśmiechniętą kobietę. Można byłoby ją nawet uznać za ładną, gdyby nie oszpecone ciało. Lewej piersi nie miała, jej miejsce zajmowała biała blizna, z prawej zostały żałosne resztki. U dołu podpis – Viola, trzydzieści pięć lat, radykalna mastektomia, agencja „Lotos”.

– Co to jest? – wykrztusiłam z trudem, nadal machinalnie przeglądając dziwną publikację.

Kolejne zdjęcia okazały się jeszcze okropniejsze. Miłe panie demonstrowały efekty amputacji rąk i nóg, dalej następowały zdjęcia młodych mężczyzn o ciałach pokrytych bliznami.

Wszyscy byli sfotografowani prawie nago – szczątkowe slipy zakrywały tylko mały, trójkątny kawałek ciała. Na ostatnich stronach ujrzałam istne monstra: karły, chorobliwie tłuste baby, para chłopaków oszpeconych niesamowitymi znamionami.

– Po diabła przywlokłeś takie ohydztwo do domu? – naskoczyłam na syna. – Gdzie kupiłeś to koszmarnie pisemko?

Arkady podniósł głowę i zerknął na stół.

– To Jefim przyniósł tę pornografię. Jeśli okażemy niezadowolenie i wrzucimy pisemko do pieca, zaraz przytaszczy dziesięć nowych numerów i zacznie wszystkim pokazywać. Lepiej udać, że nas to nie interesuje, i zostawić pismo w spokoju; niech tu leży. Przecież go znasz.

Absolutna racja. Wystarczy, by stary zauważył, że coś wzbudza w nas niesmak, od razu zaczyna naciskać pedał do oporu. To już taki sadystyczny typ – doznaje satysfakcji na widok cierpień ofiary.

– Boję się, że Maszka zacznie to oglądać.

Syn westchnął.

– Jeśli schowamy pismo, dziadunio je zaraz jej pokaże. W końcu to nic strasznego, po prostu nieszczęśliwi ludzie, okaleczeni. Naturalnie, dziecku nie należy mówić, po co ci biedacy prezentują tu swoje fotki. Dobra, sam jej wyjaśnię. Że niby pismo wydaje towarzystwo inwalidów, by podtrzymać ludzi na duchu. Przeszedłeś straszną operację – nie martw się, popatrz na innych: może im jest jeszcze gorzej, a się uśmiechają! I ty powinnaś trzymać się tej wersji. Nie przejmuj się, obejrzy i zaraz o tym zapomni!

– Dobrze, ale czemu coś takiego się pokazuje?

Arkady usiadł i popatrzył na mnie.

– Mamo! Czy ty masz dwanaście lat? Jesteś naiwna jak dziecko.

Obraziłam się.

– Wybacz mi, synu, i wytłumacz idiotce...

Kiesza odchrząknął.

– Słyszałaś o zboczeniach seksualnych?

Skinęłam głowę. Aż taką ciemniaczką to ja nie jestem, w końcu słyszałam i o homoseksualistach, i o pedofilach.

– A to po prostu inny rodzaj zboczenia – wyjaśnił mój syn. – Są tacy, których podnieca tylko kalectwo. No... Nie staje mu na widok normalnej baby, potrzebuje

czegoś takiego. Ostatecznie to prywatna sprawa człowieka, z kim sypia. Nie ma nic złego w tym, że okaleczona kobieta znajdzie sobie kogoś, ale nie powinno się sprzedawać takich pism w kioskach z prasą, na stoiskach ulicznych. Można je rozpowszechniać przez szpitale albo stowarzyszenia inwalidów... no, nie wiem jak! Szczerze mówiąc, nie chciałbym, żeby dziecku wpadło w ręce coś takiego. Na razie jednak takie publikacje nie są zabronione. Lesbijki mają swoją „Różową Panterę”, a ci przecież nie gorsi. Pamiętasz Dimę Pietrowskiego?

Przytaknęłam. Tusty, zasapany chłopak, dawny kolega Arkadego z klasy. Nikt go nigdy nie widział z dziewczyną, kolegów też przeważnie unikał.

– Ożenił się z kobietą bez nogi, starszą od siebie o dziesięć lat – ciągnął mój syn.
– Wszyscy go żalowali: biedny Dimka, musi się opiekować żoną inwalidką. A facet jest szczęśliwy, dosłownie kwitnie. Nie chce zdrowej, i już.

Z zadumą popatrzyłam na pierwszą stronę pisma: „Przysyłajcie swoje zdjęcia pod adresem K-9, skrytka pocztowa 18, i podajcie telefon”.

– Więc to nie jest karalne? Prawo nie zabrania publikacji czegoś takiego?

Syn wzruszył ramionami.

– Zakazana jest pornografia, erotyka – dozwolona. Ale jak je rozgraniczyć?

Dlaczego kobieta z obnażonymi piersiami to erotyka, a z gołą pupą – pornografia? O kalekach w ogóle się nie mówi. Zobacz, pisemko określa swoje ogłoszenia jako „matrymonialne”. A już to, jak się autor ogłoszenia sfotografował, nikogo nie obchodzi. Przyzwoitość została zachowana – intymne miejsce jest zasłonięte.

Przyjrzałam się uważniej, i rzeczywiście, nad każdym obrazkiem widniał napis „Szukam partnera”.

– To za co można by tu karać?

– Karalne jest namawianie ludzi do niepotrzebnych operacji. Handlarze żywym towarem proponują amputację ręki lub nogi, oczywiście za pieniądze, a potem stręczą kaleki bogatym amatorom o spaczonych gustach.

– Czyżby ludzie dobrowolnie zgadzali się na coś takiego? – przeraziłam się.

– Mamo – spytał Arkady uroczyście – czy wiesz, że średnia płaca miesięczna w Rosji jest niższa niż pięćdziesiąt dolarów? A w Mołdawii i na Białorusi wynosi nawet dwadzieścia. Niektórzy gotowi są na wszystko, żeby zarobić.

– Hura! – rozległo się z korytarza. – Miszka, kochany, chodź, niech cię pocałuję!

– Twoja córka, a moja siostra oczywiście znowu dostała piątkę z klasówki – zaśmiał się Kiesza i szybko rzucił gazetę na pismo.

Dobrze zrobił. Wpadła Manusia i od razu z zachwytem zaczęła opowiadać o swoich sukcesach. Za jej plecami majaczył Misza.

Dziewczyna złapała oddech po relacji i z kolei zaatakowała matematyka.

– No, co, oświadczyłeś się Gali?

– Maniu! – skarciliśmy ją do spółki z Arkadym.
– Nie wiem nawet, jak zacząć – wymamrotał profesor.
– Co za oferma! – Mania załamała ręce. – Widziałeś, że przyjechał Jefim? Jak będziesz zwlekał, to ci sprzątnie Galinkę sprzed nosa. To wielki amator żeniaczki, stary, obleśny grzyb!
– Masza! – krzyknęliśmy znowu z synem jednym głosem.
– A co ja takiego powiedziałam? – zaperzyła się dziewczynka. – Wolicie udawać, że jesteście zachwyceni wizytą? Olga wczoraj mówiła do Arkadego, że Jefim to straszny dziwkarz i... Zresztą nie będę powtarzać...
– No więc nie powtarzaj – zaczął wychowywać siostrę brat – i siedź cicho. A poza tym skąd wiesz, co się mówi w naszym pokoju, skoro cię tam nie ma?
– Z mojej łazienki słysząc, co się dzieje w waszej – prostodusznie przyznała się Mania. Gdy jednak zobaczyła zmieszaną minę Kieszy, szybko dodała: – Ale nigdy nie podsłuchuję, zwłaszcza kiedy bierzecie razem prysznic.
Arkady, zazwyczaj blade jak wampir, nagle przybrał wygląd młodej rzodkiewki: czoło i podbródek białe, policzki – różowe. Nie zwracając uwagi na tę metamorfozę, Maszka paplała dalej:
– Sromotnik bezwstydnny, tęgoskór pospolity, szmaciak gałęzisty. Wczoraj wieczorem uszczypnął mnie w pupę.
– Ach tak? – wycedził Kiesza tonem, który nie wróżył nic dobrego. – A ty co na to?
– A ja mu kopa w jaja! – odparła dumnie moja córka i rozpromieniona wyjaśniła: – Denis mnie nauczył. Powiedział po prostu: jak ktoś zacznie się do ciebie dowalać, od razu go kolanem w jaja!
– Maniu! – krzyknęłam znowu, w głębi ducha wdzięczna synowi przyjaciółki za tę wskazówkę. – Po prostu nie wypada tak się zachowywać.
– Nie słuchaj mamy – pouczył siostrę Arkasza. – Kiedy ktoś cię szczypie w tyłek, to takie zachowanie jest właśnie bardzo na miejscu. A on co na to?
Mariusia otworzyła już usta, ale w porę się pohamowała:
– Lepiej nie powtarzać.
– A ty co na to?
Maszka zachichotała.
– Też lepiej nie powtarzać.
Syn westchnął ciężko.
– No i dobrze. Nie gadaj za dużo, ale nie toleruj chamstwa; od razu wal między nogi.
– No jasne! Nie bój się, nie jestem głupia – uspokoiła go siostra.

Rozdział 20

Następnego dnia koło południa pojechałam do domu przy ulicy Czerniachowskiego. Na podwórzu panowało niezwykle ożywienie, grupki mieszkańców ze wzburzeniem o czymś rozprawiwały. Zobaczyłam już znajomą windziarkę i zapytałam:

– Nina wróciła?

– Rano wyjechała z domu. – Babka machnęła ręką. – Ale tu takie rzeczy się dzieją!

– Co się stało?

– Jurkę zabili, naszego stróża! I komu on przeszkadzał? Taki spokojny, usłużny. Jak się upił, to spał, nie awanturował się, nie kłął. O, o, patrz pani, żona przyjechała; była w kostnicy identyfikować zwłoki.

Przy starym ziguli stała tęga, przygarbiona, przedwcześnie postarzała kobieta. Jej nieobjętą piersią wstrząsał spazmatyczny szloch. Kiedy zobaczyła zamilkłych nagle ludzi, chwyciła się za głowę i zawyła:

– Jura, mężu kochany, czemu nas opuściłeś!

Kilka staruszek rzuciło się ku wdowie.

– To ci nieszczęście, to ci nieszczęście – powtarzała windziarka jak nakręcona. – I po co on jeździł do tego szpitala?

– Do jakiego szpitala? – Nadstawiłam czujnie uszu.

– No, znaleźli Jurkę za miastem, akurat pod płotem kliniki numer sześćset sześćdziesiąt dwa – wyjaśniła staruszka. – Podobno został zabity jeszcze wczoraj, z rana. Rzeczywiście cały dzień go nie było widać. No gdzie tam chłopca zaniósł? Przecież to daleko, pod Moskwą.

Nie słuchając dłużej gadatliwej babci, wróciłam do samochodu. To znaczy, że Nina gdzieś gania, a stróża zabito. Zeszłym razem mówił, że spotkał dziewczynę na Szeremietiewie. Rzekomo odprowadzała inwalidkę, Jura nawet przypomniał sobie, jak Nina bez końca powtarzała nieznanne słowo: *bien, bien, bien*. To po francusku, a znaczy po prostu: „dobrze”, „w porządku”.

Z szarego nieba nagle zaczął dużymi płatkami walić lepki śnieg, i nie wiadomo czemu zrobiło się cieplej. Volvo w mgnieniu oka zmieniło się w bezkształtną zaspę. Prędko wsiadłam do pachnącego moimi ulubionymi perfumami wnętrza i wyjęłam gauloise'a. Arkady ma na pewno rację, kobiecie bardziej pasują papierosy Kolekcja czy Davidoff, ostatecznie Parlament albo mentolowe Vogue. Ja zaś, dziecię epoki deficytu wszelkich towarów, długo za szczyt luksusu uważałam bułgarskie BT. Gauloise'y okazały się pierwszymi zachodnimi papierosami na naszym rynku, im więc bez reszty oddałam serce. Jak na ironię, po wyrobach tytoniowych innych reklamowanych firm zaczynam potwornie kaszleć. „A to ci heca”, jak mawiała moja babcia, kiedy dziadek znajdował u niej piątego asa. Babcia uwielbiała grać w karty i zawzięcie oszukiwała. Myślała do końca niezwykle jasno i logicznie, paliła papierosy i trzymała dziadka pod pantoflem. To na pewno po niej odziedziczyłam zamiłowanie do detektywistycznych poszukiwań.

Powoli wypuszczałam dym i starałam się jakoś uporządkować myśli. Jura powiedział, że razem z Niną przywieźli inwalidkę ze szpitala sześćset sześćdziesiąt dwa; zalił się nawet, że musiał nieść dziewczynę na rękach. A został zabity właśnie w pobliżu tej kliniki. Po co jeździł tam jeszcze raz? Nieoczekiwanie przed oczami stanął mi okropny obraz: cały w gipsie i bandażach Basile powoli umiera na zapadniętym łóżku. Mogło przecież być i tak: w powrotnej drodze z Gorłowki Korzinkin i Nina mieli wypadek. Przypuśćmy, że Basile nie wyrobił się na zakręcie i wpadł na drzewo... Kierowca mocno ucierpiał, Nina wyszła z tego cudem jakimś – zdrowa i cała. Dziewczyna złapała okazję i szybko zawiozła zakrwawionego kochanka do szpitala. Dlaczego do sześćset sześćdziesiątego drugiego? Ależ to oczywiste.

Klinika położona jest dosyć daleko od Moskwy, chociaż to placówka miejska; stoi w dodatku akurat przy drodze z Gorłowki do stolicy. To po prostu pierwszy moskiewski szpital, do którego Nina mogła zawieźć Basile'a. Widać było z nim tak źle, że nie dojechałby do kliniki imienia Sklifosowskiego. Mój przyjaciel leży więc pewnie na oddziale intensywnej opieki, nie mogąc dać znać o sobie ani mnie, ani Suzie.

Wystraszona Nina Samochwałowa, oczywiście, nie zadzwoniła do żony Korzinkina. Personel szpitala w takich sytuacjach obowiązany jest powiadomić milicję. Kiedy jednak to towarzystwo zobaczyło parę setek baksów, wszyscy z pewnością zbiorowo ogłuchli, oślepli i oniemieli!

Że też podobna myśl od razu nie przyszła mi do głowy! Dlaczego nie obdzwoniłam najpierw szpitali? Nie, Aleksander ma rację, nie potrafię działać profesjonalnie!

Wściekła w duchu na siebie samą, włączyłam silnik i popędziłam do kliniki. Jak na złość, droga była jakby wysmarowana tłuszczem, a na przednią szybę spadały

białe kleksy. Klnąc w żywy kamień, z trudem dojechałam do stalowej, zamkniętej na głucho bramy. Na portierni widać było dwóch roślących ochroniarzy w czarnych kombinezonach. Ci blondyni, ostrzyżeni prawie na zero, przypominali esesmanów z dywizji Totenkopf. Na piersi mieli nawet naszywki z czymś podobnym do trupiej czaszki. Przyjrzałam się i zrozumiałam, że to naprawdę wizerunek szkieletu, a pod spodem cyferki – sześć, sześć, dwa. No, ładny emblemat sobie wymyślili!

– Wjazd tylko dla samochodów pogotowia i personelu – oświadczył dosyć uprzejmie jeden z chłopaków.

Podalam mu dziesięć dolarów. Ale ochroniarz był niewzruszony.

– Wybacz pani, ale surowo zabrania się nam przyjmowania napiwków, proszę zostawić samochód na parkingu za szlabanem. Może pani nie wyjmować radia, my dopilnujemy, żeby nie zginęło.

Trzeba było się podporządkować. Przez portiernię weszłam do parku. Szeroka aleja prowadziła do widocznego z dala głównego pawilonu. Olbrzymie jodły górowały nad dróżką. Z pewnością latem to miejsce przypomina raczej sanatorium. Teraz zaczęła się prawdziwa zawieja. W absolutnej ciszy śnieg malowniczo sypał z nieba.

Nagle czar prysnął. Obok mnie z ogłuszającym wyciem przemknęło białe auto z czerwonym krzyżem. Ludzie, którzy z niego wyskoczyli, szybko zanieśli do izby przyjęć przykryte kocem nosze.

Weszłam głównym wejściem i otworzyłam usta z zachwytem. Niski budynek, na którego murach tynk odpadał ze starości, krył w swoim wnętrzu istic królewski przepych. Marmurowe posadzki, dębowe drzwi, wytworne lampy – wszystko to pasowało raczej do drogiego hotelu niż do szpitala miejskiego. I znowu dwaj ochroniarze z idiotycznymi odznakami. Zgodnie z ich poleceniem włożyłam ochraniacze na buty, dotarłam do okienka z napisem „Informacja” i od razu dowiedziałam się, że nie ma tutaj żadnego Basile’a Korzinkina. Ale nie było to dla mnie zaskoczeniem. Nina mogła się wystraszyć i podać kochanka za moskwianina; zarejestrować go pod dowolnym nazwiskiem, powołując się przy tym na brak dokumentów. Parę szeleszczących zielonych papierków, i po kłopotcie.

Na ścianie wisiał duży plan. Aha. Intensywną opiekę mają jedną, na drugim piętrze, najpewniej tam też są bloki operacyjne, ginekologia. Ta akurat nie jest mi potrzebna, potem chirurgia oddział pierwszy i drugi. No, tutaj obowiązuje pewnie plan operacji. Ale reanimację i urazówkę zbadamy w pierwszej kolejności.

Ładniutka siostra w wielkim wykrochmalonym czepku prędko schowała dziesięciodolarowy banknot i radośnie oświadczyła, że na oddziale intensywnej terapii są obecnie tylko kobiety. Imienia Basile nie pamięta, zresztą do pacjentów personel zwraca się po nazwisku. Zdaje się, że żadnego Korzinkina nie było. Chociaż

może nawet był, trudno wszystkich spamiętać; pacjenci napływają tu bez ustanku, operacja za operacją. Jedno wie na pewno – cudzoziemców w ostatnim czasie nie przywożono.

Trochę się uspokoiłam. Poszłam na urazówkę, z całej duszy ciesząc się brakiem charakterystycznych szpitalnych woni. W powietrzu nie czuło się chloru, lekarstw ani zapachu mokrych ścierek do podłogi. Z otwartych drzwi gabinetu zabiegowego nie zalatywało absolutnie niczym. Nie dochodziły tu nawet zapachy kuchenne. Na korytarzach było zdumiewająco czysto i pusto. W dyżurce sympatyczna dziewczyna spokojnie sortowała leki. Szeleszczący banknot, włożony do kieszeni, uczynił ją jeszcze życzliwszą: pozwoliła mi ostrożnie zajrzeć do każdej z sal.

Były one zaiste komfortowe i przypominały raczej pokoje w hotelu. Nieduży przedsionek, w nim lodówka i wejście do toalety; dalej przestronne pomieszczenie, rozdzielone przepierzeniem. Dwa łóżka stoją niby w jednej sali, ale chorzy nie widzą się i nie przeszkadzają sobie nawzajem, tylko się słyszą. Europejski standard.

Nigdzie jednak nie było ani śladu Basile'a, chociaż leżało tu kilka ofiar wypadków. Nie znalazłam go i w innych pomieszczeniach, w desperacji zajrzałam nawet na ginekologię.

Zeszłam na parter, wyjęłam papierosy, ale ochroniarz uprzejmie poprosił, żebym przeniosła się z paleniem na ulicę. Śnieg przestał padać, pod drzwiami siedziały dwa wyliniałe pieski i z nadzieją wpatrywały się w budynek. Ja też rzuciłam nań okiem i westchnęłam: znowu nici. Ciekawe, co tu było przedtem? Trzy piętra i architektura wyraźnie nieszpitalna. Nagle papieros wypadł mi z rąk – cztery kondygnacje!! Byłam tylko na parterze i dwóch piętrach, a co jest na samej górze?

Na ostatnie piętro zawiozła mnie winda. Przed nosem ujrzałam tabliczkę z napisem „Laboratorium. Obcym wstęp wzbroniony. Zakażone gryzonie”. Stalowe drzwi upiększał judasz i jakaś hybryda domofonu z zamkiem kodowym: same guziczki. No cóż, rozumiem, szpital prowadzi badania; poza tym gdzieś muszą robić te wszystkie analizy. Jednego nie rozumiałam: co tu właściwie robią gryzonie? Przecież nie trzyma się w szpitalu szczurów zarażonych dżumą czy gorączką syberyjską. Najprawdopodobniej powieszono po prostu taką tabliczkę, żeby odstraszyć ciekawskich. Wiem, bo sami w swoim czasie pisaliśmy na drzwiach toalety dla personelu: „Uwaga, zły pies”. Studenci oczywiście wiedzieli, o co chodzi, ale przynajmniej obcy nam nie włązili.

W milczeniu stałam przed zamkniętymi drzwiami, zastanawiając się w panice, co robić dalej. Nagle usłyszałam za sobą hałas jadącej windy. Na wszelki wypadek schowałam się za solidną kolumnę. Doskonała kryjówka. Gruby marmurowy słup zasłaniał mnie przed wzrokiem obcych, ja zaś widziałam absolutnie wszystko.

Z windy wyjechał, dudniąc, metalowy wózek z termosami. Gruba salowa

nacisnęła guziki: dziewięć, sześć, siedem.

– Kto tam? – rozległ się głos w domofonie.

– Obiad.

Drzwi się otwarły i moim oczom ukazał się długi korytarz. Ochroniarz nie wpuścił baby do środka, ta więc zaczęła nakładać porcje w progę.

– Dzisiaj piętnaście – poinformował ochroniarz.

– Dlaczego? – spytała obojętnie salowa, ciskając na talerze puree ziemniaczane.

– Dwóch wypisano, jeden zmarł.

Kobieta z brzękiem nałożyła pokrywę na termos i ruszyła z powrotem.

– Słuchaj, Zina! – krzyknął za nią strażnik. – Nie było dziś u nas sprzątane.

– Wiem. – Salowa odwróciła się i machnęła ręką. – Nie ma komu przyjść: Tańka zajęta, a ja za nią nie będę tyrać. Mnie za to nie zapłacą, niech sobie szukają głupiej.

– Przyślij którąś z dziewczetek, Zinka – poprosił strażnik. – Już dwie sale mi się skarżyły.

– Przecież ty nikogo nie wpuszczasz – uśmiechnęła się kobieta, wpychając wózek do windy.

– Dobra, dobra – mruknął tamten. – Weź taką, co się nadaje, i przyślij. Niech powie, że jest od ciebie.

– Dopiero po piątej – odparła salowa. – Teraz wszystkie zajęte.

Drzwi windy i prowadzące na oddział zazgrzytały równocześnie, wyszłam więc zza kolumny. No, nieźle, pod szyldem laboratorium kryje się coś zupełnie innego. Muszą tam leżeć ludzie, bo komuż by dawali rybę z kartoflami? Królikom i myszom? A poza tym ta informacja: „Dwóch wypisano, jeden zmarł”. Nawet gdyby mieli tam tresowane małpy, umiejące jeść widelcem filety z mintaja, to już wypisywać by ich nie mogli w żaden sposób. A więc to jeszcze jeden tajny oddział. Los zsyła mi szansę, grzechem byłoby z niej nie skorzystać.

Zeszłam na drugie piętro i zagadnęłam dziewczuszkę śpieszącą dokądś z emaliowanym korytkiem:

– Hej, córuniu, zatrudnili mnie tu jako sprzątaczkę i kazali się przebrać, ale nie wiem gdzie.

– Na parterze, pod schodami – rzuciła dziewczyna w biegu.

W komórce ujrzałam kilka metalowych szafek. Jedna była otwarta, w środku zobaczyłam pognieciony biały fartuch, chustkę i okropne brązowe kapcie. Zdjęłam złoty zegarek, pierścionki, wyjęłam z uszu kolczyki i zaczęłam się przebierać. Zawiązałam mocno pasek, a chustę naciągnęłam prawie na brwi. Koło brudnego lustra poniewierała się tania, jaskrawopomarańczowa szminka. Walcząc z obrzydzeniem, namalowałam sobie pełne, wulgarne usta. Znalazł się nawet i krajowy tusz, który osiadał na rzęsach czarnymi grudkami. Zrobiłam sobie też cygańskie brwi.

Na pierwszy rzut oka trudno rozpoznać, ile takie straszdyło ma lat – dwadzieścia czy czterdzieści.

Pomyślałam chwilę, skręciłam z papierowej chusteczki higienicznej dwie kulki i wsunęłam za policzki.

Lustro obiektywnie odbiło wizerunek jakiejś koszmarnie umalowanej istoty z policzkami chomika.

Chwyciłam stojące w schowku wiadro, szczotkę i pudełko proszku, po czym wjechałam na samą górę.

Ochroniarz rzucił groźnie:

– No?

– Zina mnie przysłała – wybełkotałam, zasłaniając się szczotką. – Mam umyć podłogi.

– Słuchaj uważnie – rozkazał. – Jak się nazywasz?

– Luba.

– No więc, Luba, nasz oddział jest specjalny, płatny. Chorzy są kapryśni, paru to prawie psychole. Nie słuchaj ich, bo gadają od rzeczy. Ale jak o coś poproszą, to nie brzydź się, tylko zrób to. Wynieś basen, popraw poduszkę. Podziękują ci za to: jedni dadzą pieniądze, inni coś do jedzenia. Facetów się nie bój, im tu nic nie trzeba, byle wyżyli. Rozumiesz?

Kiwnęłam spuszczoną głową na znak zgody.

– Mówisz mało, to dobrze – pochwalił ochroniarz. – Jesteś nowa?

Znowu pokiwałam głową.

– O tym, co tu zobaczysz, nikomu nie mów – nakazał mój mentor. – Jak zobaczę, że się dobrze sprawujesz, polecę cię na miejsce Tańki. Trzeba wreszcie wywalić tę pijaczkę. Jeżeli chcesz, żeby ci więcej płacili, musisz się starać. Na naszym oddziale możesz zarobić sto dolców na miesiąc, a jeszcze napiwki i żarcie za darmo...

Udałam, że z radości odjęło mi mowę.

– No, idź – powiedział.

Odprawdzana jego byстрыm spojrzeniem, weszłam do pierwszej sali i zadudniłam wiadrem. Pokój taki sam, jak na drugim piętrze, z przedsionkiem, lodówką i łazienką. Tyle że w nim tylko jeden mężczyzna. Młody, nie starszy od Arkaszy, cały obandażowany, prawdziwa mumia. Pewnie nawet nie spostrzegł mojej obecności.

W następnym pomieszczeniu leżał dosyć kapryśny facet z amputowaną ręką. Długo marudził, że tak późno przychodzę sprzątać, ale w końcu dał mi czekoladkę. Uniżenie podziękowałam, schowałam prezent do przepastnej kieszeni fartucha i poczłapałam dalej.

Następne trzy sale okazały się puste: łóżka były niezaścielone, na szafkach –

czysto. W pozostałych leżeli rozmaici chorzy. Była monotonicznie jęcząca kobieta, która spod kołdry wystawiała owinięty bandażem kikut prawej nogi; opatrunek zaczynał już przemakać. Był na pozór całkiem zdrowy facet, leniwie pstrykający pilotem telewizora. Moje kieszenie stopniowo napełniały się czekoladkami, jabłkami i banknotami. Co prawda, pieniędzy zebrałam niewiele – w sumie około stu rubli – ale jak na klepiącą biedę pielęgniarkę, zupełnie nieźle. Czułam jednak coraz większe rozczarowanie. Basile’a nie znalazłam. Na nic już nie mając nadziei, weszłam do ostatniego pokoju.

Na łóżku siedziała młoda dziewczyna. Wyglądała na ciężko przestraszoną. Kiedy usłyszała brzęk wiadra, wzdrygnęła się i spojrzała na mnie wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. W błękitnych, szeroko otwartych oczach czaił się wyraźny lęk. Zaczęłam zwawo machać szczotką po kątach. Dwie minuty, i wystarczy; pora się związać. Korzinkina tu nie ma.

– Posłuchaj – odezwała się nagle chora. – Jak się nazywasz?

– Luba.

– Dużo tutaj dostajesz?

– Sto dolarów.

Pacjentka zeskoczyła z łóżka i podbiegła do mnie.

– Chcesz trzy tysiące baksów?

– Kto by nie chciał? – odparłam.

– To szybko mnie stąd wyprowadź.

Odłożyłam szmatę i popatrzyłam na dziewczynę. Czerwony nos i zapuchnięte powieki świadczyły wymownie, że ich właścicielka całkiem niedawno rozpaczliwie szlochała. Włosy miała potargane, a wargi – blade i roztrzęsione. Wyglądała zresztą na całkiem zdrową; może to jedna z psychicznych, o których mówił ochroniarz? Na wszelki wypadek cofnęłam się o krok.

– Ratuj mnie – wybełkotała dziewczyna, wyciągając ręce. – Pomóż mi stąd uciec.

– A co tu jest, więzienie? – zdziwiłam się. – To szpital, leczenie jest dobrowolne.

Wracaj do domu, jak ci się odechciało tu leżeć.

– Tu jest gorzej niż w więzieniu – poskarżyła się. – Nie wypuszczą cię, jeżeli operacja jest opłacona.

Wlepiłam w nią zdumiony wzrok.

– Mają mi dać trzy tysiące za nogę. Wszystko ci oddam, tylko mi pomóż.

– Ludzie płacą lekarzom, a u was na odwrót...

– Boże – wyszeptała dziewczyna. – Ałce, która ze mną przyjechała, już przedwczoraj ucięli nogę. Tak się darła, kiedy obudziła się po narkozie. Boże! A teraz całkiem z nią źle, możliwe, że umrze...

– Czasem nie można uratować kończyny. To pewnie była gangrena albo rak! –

próbowałam ostrożnie wysondować dziewczynę.

– Nie! – niemal krzyknęła tym swoim szeptem. – Sprzedała nogę, tak samo jak ja. A teraz się boję, nawet nie wiesz, jak się boję!

Że nie wiem, to akurat prawda. No, powiedzmy – nerka czy oko, teoretycznie można sobie wyobrazić, że taki organ przeszczepiają komuś innemu, ale nogę?

– O Boże, Boże! – nie przestawała lamentować dziewczyna. – Ty jesteś moją ostatnią deską ratunku. Rano była Nina, mówiła, że jutro operacja. Po kolacji dadzą mi środki uspokajające i koniec!

– Jaka Nina? – zapytałam, słysząc znajome imię.

– No ta, której sprzedałam nogę... Oj, nie mam czasu opowiadać.

– A co, mam cię w wiadrze wynieść?

– Dawaj fartuch i chustkę, będę udawała sprzątaczkę.

To ci chytruska! Sama ucieknie, a nieszczęsnej salowej dopiero się dostanie!

Podeszłam do szafki i wylałam nietknięty talerz z zupą na łóżko.

– Co robisz? – zdumiała się chora.

– Nic nie mów, jeśli chcesz uciec. Siedź spokojnie, zaraz wrócę.

Ochroniarz spojrzał na mnie wężowym wzrokiem.

– Posprzątałaś? No, szybko.

Podaliśmy mu jeden z otrzymanych pięćdziesięciorublowych banknotów i powiedziałam, udając wiejską dziewczuchę:

– Ady weź pan, nie pogardź!

Ochroniarz przez chwilę patrzył na papierek, potem się roześmiał.

– Zostaw sobie, zarobiłaś. Ale żeś się chciała podzielić, to ładnie. Dobra, idź, powiem o tobie szefom.

– Ja zaraz wrócę.

– Po co? – Spoważniał.

– Chora spod dwudziestki wylała zupę; prosiła, żeby zmienić pościel.

Facet w milczeniu poszedł na koniec korytarza, zajrzał do pokoju i dopiero potem wyraził zgodę.

– Dobra, biegnij, ale raz-dwa, na jednej nodze.

Popędziłam na dół. W komórce stał wózek z dużym workiem, pełnym brudnych prześcieradeł; taki właśnie był mi potrzebny. Dosłownie po trzech minutach wtoczyłam go do sali. Dziewczyna miotła się przy oknie, nerwowo gryząc usta.

– Co to jest?

Nie odpowiedziałam, tylko wywaliłam z worka zakrwawione prześcieradła.

Pogrzebałam w stosie bielizny, znalazłam względnie czystą poszwę i zgrabnie zmieniłam pościel. Z reszty uformowałam coś na kształt ludzkiej postaci i przykryłam kołdrą. Wyszło zupełnie niezłe. Chora śpi, nakryta z głową; może jest jej zimno albo

światło ją razi!

Rozchyliłam pusty brudny worek, leżący na wózku i zakomenderowałam:

– Właż!

Pojętna dziewczyna wśliznęła się jak wąż do środka, ja zaś wepchnęłam tam za nią zalaną zupą pościel. Wystawała na zewnątrz, demonstrując, że worek jest po brzegi zapchany brudną bielizną.

Stękając, popchnęłam wózek korytarzem. Przerażone dziewczę zachowywało się idealnie, leżało bez ruchu.

– Ej, głupia – zganił mnie dobrotliwie ochroniarz, widząc, jak staram się wepchnąć pojazd do windy. – Na drugi raz po prostu ściągnij brudy i wynieś. Widział to kto, żeby dla jednej zmiany mordować się z takim wozem?

Czując, jak po plecach spływają mi krople potu, dotarłam do głównego wejścia i natknęłam się na drugiego ochroniarza.

– Zwariowałaś! – rozdarł się. – Jedź do tylnego wyjścia, tutaj tylko dla chorych.

Trzeba było zawrócić i znowu przeciąć hol. Przy tylnym wejściu stało kilka wózków z dokładnie takim samym ładunkiem. Nacisnęłam klamkę – zamknięte.

Nachyliłam się nad workiem i powiedziałam:

– Leż spokojnie, nie bój się, zaraz wrócę.

W komórcie włożyłam znowu zegarek, kolczyki i pierścionki, wrzuciłam do szafki fartuch i pognałam z powrotem. Dziewczyna wygramoliła się z worka.

– O mało się nie udusiłam – poskarżyła się.

Narzuciłam na nią swoją kurtkę. Udając odwiedzającą, ruszyłyśmy do wyjścia.

Rozdział 21

Volvo spokojnie stało przy ogrodzeniu, dosyć daleko od portierni. Kiedy dziewczyna zobaczyła, że otwieram przednie drzwi samochodu, sprężyła się, po czym zawróciła i pobiegła drogą. Nie śpiesząc się, siadłam za kierownicą. Nigdzie nie ucieknie – szosa jest prosta jak strzała, na poboczach głębokie rowy, wypełnione listopadowym błotem.

Dopędziłam po chwili biegnącą idiotkę, uchyliłam okno i zawołałam:

– Ej ty, dobra jesteś: obiecujesz trzy tysiące, a potem uciekasz w mojej kurtce!

– Akurat potrzebujesz moich pieniędzy – odcięła się dziewczuszka, nie przestając biec.

– Chcesz tak dobiec do Moskwy? – zażartowałam. – No dalej, dalej, popatrzę, na jak długo starczy ci kondycji.

Po pięciu minutach, ciężko dysząc, uciekiniarka zatrzymała się i wykrztusiła z rezygnacją:

– No dobra, wygrałaś. Rób ze mną, co chcesz, tylko nie oddawaj mnie Nince.

Lepiej od razu zabij.

Otworzyłam drzwi; „chora” wsiadła do auta i zaczęła płakać. Szlochała do chwili, kiedy volvo podjechało do stacji metra Aeroport. Kiedy zorientowała się, że chce zaparkować przy przejściu podziemnym, dosłownie zsiniała i zajęczała, na dobre odchodząc od zmysłów:

– O nie, tylko nie tutaj, tylko nie do Niny!

Uważnie się jej przyjrzałam.

– Słuchaj, ja sama szukam tej Niny. Jeśli powiesz, co ci zrobiła, dostaniesz niezłe pieniądze, i jeszcze ukryję cię w bezpiecznym miejscu.

– Kim pani jest?

– Prywatnym detektywem. Wynajęto mnie specjalnie, żeby zdemaskować tę Samochwałową.

Moja towarzysząca podróży rozbeczała się, ale tym razem z wyraźną ulgą. Patrząc, jak ociera ręką śluz z nosa, skręciłam w boczną uliczkę i przechodnimi

podwórzami wjechałam w pasaż Czapajewa. W olbrzymim mieście było tylko jedno miejsce, gdzie mogłyśmy spokojnie porozmawiać – małe mieszkanie Oksany.

Oksanka to moja najlepsza przyjaciółka, jedyna, której mogę absolutnie ufać. Od zycia dostała solidnie w kość. Najpierw, kiedy skończyła studia i udowadniała, że kobieta też może być chirurgiem; potem, kiedy z mizernej pensji sama utrzymywała dwóch synów. Ale w domu u niej zawsze było wesoło – po dwóch pokojach wielkości pudełek od zapalek biegała kupa zwierzaków najróżniejszego kalibru, a na kuchence pichciło się coś smacznego. Tutaj nikt nigdy nie chował jedzenia przed gośćmi; z radością częstowano ostatnim kęsem: zupą, kartoflami, śledziem. Przed czterdziestką Oksanka zyskała renomę zawodową i zarabiała dosyć dobrze, ale mimo wszystko wciąż nie mogła sobie jeszcze pozwolić na nowe lokum. Kilka razy Arkady i Olga proponowali:

– Kupmy Oksanie przyzwoite mieszkanie!

Ale ja wiem, że ona takiego prezentu nie przyjęłaby za nic na świecie. Teraz naturalnie jest w pracy, kroi jakiegoś nieszczęśnika. Zresztą co ja mówię, jeśli dostał się w jej ręce, to znaczy, że wygrał los na loterii. Ksana jest nie tylko wysokiej klasy chirurgiem, ale potrafi uspokajać chorych nawet na onkologii.

– Skąd pan wie, że ma pan raka? – pyta ze zdziwieniem, oglądając jednoznaczne wyniki biopsji. – Ach, w przychodni panu powiedzieli! No to może ich pan mieć tam, gdzie oni mogą pana pocałować. Jeżeli to jest rak, to ja jestem hinduska księżniczka. No dalej, proszę mi zaraz powiedzieć, czy z nosa leje się panu krew? Nie? Gardło boli? Nie boli. W uszach szumi? Nie szumi. No to symulant z pana. Zrobimy operację, usuniemy absolutnie dobrotliwą narośl i zastosujemy odpowiednią terapię. Kto mówi o chemioterapii? Uderzeniowe dawki witamin i najnowocześniejszy odpornościowy preparat krwiotwórczy, opracowany zresztą przez uczonych amerykańskich. No, będzie trochę mdliło, ale to znaczy, że jest dobrze, że działa.

Dla tych, którzy podejrzliwie wysłuchują bajek o cudotwórczym leku, Ksanka ma na podorędziu ostateczny, decydujący argument. Zdecydowanym ruchem ręki rozpina kołnierzyk bluzki i pokazuje prawie niedostrzegalną bliznę.

– Proszę popatrzeć, zrobili mi dokładnie taką samą operację, jaka czeka pana. No i co? Dziesięć lat minęło, pracuję i ani o gram nie utylam.

Działa to znakomicie. Po podobnych psychoterapeutycznych rozmowach chory w trzecim stadium raka najspokojniej kładzie się pod nóż, złorzecząc lekarzom z przychodni rejonowej, którzy go śmiertelnie nastraszyli. No i nagle cud – chory wraca do zdrowia, a po przerzutach też nie ma śladu.

– Zawsze uważałam, że rak to choroba bardziej psychiczna, a nie somatyczna – powiedziała mi raz Oksanka, wskazując dyskretnie kroczonego dziarsko korytarzem chłopaka. – Popatrz na niego. Kiedy go przywieźli, leżał i czekał na śmierć. A teraz

jaki zwawy! Wyobraź sobie, że w nocy przeleciał dyżurną pielęgniarkę. Jest u nas parę maniaczek seksualnych, które nikomu nie przepuszczą. Wiem o tym, ale celowo ich nie zwalniam; udaję, że się nie orientuję, co one tu robią po pracy. Chorym to tylko wychodzi na zdrowie. Widzisz tego Casanovę? Zasuwa do stołówki, nabrał apetytu po bzykaniu.

Taki z niej dziwny lekarz.

Klucze jak zwykle spokojnie leżały pod wycieraczką. Wepchnęłam dziewczynę do małego przedpokoju. Od razu wybiegły psy: dwa teriery szkockie – Betty i Piosza. Za nimi bez pośpiechu wyszła staffordszyska terierka Rachel.

– Aj! – pisnęła dziewczyna. – Ojej, zaraz mnie któryś ugryzie.

– Nic podobnego – uspokoiłam ją. – Są najedzone.

– Och! – tchórzliwa dziewczyna znowu się przeraziła. – Niech pani patrzy, biedna myszka.

– Rachel – przykazałam cerberce – zostaw Borkę, bo go zaliżesz na śmierć.

Posłuszna suka wypluła na dywanik morską świnkę. Rachel uwielbia Bonę, i kiedy ktoś dzwoni do drzwi, ta chwytą za kark gryzonia i niesie go do przedpokoju. Borka przywykł do takiego transportu i absolutnie się nie sprzeciwia. Piosza i Betty traktują świnkę obojętnie: mają innego ulubieńca – węża Karłuszę. Gad jak to gad – nie znosi zimna, toteż woli spać na Betty, wśliznąwszy się w gęstą i ciepłą sierść.

W małej kuchni w rondelkach czekał przygotowany smaczny obiad. Nałożyłam na talerze porcje miękkiego, aromatycznie przyprawionego mięsa; choć raz dzisiaj zjem po ludzku. Dziewczyna nie podzielała mojego zachwyty i niemrawo dłużyła widelcem w pysznym gulaszu, przyrządzonym przez Oksanę.

– Dobra – powiedziałam, zaspokoiwszy pierwszy głód. – Widzisz, tak jak obiecałam, przywiozłam cię w bezpieczne miejsce. Teraz ty opowiadaj o nodze i Ninie.

Ale uciekiniarka ciągle jeszcze się bała.

– Muszę znać szczegóły, inaczej jak będę mogła ci pomóc?

Dziewczyna odsunęła pełny talerz.

– Gdzie można palić?

Podsunęłam jej popielniczkę.

– W tym domu wszędzie – palić, jeść, spać. Tylko kłamać nie wolno.

Dym uniósł się aż pod sufit; przeprowadzając go wzrokiem, dziewczyna zaczęła opowiadać.

Nazywa się Elina, urodziła się na zachodniej Ukrainie, w małym miasteczku pod Lwowem. Rodzice Liny są Rosjanami. Dziadek już dawno, jeszcze w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, osiadł w Wiszniowym, dostał mieszkanie, założył rodzinę. Lina ma siedemnaście lat. Za czasów radzieckich żyło im się nawet

całkiem nieźle. Ojciec pracował w Komitecie Wykonawczym partii, matka była biegłą księgową, przeprowadzała kontrole. Co prawda, Elina tamtych czasów nie pamięta, bo urodziła się w osiemdziesiątym drugim. Rozumieć coś zaczęła, mniej więcej kiedy miała siedem lat. Zbliżał się rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty. Ze sklepów pozniakała żywność. Sąsiedzi, całkiem niedawno bardzo sympatyczni, zaczęli głośno nazywać dziadka okupantem, a rodziców – przeklętymi komuchami. Dziewiątego maja w Wiszniowym uroczyście odsłonięto pomnik banderowców. Dziadek zmarł na wylew. W dodatku dokoła zaczęto nagle rozmawiać w „ridnoj mowie”, a w szkole – czytać dzieła Tarasa Szewczenki w oryginale. W jedynym sklepie sprzedawczyni uparcie udawała, że nie rozumie po rosyjsku. Dzieci zaczęły dokuczać Blinie i nie chciały się z nią bawić.

Właśnie w tym czasie pojawili się w Wiszniowym agenci handlu nieruchomości. Miła, kulturalna, budząca zaufanie kobieta oferowała nieduże mieszkanie w Riazaniu za ich pięciopokojowy dom.

– Lepiej przenieść się teraz – namawiała. – Wkrótce Rosjanie zaczną uciekać z Ukrainy; wtedy i tak wszystko rzucicie i zostaniecie na bruku.

Rodzice uwierzyli rzutkiej niewieście, a ta w dwa dni wszystko załatwiła. Meble zostawili w domu, podobnie zresztą jak przygotowane na zimę przetwory – słoiki z pomidorami, ogórkami i śliwkami. Agentka obiecała, że w nowym mieszkaniu będzie wszystko, nawet lodówka.

Rzeczywistość okazała się straszna. Zresztą nie można było mieć pretensji do agentki. Obiecała dwa pokoje – no i są dwa, co prawda, na ostatnim, czwartym piętrze budynku, grożącego zawaleniem. Meble też – zapadnięte łóżka, parę obszarpanych foteli i stół kuchenny. Znalazła się nawet przedpotopowa lodówka „Saratow”.

Dla rodziców nie było pracy, nie zarejestrowano ich w pośredniaku. W szkole dzieci znowu dokuczały Elinie, nazywając ją żebraczką. Po roku takiego życia umarła mama, a ojciec zaczął pić. Lina żywiła się tym, co jej podsuwały litościwe sąsiadki, przez całą surową zimę chodziła w tekstylnym obuwiu, dla ciepła owijając nogi gazetą. Ojciec stoczył się całkowicie, a na koniec pojawiło się grube babsko, które oświadczyło, że jest jego nową żoną i panią domu.

Niewiele myśląc, Lina wsiadła w pociąg i wyjechała; nie gdzie oczy poniosą, tylko w określonym kierunku – do Moskwy. Na dworcu przez kilka dni próbowała prosić o jałmużnę, ale miejscowe żebraczki omal jej nie zabiły. Uratowała ją sprzedawczyni lodów, zaprowadziła dziewczynę do siebie, nakarmiła, pozwoliła jej się umyć w łazience i przespać. Nazajutrz do „dobrej cioci” przyszedł młody chłopak, ubrany na czarno. Dowiedział się, że Lina jest jeszcze dziewicą, roześmiał się z zadowoleniem i zabrał ją ze sobą.

W ten sposób Elina zaczęła karierę prostytutki. Nie wydawało jej się to czymś przykrym. Umieszczono ją w ładnym, dwupokojowym mieszkaniu; co prawda, drzwi zamykano od zewnątrz. Dziewczyna spacerowała po lodzii, z czternastego piętra obserwując nieznanne, obce, wrogie miasto. Klientów przywożono codziennie. Przed nimi kazano jej odgrywać przedstawienie: chować się, płakać i powtarzać: „boję się, boję, to pierwszy raz”.

– Jak spytają o wiek, to powiedz, że masz trzynaście lat.

Szczupłutkiej i niskiej Eli wskutek ciągłego niedojadania można było śmiało dać nawet jedenaście.

Pieniądzy oczywiście nie dostawała, ale karmiono ją bardzo dobrze. Wkrótce miała już stałych klientów, którzy przynosili ze sobą cukierki, owoce i lody. Ten i ów zabierał ją na przejażdżkę po Moskwie, tak że nieźle poznała stolicę.

Elina po prostu rozkwitła. Klienci nie robili jej krzywdy, przeważnie byli to starsi, doskonale ubrani mężczyźni z telefonami komórkowymi. Nawet rozpieszczali dziewczynkę, dawali jej prezenty. W pokojach pojawiły się zabawki i kasety z kreskówkami. Linie takie życie coraz bardziej się podobało. Codziennie oglądała telewizję, zajadając cukierki, na ulicę jej nie ciągnęło. Przerazało ją olbrzymie miasto. Ale wszystko ma swój koniec i kiedyś jej pracodawca oświadczył z niezadowoleniem:

– Ej, Lina! Cycki ci urosły wielkie jak u krowy; dupsko tak samo. Już nie wyglądasz na dziewczynkę.

Rzeczywiście, syte i próżniacze życie sprawiło, że Ela urosła, przytyła i nabrała kształtów. Zmieniła się w ładną kobietę, wdzięczną jak młoda sarenka, ale niestety, przestała interesować bogatych pedofilów. Przestraszyła się więc, że sutener po prostu wyrzuci ją na ulicę, chłopak jednak przyprowadził Ninę.

Najpierw obie piły kawę w kuchni, potem Nina nieoczekiwanie spytała:

– Byłaś kiedy za granicą?

Ela przecząco pokręciła głową.

– Słyszałaś o Francji? Chciałabyś pojechać do Paryża?

Dziewczyna się roześmiała.

– Kto mnie tam zabierze?

– Ja – oświadczyła Nina i zaczęła snuć niezwykle opowieści.

W dalekim Paryżu ma bliskiego przyjaciela, bogatego i dobrego. Ten z kolei ma mnóstwo znajomych na stanowiskach, zamożnych, żonatych, dzieciatych. Jest tylko jeden szkopuł – wszyscy mają lekki odchył.

– Pewnie pedały? – zachichotała głupiutka Ela, przekonana, że seks nie ma już dla niej żadnych tajemnic.

Okazało się, że nic podobnego.

– Lubią tylko inwalidki – tłumaczyła Ninka cierpliwie. – Chcą, żeby wybranka miała jakiś defekt – amputowaną rękę, nogę albo pierś, rozumiesz? Wynajmą ci własne mieszkanie, będą cię nosić na rękach. No, pomyśl, jaką tu masz przyszłość? Będziesz stać na Twerskiej? Złapiesz AIDS albo syfa, długo nie pociągniesz. Sutener cię zastrzeli i szlus. A tam masz cudowne warunki: zagranica, duże zarobki, no i praca lekka – tylko rozkładać nogi. Zresztą już w Moskwie, jak tylko podpiszesz kontrakt, dostaniesz trzy tysiące zielonych. Pomyśl, ile to forsy! W Paryżu zarobisz jeszcze więcej, wrócisz do stolicy, kupisz mieszkanie...

Ela zauważyła rozsądnie:

– Może to i racja, ale przecież nie jestem inwalidką, wszystko mam na swoim miejscu.

– Nie przejmuj się. – Nina machnęła ręką. – Jest chirurg, który od razu zrobi ci operację.

Dziewuszka się przestraszyła:

– Odetnie mi coś?! W życiu!

Nina nalała sobie filiżankę herbaty i namawiała ją dalej:

– Bzdura, nie ma czego się bać. Amputują ci jedną stopę, a we Francji dostaniesz taką protezę, że nikt jej nie odróżni od prawdziwej nogi! Elektroniczna. Słyszałaś o Mieresjewie?

Ela pokręciła głową przecząco.

– Ech, ty, ciemnoto – westchnęła kusicielka. – W czasie wojny stracił obie nogi, a pilotował samolot i w dodatku tańczył jak młody bóg. Pomyśl o pieniądzach!

Może Nina okazała się świetnym psychologiem, a może dosypała Eli czegoś do herbaty; dość że dziewczynie propozycja przestała wydawać się straszna. Mając w perspektywie nowe mieszkanie w Moskwie i zawrotną sumę trzech tysięcy dolarów, przestała się bać utraty stopy. Krótko mówiąc, zgodziła się.

Nina natychmiast powrzucała jej rzeczy do torby i przewiozła Elinę do innego mieszkania, gdzie dziewczyna przemieszkała tydzień. Pozwolono jej nawet wychodzić, tak że spacerowała w pobliżu stacji metra. Któregoś ranka wsadzono zdezorientowaną ofiarę do samochodu. Z tyłu siedziała już trzydziestolatka, która też zgodziła się na amputację nogi. Nina siadła za kierownicą i zawiozła obie kobiety do kliniki. Wprowadzono je tylnym wejściem i umieszczono każdą w pojedynczym pokoju. Przez pierwszy tydzień robiono im mnóstwo analiz, potem dano do podpisania papier – zgodę na operację. Z oddziału ich nie wypuszczano, ale było wolno im się odwiedzać, tak że Elina zajrzała do Ałły. Wiedziała już, że tamta zmuszona była zgodzić się na amputację, żeby zarobić na utrzymanie synka.

Kobietę przywieziono akurat z sali operacyjnej. Jęczała ciągle; niekiedy nawet jęk przechodził w krzyk. Krótki kikut wyglądał żałośnie na tle drugiej nogi, długiej i

ładnej. Siostry wbiegały z kroplówkami. Najwyraźniej coś się nie udało i Ała po prostu umierała.

Kiedy Ela wyszła z sali, nogi się pod nią uginały. Ogarnęło ją przerażenie, w głowie kołatała się jedna myśl: uciec stąd! Wówczas z nieba spadła jej „sprzątaczką”.

– Na tym oddziale leżą tylko takie pacjentki, jak ty i Ała?

– Nie, leczą tam też bandziorów.

– Kogo? – nie od razu zrozumiałam.

– No, bandytów. Jak którego postrzelą albo dźgną nożem, to tam się ich przywozi. Obcych nie wpuszczają, drzwi są zawsze zamknięte. Podobno biorą od tych gangsterów nawet po dziesięć tysięcy baksów – poważnie wyjaśniła Ela. – Może kłamią. Ale facetów jest pełno.

– Opisz mi Ninę.

– Wysoka, ładna – zaczęła opowiadać Ela. – Podobna do tej lali, której ręce i nogi się wyginają!

– Do kogo?

– Do takiej lalki, zapomniałam, jak się nazywa.

– Barbie?

– Tak, Nina to wykapana Barbie. Młoda, tylko trochę starsza ode mnie; kręcone włosy i niebieskie oczy.

W kuchni kłębiło się już tyle dymu, że nie można było oddychać, otworzyłam więc lufcik. Ela zaczęła rozpaczliwie ziewać; po tym, co przeżyła, chciało jej się spać – naturalna reakcja. Położyłam ją w małym pokoiku na łóżku Denisa i czekałam na Oksanę. Morski „świnek” Borka spokojnie drzemał pod kaloryferem.

Ile jeszcze w Moskwie jest takich głupich, oszukanych dziewcząt, bez dokumentów i pieniędzy, niepotrzebnych ani krewnym, ani państwu? No, dobra, Ela spotkała mnie, a ja głuptasce oczywiście pomogę, ale kto uratuje resztę? Takie osoby, jak Nina, zasługują na publiczną chłostę! Chociaż nie ona prawdopodobnie jest główną osobą tego dramatu. Studentka z prowincji raczej by nie wpadła na pomysł takiego kryminalnego biznesu. Najprawdopodobniej sama została zwerbowana za duże pieniądze.

Krajanka Niny, towarzyszka jej lat dziecięcych, Ira, wspomniała kąśliwie, że Ninę Samochwałową łączą jakieś tajemnicze interesy z Wierą Nikitiną. Może to właśnie dzięki niej tak korzystnie dorabia? No i gdzie się podział Basile? Czy ma w ogóle jakiś związek z tą sprawą? Dlaczego zabito jego współnika, Aleksego Nikitina? W jaki sposób Loli, właścicielce „Albatrosa”, udaje się załatwiać egzotyczne pobyty w łagrach i więzieniach? Ślady wiodą z Moskwy do Paryża, może więc Basile też jest w to zamieszany? Gdzie on właściwie przepadł? Czy dobrał się do skarbu?

Terierka nagle podskoczyła do kaloryfera, wyturlała spod niego nosem świnkę i

zapędziła do przedpokoju.

– W tej chwili wypluj Borke – dobiegł mnie głos Oksany. – I kto tu tak nadymił?

Szybko weszła do kuchni i wcale się nie dziwiąc mojej wizycie, upuściła z rozmachem na podłogę wypchane torby.

– Zaraz zrobię rybę, spójrz, jaki szczupak!

To cała Ksana. Najpierw cię nakarmi, że o mało nie pęknie, a potem dopiero spyta, co robisz w jej mieszkaniu. Kiedy usłyszała historię Eli, niespecjalnie się zdziwiła.

– Słyszałam o czymś takim. Ale bardzo trudno nakryć tych łajdaków. Pewnie historia choroby jest fałszywa, wyniki analiz też podrasowane. Potem wpiszą, że operowali mięsaka albo raka gruczołów mlecznych, i już: nie ma się do czego przyczepić, dokumentacja jest w porządku. Strzelałabym do takich.

Ze złością rąbnęła rybą o zlewozmywak. Psy, widząc, że pani jest zła, wyniosły się do pokoju. Po chwili Rachel podkrađła się z powrotem i znów chwyciła Borke.

– Zostaw mi go zaraz. – Oksana trzepnęła terierkę kapciem. – Biedna świnka jest cała obśliniona.

Doczekałam się rzeczywiście cudownie pachnącej ryby, po czym pojechałam do domu. O los Eli można się było na razie nie martwić. Ksana potrzyma ją parę dni u siebie, a potem kupimy dziewczynie dowód i zatrudnimy u kogoś jako pomoc domową albo niańkę do dzieci.

Rozdział 22

Rano obudził mnie tubalny głos Jefima. Gość huczał coś na schodach, schodząc do jadalni. Gdy już się tam znalazł, wreszcie zrobiło się ciszej. Zegar wskazywał dopiero ósmą, ale i tak bym już nie zasnęła; postanowiłam więc napić się kawy.

Jefim ze smakiem zjadał muszli. Jego idealne zęby metodycznie, niczym żarna, meły orzechy, rodzynki i napęczniałe płatki. Widząc, jak z rozkoszą popijam gorącą kawę, gość zauważył radośnie:

– Chyba musisz mieć ciągle zaparcia. Wlewasz w siebie takie świństwo.

Nie zdążyłam zareagować na tę ordynarną uwagę, bo na śniadanie zeszła Gala i dziadek zajął się godniejszym obiektem.

– Kochanie – zaczął tokować słodkim głosem. – Może chciałaby się pani rozerwać? Ciągłe siedzi pani w czterech ścianach, czy to wskazane w tak młodym wieku? Pojedźmy gdzieś poszaleć, na przykład na wyścigi. Była pani kiedyś na wyścigach?

Zmieszana kobieta odpowiedziała:

– Nie.

Jefim był zdumiony.

– Nigdy pani nie grała, nie wie pani, co to jest totalizator?

Gala zaprzeczyła ruchem głowy.

– A to dopiero! – zachwycił się stary.

„W dodatku nie oszukiwała przy kartach, nie piła i nie wychodziła dziewięć razy za mąż” – omal mi się nie wyrwało. Jefim tymczasem nie ustawał w swych donzuańskich zabiegach.

– No to niech się pani prędko zbiera, zaraz jedziemy na wyścigi.

– Po co? – próbowała nieśmiało protestować Gala.

– Nowicjusze zawsze mają szczęście – oświadczył dziadek, zacierając ręce. – Na pewno wygrasz, dzieciно. No dalej, idź się ubieraj, czego siedzisz? Już listopad, wkrótce zamkną interes!

Kobieta pokornie skierowała się do drzwi. Popatrzyłam w zadumie za nią. A to

kłępa! Wystarczy, że ktoś na nią wywrze lekką presję, a już słucha, już leci. Choć może nie zaszkodziłoby jej się przewietrzyć, poza tym niech Misza wreszcie pozna, co to zazdrość! No, Jefim najwyżej ją uszczyplnie parę razy, nie ma nieszczęścia!

A ja pojedę teraz do tajemniczej Wiery i ostrożnie spróbuję ją wybadać. Ale najpierw postaram się o odpowiedni wygląd, zmienię, jak to się teraz mówi, *image*.

Moja przepastna szafa kryje w sobie mnóstwo różnych potrzebnych i niepotrzebnych rzeczy. Przejrzałam zawartość i znalazłam lureksową turecką garsonkę koloru ciemnoniła, skąd ta szczerze upiększona złota nitką szata się wzięła, Bóg raczy wiedzieć. Pewnie zostawiła ją któraś z goszczących u mnie osób, a ja nie miałam sumienia tego kompletu wyrzucić; lata niedostatku wywarły jednak na mnie swoje piętno. Włożyłam za szeroką spódnicę i spięłam w talii agrafką. Góra też okazała się trochę zbyt obszerna, ale to nawet lepiej. Do stanika napchałam waty. Natura uznała, że imponujący biust na nic mi się nie przyda, tak że od biedy mogę ujść za chłopaka. Ale dzisiaj potrzebne mi są bujne kształty. Strzygę się krótko, jestem jasną blondynką, oczy mam niebieskie. Dlatego włożyłam ciemnokasztanową perukę z prawdziwych włosów.

Tak, teraz zajmiemy się twarzą. Nasmaruję się samoopalaczem. Nakładać go trzeba trochę nierównomiernie, wówczas powstaje efekt naturalnej, ogorzałej cery. Ciemne cienie pod powieki, powszechnie ulubiona krwistoczerwona szminka, błękitne powieki, ceglasty rumieniec, uczernione brwi... Tak, teraz nawet rodzona matka by mnie nie poznała. Pozostaje postawić kropkę nad „i”. Z małego pudełeczka wyjęłam soczewki, i proszę: po chwili z lustra spoglądała na mnie czarnooka wieśniaczka, która przed wizytą w mieście zrobiła sobie szałowy makijaż.

Takiej babie nie pasuje volvo. Dojechałam więc do placu trzech dworców i zostawiłam auto na płatnym parkingu. Na uczelnię, gdzie studiuje Nina, są stąd dwa kroki, w ostateczności podjadę trolejbusem. Ale nie zdążyłam przejść nawet kilkunastu metrów, gdy zatrzymała się koło mnie taksówka. Z okna wyjrzał chłopak o wyglądzie cwaniaka i zapytał:

– Ej, ciotko, szukasz „Moskiewskiego”? Siadaj, tanio cię zawiozę.

Popatrzyłam na stojący sto metrów dalej gmach supermarketu i omal się nie roześmiałam. Nieźle musiałam się ucharakteryzować, jeśli nawet taksówkarz wziął mnie za wiejską babę i zamierzał oszukać. Trzeba dać naciągaczowi nauczkę; pedagog tkwi jednak we mnie bardzo mocno.

– Bądź tak dobry, synku, i podwieź mnie, bo w tej waszej cholernej Moskwie tyle samochodów, że się pogubię.

– Nie bój się – uspokoił mnie łobuz. – Zaraz będziemy na miejscu.

Zaczął krażyć bocznymi uliczkami. Od czasu do czasu wyrывał mi się bojaźliwy okrzyk:

– Oj, synku, wolniej, zabijemy się!

Chłopak parsknął śmiechem i prnął dalej. Kurs trwał dziesięć minut. W końcu taksówka stanęła przed wejściem do domu towarowego.

– Sto rubli – powiedział szofer.

Podalam mu monetę.

– Ej, kobito! – chłopak osłupiał. – Odbiło ci chyba, to przecież rubel!

– Właśnie tyle kosztuje w Moskwie przejazd do miejsca oddalonego o kilka metrów – wyjaśniłam spokojnie.

– Coś ty?! – rozzłościł się chłopak. – Wozilem cię pół godziny.

– Nie chodziło mi o to, żebyś mnie woził, tylko zawiózł na miejsce, a jak chcesz, to wezwiemy milicjanta, żeby rozstrzygnął spór – zaproponowałam, wysiadając.

Następnym razem dobrze się zastanowi, zanim oszuka prowincjuszkę.

Korytarze uczelni przemierzałam w nastroju radosnego podniecenia – lubię, kiedy dzień się dobrze zaczyna. Jaki początek, taki pewnie i koniec.

W dziale nauczania siedziało za biurkami kilka pracowników. Podniosły wzrok i zobaczyły twarz prostej kobiety, potem tanią chińską kurtkę, wykończoną sztucznym futrem, brudne botki-balerony i spódnicę ze złotą nitką.

– Czego pani tu szuka? – dosyć nieuprzejmie zapytała jedna z nich.

– Gdzie znajdę panią Wierę Nikitinę?

– To ja – odparła kobieta.

– Pochwalony, przyjechałam od Prochora, z Gorłowki. Już myślałam, że pani nie znajdzie!

– Ach, od dziadka! – błyskawicznie ożywiła się Wiera Nikitina, potem zwróciła się do koleżanek. – Dziewczyny, zabieram gościa na herbatę.

– Oczywiście – odpowiedziały chórem pozostałe, tracąc zarazem jakiekolwiek zainteresowanie moją osobą.

Wiera zaprowadziła mnie do niedużego pokoju, usiadła przy stole i nie włączając wcale czajnika, spytała ostro:

– No, po coś przyjechała?

Rzeczowa niewiasta, od razu chwytła byka za rogi. Ale ja też nie jestem gapą i nie wyjdę ze swojej roli, bo byłoby to niebezpieczne.

– Adyć nie wiem, to taka sprawa...

– Mówcie – zachęciła Nikitina, puszczając mi prosto w twarz dym z brązowego cygara.

Zaczęłam gwałtownie kaszleć, przy czym wcale nie udawałam – nie znoszę dymu z cudzych papierosów.

– No, szybciej – ponagliła mnie Wiera. – Jestem w pracy.

– Prochor mówił, że szuka pani dokumencików na dom? Aktu własności i innych

tam...

– Wiecie, gdzie są? – zapytała Wiera spokojnie.

– Tak.

– Prawdziwe?

– A jakże, Awdotia upilnowała. Oddała córce, a ona mnie. Tylko z jednym bida.

– Z czym?

– W papierach stoi nazwisko Korzinkinów, a Trofim miał w dowodzie napisane Nikitin, trudno dowieść, że to jego.

– A to już nie wasze zmartwienie – odparła Wiera. – Ile chcecie za akt własności?

– Drogo.

– Podajcie cenę.

– A pani cena jaka? – postanowiłam wykazać się chłopską chytrą.

– Pięćset dolarów – bez zmrużenia oka powiedziała Wiera.

Aż się zachłysnęłam z oburzenia.

– Co też panusia? Jak mniej niż dziesięć tysięcy zielonych, to nawet gadać nima o czym.

Teraz z kolei powinna była oburzyć się Nikitina.

– Kochana! Chyba masz nie po kolei w głowie! Skąd ja ci wezmę takie pieniądze? Sama widzisz, że pracuję na uczelni, zarabiam miesięcznie czterysta rubli. Mówmy o rozsądnych sumach; no, powiedzmy, że tysiąc baksów jakoś wygrzebię wprawdzie, narobię sobie długów...

– Ale z pani chytruska – zauważyłam beczelnie. – Z tymi papierami możesz i o dom się starać, i o ziemię. Dyć to kura, co znosi złote jaja! No, nie, musisz pani dać przynajmniej osiem.

– Boże, czyś ty widziała dwór? To ruina! I działka dawno opuszczona, skąd wezmę pieniądze, żeby ją doprowadzić do porządku. Chcemy to odzyskać ze względu na naszych przodków. Mieszkać tam nikt nie będzie, my też nie wyremontujemy obiektu, zresztą nie stać nas na utrzymanie.

Pokiwałam głową.

– No, jak tam panusia chce, ja wiem swoje, ostatnie słowo: siedem tysięcy i możesz się pani namyślać do wieczora. Nie chcesz dać, to nie musisz. Innym spadkobiercom sprzedam, a wy już sami rozsądźcie, jak się podzielić!

Wiera aż podskoczyła na krześle.

– Co ty pleciesz? Jakim innym spadkobiercom? Zostaliśmy tylko ja i syn.

– A juści! – Uśmiechnęłam się. – Brat Trofima, Nikołaj, za granicę uciekł i tera tam też są Korzinkiny. Powiem panusi, że i Prochor, i Awdotia do nich pisali, dali mi adres. Skrobnę liścik, ojczystej mowy pewnikiem nie zapomnieli, to się odezwą.

Twarz Nikitinej zaczerwieniła się lekko, ale kobieta oświadczyła twardo:

– Dwa tysiące i ani grosza więcej. A za granicę, jeśli chcesz, to pisz, ale ja dobrze wiem, że Korzinkinów w Paryżu już nie ma; tylko żona Wasilija, ale to Francuzka. Dla nas uzyskać korzystny wyrok to drobiazg, nawet jeśli będzie miała w ręku akt własności. A poza tym to jeszcze pytanie, czy Nikołaj jest prawdziwym Korzinkinem. Między nami mówiąc, z jego mamusi był niezły numer, Trofim opowiadał przed śmiercią.

– Nie może być, paniusiu – udałam zdziwienie.

– To posłuchaj. – Wiera jakoś zapomniała o pracy. – Od razu zrozumiesz, że musisz układać się tylko z nami!

Rozsiadłam się wygodnie i otworzyłam usta z zaciekawienia.

Trofim żył długo; Korzinkinowie, dzięki Bogu, zawsze cieszyli się fantastycznym zdrowiem. W każdym razie nigdy nie chorował i umarł, dopiero kiedy złamał nogę, w wieku aż stu dwóch lat. Pochował i syna, i synową. Na łożu śmierci postanowił wszystko wyjawić wnukom, Aleksemu i Wierze. Dopiero wtedy dowiedzieli się, że są potomkami starego rodu, a pod Moskwą spokojnie stoi „ich” dwór.

Staruszek, który przeżył całe życie w strachu, pouczał ich:

– Nikomu, dzieci, nie mówcie; jak zmieni się władza, znowu będą zamykać! Używajcie nazwiska Nikitinów, nigdy go nie zhańbiłem! Tylko musicie wiedzieć: córka Jewłampii powinna mieć wszystkie papiery. I moją prawdziwą metrykę, i prawo własności do domu i ziemi. Pojeźdźcie po cichu, poszukajcie i zabierzcie to.

Żeby Awdotia rozpoznała pańskie wnuczęta, dziadek zdjął z piersi ciężki złoty krzyż na grubym łańcuchu.

– Pokażcie babie, to nie będzie miała wątpliwości. Jeszcze wspomniał o Nikołaju.

– Mój brat to łajdak i złodziej – pomstował. – Wywiózł całe ojcowskie mienie i ani razu nie napisał, nie interesował go mój los. Chociaż z niego żaden krewny, bękart i tyle. Mama zgrzeszyła, urodziła nie wiadomo czyje dziecko, krwi Korzinkinów w nim nie ma ani kropli, chociaż ojciec uznał je za swoje. Tak że pamiętajcie: zgodnie z prawem tylko wy jesteście spadkobiercami, dwór należy do was.

Aleksy i Wiera pochowali dziadka i pojechali do Gorłowki. Tutaj czekało ich gorzkie rozczarowanie. Dwór zamieniono na przedszkole, Awdotia zaś dawno już umarła. Co prawda, Prochor poznał dzieci, długo im się przyglądał i powiedział:

– Krew Trofima, i oczy, i włosy, z daleka poznać – Korzinkinowie.

Ale papierów nie znaleźli. Albo wiekowemu dziadkowi coś się pomyliło, albo też Awdotia umarła, nie zdradzając tajemnicy.

– Rozumiecie teraz, że posiadacie naszą własność – klarowała mi Wiera. – I jeszcze żądacie za nią bajońskich sum; to naprawdę nie w porządku.

Zaczęłam się usprawiedliwiać:

– A któż to wiedział, toć Awdotia mówiła, że są dwaj spadkobiercy, Trofim i Nikołaj. Dobra, niech będzie moja krzywda: za trzy tysiące oddam.

– Świetnie – ucieszyła się Wiera, kończąc targi. – Jutro wieczór niech pani przyjedzie do mnie. Proszę zapisać adres.

– A dlaczego jutro? – burknęłam. – Myślałam, że zaraz załatwimy sprawę.

– No, kochana – uśmiechnęła się Wiera – któż takie pieniądze nosi przy sobie? A i ty dokumenty masz pewnie dobrze schowane?

Podniosłam rękę do piersi, pomacałam kawałki waty i powiedziałam:

– W najpewniejszym miejscu.

– Gdzie się pani zatrzymała? – zainteresowała się „ziemianka”.

– A to już nie paniusiny interes. Nie bój się pani, na dworcu nie nocuję – oświadczyłam beczelnie. – Teraz do widzenia, a na jutro szykuj pani pieniążki; ja przyniosę, co trzeba.

Volvo nie chciało się otworzyć. Dostyc długo obracałam kluczykiem w zamku, klnąc listopadowe zimno i padający bez ustanku śnieg. W końcu drzwi się poddały. Jeszcze dobrze nie wsiadłam do samochodu, jak za plecami usłyszałam groźny głos:

– A ty co tu robisz?

Starszawy, przypominający chomika milicjant groźnie patrzył spod czapki uszanki.

– Jak to co? – zdziwiłam się. – Wsiadam i jadę.

– Mam uwierzyć, że to twoja bryka? – prychnął gliniarz. – Musiałabyś całe życie pracować na jedno koło.

Wyjęłam prawo jazdy i dowód rejestracyjny.

– No i gdzie jest ta Daria Wasiljewa? – nie ustępował czujny stróż prawa.

Westchnąwszy, wyjęłam ze schowka butelkę wody mineralnej, namoczyłam chusteczkę i zaczęłam wycierać twarz. Czarne brwi, szminka, rumieniec i cienie zostały na chustce. Potem zdjęłam perukę i kolorowe soczewki. Gliniarzowi szczęka opadła.

– Są jakieś pytania?

– Czemu się pani tak maluje? – nie wytrzymał krawężnik. – Naprawdę myślałem, że to jakaś żebraczka chce się włamać do samochodu!

Za tę czujność dałam mu dziesięć dolarów i pojechałam do Łożkina. Odwiedzę jednak jutro Wierę Nikitiną w domu, popatrzę, co i jak, a potem twardo się postawię. Zacznę podbijać cenę...

W jadalni spożywali akurat obiad Misza i Gala.

– Nie pojechała pani na wyścigi?

– Już wróciłam – krótko odpowiedziała Gala.

Jedliśmy w milczeniu, ja – zupę, oni – drugie danie, kiedy wszedł Arkady.

– Mówię przecież – powtórzył do komórki. – Drugiego takiego idioty jeszcze nie spotkałem. Pani syn dostał tylko dwa lata, bo sędzia i ławnicy o mało nie umarli ze śmiechu. Jak pani pójdzie na widzenie, niech pani dziecku wyjaśni, że rozbój to nie jego specjalność. Lepiej, żeby chłopak poszukał sobie innego zajęcia.

I ze złością zatrzaskała klapkę telefonu.

– Co się stało? – zainteresowałam się.

Niejaki Iwanow, lat dziewiętnaście. Postanowił obrabować kasę w drogim butik. Starannie się przygotował, wziął groźnie wyglądającą atrapę pistoletu, a na głowę wciągnął czarną pończochę. Dalej jak w kinie. Wszedł, krzyknął do klientów:

– Wszyscy na podłogę, twarzą do ziemi!

Właśnie kiedy zamierzał napęlić reklamówkę banknotami, jedna z klientek, dobrze już w latach, głośno spytała:

– Synku, która godzina?

Jej córka, która niefortunnie zabrała akurat matkę do sklepu, opowiadała, że przestraszyła się wtedy śmiertelnie. Rodzicielka od dawna przebywała w swoim własnym świecie. Ale bandyta zachował się co najmniej dziwnie. Popatrzył na zegarek, potem zorientował się, że przez pończochę nie odczyta godziny na cyferblacie, i ściągnął pończochę.

– Za kwadrans druga, babciu – nastąpiła odpowiedź, po czym znowu się zamaskował.

Ale te sekundy wystarczyły, żeby na taśmie wideo zarejestrować twarz świeżo upieczonego Ala Capone.

Durnia znaleziono po paru zaledwie godzinach. Pokazano kadr w moskiewskiej telewizji, a linia dosłownie rozgrała się od telefonów.

Biedny Arkady, który dostał tę idiotyczną sprawę, czuł się na procesie idiotycznie. Pani sędzia z nieskrywanym uśmiechem zapytała adwokata:

– Uważa pan zatem, że zachowanie oskarżonego świadczy o jego dobrym wychowaniu i braku przestępczych zamiarów?

– Wysoki sędzie... – zaczął Arkasza.

– Wystarczy. – Kapłanka Temidy machnęła ręką i już nie tłumiąc śmiechu, szybko dodała: – Sąd udaje się na naradę.

Rezultat był następujący: idiota dostał mniej, niż mógł, w sumie dwa lata, a w najbliższych miesiącach najprawdopodobniej obejmie go amnestia.

– To dlaczego jesteś niezadowolony? – zdziwiłam się. – Chciałeś uzyskać wyrok uniewinniający? Przecież to niemożliwe!

– Wiem – mruknął syn. – Tylko że ten błazen właściwie nie potrzebował adwokata. Tak czy owak, dostałby jakiś śmieszny wyrok; nawet konwojenci omal nie pękli ze śmiechu. No i co to za rozprawa? Przecież im nie wolno reagować w ten

sposób.

Westchnęłam, zostawiając domowników przy dalszej konsumpcji, i poszłam do sypialni. Nagle strasznie rozbolała mnie głowa. Czasem przytrafia mi się nieszczęście, zwane migreną. Nie potrafię wytłumaczyć, na czym polega ten koszmar. W ogóle trudno opisać komuś to, co nas boli. O ile pamiętam, coś takiego udało się jedynie mojemu pierwszemu mężowi, Kosti. Biedak dostał hemoroidów i wzdychał bez końca. Chciałam jakoś ulżyć jego cierpieniom. Mążzonek jednak tylko jęczał żałośnie.

– No to powiedz – nalegałam – co czujesz, może wtedy lepiej mi się uda ci pomóc!

Mążzus przestał na chwilę wydawać okrzyki bóleści i spytał:

– Bolały cię kiedyś zęby?

– Oczywiście – przytaknęłam.

– No to wyobraź sobie, że w dupie masz ich pełno i wszystkie – z zapaleniem miazgi!

No, ale ja nie umiem znaleźć nic, co można byłoby porównać z migreną! Wzięłam dwie tabletki baralginu, popiłam je szklanką upsarinu i runęłam na łóżko. Już leżąc na poduszce, wsunęłam do ust tabletkę radedormu. Zaraz zasnę... Rozpalony sztylet, tkwiący w lewym oku, zaczął powoli znikać, mdłości już podchodziły mi do gardła. Powieki zrobiły się ciężkie, ręce i nogi przygniotła nieznana siła.

– Daria! – rozległo się tuż nad moim uchem. – Co ty, już chrapiesz? Jeszcze dzień, nie ma nawet siódmej! Wstawaj!

Usiadłam. Rozżarzony sztylet znowu przeszył mi głowę, a żołądek zaczął się ścisnąć kurczowo. Zobaczyłam przed sobą twarz Jefima.

– Czego chcesz? – wyjęczałam.

– Jest taka sprawa... Krótko mówiąc: bądź tak dobra i pożycz mi trochę forsy.

– Przegraliście?

– Wszystkiemu winna ta idiotka!

– Kto? – spytałam, szukając portmonetki.

– Gala. Jak już ktoś jest gapa, to na całego; w życiu drugiej takiej nie widziałem.

– Co się stało?

Jefim chrząknął i klapnął z rozmachem w wyjściowych spodniach wprost na czystą pościel. Widać było, że staruszek, aż się trzęsie ze złości.

Dojechali z Galą do Biegowej; wówczas Jefim, przesądny jak wszyscy gracze, zaproponował damie, żeby sama wybrała konia. Miał nadzieję, że nowicjusze się poszczęści. Gala zatrzymała wzrok na żwawym ogierze imieniem Pikador. Stary tylko westchnął. Taki zakład nie mógł przynieść kokosów. Pikador był faworytem,

stawiało na niego trzy czwarte w widzów. A im więcej ich postawi, tym mniejsza wygrana, ale co było robić? Zgodnie z tradycją, należy usłuchać nowicjusza.

Staruszek zwawo ruszył do kasy i wpłacił nie tylko zakład Gali, ale i swój własny tysiącerek. Zadowolony, że za kilka minut dostanie o jakieś trzysta rubli więcej, wrócił na trybunę.

Najpierw konie biegły w grupie, potem Pikador nagle wystartował i jak strzała pomknął ku mecie. Stadion zahuczał. Cudu nie było, lider wygrywał. Jefim opuścił lornetkę, czekając na uderzenie w dzwon. Wtem przez hipodrom przetoczył się zdławiony jęk. Dosłownie kilka metrów przed metą faworyt potknął się i upadł. Biegące za nim konie nie zdążyły wyhamować; powstało prawdziwe kłębowisko końskich ciał, dżokejów i bryczek. W rezultacie zwyciężył stary Hiacynt, przez nikogo nietraktowany poważnie. I koń, i jeździec wydawali się bardzo zdziwieni, ale sport to sport: jedyny widz, który nie bał się postawić na zgraną szkapę, zgarnął niesamowitą forszę. Tysiącerek Jefima przepadł bezpowrotnie.

– A wszystko przez tę cholerną babę – złościł się dziadyga. – W życiu nie miałem takiego pecha. Dobrze wiem: chcesz wygrać – szukaj nowicjusza i stawiaj tak jak on. Ta zasada nigdy nie zawodziła, a tu nagle! Pikador upadł! Ludzie drugiego takiego wypadku nie mogli sobie przypomnieć. Zrobisz, oczywiście, co zechcesz, ale ja na twoim miejscu wyrzuciłbym tę dziewczuchę. Od pechowców trzeba się trzymać z daleka. Nieszczęścia przyciągają nieszczęścia, wspomnisz moje słowa. Coś na pewno się zdarzy: powódź, huragan sam nie wiem co... Wywal ją z domu.

Chcąc jak najprędzej zasnąć, wręczyłam Jefimowi sto dolarów i zwałam się jak wór na łóżko. Ale moje oczy nie zdążyły się zamknąć ponownie, gdy już z dołu dobiegł straszliwy krzyk:

– Pożar, pali się, ratunku!

Tak jak stałam, w piżamie, rzuciłam się do salonu. Pokój był pełen dymu i cuchnącej białej piany. W oknie wisiały całkowicie zwęglone zasłony. Obok stał Arkasza z gaśnicą w rękach, rozpaczliwie krzycząca Gala i podskakująca nerwowo Mania. W ślad za mną do salonu wpadła Kicia, trzymając w pogotowiu dzbanek z wodą.

– Boże! – Arkady wzniosł oczy do nieba. – Zleciały się kruki, wrony! No, wielka rzecz, zasłona się zapaliła, już zgasiłiśmy.

Gala nadal szlochała histerycznie, z piętra dobiegł głos niani Serafimy:

– Mam wyprowadzić dzieci?

– Nie! – krzyknęła Kicia. – Już po wszystkim.

O dziwo, Gala zaczęła znowu wrzeszczeć:

– Pożar! Pali się!

– Uspokój się – powiedziałam, ujmując ją za rękę. – Widzisz, zasłon nie ma, ale

cała reszta w porządku.

Kobieta gorączkowo rozglądała się na boki, potem przewróciła oczami i jak długa runęła na podłogę. Ale tym razem obeszło się bez pogotowia, po prostu rozpięliśmy jej ciasny gorset. Biedaczka uniosła powieki i wyszeptała cicho:

– Proszę wybaczyć, jako dziecko przeżyłam pożar w mieszkaniu. Od tego czasu panicznie boję się ognia, po prostu tracę rozum.

– To widać – mruknął Arkady. – Następnym razem lepiej nie pal w pobliżu zasłon. Bo wyjęłaś zapalniczkę, płomień strzelił wysoki na pół metra; dobrze jeszcze, że stałem obok.

Galina pali? A to nowina!

– I po coś włożyła gorset? – spytała Olga. – Tłumaczyliśmy ci przecież, żebyś tego nie robiła. Zemdlejesz na ulicy i kto ci wtedy pomoże?

– Jest tu Gala? – rozległ się spokojny głos. Do pokoju wszedł Misza.

W rękach trzymał stos zapisanych kartek i kalkulator. Dziewczyna szybko się podniosła, zapinając sukienkę.

– Galinko – ucieszył się profesor – popatrz, w żaden sposób nie chce wyjść.

Arkasza i Kicia równocześnie westchnęli, Mania znacząco pokręciła palcem przy skroni.

Cóż, na próżno Gala ścisła się w pasie tak mocno, że aż mdleje. Facet po prostu nic nie zauważa. Wszedł do pokoju, gdzie spłonęły zasłony, w powietrzu unoszą się kłęby dymu, wszędzie białe kałuże piany, a ten, nie zwracając na nic uwagi, spokojnie zasiada do pracy. Ciekawe, codziennie znajduje drogę z instytutu do domu? Pewnie doktoranci go odprowadzają.

Rozdział 23

Wiera Nikitina mieszkała w całkiem zwyczajnym domu. Czteropiętrowy blok z wybitymi szybami na klatce schodowej, dwudziestopięciowatowymi żarówkami na piętrach i odrapanymi drzwiami. Ze wszystkich szpar niemiłosiernie wiało. Koszmarna chińska kurtka, chociaż wyglądała na ciepłą, w rzeczywistości wcale nie grzała. Solidnie więc zmarzłam, zanim dotarłam na miejsce. Volvo trzeba było zostawić na sąsiedniej ulicy, a razem z nim ciepłe futerko z norek, botki i eleganckie skórzane rękawiczki. Zamiast tego włożyłam „dmuchane” buty i koreańskie rękawiczki z syntetycznej włóczki.

Za drzwiami mieszkania numer czterdzieści dziewięć było cicho. To dziwne, umówiliśmy się na spotkanie o piątej. Zegarek od Cartiera spokojniutko leży sobie w schowku, może jest dopiero za dziesięć? Mam taki zwyczaj – lubię przyjść trochę wcześniej. Zadzwoiłam jeszcze kilka razy, ale odpowiedziało mi głucho milczenie. Usiadłam więc na parapecie i czekałam. Czas jak gdyby stanął w miejscu, a paczkę gauloise'ów oczywiście zostawiłam w samochodzie. Klatka schodowa robiła wrażenie wymarłej. Nie krzyczały dzieci, nie szczekały psy; tak cicho bywa w Paryżu, ale nie w Moskwie.

W końcu na dole usłyszałam szuranie, a potem zobaczyłam kobietę w nieokreślonym wieku, która z trudem wspinała się po schodach.

– Przepraszam – zatrzymałam ją. – Która godzina?

Znużona kobiecina postawiła torby na ziemi i udzieliła mi informacji:

– Za dwie szósta.

Ładne rzeczy, a umówiliśmy się na piątą. No nie, dłużej nie czekam. Jeszcze przyjdę do niesłownej paniusi, pod innym pretekstem i w innym przebraniu.

Na ulicy panowały już zupełne ciemności. Że też musiałam urodzić się w kraju, gdzie zima trwa osiem miesięcy! Domy były ciche i ponure. Na placyku zabaw poskrzypywała huśtawka. Siedział na niej chłopak, z wyglądu dwudziestoletni, twarzy nie można było dostrzec, ale krótki kożuszek i goła głowa świadczyły o przynależności do młodego pokolenia.

Przyśpieszyłam kroku, wokół nie było nikogo. Skrzywienie ustało i zrobiło się jakoś strasznie. Niekiedy tak raptownie urywa się muzyka w filmach; potem z reguły pojawiają się kosmici albo jakieś potwory. Z tyłu usłyszałam sapanie, nogi same poderwały się do biegu, nagle jednak natknęłam się na jakąś przeszkodę. Instynktownie się odwróciłam i moim oczom na chwilę ukazała się znajoma, można powiedzieć, bliska twarz.

– Ba... – zaczęłam mówić, czując, jak mija niesamowite, przedśmiertne przerażenie. – Ba...

Ale światło zgasło i zapadła noc.

– Pijana chyba – dobiegło z ciemności.

– Niecee – odpowiedział drugi głos. – Jakoś nie czuć, może naćpana.

– Szkoda jej, zamarznie tu!

– A kij jej w oko, nie można się nad wszystkimi litować.

Otworzyłam oczy i zobaczyłam dwa niezbyt wyraźne cienie. Po paru sekundach zrozumiałam, że leżę na obcym podwórzu, między kubłami, a obok stoją dwie kobiety, które machnęły ręką na przesady i wyniosły śmiecie wieczorem.

– Źle się pani czuje? – upewniła się jedna, cofając się o krok na wszelki wypadek.

Z trudem usiadłam i potrząsnęłam głową. Kurtka rozpięta, bluzka tak samo, wokół poniewierają się strzępy waty, ale spódnica cała, agrafka spinająca pasek – na miejscu, rajstopy też. Jeśli byłam ofiarą gwałciciela, to dosyć dziwnego, raczej miłośnika gry wstępnej. Zaatakował mnie, ogłuszył, wsadził ręce pod bluzkę, wyciągnął watę, która udatnie pomogła mi nabrać kształtów Pamelii Andersen, porozrzucił białe strzępy i... dał za wygraną. Na głowie nie miałam jednak guzów ani ran.

– Pomóc pani? – spytała sucho druga kobieta.

– Serce mi nawaliło – wymamrotałam, usiłując stanąć na rozjeżdżających się nogach. – Szłam, szłam i upadłam.

Baby błyskawicznie zmieniły ton.

– Jezu – zaczęły lamentować, podnosząc mnie z oblodzonej ziemi. – Szczęście, żeśmy tu przyszły ze śmieciami, bo mogło być z panią źle.

Jedna z miłosiernych samarytanek zaciągnęła mnie do swojego mieszkania. Nieduży, „bogato” urządzony pokój świadczył o trwałym dostatku gospodarzy. Politurowana meblościanka ze „złotymi” dodatkami była zastawiona kryształami. Jeden dywan leżał na podłodze, drugi, lepszy, dumnie zdobił ścianę; był też olbrzymi telewizor, wideo z mnóstwem kaset, kilka obrazów w rzeźbionych ramach i telefon, stylizowany na retro. Na kanapie drzemały trzy koty: perski, angorski i najzwyczajniejszy „tygrysek” o krótkiej sierści.

Gospodyni wepchnęła mnie do łazienki. Obejrzałam zastawioną szamponami i

kremami półkę. Nigdzie nie zauważyłam kremu do golenia, a stojaczek z golarkami – to damski jasnozielony komplet Gillette. Najprawdopodobniej kobieta mieszka bez męża, ale z dzieckiem. O proszę, ile tu plastikowych buteleczek w kształcie Myszki Miki, Gooffy’ego i Kubusia Puchatka.

– Herbata czy kawa? – zawołała gospodyni.

– Poproszę kawę, jeśli można – odpowiedziałam, myjąc się.

Kuchnia okazała się duża i ładnie urządzona, kawa wprawdzie rozpuszczalna, ale dobrego gatunku i dosyć smaczna. Ciekawe, gdzie pracuje pani domu, jeśli pozwala sobie na kawę Carte Noir, papierosy Parlament i drogi likier?

Ona tymczasem spojrzała na moją wyszorowaną do czysta twarz i spytała ze zdumieniem:

– Czemu się pani tak okropnie maluje? Szczerze mówiąc, z początku myślałam, że ma pani pięćdziesiąt lat, a teraz widzę, że jesteśmy w tym samym wieku.

No, to wyraźny komplement, bo miała najwyżej trzydziestkę.

– Dziękuję – powiedziałam z wdzięcznością. – Gdyby nie pani, mogłabym zamarznąć.

– No pewnie – przytaknęła moja wybawicielka i dodała: – Jestem Lena. W ogóle to pierwsza zobaczyła panią Zina, ale bała się podejść. Szła pani gdzieś z wizytą, co?

Popatrzyłam na prostoduszną twarz kobiety; z kimś takim można chyba porozmawiać, pomyślałam. Kątem oka dostrzegłam na parapecie dosyć zniszczony paszport. Aha, najprawdopodobniej handluje zagraniczną tandetą i sama wychowuje dziecko.

– Tak, przyjechałam z innego miasta do krewnej, umówiłyśmy się na piątą. Dzwoniłam, dzwoniłam, a Wierę nie było, więc zesłam na dół...

– A, pewnie tej Nikitinej? – Lena się uśmiechnęła. – Co, nadała pani telegram o przyjeździe?

– Tak.

– Kim ona jest dla pani?

– Oj, to trudno wyjaśnić. Nasze mamy się przyjaźniły, były kuzynkami, ale ja Wierę widziałam tylko raz w życiu; chciałam się wybrać do stolicy, a hotele są drogie...

Lena roześmiała się.

– Wiera pewnie siedzi w domu, a drzwi specjalnie nie chciała otworzyć. Niech pani jedzie lepiej na WDNCh, tam jest Dom Kołchoźnika. Coś jak hotel, tyle że wygod żadnych nie ma, pokoje dwunastoosobowe, ale za to nocleg kosztuje grosze.

– Ee, chyba nie zrobiłaby czegoś takiego!

– A dlaczego? Wierka nie takie rzeczy robiła!

Lena zapaliła parlamenta i zaczęła ochoczo plotkować, dzieląc się całą swą

wiedzą o niemiłej sąsiadce.

Obie mieszkają tu już długo, w tym samym czasie się wprowadziły, tyle że Nikitinowie mieli wtedy zwykle trzypokojowe mieszkanie, a mieszkali w nim we dwójkę – Wiera i jej syn Timofiej.

– Wcześniej bujała sąsiadki – uśmiechnęła się Lena – że mąż zginął na biegunie północnym, no, czy to nie zabawne? Przecież nie żyjemy w średniowieczu! Ja, na przykład, nie ukrywam: córkę chowam samiutka, tłukę się po całych Chinach, szukam, gdzie taniej, a ta – biegun północny, no, kino po prostu. Za to jak się dorobiła!

W głosie Leny słyhać było prawdziwą zawiść. Jeszcze nie tak dawno Wiera Nikitina chodziła zimą i latem w jednej wytartej sukieneczynie, a z botów wskakiwała od razu w białe klapki. Z pracy wracała trolejbusem i stękając, dźwigała z przystanku siatki, z których najczęściej bezwstydnie wysuwały ogony mrożone mintaje.

Miała brata, niepozornego chłopczykę w podrabianych indyjskich dżinsach i tanich butach z syntetycznej skóry. Ale siostrę widocznie kochał, bo przyjeżdżał często, i to nie z pustymi rękami: raz przywiózł tort, drugi raz owoce...

Potem, na początku lat dziewięćdziesiątych, sytuacja niespodziewanie się zmieniła. Wiera kupiła dwupokojowe mieszkanie sąsiada z klatki i połączyła oba lokale; przeprowadziła gruntowny remont z likwidacją ścian włącznie. Urządziła nawet saunę. W ślad za tym pojawiły się firmowe ciuchy, nowe żiguli, a Timofiej rozpoczął studia na uniwersytecie, na prestiżowym wydziale prawa.

W życiu brata też nastąpiła radykalna zmiana. Wysiadał teraz z luksusowego zagranicznego samochodu i wyciągał z bagażnika torby z drogimi alkoholami i słodyczami.

– Widzi pani, ilu ludzi naciągnęła?! – westchnęła Lena.

– Dlaczego naciągnęła?

– Przecież bierze bająnskie sumy za przyjęcie na uczelnię – wyjaśniła. – Faina prosiła ją o pomoc.

Sąsiadka z czwartego piętra, fryzjerka Faina, miała dorastającego syna. Chcąc go wybronić przed wojskiem, zwróciła się do Wiery. Niech pani, powiedziała, pomoże po sąsiedzku i załatwi mu przyjęcie na studia.

Nikitina wszakże oświadczyła:

– Takich spraw za darmo się nie załatwia. Trzeba będzie dać łapówkę temu i owemu. W sumie trzy tysiące baksów.

Fryzjerka jęknęła, miała nadzieję, że wepchnie syna na uczelnię za friko, ale gdzie tam! Wiera wyjaśniła:

– Płatne studia kosztują dwa tysiące rocznie; pomnóż to przez pięć, ile ci wyjdzie? A tak za głupie trzy będzie na bezpłatnych. No i forszę wybulisz, tylko jeżeli

się dostanie, a nie z góry.

Faina sprężyła się, uzbierała potrzebną sumę i synek został przyjęty na pierwszy rok. Po dwóch latach w przypadkowej rozmowie okazało się, że po prostu bardzo dobrze zdał egzaminy wstępne. Wiera opowiadała bajki fryzjerce, że musiała poprawiać jego pracę; pożyczła nawet w tym celu długopis chłopca. W rzeczywistości praca była od początku napisana na solidne pięć.

To taki bezpieczny i bardzo rozpowszechniony wśród nieuczciwych wykładowców sposób oszustwa. Jeśli kandydat dobrze zda egzaminy i zostanie przyjęty – biorą łapówkę. Jeżeli się zetnie – nie przyjmują pieniędzy. Żaden, oczywiście, nie interweniuje, nie stara się wpłynąć na komisję egzaminacyjną i o nic nie prosi. Kiedy Faina poznała smutną prawdę, przestała poznawać przedsiębiorczą sąsiadkę, ale po tamtej spłynęło to jak woda po gęsi.

– Jej chłopak ciągle jeździ do Paryża – opowiadała Lena. – Robi jakieś interesy. Nic nie mam przeciwko temu, sama jeżdżę to do Pekinu, to do Harbinu. Tylko, że z powrotem wiozę torby, których nie mogę udźwignąć, ze sto kilo bagażu, a ten wyjeżdża z teczuszką, a wraca z reklamówką. Co to za biznes? Warto by się dowiedzieć. Nawet narzeczoną Wiera mu znalazła – Ninkę. Z bogatej rodziny, ma ojca na stanowisku. Przyjeżdżał tutaj luksusowym samochodem, żeby poznać matkę przyszłego zięcia. Sam ubrany jak do ślubu, w mundurze... Wierka aż na podwórze wybiegła: „Ach, Feliks, witaj, chodźmy na górę!”. Mój ojciec miał tak samo na imię, to zapamiętałam. Więc chyba pani rozumie, że takiej krewni z prowincji nie są do niczego potrzebni! I lepiej nie chodzić przez podwórze, w Moskwie teraz pełno bandytów. Niech się pani cieszy, że pani nie zabili. Myślę, że miała pani torebkę, i bluzkę też rozpięli, szukali pieniędzy...

Nie, kochana Lenko, myślałam, wsiadając do volva. Owszem, szukali, ale nie portmonetki. Wiera wybrała drogę na skróty. Zamiast płacić głupiej babie, wołała zabrać jej papiery siłą. Dlatego w domu nie było nikogo, a napastnik spokojnie czekał na ofiarę na podwórzu. Na pewno narzucił mi na twarz szmatę z eterem i przypuszczalnie dlatego mnie nie zabił. Niezrozumiałe było tylko jedno: nim do reszty straciłam przytomność, widziałam napastnika, co więcej – świetnie go poznałam. Teraz muszę przyjąć, że Basile Korzinkin uprawia rozbój. Czyżby całkiem zwariował? Widziałam przecież wyraźnie, z bliska, jego twarz, chociaż było w niej coś dziwnego. Najprawdopodobniej Korzinkin mieszka u Wiery Nikitinej. Cóż, koniecznie muszę odwiedzić tę babę. Ale jak się do niej dostać?

Przez pół nocy wierciłam się na łóżku, aż wymyśliłam genialny zaiste plan i od samego rana zaczęłam wprowadzać go w życie. Co prawda, próbował mi w tym przeszkodzić Aleksander. Zadzwoił o dziesiątej rano i polecił surowo:

– Przyjedź natychmiast, muszę cię przesłuchać.

– Dlaczego?

– Dlatego – odparł Diegtiariow zwięźle. – U kogo w bagażniku znaleziono Nikitina? No więc przyjeżdżaj, bez gadania. A tak w ogóle, to gdzie się podziewasz całymi dniami? W domu cię nie ma, a komórka milczy.

Popatrzyłam na swojego ericssona. Znowu zapomniałam wymienić baterijkę.

– Mogę się stawić po południu?

– Nie.

– Jestem jeszcze nieubrana!

– Pół godziny ci wystarczy?

– A umalować się, uczesać, zjeść śniadanie?

– Wykąpać się i wypić szampana – zadrwił pułkownik. – Czekam w południe, weź sklerożnik.

– Po co?

Ale w słuchawce już okropnie zapiszczało. Dobrze, niech będzie, najpierw do Aleksandra, potem do Nikitinej. Ale ubiorę się od razu jak na wizytę do Wiery – kosztownie i trochę wyzywająco. Nada się akurat spodniom od Lagerfelda. Do uszu ciężkie kolczyki z szafirami, prezent gwiazdkowy od Arkadego. Na szyję parę złotych łańcuszków; na każdą rękę po bransoletce, no i zegarek. Makijaż skromny, oczy niebieskie, za to więcej perfum. Ulubione „Coco” od Chanel do tego wizerunku nie pasują. W sam raz będą za to „Dolce vita” od Diora.

Mieniać się i świecić jak noworoczna choinka, zeszałam, żeby wypić kawę.

– Uroczyste entree cesarzowej – skomentowała złośliwie Kicia. – Dokąd to się wybierasz z rana w takim niesamowitym przebraniu?

– Do Maszy, do college’u, obiecałam pójść na zebranie rodziców.

Olga umilkła. Manusia uczy się w drogiej szkole, otrzymuje naprawdę rzetelną wiedzę od świetnych pedagogów. Wiadomo, oczywiście, że rodzice uczniów nie są biedni. Mało kogo stać na dwa tysiące dolarów miesięcznie. Bogactwo przychodzi rozmaitymi drogami. W klasie Maruśki jest siedmioro uczniów. Umieściliśmy ją w tej szkole po powrocie z Paryża, na pierwszą wywiadówkę przyszałam więc w dzinsach i zwyczajnej kurteczce. Reszta mam, nie zważając na ciepły październik, paradowała w sobolowych futrach do kostek i pobrzękiwała złotymi łańcuchami, grubymi jak obroża Bundy’ego. Oczywiście nikt się do mnie słowem nie odezwał. Tuż przed Nowym Rokiem przejawiałam inicjatywę i zadzwoniłam do przewodniczącej komitetu rodzicielskiego, pytając, czy nie wypadaloby zebrać pieniędzy na prezenty dla nauczycieli. Ta z lekka się zmieszała, a potem wykrztusiła:

– Zawsze kupujemy prezenty... Tylko proszę się nie denerwować: za panią już założono.

– Kto założył? – zdumiałam się szczerze.

– No wie pani... – płątała się dalej rodzicielka. – Dla nas to nie problem, a dla pani duży wydatek. Proszę wybaczyć, ale widzieliśmy, jak pani się ubiera, i wiemy, że wszystkiego pani sobie odmawia, żeby dziewczynka mogła się uczyć w dobrej szkole.

Zapewniłam ją, że moje finanse są w zupełnym porządku, ale teraz do college'u chodzę jak żona maharadży – cała w złocie i klejnotach. Muszę przyznać, że dzieci są ubrane zwyczajnie, i tylko ten, kto zna się na rzeczy, wie, ile kosztują zwykłe dzinsy marki Trussardi i prawdziwe firmowe adidasy.

Kicia starannie smarowała chrupkie pieczywo cienką warstwą masła. Biedaczka stale przestrzega diety, do upadłego licząc zawartość tłuszczów, białek i węglowodanów w każdym kęsie. Dziennie wolno jej zjeść pięć gramów masła. Teraz rozwiązywała trudne zadanie: zużyć od razu całą normę czy zostawić coś na kolację? W końcu podjęła decyzję i zaczęła rozprawadzać odrobinę tłuszczu nożem po chlebie. Jefim, obserwujący tę czynność, parsknął śmiechem:

– Weź normalny kawałek masła. Musicie oszczędzać czy co?

– Jestem na diecie – spokojnie wyjaśniła Kicia. – Nie mogę jeść nic tłustego, słodkiego, ostrego...

– To znaczy, żeś chora – skonstatował staruszek. – Dzisiejsza młodzież jest całkiem do niczego; ja w twoim wieku mógłbym gwoździe gryźć i nic. No i widzę, jaka z ciebie wyschnięta mumia, aż ci uszy odstają.

– Nie odstają! – oburzyła się Olga, ignorując uwagę o mumii.

– Eee, nie te uszy... Tutaj, o, popatrz – powiedział Jefim, pokazując na biodra. – Tutaj sterczą jak uszka od dzbanka.

Olga z zadowoleniem przesunęła ręką po wystających kościach biodrowych i odetchnęła z ulgą. Była po prostu uszczęśliwiona. Staruszek posmutniał: zrozumiał pewnie, że moja synowa uznała jego uwagę za komplement. Ale on cieszy się tylko wtedy, gdy może powiedzieć komuś coś przykrego.

– Zresztą – poprawił się szybko – nie martw się. Za to uda masz niczego sobie, tłuściutkie.

Kicia podejrzliwie zerknęła na Jefima, ale odłożyła kanapczkę chrupkiego pieczywa. We wzroku gościa mignęła satysfakcja, i spokojnie zaczął siorbać mocną kawę. No i proszę! Całe życie pali, pije, biega za babami, rżnie w karty po nocach, w dzień jeździ na wyścigi, i patrzcie państwo – dożył prawie stu lat, jest przy zdrowych zmysłach, żadnych oznak sklerozy. Nigdy nawet nie zachorował...

– Jefimie Iwanowiczu – nie wytrzymałam – zażywa pan witaminy?

– Tylko ce – odpowiedział.

– Tylko? – zdziwiłam się.

– No, tę, która jest w szyn-ce, wód-ce i w bab-ce. – Roześmiał się, ukazując

idealne protezy. Białe, równe zęby. Na jednym zresztą, w samej głębi, błysnęła chyba koronka. Nie, to złudzenie. Niemożliwe, żeby zachował własne zęby. Tak dobrze nie ma. Odruchowo wymacałam językiem lekko ruszający się sztyft i westchnęłam. Cóż może być gorszego od wizyty u dentysty?

Ale w dwie godziny później dostałam odpowiedź na to pytanie. Gorsza jest oficjalna rozmowa z pułkownikiem Diegtiariowem.

– Dzień dobry, siadaj tutaj – powiedział Aleksander, rozpoczynając długie i żmudne wypełnianie rozmaitych formularzy. Potem zapytał surowo: – Gdzie przebywałaś drugiego listopada, co robiłaś, z kim się spotykałaś? Podaj z dokładnością co do minuty.

Omal nie podskoczyłam.

– A to dobre: minął prawie miesiąc, a ja nie pamiętam, gdzie byłam wczoraj.

– Sklerożnik masz?

Parę lat temu zrozumiałam, że katastrofalnie wszystko zapominam. Pierwszy dzwonek alarmowy rozległ się dwudziestego dziewiątego września. Zjawiłam się w domu koło jedenastej wieczór i zobaczyłam w salonie kupę ludzi, ogromny tort, szampana...

– Co to za okazja? – spytałam rozbawionej Kici.

Ta przez sekundę patrzyła na teściową, mrugając oczami, po czym z westchnieniem odparła:

– Mój mąż ma urodziny.

Informacja dotarła do mnie, ale wolałam się upewnić:

– Arkasza?

– Owszem – i dodała zjadliwie: – Mój małżonek ma tak na imię, a jego mamusia – Daszka. Chcesz, to cię z nią poznam?

Musiałam w przyśpieszonym tempie pędzić nocą do dyżurnego supermarketu i kupić jakiś okropny zestaw – butelkę pseudofrancuskiego koniaku i dwa kielichy.

Następnym razem postanowiłam być czujniejsza. Trzynastego października o dziewiątej wpadłam do sypialni Kici, ściskając w ręku bibelot – porcelanowego buldoga. Nic nierozumiejąca synowa wlepiała oczy w podarunek.

– To dla mnie? – zdziwiła się. – Bardzo mi miło...

Powinno mi być zwrócić uwagę na ten ton zdumienia i zastanowić się... Ale nie, z punktu wypaliłam:

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, kochana, i chciałam ci złożyć życzenia pierwsza.

– To się pośpieszyłaś – odpowiedziała Kicia, ziewając. – Wyprzedziłaś wszystkich dokładnie o miesiąc, bo ja urodziłam się trzynastego listopada.

Potem pomyliłam dzień odlotu do Paryża: zjawiłam się na Szeremietewie

dwudziestego dziewiątego grudnia i wyciągnęłam z torebki bilet na dwudziestego ósmego. Krótko mówiąc, należało zastosować radykalne środki. Moje bezlitosne dzieci na wyścigi dawały mi złośliwe rady.

– Zawiążuj supełki – mówił syn.

– Aha! – zaśmiała się Olga. – Wyobraź sobie tylko: wieczór, w półmroku siedzi przy kominku Daria i ogląda sznurek z supełkami, starając się przypomnieć sobie, po co je zawiązała!

– To niech rysuje krzyżyk na ręce jak Oksana – proponowała Mania.

Olgi to też nie zadowalało:

– I zamieni się w wytatuowanego przestępcę.

Obecny przy rozmowie Aleksander roześmiał się

– Podarujemy jej notesik. Sam sobie wszystko zapisuję, pamięć już do niczego.

Z wdzięcznością spojrzałam na przyjaciela i pod wieczór dostałam od dzieci ładną, grubą książeczkę w skórzanej oprawie. Faktycznie, okazała się bardzo wygodna. Tylko trzeba do niej regularnie zaglądać. O tym więc, że urodziny Maszy są szóstego września, już nie zapomniałam; Arkaszy też zawczasu kupiłam prezent.

Pułkownik wziął sklerożnik, przejrzał i powiedział:

– Jest zapisane: drugiego listopada – kupić zasłonki.

– Aaa! – wykrzyknęłam z radością. – Właśnie! Kicia kazała mi je zmienić, więc trzeba było cały dzień tłuc się po sklepach.

– Gdzie byłaś?

Zastanowiłam się.

– „Dom Tkanin” na prospekcie Lenina, GUM, CUM, sklep firmowy „Draperia” na Priamikowa.

– To wszystko?

– Na Priamikowa byłam bardzo zmęczona. Tam są kilometry tkanin, w oczach mi się ćmiło. Chodziłam, chodziłam, ale nic nie znalazłam i pojechałam do domu. Głupio zmarnowany dzień...

– Nie kupiłaś?

– Nie, będę musiała znowu pojechać, a w dodatku wczoraj Gala akurat spaliła zasłony. Kicia dzisiaj po prostu wychodziła z siebie, kazała mi przywieźć pierwsze lepsze. Prosto od ciebie pojedę i kupię.

– No tak – wycedził pułkownik i zaczął mi zadawać inne idiotyczne pytania, a pod koniec spytał już zupełnie głupio:

– Twoje volvo jest wiśniowe, tak? Ciemny kolor bordo?

– Można by pomyśleć, że nigdy nim nie jeździłeś – przycięłam mu.

– A siedzenia koloru kawy z mlekiem?

– Tak, bardzo się brudzą, w salonie nawet obniżyli mi trochę cenę, bo nikt takich

nie chciał.

– A ty kupiłaś? I co, czyścisz je codziennie?

– Ależ skąd. Naciągnęłam czarne pokrowce i spokój.

– Numer samochodu?

– Słuchaj, dosyć tego! – wybuchnęłam. – Przecież doskonale go znasz!

– To jest oficjalne przesłuchanie – odparł pułkownik. – Bądź łaskawa odpowiadać, bo napiszę: „odmawia składania wyjaśnień” i zatrzymam cię na tydzień.

– Nie masz prawa! Tylko dla ustalenia tożsamości, a dowód mam tutaj, w torebce.

– Gdybym chciał cię aresztować, to powód bym znalazł, pokaż no. – Wziął do ręki bordową książeczkę.

Przez kilka sekund było cicho, potem odezwał się z wyraźną satysfakcją:

– No, mówiłem: pod zdjęciem nie ma podpisu właściciela, więc dokument jest nieważny.

– Coś ty! – wrzasnęłam.

– A toś ty – zaczął mnie przedrzeźniać pułkownik. – Znalazłem nieprawidłowość w dokumentach, no więc, obywatelko, jaki ma numer wasze volvo?

– Sześćset dwadzieścia pięć KE – powiedziałam odruchowo i naprawdę się obraziłam.

Namącił mi w głowie i osiągnął to, czego chciał. Następna godzina wyglądała prawie identycznie. W końcu, ściskając w dłoni przepustkę, wybiegłam na ulicę, w listopadową niepogodę, i otarłam pot z czoła. Skoro Aleksander potrafi doprowadzić prawie do omdlenia Bogu ducha winnego świadka, to ciekawe, co czeka prawdziwych złoczyńców?

Wypaliłam papierosa i trochę się uspokoiłam, po czym ruszyłam na uczelnię. Ten sam dział nauczania, te same kobiety za biurkami, ale reakcja całkiem inna. Na widok dobrze ubranej pani urzędniczki zaczęły się uśmiechać i życzliwie, prawie chórem zapytały:

– W czym możemy pomóc?

Ja jednak podeszłam do Wiery Nikitinej i dosyć bezceremonialnie, tak zresztą, jak się tego oczekuje od bogatej damy, zapytałam:

– Wierka? Tania bardzo dokładnie mi panią opisała.

Kierowniczką działu nauczania chwilę się zastanowiła, potem z rozjaśnioną twarzą odpowiedziała:

– Tańka Kornilowa?

– Tak – potwierdziłam, również promieniejąc szczęściem. – Właśnie ona.

Od dawna wiem, że kiedy się chce udać czyjegoś posłańca, trzeba wymienić imię „Tania”, a ludzie na pewno sobie „przypomną”.

– Cudownie – szczebiotała Wiera. – Chodźmy, porozmawiamy w spokoju.

Znowu zaprowadziła mnie do pokoiku z czajnikiem, ale tym razem z szafy wyjęła słoiczek ohydnej indyjskiej kawy i niejadalny polski keks „Kiwi”.

– Jak tam Tańka? – spytała.

– Świetnie. – Nie zamierzałam wypływać na niepewne wody. – Jak zawsze, no i powiedziała, że pani mi pomoże.

– Słucham. – Wiera spoważniała.

Zaczęłam kłamać jak z nut. Dzięki Bogu, oboje z mężem nie mamy żadnych problemów finansowych, syn studiuje stosunki międzynarodowe, ale córka... Skaranie boskie, nie dziewczyna! Tylko stroje i zabawy jej w głowie; żadnej poważniejszej myśli, co chwila drze koty z bratem, a teraz właśnie pokłóciła się z ojcem. Mąż się wściekł i kazał w ciągu trzech dni gdzieś ją umieścić; gdziekolwiek, byle miała coś do roboty.

Wiera w zamyśleniu mieszała herbatę łyżeczką.

– Już koniec listopada, wkrótce sesja...

– Niech pani przygarnie dziewczynę – powiedziałam. – Załatwimy zaświadczenie, że chorowała...

– Nie trzeba. – Nikitina machnęła ręką. – Sama porozmawiam z wykładowcami. Ale to będzie niestety kosztowało drożej niż zwykle przyjęcie...

– Nie ma o czym mówić. – Wyjęłam z portfela platynową kartę kredytową i zaczęłam stukać nią o stół. – Tylko że Tanieczka mówiła, że pieniądze wpłaca się po wciągnięciu na listę studentów.

– Oczywiście – przytaknęła Wiera. – Proszę przygotować dziesięć tysięcy. W poniedziałek wypiszę legitymację, wtedy pani zapłaci.

Udałam zakłopotaną.

– Zapłacę nawet więcej, jeśli pani jeszcze coś dla mnie zrobi.

– Co? – czujnie zapytała Wiera.

– Niech pani pogada z tą idiotką, moją córką, nastraszy ją jakoś albo postara się przekonać, że warto się uczyć. Bo nas nie posłucha.

Wiera Nikitina uśmiechnęła się.

– No, za taką przysługę nie bierze się pieniędzy. Proszę przyjechać do mnie do domu. Dziś po południu o piątej, spróbujemy panienkę namówić. Sama mam dorastającego syna, więc doskonale panią rozumiem. Tak, małe dzieci – mały kłopot, duże dzieci – duży kłopot.

Wysłuchawszy na pożegnanie tej niebanalnej sentencji, pobiegłam do samochodu. Mam nadzieję, że moi są w domu i uda mi się kogoś namówić.

Los bywa niekiedy łaskawy. Przy stole spokojnie jadły obiad Mania i Kicia. Błądziłam wzrokiem po ich twarzach. Niewątpliwie Olga bardziej przypomina

studentkę, ale moją idiotyczną prośbę może z pogardą odrzucić, Maruśka natomiast zgodzi się w podskokach. Tyle że na buzi ma wypisany swój prawie dziecięcy wiek.

Odczekałam, aż synowa zje całą gotowaną kapustę, poszłam za nią do sypialni i oświadczyłam obłudnie:

– Kiciu, myślę, że czas już dać sobie spokój z dietą, ostatnio tak schudłaś, że wyglądasz po prostu jak szkielet.

Dziewczyna westchnęła z zadowoleniem i powiedziała:

– Moja walka z cellulitisem wkrótce zakończy się zwycięsko!

Kułam żelazo, póki gorące:

– Co to za nowy ładny piesek, gdzie go dostałaś?

Nastąpiła teraz długa opowieść o nabyciu porcelanowej figurki.

Potem z zachwytem obejrzałam nową robótkę Kici i zaczęłam wychwalać jej pracę:

– Wspaniały ścieg, prawdziwe dzieło sztuki! Ale to trudny wzór!

Olga jednak wyczuła już fałszywy ton i zapytała podejrzliwie:

– Czego ode mnie potrzebujesz?

– A co, nie mogę po prostu przyjść do ciebie i pogawędzić?

– Dario – nie wytrzymała Kicia – mów szybko, jaki masz do mnie interes!

– Żebyś pojechała ze mną do pewnej pani i udawała rozkapryzoną córeczkę „nowych Rosjan”.

– Po co?

– To bardzo ważne.

– Dla kogo?

– Dla mnie.

– O ile pamiętam – powiedziała Olga, przeglądając się w lustrze – ostatnio, kiedy na twoją prośbę spotkałam się z pewnym pięknym panem, doszło do prawdziwego skandalu. Arkady o mało nie zamordował nas obojga.

Bez słowa odwróciłam się i ruszyłam do wyjścia.

– Chwileczkę – powstrzymała mnie Kicia. – Dokąd to?

– Poproszę Mańkę, ta ma prawdziwe zdolności aktorskie.

Takiej zniewagi Olga nie zniosła.

– Ja też mogę udawać, kogo zechcesz. Kiedy jedziemy?

– Zaraz, tylko musisz się odpowiednio ubrać.

– Nie ucz uczonego – odcięła się synowa, podbiegając do szafy. – Rozumiem, kapryśna córka nowobogackich? Idź do siebie, za kwadrans schodzę.

Dla pewności odczekałam pół godziny, po czym wsiadłam do volva i zatrąbiłam.

Długie, jasne futro z norek sięgało niemal ziemi. Pod nim Olga miała jasnoczerwony skórzany kostiumik z przyprowadzającym o zawrót głowy wycięciem

prawie do pępka. Nawiasem mówiąc, spódniczka kończyła się mniej więcej w tym samym miejscu co dekolt. Długie i smukłe nogi Olga wsunęła w glansowane kozaczki na tak wysokiej platformie, że skok z niej równał się samobójstwu. Powyżej cholewki widać było czarne siatkowe rajstopy.

Ale zasadniczej metamorfozie uległa głowa. Zazwyczaj starannie przyczesane włosy, z natury blond, były teraz rozkuślane, na oczy spadały różnokolorowe kosmyki – różowe, czerwone, fioletowe. W uszach miała mnóstwo kolczyków, twarz niesamowicie wymalowaną.

Kiedy Kicia zobaczyła, jak mi szczęka opada, uśmiechnęła się lekko i rozczapierzając upierścienione palce, powiedziała:

– Mamuńka, zatrzaśnij protezy! Co to, córki nie poznajesz, stara torbo?

Potem nagle spod pachy wyciągnęła Julie i spytała:

– No jak?

Zerknęłam na terierkę. Psi łeb ozdobiony był szafirową zapinką, a na cieniutkiej szyjce wisiał złoty łańcuszek.

– Jestem pod wrażeniem.

Olga wydmuchnęła olbrzymi balon gumy do żucia, który natychmiast pękł, i powiedziała:

– Dalej, mamuśka, prowadź, nie zrobimy ci wstydu.

Tym razem ledwie zadzwoniłyśmy, już drzwi szeroko się otwały, my zaś wkroczyłyśmy do holu. Sądząc po minie Nikitinej, wygląd Kici wywarł odpowiednie wrażenie. Olga niedbale wzruszyła ramionami, futro spadło.

– Matka – powiedziała dziewczyna. – Podnieś.

Podniosłam pachnące perfumami norki i powiesiłam na wieszaku. Zostałyśmy wprowadzone do salonu. Ten powstał pewnie z dwóch pokoi, bo pośrodku sufitu widać było belkę nośną. Urządzony był luksusowo – białe skórzane meble, turkmeńskie dywany, na ścianie zegar Pawła Bourrego, szafy na wysoki połysk i złożone statuetki koni. Absolutna mieszanina stylów. Pewnie gospodyni kupuje wszystko, co drogie. Skąd wytrzasnęła ten obraz wiszący między oknami? Naga niewiasta przy kości omdlewa na brokatowym posłaniu, obok nudnie uśmieknięty amor z dzbanem. Barbarzyński przepych. Ale najokropniejszy był żyrandol: dwadzieścia cztery pajęczce łapki z brązu, bogato zdobione najrozmaitszymi zawijaszami.

– Pić mi się chce – Olga kapryśnie przeciągała słowa.

– Zaraz będzie herbata – życzliwie zapewniła gospodyni.

– Pijam tylko cejlońską – zastrzegła się Kicia. – Za indyjską dziękuję.

Po czym spuściła Julie na podłogę. Terierka trochę się pokręciła w miejscu i zrobiła wonną kupkę pośrodku beżowego dywanu.

– Mamo! – jęknęła Olga omdlewającym głosem. – Sprzątnij!

No, to już przesada! Wiera obrzuciła mnie współczującym spojrzeniem i zwróciła się do Kici:

– Proszę wziąć z toalety szufelkę i miotelkę.

– Ja? – oburzyła się synowa. – Ja? Szufelkę i miotelkę? Tyś, kochana, chyba rozum straciła. Za pieniądze pewnie wszystko robisz, to cicho siedź. Makarenko w spódnicy! Matka, idź i sprzątnij.

Poszłam w głąb korytarza, mijając pustą kuchnię, i po drodze zajrzałam do czterech pokoi. Nie było nikogo; żadnych śladów Basile’a.

W łazience zobaczyłam mnóstwo najróżniejszych kosmetyków, w szczególności osiem lotionów i wód po goleniu. O ile jednak pamiętam, Basile przez długie lata używał wody Bourgeois, a tej jakoś nie spostrzegłam.

Odwinęłam spory kawał papieru toaletowego i wróciłam do salonu, gdzie Kicia, wydymuchując lepkie balony gumy, ze znudzoną miną słuchała referatu na temat „Uszlachetniająca rola wykształcenia”.

Nagle usłyszałam głos:

– No, jestem! – I do pokoju wszedł Basile.

W pierwszej chwili omal nie wrzasnęłam z radości, ale się powstrzymałam. Zrozumiałam po chwili, że mam przed sobą człowieka młodego, mniej więcej dwudziestolatka. Z twarzy całkiem przypominał Korzinkina: smągła skóra, cienki arystokratyczny nos, wilgotne czarne oczy... Nie, zmarły Trofim stanowczo się mylił, oczerniając swoją matkę. Najwyraźniej w rodzie Korzinkinów przychodzą czasem na świat mężczyźni o orientalnej urodzie. Nikołajowi urodził się taki wnuk, Trofimowi – prawnuk. Ależ są do siebie podobni! Po prostu jak dwie krople wody! Tyle że Francuz jest starszy o parę dziesięcioleci. Szkoda, że go nie znałam, kiedy był młody. Zdaje się jednak, że znowu spudłowałam. To nie Basile na mnie napadł, ale ten młodzian.

– Poznajcie się: Timofiej, mój syn – przedstawiła go z, uśmiechem Wiera.

– Tima. – Chłopak podał mi rękę.

– Bardzo mi przyjemnie – wymruczałam, ściskając bezwolną, miękką dłoń, przywodzącą na myśl zdechłą rybę.

– Timka się uczy – znowu zaczęła Wiera Nikitina, zapracowując obiecane baksy.

Naprawdę ciekawa sprawa! Nina tkwi w nielegalnym biznesie, związanym z prostytutką. Równocześnie jest przyszłą żoną Timofieja Nikitina. Pamiętam, jak miła sąsiadka Lena plotkowała o przyszłym teściu, oficerze milicji Feliksie, który przyjechał nowiutkim zagranicznym wozem. Zdaje się, że to inni niedawny znajomy, pan Samochwałow, naczelnik zakładu karnego. A zatem wszyscy oni się znają, co więcej, zamierzają się spowinowacić i prowadzą nielegalne interesy. Chociaż, może

nie mam racji, i to tylko zbieg okoliczności? Wiera wzbogaciła się na łapówkach od rodziców studentów, Feliks ciągnie forszę z krewnych więźniów, Ninka po prostu związała się z przestępczą organizacją. A Tima?

Ciekawe, gdzie synalek Wiery poznał Ninę? Przerwałam natchnioną orację Nikitinej, wariacje na temat: „Nauka to światłość, niewiedza – mrok”.

– Ależ przystojnego ma pani syna! Byłby z niego wspaniały mąż dla mojej córeczki!

Nikitina uśmiechnęła się.

– Tak, to dobry chłopak. Nie ma z nim problemów, uczy się znakomicie i ma już narzeczoną, Ninę. Ładna, mądra, zresztą też nasza studentka.

– Na pewno wybrała pani bogatą dziewczynę dla syna – wyraziłam bezceremonialne przypuszczenie. – Ale proszę się jeszcze zastanowić. Moja będzie miała wspaniały posag: dom, ziemię, konto bankowe. Muszę coś z nią zrobić: albo niech się uczy, albo wyjdzie za mąż.

Wiera uważniej przyjrzała się Oldze. Kicia wydmuchnęła kolejny balon, potem wyjęła z torebki płaską butelkę i golnęła z niej spory łyk. Nikitina oczywiście uznała, że takiego cuda nie warto brać nawet z milionowym bonusem, i odpowiedziała:

– Nikogo nie wybierałam. Moja koleżanka szkolna wyszła za mąż za oficera milicji; przyjaźniłyśmy się, korespondowały. Potem, niestety, Sonia umarła, a Ninka chciała się dostać na uczelnię, no i przyszła do mnie. Kto by przypuszczał, że dzieci się pokochają.

Zrozumiałam, że niczego więcej się nie dowiem.

– Chce mi się siku – oświadczyła Olga i wyszła.

Wiera westchnęła.

– Współczuję pani z całego serca, dziewczyna jest trudna. Wątpię, czy nauka jej coś da. Może rzeczywiście lepiej poszukać jej męża? Mówią, że macierzyństwo odmienia kobietę. Zresztą niech się pani cieszy, że jest tylko rozwydzona, a nie narkomanka. Dawno pije?

Machnęłam ręką.

– Od ósmej klasy.

– A to nieszczęście – całkiem szczerze zmartwiła się łapówkara i dodała: – Jakie to dziwne!

– Co?

– No, torebka. – Wiera wskazała na wyrób z krokodylej skóry, który wsunęła mi Kicia. – Myślałam, że drugiej takiej nie ma. Tima przywiózł mi identyczną z Paryża, poszłam z nią do znajomych, a torebkę mi ukradziono. Specjalnie szukał, żeby była z rosyjską literą „W”, czyli „B”, które Francuzi wymawiają „be”. Bardzo, bardzo podobna do mojej.

Wpatrzyłam się w kosztowną torbę. Ładne rzeczy! Straciłam kilka dni, szukając właścicielki. Myślałam że należy do Loli, właścicielki biura „Albatros”, a tymczasem okazuje się, że do Wiery. I gdzież to Kicia ją znalazła? Pewnie na siedzeniu volva?

Kiedy odjechałyśmy kilka domów dalej, zaatakowałam synową:

– Mogłaś mnie przynajmniej nie zmuszać do sprzątania kupy!

Kicia zdmuchnęła z twarzy różnokolorowe kosmyki i z miną pierwszej naiwnej zdziwiła się:

– Sama przecież chciałaś zajrzeć do pokoi! Lepszego powodu niż szukanie toalety nie można było wymyślić! Właśnie dlatego wzięłam ze sobą Julie!

Co racja, to racja. W domu miła i dobrze wychowana, w gościnie terierka na wstępie się załatwia. Przy tym akcie defekacji dokonuje publicznie; w miarę możliwości na samym środku cudzego dywanu.

– Skąd wzięłaś torebkę?

Olga klasnęła w dłonie.

– A to dobre! Poniewierała się tutaj, w samochodzie, na tylnym siedzeniu! Jeszcze się dziwiłam, po co kupować takie paskudztwo. Drogie, niewygodne i absolutnie niemodne. Teraz nosi się takie małe, prawie jak portmonetki...

I dalejże z zapalem opowiadać mi o modnych ostatnio wyrobach skórzanych. Mechanicznie naciskałam na pedały, kręciłam kierownicą, ale głowę miałam zaprzątniętą całkiem czym innym. To znaczy, że Wiera Nikitina powinna znać miejsce, w którym przebywa Basile!

– Jedź od razu na Priamikowa – poleciła Olga. – Tam jest największy sklep.

– Po co?

– A zasłony?

– Wejdiesz do sklepu tak ubrana?

– No i cóż takiego? – uśmiechnęła się chytrze Kicia. – Moim zdaniem, wyglądam świetnie, oczy wszystkich będą zwrócone na mnie!

Co do tego miała absolutną rację. Nie zdążyłyśmy wejść do środka, a już sprzedawczynie porzuciły bele tkanin, wlepiły oczy w Olgę, jedyny zaś przedstawiciel płci męskiej w te pędy podbiegł do mojej synowej. Potem nie odstępował jej ani na krok, dopóki nie wyszła ze sklepu.

Wepchnęłam się między dwa stojaki ze wzorami draperii i zaczęłam udawać, że oglądam towar. Kicia i tak wybierze tkaninę według swojego gustu, a mnie się robi niedobrze na widok każdego sklepu. Po prostu nie znoszę przepychać się między ladami, namyślać się, czy wybrać „czerwony w kwiatki” czy „biały w groszki”. A Olga z entuzjazmem rozwijała coraz to nowe bele tkanin... Potrwa to co najmniej dwie godziny, ani minuty krócej. Co prawda, najgorzej jest wybierać się na zakupy z Arkaszą. Ja zwykle staram się wybrać to, co niezbędne i czym prędzej się wynosić.

Syn powoli zwiedza wszystkie działy, uważnie ogląda całą ofertę, a potem powiada:

– Mamo, potrzebujesz nowych pantofli!

Na nic wszystkie protesty, i chociaż przysłałam po parę rolek papieru toaletowego, zostaję zaciągnięta do działu obuwniczego i jestem zmuszona przymierzać wszystko, co stoi na półkach. W rezultacie wychodzę obładowana pudełkami i torbami, i dopiero w domu przypomina mi się, że nie kupiłam papieru.

Kicia przewróciła cały sklep do góry nogami, doprowadziła sprzedawczynię prawie do omdlenia, ale w końcu znalazła to, czego chciała:

– Na razie niech powiszą chociaż takie. Potem znajdę coś lepszego – szczebiotała, zabierając olbrzymie pakunki. – Wybrałam też aksamit na portierey do salonu i kilka ładnych obrusów kuchennych. O... wiesz co, kupimy jeszcze ten materiał w kratkę, na kocyki dla Bundy’ego i Snaa!

Westchnęłam. Kicia spojrzała na mnie i rozkazała:

– Włóż zakupy do samochodu, zaraz przyjdę.

Na dworze niespodziewanie się ociepliło. To normalne, wkrótce grudzień, a początek nowego roku w Moskwie z reguły jest deszczowy. W ogóle w stolicy dzieje się coś dziwnego. Niebo jest czyste, chmury się rozproszyły, śnieg nie pada, a pod nogami mlaszcze brudna kasza, mieszanina piasku, soli i roztopionego lodu. Po prostu zagadka: skąd się wzięła, może została od wczoraj?

Mieląc w ustach przekleństwa, pilnie starałam się omijać kałuże. Dlaczego chodniki w Finlandii i Norwegii są zimą zawsze czyste? Śnieg pada tak samo, jak u nas, klimat jest prawie taki sam, a porównajcie! Pewnie tamtejsze władze wiedzą o nadejściu zimy, a nasze za każdym razem są tym faktem całkowicie zaskoczone. Wczoraj właśnie w „Moskiewskim Komsomolcu” widziałam zdumiewający tytuł: „Niespodziewany atak zimy”. No, któż by się spodziewał czegoś takiego w Moskwie, w końcu listopada?! Myśleliśmy, że mieszkamy w Australii, a tutaj proszę – z nieba zaczęły padać jakieś płatki, i okazało się, że wszystkie co do jednego pługi śnieżne są zepsute...

– Mandat sto rubli – usłyszałam za plecami.

Przyciskając paczki do piersi, odwróciłam się i zobaczyłam młodego chłopaka w mundurze.

– Za co?

– Widzi pani zakaz parkowania?

– A tamtym dlaczego wolno parkować? – oburzyłam się, pokazując palcem stojące obok zagraniczne samochody.

– To samochody agencji „Albatros” i jej klienci mają prawo – wyjaśnił uprzejmie chłopak. – A pani była w sklepie z materiałami.

Rozbój na równej drodze! Dałam mu sto rubli i zaczęłam wkładać zakupy do

samochodu. Otworzyłam bagażnik i wtedy w mojej głowie coś zaskoczyło!
„Albatros”, volvo i trup! Najprawdopodobniej tutaj wsunięto mi go do samochodu,
przecież tamtego dnia też byłam w sklepie po materiał na zasłony! Ale dlaczego
zabójcy wybrali właśnie moje auto?

Rozdział 24

Wieczorem, kiedy usiedliśmy do kolacji, Olga zarządziła:

– Jedźmy szybko, a potem z Maniusią potniemy bryty na zasłony.

Arkady błyskawicznie wypił szklanekę kefiru i poszedł spać. Gała i Misza jak zwykle wcisnęli się w kąty i zaczęli szeleścić papierami. Jefim poszedł z butelką koniaku do swojej sypialni, oglądać hokeja. Cichy wieczór to rzadkość w naszej zwariowanej rodzinie.

Kicia rozwinęła rulon na podłodze i zaczęła odmierzać potrzebną długość. Mani kazała przynieść mydło.

– Po co? – zdziwiła się dziewczynka.

Olga jednak nie lubi, jak ktoś się zanadto wtrąca.

– Jak mówię, żeby przynieść, to trzeba szybko przynieść – poinstruowała Manię.

– Potem będziesz mleć ozorem.

Maruśka, łomocząc, biegła tam i z powrotem.

– Masz! – Podała mojej synowej butelkę z mydłem w płynie.

– O Boże – jęknęła Olga. – Potrzebny jest kawałek mydła zamiast kredy, żeby narysować linię na materiale, a ty przynosisz mi płyn.

– Skąd miałam wiedzieć? – oburzyła się dziewczynka.

– Leć prędko do łazienki i zapamiętaj: nie szampon, nie żel, nie balsam, nie peeling, nie krem do twarzy, tylko najzwyklejszy, najlepiej suchy kawałek mydła! – ćwiczyła ją Olga.

Posapując z oburzenia, Manusia znowu pognęła do łazienki. Kicia podeszła na chwilę do stołu, żeby nalać sobie filiżankę herbaty, a Snap od razu położył się na tkaninie.

– Tfu, poszedł precz! – rozgniewała się synowa. – Też sobie znalazł legowisko!

Pies z godnością powoli się oddalił.

– No tak! – jęknęła synowa. – Teraz cały materiał jest w czarnej sierści. Masza, przynieś szczotkę! Nie do butów, nie do paznokci, nie do zębów, tylko do ubrań, z przedpokoju.

– Nie musisz ze mnie robić takiej idiotki – odburknęła Mania, ale pobiegła do holu.

W końcu odmierzyły potrzebną długość brytów, złożyły starannie materiał i Kicia przyniosła nożyce.

– Kupiłyście nowy chodnik? – spytał Misza z zainteresowaniem i ruszył do stołu wprost po aksamicie.

Materiał natychmiast się pofałdował, równo złożone części się rozjechały. Twarz Kici nabrała koloru dojrzałego bakłażana.

– Maszo – powiedziała z wściekłością – zabierz mydło, szpilki i centymetr. Idziemy do naszej sypialni. W domu, gdzie mieszkają szalone psy i goście, nic nie można zrobić.

Podniosły nierozcięte zasłony i wyszły. Matematyk, nic absolutnie nie rozumiejąc, spokojnie jadł ciastko. Nagle zadzwonił telefon.

– Daszeńko... – rozległ się wzburzony głos Oksany.

– Co się stało? – przestraszyłam się, patrząc na zegarek. Wskazywał wpół do jedenastej. Ksanka mieszka w pobliżu stacji metra Sokół, do pracy jeździ do Wychina na ósmą rano i dlatego codziennie wstaje o szóstej. Wszystkie przyjaciółki Oksany wiedzą, że nie wolno do niej dzwonić po dziewiątej wieczór, bo na pewno jest w łóżku. Jeśli wpół do jedenastej sięga po słuchawkę, to znaczy, że zdarzyło się coś niezwykłego!

– Ela uciekła!

– Jak to?

– Nie mam pojęcia, przyjeżdżaj.

Pognałam na Piesczaną. Zdenerwowana Oksanka miotła się po swoich pokoikach. Zgodnie z jej słowami, bieg wydarzeń przedstawiał się następująco:

Pierwszego dnia dziewczyna nie wychodziła z domu, drugiego wyszła pospacerować do ogródka z Rachel. Staffordszyrskie teriery to poważne psy, z reguły agresywne, źle odnoszące się do obcych. Ale w rodzinie Oksany nie ma żadnych złych istot. Dlatego Rachel, właścicielka straszliwego pyska i rekinich zębów, jest w rzeczywistości niegroźna jak mały kotek. W dodatku absolutnie posłuszna; każdego uważa za przyjaciela. Ale przechodnie oczywiście o tym nie wiedzą i omijają groźnego psa. Nawet głęboką nocą bezpiecznie jest spacerować z Rachel, wczoraj zatem wszystko było w porządku.

Ksana wróciła dzisiaj, jak zwykle, po siódmej. Ku jej ogromnemu zdziwieniu, Rachel w obroży i ze smyczą siedziała na placyku przed drzwiami wejściowymi. Denis przychodzi z uczelni o dziewiątej, a Sieriożka od dawna ma własne mieszkanie. Dlatego terierkę wyprowadziła Ela. Oksanka otworzyła mieszkanie i stwierdziła, że lokatorka zniknęła.

– Od razu zadzwoniłam do ciebie. – Przyjaciółka nerwowo pokazała na telefon. – Ale nikt nie podnosił słuchawki.

No tak, jak zwykle zostawiłam komórkę w samochodzie i, zdaje się, znowu nie wymieniłam baterii.

Popatrzyłam na czerwone cyferki, migające koło guzików: dwa telefony.

– Odsłuchiłaś sekretarkę?

Oksana nacisnęła klawisz.

– Denis, zadzwoń jak przyjdiesz. Mam fajny program – doleciało z głośnika.

Potem usłyszałyśmy szmer i częste dzwonki; ktoś nie chciał zostawić wiadomości.

– Jak była ubrana?

– W stare dzinsy Denisa, sweter, mój T-shirt i buty, a kurtka czerwona z kapturem. Dała mi ją Władlenka, sąsiadka.

W zamyśleniu weszłam do pokoju, gdzie sypiała Ela. Na pomiętym łóżku leżały poduszka i pilot do telewizora. Najprawdopodobniej dziewczyna leżała i gapiła się w ekran. Jak się dowiedzieć, dokąd poszła i po co? Chociaż może spróbujemy?

– Rachel, chodź tutaj.

Pies posłusznie przybiegł na wołanie. W swoim czasie Ksana, nie żałując czasu ani pieniędzy, wozila ją do psiej szkoły. Ale nigdy nie sprawdzałyśmy, jak „uczennica” przyswoiła sobie wiedzę. Zresztą proste rozkazy w rodzaju: „siad”, „daj łapę”, „naprzód” wykonywała nienagannie.

Podetknęłam terierce pod nos poduszkę i nakazałam:

– Powąchaj. Ela, gdzie jest Ela, szukaj, szukaj!

Rachel zaczęła głośno ruszać czarującym różowym nosem i popatrzyła mądrymi oczami w stronę przedpokoju.

– Myślisz, że zrozumiała? – szeptem spytała Oksanka, ale Rachel już zaczęła z całej siły drapać w drzwi wejściowe.

Założyłyśmy jej obrozę i wybiegłyśmy na ciemną, ledwie oświetloną ulicę. Smycz się naprężyła, pies pędził przed siebie naprzód. Utrzymać prawie siedemdziesięciokilowego stafforda kobiecie, która waży o dwadzieścia kilo mniej, jest nadzwyczaj trudno. Powiewałam na końcu smyczy jak stara szmatka. Rachel biegła wielce zaaferowana, mocno sapiąc. Ksana została daleko z tyłu.

– Prrr, stój – wołałam.

Ale gdzie tam! Terierka żwawym galopem pędziła na przelaj, przeskakując przez płoty. Pies był bardzo mądry: kiedy wziął kolejną przeszkodę, zatrzymywał się i czekał, bym i ja, ledwo zapiąc, przez nią przelazła. Ledwie jednak dotknęłam nogami ziemi, wyścig zaczynał się na nowo. W końcu Rachel wbiegła na ulicę Ałabiana, skręciła lekko w lewo i raptem usiadła przy jakimś wielobranżowym kiosku. Nie

zdażyłam w porę się zatrzymać i z rozpędu wpadłam na ów punkt handlowy. Rozległ się huk, budka zadrżała w posadach. Natychmiast otworzyły się drzwi i wyrzwał z nich rozzłoszczony sprzedawca. Otworzył usta, ale w tej samej chwili zobaczył głośno dyszącego psa i błyskawicznie zabarykadował się w kiosku. Rachel posiedziała przez pewien czas, potem obesła kiosk z przodu i zaczęła grzebać łapami w śniegu. Wówczas dogoniła nas zziębnięta Oksanka, z trudem łapiąc oddech.

Pies oparł łapy na niewielkiej ladzie i z przejęciem dał głos:

– Hau!

– Oj! – dobiegło z kiosku.

– Hau, hau! – nie uspokajała się terierka. – Hau!

Jakoś odciągnęłyśmy rozszalałe psisko na bok. Wsunęłam głowę w okienko.

Przerażony chłopak wygłosił następującą tyradę:

– Niech pani zabierze tego potwora, bo zaraz wezwę milicję albo sam go zastrzelę; mam pistolet.

Drżący głos świadczył jednak niedwuznacznie o tym, że pistolet sprzedawca posiada wyłącznie w marzeniach. Wyjęłam dwadzieścia dolarów. Facet spojrzął na zielony banknot.

– Wpuść mnie, musimy pogadać.

– A pies?

– Zostanie na ulicy, ze swoją panią.

Szczęknął zamek, a ja weszłam do ciasnego pomieszczenia, zastawionego butelkami, słoikami i pudełkami. Z bliska sprzedawca wyglądał góra na jakieś szesnaście lat.

– Czego pani chce?

– Często tu pracujesz?

– Codziennie od piątej po południu do rana.

Biedaczysko, to kiedyż on sypia?!

– Nie widziałeś wczoraj dziewczyny? Młoda, szczupła, w dżinsach i czerwonej kurtce.

– To pani córka? – spytał chłopak i groźnie dodał: – O, to dwadzieścia baksów nie wystarczy, wszystkich klientów mi wczoraj wystraszyła.

– Kto, Ela?

– A skąd mam wiedzieć, jak ta pani wariatka ma na imię – nasrożył się chłopak.

Kiedy dostał jeszcze jeden papierek, wyraźnie poweselał. Wczoraj koło wpół do szóstej, na samym początku jego zmiany do kiosku podeszła dziewczyna i kupiła parlamenty. Całkiem zwyczajna: w dżinsach i czerwonej kurtce, nigdy by nie zapamiętał takiej niczym się nie wyróżniającej klientki. Dziewuszka jednak odeszła w stronę jezdni i zapaliła papierosa. Po paru minutach zatrzymało się koło niej ciemne

żiguli. Otworzyły się przednie drzwi. Przez chwilę klientka rozmawiała z kierowcą, potem wsiadła do wozu i odjechała. Miała ze sobą psa. Kiedy ten został sam, rzucił się w stronę kiosku i zaczął biegać wokół niego.

– Co najmniej godzinę tak biegał – skarżył się chłopaczek. – A to najlepszy czas na handel, ludzie akurat wracają z pracy. Ale nikt nie podszedł.

Rachel biegła dookoła, z rzadka poszczekując. Sprzedawca przestraszył się i nie wychodził na zewnątrz. W końcu pies uciekł, wlokąc za sobą smycz.

– Opisz mi to żiguli – poleciłam.

Młodzieniec westchnął.

– Samochód jak samochód, ciemny; bez żadnych bajerów. Tylko z tyłu była rączka na przyssawce. Wie pani jaka? Taka, że jak się jedzie, to ona się kiwa.

Kiwnęłam głową. Chłopak ciągnął:

– I numer śmieszny.

– Zapamiętałeś numer?

– Każdy by zapamiętał, jeszcze pomyślałem: jak kupię brykę, to nigdy się na taki nie zgodzę. Gliny, jak zobaczą, to nigdy nie zapomną: sześćset sześćdziesiąt sześć – liczba szatana. Dziewuchy teraz takie są, nic się nie boją. Ja to bym nigdy w życiu... Zły znak i już.

– Dlaczego dziewczuchy? – spytałam.

– Bo za kierownicą też siedziała baba – wyjaśnił sprzedawca. – Włosy długie, spadały na twarz, wielkie okulary.

– Jak to zauważyłeś po ciemku?

– Otworzyła drzwi i w samochodzie się zapaliło światło.

– Dokąd pojechały?

Chłopak machnął ręką w stronę prospektu Leningradzkiego.

Zawróciłyśmy z Ksaną w stronę domu, Rachel spokojnie biegła obok.

– Co to za samochód? – zdziwiła się Ksanka, kiedy usłyszała moją opowieść. – Ela mówiła, że oprócz byłych klientów nikogo w Moskwie nie zna!

– Widać kłamała – mruknęłam w zamyśleniu. – Tylko dlaczego?

Rozbity o kiosk łuk brwiowy zaczął mi drżeć; Oksanka spojrzała na moją twarz i jęknęła:

– Trzeba zrobić okład z wody ołowiowej, inaczej spuchnie!

Ale pośpiesznie zastosowane środki nie pomogły i na śniadanie w domu musiałam zejść w ciemnych okularach. Jefim spojrzał na mnie i spytał:

– Czemu się zasłoniłaś?

– A tak sobie – odpowiedziałam, nie wdając się w szczegóły.

Ale nagle wpadła do jadalni Manusia i z rozpędu popchnęła moje krzesło.

Okulary spadły mi prosto w omlet. Stary popatrzył i zarechotał.

– Ręczna robota. Chłop rozumu uczył? Pewnieś mu nie dała, stawiałaś się?

Rozeźliłam się.

– Po prostu się uderzyłam.

– Powiedz to komu innemu – zarechotał dziadek, z apetytem pałaszując gorący omlet.

– A komu i co powinnaś była dać, mamó? – zainteresowała się Mania.

Starając się nie wybuchnąć i nie ochrzanić bezczelnego gościa, z niewinną miną wyjaśniłam:

– Jefimowi się wydaje, że powinnam była dać komuś pieniądze, ale tego nie zrobiłam i dostałam w oko. Myli się jednak, po prostu wczoraj w ciemnościach nabiłam sobie guza o węgiel kiosku.

– No, skoro w dodatku płacisz facetom... – Jefim usiłował dalej się natrzasać, ale wtedy wszedł Arkady i wstrętny dziadyga się zamknął. Trochę się boi Kieszy. Syn popatrzył na moje zapuchnięte oko i burknął:

– Znowu wiadro na śmieci?

Ale pamiętliwy! Dlaczego rodzina interesuje się tylko moimi pechowymi wypadkami? Czemu nie pytają, jak mamie szło na studiach? Nikt się nie zająknie, że dostałam dyplom z czerwoną okładką, a o wiadrze przypominają za każdym razem.

To było bardzo dawno, piętnaście lat temu. Dopiero co dostałam pełne wynagrodzenie asystenta. Młoda kobieta, w dodatku rozwódka z dzieckiem, praktycznie nie miała szans na przyzwoitą pracę. Żadna instytucja nie chciała dodatkowych kłopotów, kadrowcy się krzywili. Dziecko bez ojca, i żadnej babci też nie ma! To znaczy, że matka zacznie brać zwolnienia, powołując się na ustawy i przepisy. Zgodnie z prawodawstwem radzieckim, kobiecie samotnie wychowującej dzieci przysługiwały duże ulgi – dodatkowych pięć dni urlopu, bezpłatne sanatorium... Nie można jej było wysłać na delegację i zmuszać do brania nadgodzin... Dlatego mogłam wykładać tylko na umowę-zlecenie, a tu nagle takie niezwykle, bajkowe po prostu szczęście – dziekan przyjął moje podanie o etat.

We wtorek kierowniczka miała przedstawić nową pracownicę na zebraniu katedry. Poprzedniego dnia wieczorem postanowiłam umyć podłogę w kuchni. Rozpuściłam w wiadrze proszek do prania Lotos. O żadnym żelu Komet nikt wtedy nie słyszał. Właśnie jeździłam szczotką po linoleum, gdy nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Odwróciłam się niefortunnie, bose nogi rozjechały się w mydlanej kałuży, a ciało niezwłocznie jęło przybierać pozycję horyzontalną. Starając się utrzymać równowagę, zamachałam rękami i wyrznęłam, że tak powiem, gębą o otwarte drzwi szafki pod zlewozmywakiem, w której stało wiadro. Jego żelazny zaś uchwyt rąbnął mnie trochę poniżej prawej brwi.

Przez resztę nocy starałam się walczyć ze skutkami tego incydentu. W ruch

poszły wszystkie znane domowe środki – zeszkrobany z lodówki lód, srebrna łyżka babci, przekrojony kartofel i nawet kawałek surowej wołowiny. Rano wszakże w lustrze ujrzałam dosyć silnie obrzękłą twarz, zapuchnięte prawe oko i zdumiewającej urody siniak w pawich kolorach – niebiesko-żółto-zielony.

Musiałam iść na posiedzenie katedry w ciemnych okularach.

Był sierpień, wykładowcy dopiero co wrócili z urlopu i moje okulary nikogo specjalnie nie dziwiły. Kierowniczka zaczęła odczytywać moją opinię – „moralnie nienaganna, uświadomiona politycznie...”. Nagle rozległ się głos Siemiona Dawydowicza, najstarszego pracownika katedry, zawsze spokojnie drzemiącego w najdalszym kącie. Ani razu później nie słyszałam, żeby otworzył usta na zebraniu. Ale wtedy akurat się obudził i oświadczył:

– Anno Pietrowna, jaka dziwna ta dzisiejsza młodzież! Dziecko, niech pani zdejmie okulary, żebyśmy mogli zobaczyć pani uroczą buźkę.

Zaczęłam się bronić:

– Oczy mnie boją od słońca.

– No, to może chociaż na chwilę – poparła prośbę starszka kierowniczka.

– Bardzo proszę – nalegał Siemion Dawydowicz.

Musiałam się poddać i usunąć kamuflaż. Nastąpiła chwila przykrew ciszy. Potem Anna Pietrowna, kierowniczka, z wymuszonym uśmiechem zaczęła nawijać:

– Teraz musimy zająć się kwestią obciążenia dydaktycznego...

Po zebraniu szybko pobiegłam do toalety; ledwie zdążyłam się zamknąć w kabinie, kiedy do pomieszczenia weszły jakieś kobiety.

Usłyszałam plusk wody.

– Słyszałam – spytała jedna, nie podejrzewając, że siedzę za zamkniętymi drzwiami – że katedra języków obcych przyjęła nową pracownicę, podobno alkoholiczka.

– Do naszego instytutu diabli wiedzą kogo biorą – westchnęła druga. – Całą gębę ma rozkwaszoną. Swietka mi mówiła: oczy, twarz – jeden siniak. Chleje wodę i bije się z mężem.

Bulgotanie wody ucichło, kobiety wyszły.

Odpędziłam przykre wspomnienia i powiedziałam ze złością:

– Rozbiłam sobie twarz o kiosk!

Arkady zastygł z filiżanką w ręku.

– O co?

– O kiosk, no, taki sklepik, gdzie sprzedają różne rzeczy.

Syn się roześmiał, ale powstrzymał się od komentarza. Mnie zaś przyszła do głowy wspaniała myśl, jak można wykorzystać sytuację z podbitym okiem. Oby tylko Aleksander był w pracy.

Pułkownik siedział przy telefonie.

– Jesteś na dole? – spytał niezadowolony. – Czego chcesz?

– Jak wejść na górę, to ci opowiem, wypisz mi przepustkę.

Kiedy weszłam, ponuro spojrział na mnie zza absolutnie pustego biurka. Zawsze sprząta wszystkie papiery i teczki, kiedy się pojawiam.

– Wiesz co – zaczęłam – jestem w przykrew sytuacji.

– Nic nowego – zauważył pułkownik i spytał: – Znalazłaś trupa?

– Uchowaj Boże!

– Wypadek drogowy?

– Można oczywiście nazwać ten fakt wypadkiem drogowym...

– Streszczaj się.

Zdjęłam okulary. Aleksander zerwał się zza biurka.

– Boże, kto cię tak urządził? Znowu wtykałaś nos w nie swoje sprawy?

Oj, ten pułkownik. Całkowity brak logiki: gdybym wtykała nos, to by mi go przytrzasnęli, a przecież podbili mi oko! Ale nie prostowałam błędu przyjaciela.

– Wczoraj wieczorem poszłam na spacer z Bundym i chciałam kupić czekoladkę. Stałam przy kiosku, nagle obok zahamowało zigi ciemnego koloru, wyskoczył z niego jakiś zdrowy byczek, pewnie pijany, i mnie odepchnął. Upadłam, rąbnęłam się o narożnik kiosku, a ten spokojnie kupił butelkę piwa i odjechał.

– A to łajdak!

– No właśnie. Teraz powiedz, czy znając numer wozu, można odnaleźć właściciela?

– No jasne, tylko po co? Zapomnij o tym i nie zadawaj się z podobnymi osobnikami.

– Ale na ladzie leżały moje rękawiczki, a on je zabrał.

– Kup sobie nowe.

– Na pewno kupię. Tylko że w starych był pęk kluczy od mieszkania, samochodu, piwnicy...

– Sto razy ci mówiłem: nie trzymaj wszystkich kluczy na jednym breloku – marudził przyjaciel, wykręcając jakiś numer – ale ty nie, wolisz stracić wszystko naraz! Gapa!

Po paru minutach jednak pojawiła się przede mną karteczka:

„Wiktor Siemionowicz Sytin. Pasaż Nalimowski 2, telefonu brak”.

Podziękowałam przyjacielowi, wróciłam do domu i zaczęłam szukać na planie tajemniczego pasażu. Stare Sołncewo! To daleko, a facet nie ma telefonu. Przyjadę i pocałuję kłamkę.

O pasażu nie słyszeli nawet aborygeni. Długo krążyłam po ulicach, porównując je z planem. Atlas Moskwy wydano w dziewięćdziesiątym siódmym i wyraźnie figuruje

na nim ta nieduża uliczka. A tu w rzeczywistości nie było nic, same blaszane garaże. W końcu pośród nich mignął mi nieduży placik. Znalazłam tam drewniany dom, prawdziwą chatkę, front zdołała tabliczka: „P Nalimowski 2”, a na skrzynce pocztowej przy wejściu widniała naklejona kartka – „Sytin”. No, wreszcie!

Dzwonka nikt tu nigdy nie widział, na klamce wisiał zwykły młotek. Zaczęłam stukać w drzwi. Na stuk wyjrzał zgrzybiały staruszek.

– Dzień dobry – powiedziałam uprzejmie. – Chciałam rozmawiać z panem Wiktorem Sytinem.

Dziadek przez chwilę patrzył w dal, potem zniknął i wrócił, wsuwając w ucho plastikowy aparat słuchowy. Powtórzyłam pytanie.

– Witkę? – upewnił się stary. – Wejdz do środka.

W środku było pełno brudu i gratów. Mała na pozór chatka kryła w sobie mnóstwo izb mieszkalnych. W ostatniej z nich, w starym łóżku, głośno chrapał facet w nieokreślonym wieku. W powietrzu unosiły się alkoholowe opary o takim stężeniu, że rozumiałam od razu – obudzić go można tylko w jeden sposób.

Wybiegłam na ulicę i z najbliższego sklepu przyniosłam stoliczną. Podsunęta Wiktorowi pod nos butelka wywarła pożądane działanie. Sytin, chwiejąc się, przyjął pozycję na wpół pionową, po czym otwierając czerwone, zapuchnięte oczka, zapytał:

– Kto tu?

– Samochód marki żiguli, numer sześćset sześćdziesiąt sześć – to pana?

Sytin czknął i wlepił oczy w butelkę. Westchnęłam i podałam facetowi życiodajny płyn. Jest wprawdzie nieprzytomny, ale napije się i może choć na chwilę się ocknie. Ale Witka pociągnął spory łyk i runął na brudną poduszkę bez powłoczki jak snop na klepisko. Znowu usłyszałam chrapanie. Ze złości omal nie walnęłam pijaka po łbie.

– Córętko – doleciał z kąta nieśmiały głosik.

Jakaś chudziutka, niemal bezcielesna staruszka z przyganą w głosie powiedziała:

– Po co, dziecko, łajdakowi wódkę kupujesz? On nam z dziadkiem i tak całą emeryturę zabrał. Piąty dzień się nie budzi. Dzięki Bogu, kartofle mamy własne, bo inaczej byśmy z głodu pozdychali!

Zrobiło mi się żal głodnej najpewniej babulinki.

– Niech pani powie, czy on ma samochód?

– Miał, ładny taki, szybki, niedawno sprzedał.

– Dlaczego? – wyrwało mi się idiotyczne pytanie.

Staruszka westchnęła z goryczą:

– Chłopak ma złote ręce, każdy mechanizm naprawi z zamkniętymi oczami. Miał żiguli tylko z wierzchu stłuczone, a w środku dobre. Jak go z fabryki wywalili, to się całkiem rozpił. Wcześniej hulał tylko w niedzielę, a wtedy zaczął na całego... No, a

na wódkę potrzebował pieniędzy...

– Ale według rejestru milicyjnego jest właścicielem...

– Tak chytrze sprzedał, żeby podatku nie płacić. Załatwił taki papier, że nie ta baba jest właścicielką, tylko on. Jak to dobrze było, kiedy nie pił! Mleko kupowałam, biały serek, nieraz to i w czekoladzie...

– Pewnie nie wie pani, jak się nazywa nowa właścicielka wozu?

Babcia podreptała do starej komody i zaczęła grzebać w przepastnej szufladzie.

– Proszę. – Podała mi papier. – Przyszła po kluczyki, taka przystojna kobieta, i gościniec mi przyniosła: jabłka, serki w czekoladzie. Tylko imię ma nie jak u ludzi – Lapanalda, pogańskie jakieś...

Ale ja już nie słuchałam jej wyrzekań. Lapanalda! Lola, właścicielka „Albatrosa”, ostatnia miłość Aleksego Nikitina. Przedsiębiorcza osoba, organizująca nielegalne, egzotyczne pobyty turystyczne. To znaczy, że znają się z Elą?

Staruszka w milczeniu patrzyła na mnie wyblakłymi niebieskimi oczyma. Przeklinając wszystkich alkoholików świata, znowu popędziłam do spożywczego. Wkładając do torby kartony mleka, kefiru i ulubione serki staruszki, po prostu trzęsłam się ze złości.

„Pomoc humanitarną” babka przyjęła ze łzami. Wpadłam do pokoju Wiktora i niewiele myśląc, wylałam mu na głowę kubel lodowatej wody.

– Czego? – ocknął się od razu, mrugając prosięcymi oczkami.

Chwyciłam łobuza za kołnierz.

– Słuchaj no...

– A idź ty...

Wolnego, wolnego. Wyjęłam z torebki pistolet i wycelowałam prosto w głupi łeb Sytina. Ten zbladł ze strachu i od razu wytrzeźwiał. Dawno już zauważyłam: jak przychodzi co do czego, to znęcający się nad rodziną pijacy okazują się śmierdzącymi tchórzami.

– Słuchaj no – powtórzyłam – wiesz, w jakiej dzielnicy mieszkasz?

– W Sołncewie – wybełkotał.

– No właśnie. Pamiętaj: my z Sołncewa wzięliśmy dziadka i babcię pod ochronę, tylko ich rusz, to będziesz miał do czynienia z samym Michasiem!

Mężczyzna wybałuszył oczy i na znak zrozumienia pokiwał głową.

Opuściłam pistolet.

– No, pamiętaj, przyjadę wkrótce i sprawdzę. Żeby staruszka miała zawsze mleko i serki. W czekoladzie.

– Niech się pani nie denerwuje – zaczął bełkotać Sytin, nie odrywając oczu od broni. – Wszystko będzie w czekoladzie.

Zostawiłam tchórze, żeby przetrawił informację, wsiadłam do volva i wsunęłam

zabawkę do torebki. No proszę, jak ładnie zrobiona zapalniczka, trudno ją odróżnić od tetetki.

Rozdział 25

Najlepiej rozmyśla mi się w McDonalddie. Może przyczyną tego jest wysokocholesterolowy hamburger, zgodnie potępiany przez wszystkich moich domowników. Może niekończące się krzyki dzieci: „Mamo!”, dają człowiekowi jakąś osobliwą satysfakcję: słyszeć czyjeś wołanie i wiedzieć dobrze, że nie do nas jest skierowane. Trudno zresztą dociec przyczyny, ale najlepsze pomysły przychodzą mi do głowy właśnie w punkcie szybkiego (i niezdrowego) żywienia. Po angielsku to *fast food*.

Dzisiaj, rozwijając szeleszczący papier i czując, jak do ust napływa mi ślina, stwierdziłam: trzeba zbadać pomieszczenia „Albatrosa”. Byle nie próbować w dzień, kiedy jest tam pełno klientów i pracowników. Moim czasem jest noc albo przynajmniej późny wieczór. Jakoś za dużo dziwnych rzeczy dzieje się w agencji. Ale jak się tam dostać nocą? Pewnie zamykają biuro na wszystkie spusty!

BigMac rozpływał mi się w ustach, a ja obmyślałam znakomity plan.

Na Priamikowa przyjechałam przed ósmą wieczór. Pracownicy prawie wszyscy już wyszli, tylko w niedużym pokoiku z tabliczką „Turecja” młodziutka dziewczuszka przekładała jakieś papiery.

– Zamykamy – powiedziała.

– Ja tylko na sekundę – uspokoiliam ją.

Dziewuszka westchnęła i spytała:

– Chce pani skierowanie *last minute*!

Słuszne pytanie, bo znowu przyszłam w chińskiej kurtce, brudnych butach i szarej moherowej czapce. Taka babina może wykupić pobyt tylko po obniżonej cenie, ale ja miałam na podorędziu inną odpowiedź.

– Chcemy wyjechać z dzieckiem na ferie zimowe do Kosowa. Mówią, że tam nieźle się jeździ na nartach!

– Do Jugosławii? – osłupiała pracownica. – Z dzieckiem? Czy pani wie, co tam się dzieje? Gazet pani nie czyta?

– Ja, kochana, handluję na bazarze i nie mam czasu się doksztalać. Nawet

telewizji nie oglądam, a co się stało?

– Przecież tam wojna, i to akurat w Kosowie, lepiej wybrać inny kierunek...

Tymczasem w sąsiednim pomieszczeniu zadzwonił telefon. Dziewczyna wyszła przez boczne drzwi do pokoju obok. Z szybkością błyskawicy wcisnęłam się za duży sejf, stojący w kącie pokoju. Z trudem zmieściwszy się w ciasnej szparze, przycupnęłam cichutko. Pracownica wróciła, otworzyła drzwi na korytarz i krzyknęła:

– Hej, gdzie pani uciekła?

Potem mruknęła: „A to idiotka”, i zaczęła wykręcać jakiś numer. Po chwili usłyszałam:

– Lolu, tu Rimma, dzisiaj powinnam zamknąć agencję, ale teraz zadzwonili i powiedzieli, że Piotr się czymś zatrzał. Leży w domu z temperaturą. Też głupki, czekali z tym do wieczora... Nie mogli rano zawiadomić! I co mam zrobić? Zamknąć i zostawić wszystko bez ochrony? Teraz nikogo innego nie znajdę.

Zapanowało milczenie. Potem dziewczyna znowu zaczęła mówić:

– Tak, ja też myślę, że przez jedną noc nic się nie stanie; no dobrze, więc po prostu zamykam.

Zaskrzypiało krzesło, usłyszałam dziarskie stukanie obcasików, po czym nastąpiła głucha cisza, przerywana od czasu do czasu terkotem faksu. Odczekałam kilka minut i wylazłam z ukrycia. No, proszę, jakie mam niesamowite, po prostu fantastyczne szczęście. Nieznanego ochroniarza zmogła choroba, i zmiennika nie znaleziono. Cały „Albatros” jest do mojej dyspozycji. Tylko co ja chcę znaleźć? Sama nie wiem!

Pokoje były małe i dosyć ciasne, bliźniaczo do siebie podobne. Umeblowanie standardowe: biurko, sejf, kilka krzeseł. Sejfy starannie zamknięte, w biurkach różne różności: blankiety umów, foldery, pióra, spinacze, gumki, kalki. W niektórych – puste puszkę po piwie, w innych kosmetyki i paczki zapasowych rajstop.

Nic podejrzanego. Normalny arsenał szeregowego pracownika; wszystkie dokumenty i pieniądze najpewniej przechowywano w sejfach.

Ostatnie drzwi zdobiła tabliczka „Dyrektor”. Pchnęłam obite skórą drzwi i znalazłam się w niedużym przedsionku. Tutaj urzędowała sekretarka. Sama Lola zajmowała przestronne, prawie dwudziestometrowe pomieszczenie. Wyglądało jak pokój każdego szefa: olbrzymie biurko, obok drugie, długie, z krzesłami po obu stronach. Kilka sejfów, wzdłuż ścian – zwykłe szafy.

Nacisnęłam piękną mosiężną klamkę. Szafa się otworzyła. Na półkach leżały stosy teczek z dokumentami. Żeby się w tym połapać – życia by nie starczyło. Druga i trzecia szafa także zawałone były papierzyskami, czwarta – kasetami wideo. Włożyłam jedną do stojącego obok magnetowidu. Na ekranie zaczęły migać kadry –

hotel, basen, morze, olbrzymi spadochron, unoszący się nad wodą. To jasne: reklamy!

Ostatnia szafa rozczarowała mnie do reszty. Eee, to zwykła, na ubrania. Na drewnianym drążku wisiało kilka wieszaków, w kącie stały eleganckie czarne czółenka na wysokich obcasach. Cóż, takie pasują do prawie każdego ubioru. Na samej górze – półka na kapelusze. Spróbowałam zajrzeć, czy coś się nie kryje w głębi, ale półka była za wysoko; musiałam przysunąć krzesło i wejść na nie.

Nic jednak tam nie było, tylko z góry coś zwisało. Nie myśląc długo, wsunęłam rękę do środka i pociągnęłam za to. Rozległ się cichy szmer, tylna ścianka szafy rozsunęła się, odsłaniając wąziutkie kręcone schodki...

Było to tak niespodziewane, że omal nie spadłam z krzesła. Po prostu pieczara Ali Baby! Nogi same poniosły mnie na górę. A może tam, w ukrytej komórce, schowany jest Basile? Zaraz wędruję się do pomieszczenia, gdzie leży związany, z kneblem w ustach...

Schodki wpierały się w ścianę, ale z sufitu zwisała druga bombka. Szarpnęłam za nią i znalazłam się we wnętrzu następnej szafy. Otworzyłam drzwiczki i ujrzałam znajomy, oświetlony mrugającymi światełkami pokój. Byłam w nim już; co więcej, właśnie tu zaczęłam swoje bezsensowne poszukiwania: to wydawnictwo „Świeca”, własność Aleksego Nikitina!

Nędzne wyposażenie wyglądało teraz zupełnie fantastycznie. Podeszłam do okna i spojrzałam w dół. Migotały tam różnokolorowe żarówki szyldu „Albatros”.

Zamknęłam starannie szafę i wróciłam do agencji. Tym razem wolno, oglądając uważnie każdy stopień, ale nic się nie działo! Ciekawe, do czego służy tajne przejście? Kto z niego korzysta? To, że korzysta często, było widoczne: nie ma kurzu i powietrze nie jest zatechłe.

Wróciłam, zamknęłam wejście i nagle poraziła mnie myśl: jak się stąd wydostanę?

Okazało się, że to absolutnie niemożliwe. Główne drzwi zamknięte były na supernowoczesny zamek; tylnego wejścia też bronił podobny „cerber”, ale prostszy, pewnie krajowej produkcji. Ani jednego jednak, ani drugiego nie można było otworzyć od środka. To znaczy można było, ale kluczem. A tego właśnie nie miałam!

Przez następną godzinę gorączkowo grzebałam w szufladach, starając się znaleźć jakąś zapasową parę kluczy, ale na próżno! Oczywiście ma je tylko właścicielka i dyżurny pracownik! Co robić? Przespać się na kanapie, a koło dziewiątej schować się w toalecie i po cichutku wyśliznąć na zewnątrz? No, to już ostateczność.

Podeszłam do telefonu. Dźwięk dzwonka świdrował mi ucho. W końcu senny głos wymamrotał:

– Halo!

– Kiciu – szepnęłam. – Pomóż!

- Dario, to ty? – zdziwiła się synowa. – Skąd dzwonicz?
- Z agencji „Albatros”.
- Skąd?
- Z „Albatrosa”, to biuro podróży, przypadkowo mnie tu zamknięto.
- Czy wiesz, która jest godzina?
- Spojrzałam na zegar wiszący nad moją głową i jęknęłam.
- Wpół do pierwszej.
- No właśnie – gniewnym szeptem powiedziała Kicia, najwyraźniej bojąc się obudzić Arkadego.
- Potem w słuchawce usłyszałam trzask. Oczywiście, synowa poszła do łazienki, jej głos brzmiał teraz głośniejszy i bardziej złośliwie.
- Co się stało?
- Pracownicy przez pomyłkę zamknęli mnie w biurze podróży „Albatros”.
- Po coś tam poszła?
- Oj, długo by wyjaśniać; bądź tak dobra i pomóż mi.
- Jak?
- Idź do mojej sypialni.
- Membrana znowu zatrzeszczała, rozległy się skrzypiące dźwięki, po czym Olga oświadczyła:
- Stoję przy łóżku.
- Podejdź do szafy na ubrania, znajdź czerwone pantofle na szpilkach i włóż rękę do środka.
- No?
- Wyciągnęłaś?
- Metalowe kółko, na którym dyndają pałeczki i haczyki?
- To wytrychy, przyjedź z nimi do „Albatrosa”.
- Myślisz, że wiem, gdzie to jest? – spytała oszołomiona tym wszystkim synowa.
- Na Priamikowa, akurat naprzeciwko sklepu z tkaninami, od razu zobaczysz gigantyczny neon, Tylko nie wchodź przez główne wejście, tam jest zbyt skomplikowany zamek; spróbuj od podwórza.
- Też masz pomysły! – oburzyła się Kicia na zakończenie rozmowy i odłożyła słuchawkę.
- Podeszłam do tylnego wyjścia. Czas włókł się niesamowicie powoli. Dobrze jeszcze, że pokładając nadzieję w nocnych ochroniarzach, Lola nie założyła sygnalizacji alarmowej!
- W końcu z podwórza dobiegło:
- Daszka! Co mam robić?
- Wsuwaj po kolei wytrychy do dziurki i próbuj przekręcić.

- Nie chcą wejść!
- Któryś w końcu wejdzie...

Nieszczęsna Kicia przez kwadrans bezskutecznie dłubała w zamku, po czym z rozpaczą wyszeptała:

- Nie da rady, w żaden sposób! Może spróbować od głównego wejścia?

– Broń Boże, zobaczy cię milicja, i tłumacz się potem, że nie chciałaś obrabować agencji. Dobra, idź na ulicę, wejdź do sąsiedniej bramy, potem na piętro, znajdź drzwi z tabliczką: „Wydawnictwo «Świeca»», i czekaj. Tam są główniane zamki, we dwie na pewno otworzymy.

- A jak ty się tam dostaniesz?

- Idź, idź, wszystko ci potem wyjaśnię.

Ale nawet najprostszy krajowy zamek był za trudny do sforsowania dla mojej synowej.

- Chyba masz dwie lewe ręce! – rozłościłam się.

- To sama spróbuj – odcięła się z drugiej strony drzwi Kicia.

Całkiem niezły pomysł! Pod drzwiami była szpara mniej więcej na dwa palce.

– Słyszysz mnie, Kiciu? Połóż wytrychy na kartce, a jej brzeg wsuń pod drzwi; ja je tu wciągnę.

- Skąd ja ci tutaj wezmę papier?

Co za niewiarygodna bezradność! Ja bym zaraz wszystko znalazła. No, zobaczmy. W pierwszej szufladzie biurka pod grubą kopertą znalazłam cały stos kartek. Podniosłam kopertę, wyciągnęłam papier i przesunęłam na korytarz. Po sekundzie wytrychy znalazły się w pokoju, a po paru minutach drzwi były otwarte.

Kiedy Olga zobaczyła moją tryumfującą minę, powiedziała:

– Wybacz, ale nie jestem tak doświadczoną włamywaczką jak ty. Teściowa Lenki...

Olę zatkąło z gniewu i z trudem łapała oddech. Lenka to najlepsza przyjaciółka. Wysoka, postawna, ładna dziewczyna. Nie wiadomo dlaczego w żaden sposób nie udawało jej się wyjść za mąż. W zeszłym roku znalazła w końcu miłego, dobrze sytuowanego faceta, starszego o dziesięć lat. Okazał się wspaniałym mężem i dosłownie zmiatał przed nią każdy pyłek, ale teściowa! Biedna Lenka często płacze u nas w salonie, opowiadając o wyczynach kochanej mamuni.

– No więc teściowa Lenki to istna żmija i skończona łajdaczka – gotowała się ze złości Kicia, kiedy biegliśmy do samochodów – ale nigdy nie wyrabia takich rzeczy.

– Chciałabyś, żebym ci wierciła dziurę w brzuchu za „źle zaparzoną herbatę”? – spytałam, otwierając volvo. – Wystarczy, że powiesz, nie ma problemu!

– Herbatę Lenka rzeczywiście robi paskudną – przyznała Olga, siadając do volkswagena. – Tylko że jeśli teściowa bez końca ziele ogniem, można do tego jakoś

przywyknąć. A do ciebie, moja kochana, przywyknąć nie można, bo jesteś najzwyczajszą wariatką. Ciesz się, że nie zamierzam opowiedzieć Arkademu, jak jego mamusia włamała się do biura podróży i ukradła stamtąd jakiś pakiet.

– Jaki pakiet? – zdziwiłam się.

– Daj spokój – warknęła Olga. – Ten, który trzymasz w lewej ręce!

Wyrzuciła z siebie te słowa, ruszyła na drugim biegu i już jej nie było.

Spojrzałam na swoją lewą dłoń. Rzeczywiście, tkwiła w niej gruba koperta, ta właśnie, która leżała w biurku na stosie papierów. A to dopiero, zabrałam ją zupełnie odruchowo!

Nazajutrz była niedziela. W odróżnieniu od wszystkich normalnych ludzi nie lubię wolnych dni i świąt. Na pewno dlatego, że nie pracuję w dni powszednie. Z reguły w dni oznaczone w kalendarzu czerwoną barwą wszyscy są w domu i ciepło rodzinne buzuje na całego...

Po bezsennej nocy zwlokłam się do jadalni koło drugiej. Członkowie rodziny i goście w komplecie siedzieli nad talerzami. Poszukałam oczami dzbanka do kawy i spytałam:

– A co to, kawy na śniadanie się nie podaje?

– Na śniadanie zawsze – stalowym głosem odpowiedziała Kicia. – Ale my jemy obiad.

Bez słowa usiadłam przy stole, słabo pojmując, co się dzieje. Głowa mnie bolała, miałam nawet lekkie zawroty. Olga też wyglądała nie najlepiej: blada, z opuchniętymi powiekami. Arkady jak zawsze niemrawo dziobał widelcem kotlet. Misza i Gala z potarganymi włosami melancholijnie łykali bulion. Tylko Manusia miała różowe policzki, oczy jej błyszczały. Z zapałem wcinała mięso i coś przy tym opowiadała.

Pogoda na dworze była fatalna. Sypał lodowaty śnieg, dął ostry wiatr; w Moskwie na serio zapanowała zima.

– A gdzie Jefim? – spytałam, nie widząc staruszka.

– Niedziela – krótko odrzekł Arkasza.

– No to co?

– Pojechał na wyścigi.

– Wyścigi? W taką niepogodę?

Arkady wzruszył ramionami.

– Tak mówił, jeszcze wczoraj, o piątej.

– A ty mu uwierzyłeś?

Syn odsunął prawie pełny talerz i przeciągnął się.

– Kto dużo pyta, ten dostaje dużo odpowiedzi. Dzięki Bogu, Jefim nie jest dzieckiem; nie chce mówić, dokąd poszedł, to niech nie mówi.

Po obiedzie Misza i Gala wycofali się do gabinetu. Od razu, nie kończąc deseru, wybiegła i Manusia. Takie zachowanie wydało mi się dziwne, ruszyłam więc w ślad za nią.

Drzwi do gabinetu były uchylone, toteż dźwięczny głosik Marusi słyszałam z korytarza:

– Kochana Galinko, Misza jest bardzo nieśmiały; prosił mnie więc, żeby pani przekazać, że panią kocha i prosi o rękę. Prawda, Misza?

– No... Ta, to oczywiście... Mniej więcej tak – jąkał się zaskoczony profesor.

– Oj! – jęknęła dziewczyna.

– A nie mówiłam?! – krzyknęła Manusia. – Misza, Gala mówi, że się zgadza.

Prawda, Galinko?

– Oj! – znowu rozległo się w gabinecie.

– Cudownie – uradowała się Mania. – Teraz podajcie sobie ręce i pocałujcie się.

– Jak to? – mruknął Misza.

– Może lepiej nie? – nieśmiało spytała Gala.

– Jeszcze czego! – rozzłościła się Maruśka. – Nie wolno naruszać ceremoniału.

Tak trzeba. Najpierw namiętne wyznanie miłości, potem oświadczyzny, następnie gorący pocałunek i wręczenie pierścionka.

– Jakiego pierścionka? – zdumieni się „młodzi”.

– Przy zaręczynach narzeczony ofiarowuje narzeczonej pierścionek, koniecznie z oczkiem.

Postanowiłam się wtrącić i weszłam w chwili, kiedy Misza dosyć niezdarnie objął Galę za ramiona i wycisnął całusa na jej policzku. Na stole leżało pudełeczko.

– Mamuś! – krzyknęła Mania. – Przynieś szybko aparat i zawołaj wszystkich.

– Po co?

– Oj, mamó! – machnęła ręką Maruśka, po czym wystawiła głowę na korytarz i rozdarła się przeraźliwie: – Kicia, Kiesza, Serafima, Ira, Katia! Wszyscy tutaj, szybko, szybko...

Usłyszałam podniecone głosy i tupot nóg. Pierwszy do gabinetu wpadł Arkady z gaśnicą.

– Pali się?

– Nie – dumnie oświadczyła Mania. – Zaraz będziecie świadkami historycznej chwili.

– Jakiej? – nieśmiało spytała Irka, chowając do kieszeni ściereczkę do kurzu.

– Zaręczyn Miszy z Galą.

Domownicy zastygli oniemiałi, narzeczeni zresztą także. Kicia, która nie straciła zimnej krwi, przyniosła kamerę. Maruśka tryumfalnie otworzyła pudełeczko i wręczyła narzeczonemu ze słowami:

– Do roboty!

Misza niezręcznie zaczął wciskać na palec Gali cienką złotą obrączkę z szarawym kamieniem.

– Zrób zbliżenie rąk – przykazała Maruśka.

Olga posłusznie podeszła bliżej i zawołała:

– Ojej, mam zupełnie taki sam pierścionek!

Uważnij się mu przyjrzałam. Zdaje się, że to był właśnie pierścionek Kici. Maniusia bez ceregieli zawłaszczyła go synowej.

Kamera terkotała cicho, Misza i Gala, oboje z osłupiałym wzrokiem, trzymali się za ręce. Włosy mieli zmierzwiłone, narzeczonemu koszula wylazła z dzinsów, narzeczonej oderwała się podszewka sukienki. Cudowna para! Jest tylko jeden kłopot: grozi im śmierć głodowa. Siądą do tych głupich równań, zapomną o bożym świecie i...

– Zrobimy cały film – tryumfowała Marusia. – Najpierw zaręczyny, potem wesele, następnie miesiąc miodowy.

– No, miesiąc miodowy to już spędzą chyba bez nas – powiedział Arkady.

– A później jeszcze chrzciny – nie ustawała Maniusia.

Gala zaczęła zalewać się rumieńcem, Misza się wyłączył: jego palec powoli uniół się i zaczął zwijać kosmyk włosów. Pewnie znowu rozmyśla nad swoimi zadaniami! Chociaż plany Maszki są jak najbardziej realne. Galina nie ma jeszcze trzydziestki, a i profesor nie jest starcem. Bynajmniej nie można wykluczyć przyjścia na świat małych matematyczek. Wyobraziłam sobie, jak za kilka lat wokół szczęśliwych rodziców będą biegać chłopczyk i dziewczynka, nawijając na paluszki splecione kędziory, zachichotałam i poszłam do sypialni. Muszę bodaj zerknąć, co zawiera ukradziona koperta.

Były w niej zdjęcia. Wspaniałe barwne fotografie. Cała kupa nieznajomych, którzy wesoło spędzali czas na dacy. O, stół zastawiony jedzeniem i piciem, a tutaj jakieś parki w sportowych dresach i dzinsach; grill z szaszłykami pod rozłożystymi konarami jodły... W rogu każdego obrazka widniała data – 7 listopada. Zaczęłam oglądać pozostałe zdjęcia i od razu dostrzegłam znajome twarze – Wiera Nikitina, ściskając w ręku kieliszek, lekko podpita, patrzy w obiektyw. A oto i miły Tima z szaszłykiem w ręku. Spojrzałam uważniej i omal nie upuściłam fotografii. Łobuz miał na sobie jasnobrązowy sweter. Wzór na dzianinie tworzyły wielokrotnie przeplatające się litery „B” i „K”, wrobione włóczką piaskowego koloru, beżowe guziki były niedbale zapięte...

Sama zamówiłam ten sweter w Paryżu u Monreau, którego specjalnością są takie wyroby. Długo omawiałam rozmiar liter z dziewiarzem. Nie chciałam nic zbyt wymyślnego... Basile dostał sweter na Boże Narodzenie i bardzo się ucieszył – ciepła,

ładna, oryginalna rzecz. A teraz widzę, jak w niej paraduje ten młody hultaj! Trudno sobie wyobrazić, by Korzinkin pozwolił nosić komukolwiek coś z własnej garderoby. Po pierwsze, jest nader „obrzydliwy”, a po drugie, u Francuzów podobne rzeczy nie są przyjęte.

Nie wierząc własnym oczom, gapiłam się na zdjęcie. Mój prezent miał chyba inne guziki – z kości słoniowej. Czyżby Monreau zwariował i postanowił zdublować model, który się spodobał? Wątpię, z reguły tworzy unikatowe egzemplarze. A może jednak? Jeśli podczas pobytu w Paryżu Tima był w tej pracowni i kupił sweter?... Tak, ale musiał on kosztować trzy tysiące franków, to znaczy prawie pięćset dolarów! Skąd chłopak ma takie pieniądze? W dodatku Monreau jest zavalony zamówieniami na rok naprzód; dla mnie zrobił wyjątek tylko dlatego, że Olga przyjaźni się z jego córką. Nie, nie, kardigan na pewno jest własnością Basile’a, ale guziki...

Pozostawał tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Poszłam do gabinetu i wyciągnęłam kasetę. Boże Narodzenie świętowaliśmy u Korzinkinów i, jak zawsze, utrwaliśmy je na taśmie.

Na ekranie mignęła Mania w masce króliczka, Suzie w białym kapturku z długimi uszami, Arkady w puszystej kufajce. Olga przypina mężowi do spodni ogon w kształcie pompona... Tego wieczoru wszyscy przebraliśmy się za króliki i cieszyliśmy się jak dzieci.

Tak, teraz zapalamy świece, otwieramy butelkę...

Jak zwykle oblewam się szampanem...

A oto moment rozdania prezentów. Maniusia podskakuje z zadowolenia – Suzie wręcza jej złote kolczyki z kryształami w kształcie gruszki, ostatni krzyk paryskiej mody. W zamian Marusia podaje jej własnoręcznie namalowany pejzaż *Rosja w zimie*. Burza zachwyków, pijemy za jej talent. Teraz kolej Kici, dostaje ohydłą figurkę bolończyka. Limoges, osiemnasty wiek, potwornie drogie, prawdziwy rarytas. Znowu absolutna ekstaza, pijemy za pieszka.

W końcu kamera utrwała Basile’a, w skupieniu otwierającego paczkę. W chwilę później sweter zostaje zaprezentowany obecnym. Szybki rzut oka na etykietkę, gdzie na białym tle widnieje skromny, czarny napis „Monreau”; teraz spada na mnie grad wymówek za rozrzutność. Uradowany przyjaciel przymierza prezent, zapina na guziki... Guziki! Beżowe!

Spoglądałam to na zatrzymany kadr, to na zdjęcie. Tak, sweter jest ten sam, zniknęły ostatnie wątpliwości. Ekran ożył: Basile, odwrócony plecami, podchodzi do stołu po butelkę, żeby wypić za to wydarzenie. Ma zadziwiający chód, bardzo niezgrabny. Najpierw wyrzuca do przodu biodro, za nim dopiero podąża noga. Z boku wydaje się, że pupa stara się wyprzedzić ciało. Opowiadał mi coś o defekcie stawu biodrowego, ma to od urodzenia... Nigdy nie widziałam człowieka, który by tak

dziwnie się poruszał. I te wykręcone dłonie, też nie całkiem zwyczajne. Zazwyczaj przy chodzeniu człowiek macha rękami po bokach ciała, a Basile jakby odrzucał je do tyłu...

Nagle moja pamięć odtworzyła pewien obraz: rosły, przystojny naczelnik zakładu karnego Feliks Samochwałow, żegna się ze mną i kieruje ku bramie. A przez otwartą furtę wyraźnie widać, jak z suki wysiada grupka świeżo przywiezionych więźniów. Ostatni z nich zostaje trochę z tyłu. Jego biodro idzie do przodu, a noga posłusznie rusza w ślad za biodrem. Dziwny, niezdarny chód i odrzucone w tył ręce...

Nagle przeszył mnie dreszcz, lepki pot pokrył mi czoło, nogi się pode mną ugięły. Opadłam na fotel, prosto na pilota. Obraz na ekranie zniknął. Korzinkin z pękatym kielichem koniaku patrzył na mnie z ekranu, uśmiechając się radośnie. Tępo wpatrywałam się w jego postać. Basile'u! Zdaje się, że cię odnalazłam.

Rozdział 26

Noc upłynęła mi bezsennie. Przy otwartym oknie wypaliłam prawie całą paczkę gauloise'ów, przemarzłam kompletnie, ale nie umiałam tego wszystkiego zebrać do kupy. Przez moją głowę przesuwały się obrazy – zamordowana Maja Kołosowa; Trofim, który całe życie przeżył pod cudzym nazwiskiem; stary Prochor w opuszczonej wsi; zabity stróż Jura; leżące w bagażniku volva zwłoki Aleksego Nikitina; Ela, głupia dziewczuszka, która chciała się wzbogacić, sprzedając własną nogę; Wiera Nikitina, oszukująca rodziców przyszłych studentów i Nina, z zimną krwią proponująca ludziom dobrowolne okaleczenie. Co ich wszystkich łączy? Przecież z pewnością istnieją między nimi jakieś powiązania, tyle że w żaden sposób nie potrafię sobie wyobrazić całej tej pajęczyny. I jakież to pajak ją utkał?

Dopiero nad samym ranem zaczęłam układać plan: jak spotkać się z więźniem, który tak zdumiewająco przypomina Korzinkina. Zaczniemy od „Albatrosa”; byle tylko doczekać dziewiątej.

Ale o dziewiątej trzydzieści zadzwonił telefon i surowy męski głos zapytał:

– Daria Wasiljewa? Czy zna pani Jefima Gałaktionowa?

– Tak – przestraszyłam się. – Co się stało?

Milicjant nie chciał się spoufalać.

– Proszę zabrać dokumenty mogące potwierdzić jego tożsamość i przyjechać na komisariat. Niech pani zapisze adres.

Z walizki starego wyjęłam dowód i pojechałam na plac trzech dworców. Komenda znajduje się niedaleko od placu Komsomolskiego.

Gruby, sapiący facet w szarej koszuli popatrzył surowym wzrokiem na książeczkę i spytał posepnie:

– Kim jest dla pani Gałaktionow?

No i jak mam to wyjaśnić w dwóch słowach? Wolałam skłamać:

– Teściem.

– Dzielny krewniak. – Mężczyzna podniósł brwi i westchnął: – Mówił, że ma sześćdziesiąt lat, a ma bez mała sto... I jak człowiekowi nie wstyd rozrabiać w takim

wieku?

– Ale co takiego zrobił?

Kapitan znowu wydał pełne znużenia westchnienie i wziął ze stołu raport.

– Niech pani posłucha: „Obywatel Gałaktionow zbliżył się do ob. Pietrenko i najpierw obraził wymienionego za pomocą słów powszechnie uznanych za obelżywe, na co wymieniony zareagował uderzeniem ob. Gałaktionowa w twarz. Kiedy obywatel Gałaktionow otrzymał uderzenie, odpowiedział uderzeniem ob. Pietrence w okolice splotu słonecznego, a kiedy ob. Pietrenko przyjął pozycję na wprost horyzontalną, ob. Gałaktionow zadał mu jeszcze jeden cios w przednio-boczną część szyi, w następstwie czego ob. Pietrenko poniósł przejściowy uszczerbek na zdrowiu i nieznaczne pogorszenie trwałej niezdolności do pracy”. Rozumie pani?

Trudno nie rozumieć, chociaż styl notatki nie jest olśniewający. Jefim najpierw się pokłócił z jakimś Pietrenką, a potem dał mu w ucho!

– No i co teraz? – pytał kapitan retorycznie. – Mam go zatrzymać?

– Może rozwiążemy problem polubownie? – zaproponowałam słodko.

– Jak? – zaciekawił się gliniarz.

– Ja panu coś dam, a pan mi zwróci dziadka.

– Co pani da? – spytał nerwowo.

– No, na przykład, sto dolarów.

– To znaczy – westchnął – że proponuje pani łapówkę.

– Broń Boże, pomoc humanitarną.

– Dobra, dawaj. – Stróż prawa nieoczekiwanie przeszedł na „ty”.

Sympatyczny zielony papierek trafił do potężnej garści kapitana, który zdjął słuchawkę i coś do niej mruknął. Po pięciu minutach konwojent wprowadził Jefima, ale w jakim stanie! Jedno oko zapuchnięte i ozdobione siniakiem, kurtka brudna, spodnie koszmarne wygniecione! Czapki nie miał, za to zdrowe oko groźnie błyskało. Kiedy straszny dziadunio mnie zobaczył, powiedział:

– No, widziałaś głupków? Do mamra mnie wsadzili i trzymali całą noc! Nie mają komputera, żeby sprawdzić tożsamość!

– Komputer mamy – obraził się miłośnik dolarów. – Ale sam pan jest sobie winien: po co podał pan rok urodzenia trzydziesty dziewiąty? Szukaliśmy takiego Gałaktionowa i nie znaleźli. Oszukuje pan władzę. W dowodzie ma pan czarno na białym – tysiąc dziewięćset szósty. Powiedziałyby pan prawdę i wrócił wczoraj do domu. Kto by tam brał staruszkę na dołek? Śmiech bierze, przecież nie jesteś pan kobita, żeby sobie lat odejmować!

Słyszac uwagę na temat wieku, Jefim rozzłościł się na dobre:

– Wiek się nie liczy, mam dziewięćdziesiątkę, a więcej mogę niż ty, głupku, mając trzydzieści.

Kapitan, który wypisywał jakiś papier, burknął:

- Fakt, nigdy nie wdawałem się w bójki na ulicy.
- Bo nie masz ikry – odciął się starszy, troskliwie obmacując zapuchnięte oko.

– Tamtemu palantowi chyba nieźle przyłożyłem?

- Pietrence? – upewnił się milicjant. – Głupstwo, w sumie przejściowy uszczerbek na zdrowiu.
- Eee – zasmucił się dziaduś. – Myślałem, że przynajmniej zebro mu złamałem...
- I dobrze, żeś pan nie złamał – mruknął kapitan, spieszenie wypełniając niekończące się blankiety. – Artykuł o chuligaństwie nadal u nas obowiązuje.
- Nudny jesteś – dogadywał stary – siedzisz przez cały dzień, dupę rozpląszczasz o stołek. Pewnie instrument sobie odsiedziałeś, z żoną nie figlujesz...

Milicjant podniósł wzrok na dziadka, długopis zawisł w powietrzu.

W obawie, że taka wypowiedź zostanie uznana za obrazę władzy, chwyciłam Jefima za kołnierz i zaczęłam szczebiotać:

- Już nic, już nic, zaraz się zabieramy, dziękuję, towarzyszu kapitanie...
- On dla mnie żaden towarzysz – nie omieszkał zauważyć Jefim.

Kapitan znowu zastygł z długopisem nad biurkiem i zapytał:

- Siedzieliście kiedy? Za co?
- Co też pan – gorliwie zaczęłam zapewniać gliniarza. – Nigdy w życiu, to zupełnie przyzwoity obywatel. Po prostu niedawno oglądał film *Pewnego razu w Pieńkowie* i teraz ciągle cytuje. Proszę wybaczyć, mimo wszystko to już prawie sto lat, zmiany w mózgu.
- Sama masz paraliż mózgu, Francuzico przeklęta! – zaryczał stary.
- No widzi pan – ucieszyłam się. – Francuzką mnie nazywa, całkiem zdurniał.
- Przecież to normalna obywatelka Francji, niech pan sprawdzi w papierach – nie chciał się uspokoić Jefim. – Też wymyśliła, wariata ze mnie robi!

Wyjęłam z torebki rosyjski dowód tożsamości i pokazałam kapitanowi.

- Ma drugi – gorączkował się dziadek. – Ojczyznę zdradziła, wyjechała na Zachód. Teraz ma miliony, dom w Paryżu, pławi się w bogactwie. Samych psów trzyma pięć, a jeszcze koty, myszy, papugi...

Milicjant popatrzył na mnie ze współczuciem. Rozłożyłam ręce i pokręciłam palcem przy skroni.

Wsiadając do samochodu, spytałam Jefima:

- O co się pobiliście?
- Zaczęliśmy rznąć w karciecia, a ten typ kładzie asa karo na bank.
- No i co?
- No, a ja miałem dwa asy karo i talia moja. Czyli co? Szuler! No to lekko mu przyłożyłem.

Minęła sekunda, nim informacja do mnie dotarła. Nacisnęłam na hamulec, volvo się zatrzymało.

– Jak to dwa asy karo?

Staruszek odchrząknął.

– Po prostu, dwa asy karo. No więc sama rozumiesz, jaki byłem wściekły, kiedy zobaczyłem trzeciego.

Wyobrażam sobie! Sam chciał oszukać, a trafił na drugiego chytrusa!

– Zna go pan?

– Pierwszy raz w życiu widziałem!

Już ruszyłam, ale oburzona znowu zahamowałam.

– Siadł pan do gry z nieznanym przy placu trzech dworców? Przecież tam się kręcą sami kryminaliści! I co, chodzi pan z znaczoną talią w kieszeni?

– On pierwszy podszedł! – warknął Jefim. – I chciał mnie zrobić w konia; dał mi najpierw wygrać!

– Zgodził się grać pańską talią?

– Nie, skąd, w kiosku kupiliśmy nową. Dalej to już sprawa techniki.

Znowu zahamowałam.

– Jak panu nie wstyd?

– Mnie? – obruszył się Jefim. – To on powinien się wstydzić! Za młody jest, żeby siadać do gry z profesjonalistami. Ja w Soczi preferansem zarabiałem na życie. Szedłem sobie na plażę i grałem. Kupiłem spółdzielcze mieszkanie, pobiedę... Trzy miesiące się pracowało – przez dziewięć żyło. Wrzesień w Soczi był najbardziej zyskowny. Szczyt sezonu, przyjeżdżali kierownicy sklepów, szefowie magazynów z żywnością, najbogatsi ludzie. Jak przegrali, wracali cicho do hotelu. Milicji nikt nie wzywał. Bali się, że ktoś spyta: a skąd to, obywatelu kochany, macie tyle pieniędzy?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– O co chodzi? – rozległ się głos.

Starszawy milicjant z drogówki stukał w boczną szybę.

– Coś nie tak?

– Co jest, dlaczego stoimy, a nie jedziemy?

Rzeczywiście, słuchając zwierzeń staruszka, zapomniałam ruszyć z miejsca.

Teraz samochody objeżdżały volvo, trąbiąc zawzięcie.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

Milicjant przyjrzał się mojemu prawu jazdy i nakazał:

– Proszę zdjąć okulary.

Posłusznie zrobiłam, co polecił.

Funkcjonariusz obejrzał moje migoczące wszystkimi barwami tęczy oko, potem

przeniósł wzrok na twarz staruszka, ozdobioną wspaniałym limem, i powiedział wesoło:

– Z mężem się pani kłóciła? No i kto był górą?

Jefim demonstracyjnie się odwrócił, milicjant zaśmiał się i oddał mi prawo.

– Słusznie, pani – oświadczył wyrozumiale. – Nie wolno chłopom za dużo pozwalać, tylko walić patelnią albo co tam w rękę wpadnie. Wałkiem?

– Głupiś – oświadczył Jefim, ale już ruszyliśmy z miejsca i uwaga milicjanta pozostała bezkarna.

Przez następne dwa dni nie ruszałam się z domu, smarując siniak, czym tylko się dało. W rezultacie we środę tylko lekki żółtozielony cień przypominał o obrażeniu; łatwo zresztą można było go zatuszować podkładem korekcyjnym. Zwłoka w śledztwie złościła mnie, ale z drugiej strony, tymczasowo uziemiona, mogłam szczegółowo obmyślić plan.

Do Loli pojechałam po obiedzie. Bite dwie godziny straciłam na to, żeby osiągnąć odpowiedni wygląd. Oczywiście, kobieta widziała mnie tylko raz, przelotnie, na ciemnawych schodach, ale mimo wszystko...

Zamiast szczupłej blondynki o niebieskich oczach w lustrze odbijała się tęga czarnooka szatynka o figurze rozmiaru mniej więcej pięćdziesiąt. Elegancki ciemnoszary kostium pożyczyłam od Gali, a twarz tylko nieznacznie musnęłam kosmetykami. Wulgarny makijaż na nic mi się nie mógł przydać.

W gabinecie u Loli siedziała nie sekretarka, tylko sekretarz, przystojny młody chłopak o nieco apatycznej minie. Nieobecność jakiegokolwiek błysku w oczach czyniła wyraz jego twarzy lekko głupawym; zapytał jednak nader uprzejmie:

– W czym mogę być pomocny?

– Chciałabym porozmawiać z Lolą.

Ruchem głowy wskazał mi drzwi gabinetu.

Właścicielka stała przy jednej z szaf, trzymając teczkę z dokumentami.

– Pani do mnie? Proszę siadać.

Odsunęłam ciężkie krzesło i wyciągnęłam z torebki francuski paszport. Lola rzuciła okiem na granatową książeczkę i zrobiła się jeszcze uprzejmiej; po prostu rozkwitła z zachwytu.

– Chce pani odpocząć w Rosji? Cudowny wybór! Są zdumiewające miejsca – jezioro Bajkał, Dolina Gejzerów na Kamczatce. Albo rajd po „Złotym pierścieniu Rosji”... Ach prawda, od razu muszę uprzedzić – obsługa nie zawsze na europejskim poziomie. Na przykład Suzdał zdobył dla swoich hoteli pięć gwiazdek, ale to raczej nie „Hotel de Ville”. Myślę, że nawet cztery to przesada. Natomiast muzea, przyroda... Czegoś takiego nigdzie pani nie zobaczy.

Przecząco pokręciłam głową i zniżając głos, powiedziałam:

– To Claude Rabel radził mi się tu zwrócić. Mówił, że dzięki pani miał niezapomniany wypoczynek!

Lola zgrabnie wyszarpnęła swoje solidne ciało z obrotowego krzesła, z szafy zaś wyjęła teczkę.

– Ach, Claude! Już drugi raz jest u nas.

– No właśnie. Chcę tak samo wypocząć.

Kobieta spojrzała na mnie swymi przepastnymi oczami, i bez tego duże, były zręcznie powiększone za pomocą jasnych cieni i kredki. Nie wiadomo czemu speszona, zaczęłam zmyślać coś na poczekaniu.

Urodziłam się i wychowałam we Francji, w rodzinie emigrantów. W domu zawsze rozmawiano po rosyjsku, dlatego znakomicie władam językiem przodków. Pracuję w tej samej firmie, co Claude Rabel. Ostatnimi czasy doskwiera mi nuda, nic mnie nie cieszy. A tu nagle przyjechał zrelaksowany Claude...

– Jest pani zamężna? – zapytała Lola.

– Nie, sama, dzieci nie mam.

– I co by panią interesowało – wyludniona wieś? Przygoda seksualna? Miewa pani jakieś fantazje?

Udałam absolutne zdumienie, potem zaczęłam mamrotać:

– Fantazje to mam, tylko pewnie trudno je urzeczywistnić...

– Nie zetknęliśmy się jeszcze z marzeniami, których nie mogliśmy spełnić – zapewniła z uśmiechem Lola. – Śmiało, proszę mówić; zrobimy wszystko, jeśli oczywiście nie odstraszy pani cena.

Wyjęłam z portmonetki platynową kartę Credit Lyonnais i znacząco postukałam prostokącikiem o biurko. Właścicielka uspokoiła się i powtórzyła:

– No więc o czym pani marzy?

– Bardzo bym chciała trafić do więzienia w mieście Pticzij i posiedzieć tam parę tygodni.

Lola się zdumiała.

– Pticzij? Świetnie je znam, ale tam jest zakład karny dla mężczyzn, kobiet nie osadzają. Może raczej pod Riazan? Świetne miejsce dla pań: szyje się bieliznę dla noworodków, baraki bez żadnych wygod, a jak źle karmią! Prędko pozbędzie się pani nadwagi.

– Zapłacę podwójnie, jeśli załatwi mi pani Pticzij.

– Jako więźniarce – mało prawdopodobne, a jeśli chodzi o pracę – to chyba pielęgniarki albo pomocy kuchennej... Ale po co pani Pticzij, lepiej jechać do Riazania!

– Mój telewizor we Francji odbiera wasze kanały – wyznałam rozmarzona.

– No to co? – nie zrozumiała Lola.

– W programie „Człowiek i prawo” był wywiad z komendantem tego zakładu. Ależ to przystojny mężczyzna! Co za wzrost, co za postawa, głos... Facet musi być świetny w łóżku...

– Rozumiem – wymruczała Lola w zamyśleniu.

Ale ja chciałam uściślić wszystko do końca i mówiłam dalej:

– Nawet imię ma takie romantyczne – Feniks, po prostu marzenie!

– Feliks – poprawiła odruchowo właścicielka „Albatrosa”. – Naczelnik nazywa się Feliks Samochwałow. Tylko nie jestem pewna, czy zwróci na panią uwagę. Sama pani rozumie: z szeregowym pracownikiem nasz agent mógłby się w tej sprawie umówić, ale z panem Samochwałowem? Wątpliwe, czy się uda...

– Niech pani mnie tylko wyśle do tego więzienia – nalegałam. – Na miejscu już sobie sama poradzę...

Lola uderzyła lekko dłonią o biurko. I nagle zobaczyłam z boku, za stertą papierów – torbę. Ładną, drogą, z krokodylej skóry; na uchwycie przymocowana była rosyjska litera „W”, czyli „B”. Oczywiście, Lola musiała dostrzec zdumienie na mojej twarzy, bo od razu powiedziała:

– Okropna rzecz, droga i niegustowna. Za nic w świecie nie kupiłabym czegoś takiego, to syn przyjaciółki przywiózł mi w prezencie. Mnie i swojej matce, jednakowe! No, czy nie idiota? Żeby głuptas się nie obraził, trzymam tę torbę tutaj, niech myśli, że ją noszę! No, ale wróćmy do sprawy.

Wymieniła sumę. Tak, nietypowe fantazje słono kosztują. Teraz pojedę do domu urabiać domowników.

Ale ku swemu zdziwieniu, nie musiałam nic wymyślać. Ledwie usiedliśmy do kolacji, Kiesza oświadczył:

– Dzisiaj w nocy jadę na tydzień do Petersburga.

– Po co? – zdziwiłam się.

– Bronię tam w jednym procesie – wyjaśnił. – Przy okazji Kicia się przejedzie, pochodzi po muzeach.

– Arkasza kochany, najdroższy, weź mnie ze sobą – od razu zaczęła się naprzykrzać Mania.

– W życiu – odparł braciszek. – Będziesz trajkotała bez ustanku i wtrącała się do wszystkiego.

– Nawet nie otworzę ust – zarzekała się Manusia.

Brat się nie poddawał.

– A college? Będą wakacje, to pojedziesz.

– Kiesza, no, proszę – jęczała Mania.

– Nie i już – uciął sprawę Arkady.

Maruśka opuściła głowę, wielkie łyzy zaczęły kapać do talerza. Wzdychała cicho i

smętnie pociągała nosem. Czego syn najbardziej nie znosi, to widoku płaczącej kobiety. Starał się trzymać, jak mógł, ale Maszka nadal solila łzami kotlety; w końcu nie wytrzymał:

– Dobra, zbieraj się, tylko żebyś była grzeczna!

– Hura! – zawołała dziewczynka, podskakując i przewracając krzesło. – Hura, moje na wierzchu!

Jak wichur poleciała do sypialni spakować rzeczy. Z holu natychmiast dobiegł pisk Bundy'ego – pitbulłowi ktoś nadepnął na ogon. W duchu i ja tryumfowałam. Tak, najniebezpieczniejsi wyjadą. Misza i Gala nawet nie zauważą mojej nieobecności, Jefimowi dam trochę „siana” i pójdzie do kasyna, a Irka i Katierina przywykły, że pani nie ma cały dzień w domu. Zresztą o dziewiątej zamykają się w swoich pokojach i najpierw z zapalem oglądają dziennik, a potem kryminały. Niania Serafima jest tak zmęczona bliźniakami, że kiedy położy je spać o ósmej, od razu sama też pada na łóżko. A sen ma zdrowy! Kiedy pewnego razu po domu biegał jakiś wariat, strzelając z pistoletu, nawet się nie obudziła!

Poza tym służba z reguły nie zadaje żadnych pytań państwu. Realnie należało się obawiać tylko Kici, Arkadego i Maszki, a oni wszyscy jadą do Petersburga!

Wpadłam w euforyczny nastrój.

– Arkady, który garnitur bierzesz? – zapytałam syna.

Ten spojrział na mnie podejrzliwie.

– Mamo, czemu się tak o mnie troszczysz?

– Chcę ci pomóc!

– Nie zamierzasz przypadkiem czegoś tu zmieniać, kiedy nas nie będzie?

– Boże! – udałam zdziwienie. – Skąd ci to przyszło do głowy?!

– To całkiem uzasadnione podejrzenia – odparował. – W przeciwnym razie byś tak nie wypytywała. Gotowaś jeszcze spakować moją walizkę i sama ją zanieść do samochodu! Oj, nie podoba mi się ta troskliwość. Coś tu śmierdzi!

– Nie chcesz, to nie. – Udałam śmiertelnie obrażoną. – Nawet się z tobą nie pożegnam, jeśli cię aż tak drażnię!...

Ale na podwórze oczywiście wyszłam i długo machałam ręką mercedesowi.

Rano, ledwie się obudziłam, zadzwoniłam do informacji i dowiedziałam się, że ekspres „Strzała” pomyślnie dotarł do północnej stolicy. Cudownie, dziewczyny zaraz pójdą do Ermitażu, potem do zamku Michajłowskiego, objadą okolice... A ja popędzę do banków, wyjmować pieniądze z kont.

Do południa wszystko udało się pomyślnie załatwić. Potrzebna suma spokojnie leży w torbie, część pieniędzy mam dobrze schowaną pod wkładkami pantofli. Jefim też dostał trochę i od razu się wyniósł. Gala i Misza cichutko siedzieli w gabinecie. Zajrzałam tam przez drzwi: sterty kartek i błędny wzrok narzeczonych... Doskonale,

nic nie widzą i nie słyszą. Katierina brzękała garnkami w kuchni, Irka hałasowała odkurzaczem w sypialni Maszy. Wysłałam na podwórze, przez nikogo niezauważona.

Tym razem Lola była niezwykle rzeczowa. Najpierw starannie przeliczyła pieniądze, potem spytała:

– Gotowa?

– Mogę jechać choćby zaraz.

– Znakomicie – powiedziała właścicielka i podała mi nieduży sakwojazyk. –

Niech się pani przebierze.

Otworzyłam zamek błyskawiczny i z obrzydzeniem wpatrzyłam się w atlasowy różowy stanik, mniej więcej czwórka, jakieś niesamowite majty z gumkami i ciemne elastyczne rajstopy. Widząc mój grymas, Lola wyjaśniła:

– Przecież nie może pani pracować w zakładzie karnym ubrana jak paryżanka.

Nikt z pracowników i więźniów nie może wiedzieć, kim pani jest w rzeczywistości.

Mieszkać pani będzie w hotelu robotniczym; kobiety są ciekawskie, zajrzą koleżance do walizeczki, a tam drogie ubranie i kosmetyki. Co wtedy? Od razu zaczną coś podejrzewać, doniosą naczelnikowi... Niech się pani nie obawia, rzeczy są absolutnie nowe, tyle że po prostu okropne.

Rzeczywiście na taniej bieliźnie dyndały jeszcze metki. W sakwojazu leżały też inne ciepłe rzeczy, ohydna koszula nocna i saszetka z tanimi kosmetykami, pachnącymi wazeliną.

Lola uśmiechnęła się.

– Proszę się przebrać – powtórzyła i wyszła na korytarz.

Od razu zaczęłam wciągać nowe rzeczy, starając się równomiernie rozkładać fałdy. W końcu gruba, nieforemna baba była gotowa.

– Doskonale – pochwaliła właścicielka biura po powrocie, po czym wręczyła mi dowód.

Otworzyłam dokument: Jelena Michajłowna Kazancewa, rok urodzenia – 1950. Z fotografii patrzyła kobieta bez wieku, tęgawa, z koszmarną trwałą.

– Paszport proszę oddać – poleciła Lola.

Zawahałam się... Za nic w świecie nie pozbędę się dokumentu potwierdzającego obce obywatelstwo.

– Po co?

Lola wyjaśniła cierpliwie:

– Schowam go do sejfu, nic mu się nie stanie. Jak pani zakończy pobyt, zwrócę go.

– Nie oddam!

– Niestety, takie są zasady – niespodziewanie ostro odpowiedziała właścicielka „Albatrosa”. – Jeśli nie chce pani się im podporządkować, proszę zabrać pieniądze z

powrotem.

Z westchnieniem podałam jej granatową książeczkę. Lola złagodniała i dodała:

– Tym, którzy chcą udawać więźniów, w ogóle nie dajemy dokumentów, bo osądzonym odbiera się dowody przy areszcie. A z panią musiałam się targować. Jest pani wolnonajemną, przyzwoitą obywatelką, ma pani nawet papiery.

– Nie bardzo jestem do siebie podobna na tym zdjęciu...

– Głupstwo! – Lola machnęła ręką. – Nikt nie porównuje zdjęcia w dowodzie z prawdziwym wyglądem. Poza tym niech pani popatrzy, Kazancewa ma teraz czterdzieści dziewięć lat, a zdjęcie zostało wklejone, kiedy miała czterdzieści pięć. Cztery latka minęły! Gdy ktoś się będzie dziwił, może pani śmiało odpowiadać: zmieniłam fryzurę, przytyłam, postarzałam się... Proszę się tak nie denerwować! Działamy już któryś rok i nigdy nie mieliśmy żadnej wpadki. Chodźmy.

Otworzyła drzwi do szafy.

– Dokąd? – udałam całkowite zdziwienie.

– Proszę za mną. – Uśmiechnęła się. – Przygody już się zaczynają. Widzi pani, jak fajnie? Po prostu jak w kinie.

Wdrapałyśmy się na górę kręconymi schodami. Aha, to po to jest tajne przejście.

W wydawnictwie „Świeca”, spokojnie czytając jakiś rękopis, siedziała źle ubrana Nadieżda. Widząc nas, nie mrugnęła okiem, nawet głowy nie podniosła!

Przeszłyśmy długi korytarz, pchnęły drzwi i znalazłyśmy się na tylnych schodach. Na małym podwórku stało niepozorne, brudne, granatowe żiguli. Numer – 666DE. Liczba szatana! Samochód alkoholika Sytina, którym ktoś wywiózł w nieznanym kierunku głupią Elinę!

Szefowa „Albatrosa” włożyła mój sakwojaż do bagażnika i powiedziała uprzejmie:

– Proszę wsiadać, Ninka prędko panią dowiezie.

Czując się jak królik, który wpadł prosto w paszczę pytona, weszłam do środka. W wozie czuć było papierosami i aromatyzatorem. Kaszel chwycił mnie za gardło. Nie znoszę kokosowego nawiewu.

Rozdział 27

Siedząca za kierownicą dziewczyna uśmiechnęła się całkiem po hollywoodzku. W odpowiedzi wysiliłam się na uśmiezek, który, szczerze mówiąc, nie bardzo mi wyszedł. Ela miała rację, Nina wyglądała po prostu jak żywa Barbie. Takie same blond, wyraźnie rozjaśnione, loki do ramion, szczupła trójkątna twarzyczka o prawidłowych rysach, duże, niewinne błękitne oczy; długa szyja i także ręce. Dziewczyna używała supermodnej w zeszłym sezonie wody toaletowej HS.

– Pali pani? – zapytała melodyjnym głosem i podsunęła mi paczkę parlamentów.

Pokręciłam głową.

– Tylko gauloise’y.

Auto popędziło szosą. Nina pewnie kręciła kierownicą. Nie miotała się z pasa na pas, nie gnała z szaloną prędkością, pedantycznie przestrzegała przepisów, włączając migacz przy każdym skręcie czy wyprzedzaniu. Prawie idealny kierowca, marzenie drogówki. Do miasteczka Pticzjij dojechała błyskawicznie.

Zaparkowała przed budynkiem administracji więziennej, zgasiła silnik i powiedziała:

– Nikt tutaj nie wie, kim pani jest, oprócz jednej osoby, z którą bezpośrednio współpracuje nasza agencja. Zgodnie z umową, nie mam prawa zdradzać jej nazwiska. Może pani liczyć tylko na siebie. Dokumenty są absolutnie pewne. Proszę, oto pięćset rubli. Za dziesięć dni dostanie pani wypłatę. Oczywiście, przedsięwzięcie jest ryzykowne, ale pani przecież chodziło właśnie o przygodę, o niebezpieczeństwa. Proszę iść do gabinetu numer dwadzieścia jeden; czekają tam już na pielęgniarkę Kazancewą, która ma zastąpić idącą na urlop pracownicę. Życzę powodzenia i miłego wypoczynku.

Ledwie zdążyłam wyjąć walizeczkę z bagażnika, jak samochód już zawarczał i odjechał. Pchnęłam ciężkie, metalowe drzwi i znalazłam się w jakiejś sionce, przed następnymi drzwiami, dokładnie takimi samymi. Po prawej – dzwonek i tabliczka: „W pomieszczeniu mają prawo przebywać najwyżej trzy osoby”. Zazgrzytał zamek, po czym weszłam w wąziutką przestrzeń – po lewej, za kratą, jak papuga w klatce,

siedziała dosyć tęga młoda dyżurna w zielonym mundurze. Całkiem uprzejmie, a nawet przyjaźnie powiedziała:

- Paczki przyjmuje się w sąsiednim pomieszczeniu.
- Ja do pokoju numer dwadzieścia jeden.
- Nazwisko Kazancewa? Dowód proszę.

Zajrzała do czerwonej książeczki i nawet nie patrząc na stronę ze zdjęciem, nacisnęła guzik. Otworzyły się kolejne drzwi, a ja znalazłam się na wąziutkiej asfaltowej drodze, obramowanej z dwóch stron siatką. Po prawej i po lewej – na głucho zamknięte bramy. Na jednej napis „Strefa mieszkalna”, nad drugą „Strefa produkcyjna”. Ruszyłam przed siebie.

- Stać! – doleciał nagle głos z nieba.
- Tak mnie to zaskoczyło, że omal nie upuściłam walizeczki.
- Proszę wrócić do dyżurnej – zagrział ten sam głos.
- Dokąd pani poszła? – zganiała mnie strażniczka.
- Poszukać budynku administracji – wybąkałam nieśmiało.
- Zapamiętaj sobie – pouczyła – że kobieta nigdy nie wchodzi na teren sama!

Nawet taka, jak ja czy ty.

- Dlaczego?

– Siedzi tutaj prawie sześciuset chłopów, którzy nie widzieli baby latami, rozumiesz? – Kiedy zobaczyła moją zmienioną twarz, dodała: – No, jak dotąd nic się nie zdarzyło, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Kiedy stąd wyjdiesz, od razu skreć za róg i idź do bramy administracji w naszym budynku.

Pokornie ruszyłam naprzód. Pierwsze drzwi, jakie napotkałam, zdobił szyld: „Pomieszczenie długich widzeń. Wejście za przepustką”. Drugie drzwi były, o dziwo, drewniane i otwarte. Pokój numer dwadzieścia jeden znajdował się na drugim piętrze. Korytarz zaczynał się transparentem „Oddział specjalny”. Najwyraźniej uwielbiano tu wszelkie szyldy, tabliczki i napisy.

W pokoju jakiś starszy mężczyzna zajrzał niedbale do mojego dowodu i powiedział:

– Wiem, dzwonili. To znaczy, że przez miesiąc będzie pani zastępować Wiktorię Jewgienjewą. Teraz proszę iść i poznać się z punktem medycznym. Potem wydamy mundur, talon na hotel i żywienie. Sioma, prowadź.

Młody, puciołowaty żołnierz doprowadził mnie do ostatniej bramy. Oczywiście drzwi zdobił napis: „Punkt medyczny”, obok wisiała informacja o godzinach przyjęć: „Pierwszy oddział – poniedziałek od 9.00 do 11.00, drugi oddział – wtorek od 9.00 do 11.00, i tak do niedzieli. U dołu małymi literkami dodano informację: „W wypadku nieprzewidzianej choroby zwracać się do oddziałowego”. Ciekawe, do tej pory myślałam, że wszystkie choroby są nieprzewidziane.

W punkcie spokojnie czytała gazetę sześćdziesięcioletnia kobieta w dosyć brudnym białym fartuchu. Kiedy zobaczyła „koleżankę”, ożywiła się i przedstawiła:

– Wiktoria.

– Daria... to znaczy Jelena.

– Przejmujesz gospodarstwo.

Obejrzałam malutki gabinecik i na wszelki wypadek wyjaśniłam:

– Właściwie to nie mam specjalnego wykształcenia medycznego, tylko kursy pielęgniarskie obrony cywilnej.

– Ależ nie trzeba żadnego dyplomu. – Wiktoria wzruszyła ramionami. – Popatrz, tu jest jodyna, jakby który się zranił, plaster. Tutaj trochę analginy, aspiryna, diabazol, papaweryna i zieleń brylantowa. Wiesz, jak tego używać?

Kiwnęłam głową.

– No to świetnie. Wszystkich zapisuj do dziennika przyjęć, w schowku masz no-spę, ale mało; wyłącznie dla pracowników.

– To już wszystkie leki?

– Dobrze, że są chociaż te – oświadczyła Wiktoria. – Nie bój się, przychodzą tutaj głównie po to, żeby pogadać. Widzisz ten czajniczek? Nie żałuj, kup paczkę herbaty i cukier, poczęstujesz kogoś, to od razu zyskasz autorytet.

– A jak będzie coś poważnego? Wyrostek albo atak serca?

– Dziesięć lat tu pracuję i nic takiego sobie nie przypominam. Widelce łykali...

– Po co?

– Żeby się dostać do szpitala. Można stamtąd uciec, bo wtedy zawożą do miasta, do strzeżonej sali. A na ucieczkę stąd – szanse są zerowe!

Tuż nad stołem wisiała „Instrukcja dla pracownika służby zdrowia”. Czego tam nie było! Pielęgniarka miała pobierać próbki jedzenia, przeprowadzać kontrolę sanitarną baraków, wygłaszać pogadanki o zdrowym trybie życia...

– Eee, nie patrz tam – powiedziała Wiktoria. – Płacą grosze, a pracy nawymyślali za milion. Jak przyjmiesz ludzi do jedenastej, to potem możesz sobie siedzieć spokojnie i czytać gazetę. Nikt nie wymaga, żebyś się pętała po obozie; to tylko kłopot, bo muszą pilnować... Jeśli będzie się tu wybierać jakaś komisja, to upierz zasłonki i fartuch. Zresztą kontrole rzadko zaglądną. Aha, jeszcze jedno.

I położyła na stole aparat do mierzenia ciśnienia i stetoskop.

– Termometru nikomu nie dawaj – przykazała miłosierna siostrzyczka. – Jeden jedyny mamy, jeszcze, nie daj Boże, stłuką! Temperaturę i bez tego można określić.

– Jak?

– No... Twarz czerwona, oczy błyszczące, przyśpieszony puls, przyłożyć rękę do czoła...

– A jak to gruźlica?

– Pulmonolog przyjeżdża raz do roku z rentgenem.

– Raz do roku?

– A na wolności to jak jest? Co tydzień biegasz do fizjotry? Pewnie z pięć lat nie robiłaś prześwietlenia.

– A jak kogoś zęby zabolą...

– Głupstwo, raz na trzy miesiące przyjeżdża stomatolog, a jeśli już ktoś nie może wytrzymać, to ząb wyrwie oddziałowy.

– Oddziałowy?

– Co się tak dziwisz? Oddziałowi mogą wszystko – zęby rwać i przecinać czyraki, a gdzie indziej, w kobiecych zakładach karnych to i porody przyjmują... Poznasz ich. Normalni faceci, z głową na karku, bez powodu nikomu nie zrobią nic złego. Jesteś mężatką?

– Nie.

– To zwróć uwagę na Konstantego Jakowlewicza z szóstego oddziału. Kawaler, nie pije, nie pali, pozytywny pod każdym względem. No, leć i wszystko załatw!

Dzień upłynął pracowicie. Wydano mi zielony mundur i fartuch. Dostałam miejsce w hotelu pracowniczym, gdzie w pokoju oprócz mnie mieszkała jeszcze jedna kobieta. Otrzymałam też bloczek do stołówki...

We wtorek rano odsiedziałam za biurkiem swoje godziny. Zjawił się tylko jeden „chory”. Dwudziestopięcioletni chłopak, skarżył się na ból głowy. Zbadałam go, jak mogłam. Zmierzyłam ciśnienie, obejrzałam gardło, stetoskopem osłuchałam tatuowaną pierś, potem dałam mu analginę i spytałam:

– Kawy się pan napije?

Chłopak zamarł, potem upewnił się:

– Ja?

– Pan.

– No, chętnie.

Nalałam do kubka rozpuszczalnej nescafe, podsunęłam mu pudełko z cukrem w kostkach i paczkę herbatników. „Chory” momentalnie opróżnił kubek, wziął kilka ciasteczek i ni stąd, ni zowąd spytał:

– Pierwszy raz pani pracuje w takim miejscu?

Kiwnęłam głową.

– To widać – rzekł z westchnieniem kryminalista. – Niech pani sobie sprawi jeszcze jeden kubek, dla numeru dziesięć.

– Dla kogo?

– Właściwie sam powinien pani powiedzieć, jasna sprawa – dalej oświecał mnie więzień. – Ale to takie ścierwa! Koniecznie niech pani skombinuje drugi kubek i napisze na nim „10”. Wszyscy będą wiedzieli.

– Ale po co?

Chłopak westchnął.

– Takie są zasady, nie mogę pić z cwelem z jednego kubka! I kawy też nie trzeba dawać wszystkim jak leci.

Nie zrozumiałam, kto to jest „cweł”, wezwałam strażnika, zamknęłam punkt i poszłam do pokoju dwadzieścia jeden.

– No, o co chodzi? – spytał niezadowolony szef.

– Powinłam pobrać próbkę jedzenia z obiadu.

– A na ch...ińskiego boga? – burknął.

– Instrukcja tak nakazuje.

– Może by tak gwizdnąć na instrukcję?

– Nie.

Eskorta zaprowadziła mnie do stołówki. Po drodze spytałam strażnika:

– Dlaczego nie można pić z jednego kubka z cwelem?

– Broń Boże – przeraził się chłopczyna. – Cweł to parówa, bierny homoseksualista. Dotykać jego rzeczy to poruta, jak kto dotknie, sam się staje cwelem. Cwele mają osobne naczynia, numer dziesięć.

W stołówce pracowali więźniowie. Spróbowałam kaszy perłowej, siorbnęłam „kapuśniaku z rybą” i z mądrą miną postawiłam w notesie krzyżyk. Dobra, jutro się wybiorę na kontrolę sanitarną baraków...

W ciągu trzech dni obeszłam cały obóz. Rozpuściłam nadmanganian potasu w olbrzymim słoju i zrobiłam z gazy coś w rodzaju kwacza. Dwóch więźniów dźwigało „roztwór dezynfekcyjny”, z tyłu człapał strażnik. Wsuwałam kwacz do słoja i kropiłam wszystko jak leci. Wieczorem, nie mogąc zasnąć w zapadającym się łóżku, podsumowałam to, co zobaczyłam. W obozie jest sześć oddziałów, w każdym około setki ludzi. Oddział zajmuje olbrzymi barak, gdzie na piętrowych łóżkach sypiają więźniowie. Każdy ma jeszcze swoją półkę w szafce. Osadzeni wszędzie maszerują grupami – do stołówki, do łaźni, do klubu. Spacerować mogą tylko na niedużej przestrzeni, ogrodzonej drutem kolczastym. To jest tak zwana zona lokalna. Każdy pododdział ma swoją, toteż spotkać się z kimś z innego oddziału praktycznie nie sposób.

Do stołówki najpierw wchodzi kilku ludzi, którzy rozlewają zupę do aluminiowych misek. Kiedy cała grupa wkracza ze śpiewem do sali, na stołach już czekają miski z jedzeniem i chleb. Na obiad są dwa kawałki, na śniadanie i kolację – po jednym. Nie trzeba chyba dodawać, że każdy oddział jada posiłki w określonym czasie i tylko w swoim składzie.

Jest również i areszt wewnętrzny. Wtrąca się tam więźniów za drobne przewinienia na mniej więcej piętnaście dni. Surowsza kara to barak o zaostrzonym

reżimie, a najgorsza – karcer. Jednym słowem – więzienie, z wszelkimi wynikającymi stąd rozkoszami. Do wszystkich miejsc, służących do odbywania kary, jedzenie w olbrzymich baniakach wożą specjalnie wyznaczeni dyżurni.

Kiedy w baraku oddziału szóstego zobaczyłam mysz, wszczęłam intensywną kampanię pod hasłem: „Gryzonie – roznosiciele zarazy”. Łaziłam po wszystkich kątach i zakamarkach obozu, rozsypując wszędzie obficie absolutnie nieszkodliwą mieszankę soli, cukru i sody. Szefostwo zgrzytało zębami na widok tych zabiegów, ale nic nie mogło poradzić – ściśle trzymałam się instrukcji.

W końcu doszłam do niewesołego wniosku: Basile’a nie ma ani w barakach mieszkalnych, ani w tych o zaostrzonym reżimie, ani w karcerze. Nie pojawiał się też w pracowniach strefy produkcyjnej. Więc gdzie go schowali?

Pomógł mi przypadek. Obserwując pracującego w kuchni więźnia, zwróciłam uwagę, że dla karcerów nakłada dwanaście chochel kaszy, a cel jest tam tylko jedenaście. Dobrze pamiętam, a przecież dodatkowej miski nikt nie dostaje.

Po obiedzie, wymachując kartką z zeszytu, poszłam do szefa. Gruby kapitan, kiedy mnie zobaczył, po prostu zbladł.

– No, coś jeszcze wymyśliła?

– Niech pan popatrzy. – Podsunęłam mu papier pod nos.

– Cóż, karaluch, tylko dziwny.

– Nie karaluch, tylko *lupus individus*.

– Co? – kapitan zgłupiał do reszty.

– *Lupus individus*, afrykański owad z rodziny karaluchowatych. Ma wyjątkową zdolność do rozmnażania się, okropnie jadowity! Ukąszenie wywołuje mdłości, wymioty, możliwe jest nawet zejście śmiertelne, groźba epidemii.

– Naprawdę? – zdziwił się szef, odsuwając się na wszelki wypadek. – No, widzę... Jakiś dziwny, zielony. Jak on do nas trafił?

– Złapałam go w karcerze, pewnie z paczką przekazali. Teraz w paczkach można znaleźć diabli wiedzą co.

– W karcerze nie dostaje się paczek – informował kapitan.

– Nie pamięta pan, że przedwczoraj był tam pop? Feliks Michajłowicz pozwolił mu odprawić mszę; a on wszystkich częstował zagranicznymi herbatnikami, w paczkach.

– Co to za porządki! – Szef się nachmurzył. – Po prostu sodoma i gomora... No dobrze, ale co mamy robić?

– Nic specjalnego – uspokołam go. – *Lupus individus* zdycha potraktowany zwykłym chlorem. Trzeba zrobić dezynsekcję pomieszczenia, i spokój. Tylko szybko, zanim się rozmnoży.

– Chloru mamy od metra – oznajmił kapitan z satysfakcją. – No dobra, nie wiem,

co to za stwór, ale dezynsekcję pewnie rzeczywiście warto zrobić. Co jest do tego potrzebne?

– Dajcie dwóch chłopaków, niech dźwigają kubel!

– Dobrze, idź szykować trutkę, zaraz ich przyślę.

Ściskając w garści kartkę z nieszczęsnym owadem, pobiegłam do punktu medycznego. Mam nadzieję, że kiedyś Basile doceni mój heroizm. Najpierw złapać karalucha, potem pomalować go zielenią brylantową... Nie każda kobieta zdolna jest do takiego poświęcenia.

Oblałam śmierdzącą cieczą jedenaście cel, opary chloru zawisły w powietrzu. Dźwigający kubel więźniowie zaczęli kaszleć, strażnik zatrzymał się na progu. Z pomieszczeniem dla żołnierzy zrobiłam to samo. W końcu groźnie spytałam, pokazując palcem stalowe drzwi koło toalety.

– A tam co jest?

– Pomieszczenie specjalne, wejście wzbronione.

Huknęłam:

– Chcecie tu mieć epidemię? Dostanie się wam, zamelduję w Moskwie, w centralnej stacji epidemiologicznej. Nie chcecie po dobroci, to będzie pod przymusem: przyślą ludzi, ogłoszą kwarantannę, nikogo nie wypuszczą do domu. Przesiedzicie tu czterdzieści pięć dni.

– Dobra, dobra! – Eskorta zamachała rękami. – Czegoś się rozdarła? Zaraz się zrobi.

Szczęknął zamek; weszłam do ciasnego, pięciometrowego pomieszczenia bez okien. Na drewnianej pryczy bez poduszki i koca leżał wychudzony i postarzały Basile. Nie poznał mnie, oczywiście. Strażnik stał na progu, kaszłąc rozpaczliwie. Bryzgałam na wszystkie strony obrzydliwym płynem. Basile kichnął.

Wybacz, kochany, ale inaczej nic z tego nie wyjdzie; musisz trochę pocierpieć. Tylko proszę, nie zdziw się, kiedy jakaś karteczka upadnie koło ciebie...

Korzinkin nie zawiódł i błyskawicznie schował gryps.

Wyskoczyłam z celi i ogłosiłam koniec akcji. Rano przybiegłam do punktu medycznego i zastygłam w pełnym napięcia oczekiwaniu. Jakoś nikt nie przychodził, może się przeliczyłam? A tak długo obmyślałam plan! Najpierw chciałam schować przyjaciela w pojemniku z odpadkami, ale zaraz potem zobaczyłam, jak zawartość każdego kontenera przekłuwa się kilka razy żelaznym prętem! O ucieczce samochodem nie było co marzyć! Każdy wóz musi najpierw wjechać do tak zwanej śluzy, gdzie ogląda się w nim każdą śrubkę. Pozostawała ostatnia szansa – szpital. Mam nadzieję, że Basile ściśle wypełni instrukcję. Dla konspiracji napisałam gryps po francusku i zwróciłam się do przyjaciela tak, jak w chwilach czułości nazywa go Suzie: „Mon Chouchou”. Mam nadzieję, że nie wziął tego za prowokację...

Nagle rozległo się pukanie; do pokoiku wszedł przestraszony oficer.

– Dzień dobry, Lonia – powiedziałam wesoło. – Kawki pan się nie napije?

– Nie teraz, pani Jeleno, jest przykra sprawa.

– Co się stało?

– W karczerze mamy takiego jednego, Arsienjewa; całkiem z nim źle. Rzyga od wczoraj wieczór, mało flaków nie wyrzyga, a w dodatku dostał biegunki...

Oczywiście, może symuluje, ale jakoś na to nie wygląda. Cały blady, aż siny, czoło ma lepkie. Żeby mi tylko nie umarł na dyżurze. Dzisiaj niedziela, Feliksa Michajłowicza nie ma, Andrieja Siergiejewicza też, ja jestem najstarszy rangą. Niech pani będzie tak dobra i obejrzy go.

– Wprowadźcie więźnia.

– Nie da rady przyjść, może pani sama... Oczywiście nie musi pani, ale w drodze wyjątku... Przyprowadziłem nawet eskortę.

– Dla pana, Lonia, wszystko – powiedziałam przymilnie.

Weszliśmy do celi. Basile leżał na narach z odrzuconą głową, obok stało ohydnie śmierdzące wiadro. Zauważyłam, że choremu dali poduszkę i coś w rodzaju okrycia – podarty kawał liliowej flaneli.

Twarz przyjaciela nabrała ziemistej barwy, oczy miał zapadnięte i podkrążone, wargi kolorem zlewały się z policzkami... Ciężko dyszał, z rzadka pojękując.

Z zadowoleniem westchnęłam i wyciągnęłam stetoskop. No proszę, nieźle podziałało. Oj, Daria, mądrała z ciebie! Oficer i strażnicy przestępowali z nogi na nogę.

– Radzę się odsunąć – powiedziałam. – To prawdopodobnie bardzo zaraźliwe!

Dzielnych chłopów zaraz wymiotło na korytarz. Nachyliłam się nad Korzinkinem i szepnęłam cicho:

– Nie bój się, to minie po paru godzinach. Zaraz pojedziemy do szpitala, tam musisz jęczeć głośniej.

– No, co z nim? – spytał Lonia nieśmiało.

– *Rexoma bulgis operandum*. Na szczęście zauważyliście w porę, jeszcze zdążymy go uratować.

Oficer dosłownie złapał się za głowę.

– Boże, nogi, ręce mi pourywają! Kazali go pilnować jak nadtluczonego jaja!

Bardzo mnie interesowało, dlaczego nadtluczonego jaja trzeba pilnować, ale ugryzłam się w język. Lonia tymczasem usilnie starał się zrobić coś, do czego nie przywykł – podjąć decyzję. Na twarzy nieszczęsnego oficera odbijała się prawdziwa męka. Wysłać chorego do szpitala? A jak przełożeni go za to zwymyślają? Zostawić tamtego w celi? Może umrzeć, a wtedy tym bardziej nie pogłaszczą po głowie!

Nagle Basile'a znowu skręciło i biedaczysko nachylił się nad wiadrem.

Lonia ostatni raz wyteżył umysł i stalowym głosem rozkazał:
– Szykować transport i konwój.

Rozdział 28

Po półgodzinie żołnierze wsadzili do samochodu leżącego na noszach Korzinkina. Usiadłam obok, robiąc mądrą minę. Eskorta, młodzi chłopcy, patrzyli na Basile'a z lekkim odcieniem litości.

– Co mu jest? – nieśmiało spytał jeden z nich.

Machnęłam ręką.

– Długo by mówić, wygląda na zapalenie *delinii bordi*.

– To zaraźliwe?

– Nawet bardzo.

Konwojenci z przerażeniem popatrzyli na nosze i nic już nie mówili.

W izbie przyjęć stanęli po obu stronach „chorego”, ale ja cicho szepnęłam:

– Chłopaki, sami widzicie, że nie tylko uciec, ale nawet ruszać się nie może.

Zaraz przyjdzie lekarz, zacznijcie oględziny, wirusy będą latać na wszystkie strony. Posiedźcie lepiej na korytarzu, bo tylko patrzeć, jak się zarazicie, cały rok potem będziecie się leczyć.

Konwojenci z powątpiewaniem spojrzeli na leżącego bez sił Basile'a.

Wytoczyłam ostateczny argument:

– Szkoda mi was, jesteście jeszcze młodzi... Dzieci pewnie nie macie?

– A co dzieci mają do tego? – spytał odważniejszy.

– Następstwem tej choroby u dziewięćdziesięciu procent mężczyzn jest niemoc płciowa, impotencja.

Chłopcy błyskawicznie wyskoczyli na korytarz. Oj, lubię mieć do czynienia z mężczyznami: wiadomo, jaki jest ich najczulszy punkt.

Wtedy przyszedł lekarz. Patrząc na jego różową, okrągłą twarz, ozdobioną rzadką bródką, kolejny raz pochwaliłam się sama w duchu. Zuch z ciebie, Dario, dobrze wybrałaś dzień ucieczki – niedzielę. Kierownictwo obozu w pełnym składzie pojechało świętować pięćdziesiąte urodziny miejscowego mera. Rozmowy o kupnie prezentu ciągnęły się prawie cały tydzień. Z kolei w szpitalu na dyżurze został zupełny dzieciak, niedawny student.

– No – wymruczał lekarz – na co się uskarżamy?
– Zatrul się zupą – wyjaśniłam spokojnie. – Przysłali nam zepsute kurze mięso z zakładów drobiarskich, i proszę, oto rezultat.
– Draństwo – oburzył się internista.
– E, nie ma co mówić, kolego – westchnęłam. – Trują ludzi, dają im do jedzenia diabli wiedzą co! Korzystają z tego, że więźniowie nie mają żadnych praw.
– Za co siedzi? – zainteresował się doktor, biorąc Korzinkina za rękę.
– A głupstwo: podrabiał specyfikację, sprzedawał margarynę jako masło. Dostał, biedak, siedem lat!
– Coś okropnego... Nieszczęsny! A taki Mawrodi jest posłem! – krzyknął chłopak, wyraźnie przejęty gehenną Basile’a.
– Właściwie to już wszystko zrobiłam – zameldowałam. – Przeplukałam żołądek, podałam glukozę, węgiel aktywowany. Powinien niedługo przyjść do siebie. Chciałam tylko prosić, żeby pan zostawił go na dwa dni, żal chłopca od razu wieść z powrotem, słaby jeszcze!
– Nie ma o czym mówić, naturalnie, że go zostawimy!
Korzinkina przewieziono do sali, a ja pobiegłam do telefonu i zadzwoniłam do obozu. Oficer dyżurny zaraz złapał za słuchawkę, pewnie siedział przy aparacie, czekając na wieści:
– No jak, dojechał żywy?
– Wie pan co, Lonia, stan nie jest aż tak poważny, facet niedługo wyzdrowieje. Chcę panu coś zaproponować. W poniedziałek pewnie nie będzie Feliksa Michajłowicza ani zastępców?
Lonia wymownie milczał. Nie chciał wsypywać przełożonych, chociaż głupi by zrozumiał, że po tęgim pijaństwie będą leczyć kaca, pić zalewę z ogórków i zażywać analginę. Kto by tam miał głowę do pracy?!
– Nie mówmy im, że Arsienjewa zawieziono do szpitala. Ja zostanę tutaj na wieczór, noc i następny dzień. A w poniedziałek wieczorem po cichu przywieziemy go z powrotem. Boję się, że nas szefostwo ochrzani. Tak że jeśli nagle towarzysz Samochwałow zadzwoni, niech pan lepiej nic mu nie mówi.
Lonia odchrząknął.
– Jeleno Michajłowno, kochana, dzięki! Wszystko dla pani zrobię w razie potrzeby!
– Dobrze, dobrze, Lonieczka, jesteśmy swoi ludzie, to się dogadamy. Tylko niech mnie pan usprawiedliwi w poniedziałek, jak pierwszy oddział przyjdzie do mnie na punkt medyczny.
– Nie ma sprawy! Powiem, że pojechała pani po lekarstwa do Moskwy. Tamci sobie poradzą – nie ma chorych, sami symulanci!

Załatwiwszy polubownie tę delikatną sprawę, zjrzałam do Basile'a. Sala była na parterze, na końcu korytarza. Okna zabezpieczone kratami, drzwi zamknięte, pilnują ich konwojenci.

– Wiecie co, chłopaki – postanowiłam nastraszyć ich jeszcze raz – sami wiecie, że nie w każdym szpitalu jest sala dla więźniów. Arsienjewa należałoby właściwie umieścić na zakaźnym, ale nie ma takiej możliwości, no więc położyli go tutaj. Jak lekarz będzie mówił, że facet ma zatrucie pokarmowe – nie wiercie. To specjalnie, żeby chorzy się nie buntowali: mało, że muszą leżeć obok kryminalisty, to jeszcze z chorobą zakaźną. A wy pamiętajcie, co wam mówiłam i nie włączcie już do sali. On nigdzie nie ucieknie, leży prawie nieprzytomny, a w oknach są kraty.

Chłopcy zgodnie pokiwali głowami. Pobiegłam do wyjścia, zbliżała się trzecia, a musiałam zrobić jeszcze mnóstwo rzeczy.

Koło jedenastej wieczór, ledwie zipiąc, przydźwigałam do szpitala wielką torbę i zostawiłam ją u ordynatora. Z personelu medycznego na oddziale były tylko dwie osoby – znany mi już brodaty doktorek i młodziutka pielęgniarka, ładna i energiczna, wyraźnie kokietująca lekarza.

Wyjęłam z torby miskę z sałatką i sagan z gorącymi kartoflami, laskę kiełbasy doktorskiej, duży tort ozdobiony przeraźliwie zielonymi różami i butelkę żurawinówki.

– Chodźcie wszyscy, zjemy kolację!

Medycy ochoczo zasiedli do stołu.

– Może wezwiemy ochronę? – zaproponowałam i wyszłam na korytarz.

Chłopcy siedzieli beczynn timer na taboretach pod drzwiami.

– Dali wam coś do jedzenia?

– Kaszę – odezwał się jeden.

– I śledzie – dodał drugi.

– No to chodźcie.

– Jesteśmy na służbie – powiedział pierwszy.

– Na chwilkę, co się takiego stanie? Drzwi zamknięte, kraty...

Chłopcy wahali się przez chwilę, po czym weszli do gabinetu. Regulaminy są po to, żeby ich nie przestrzegać. W dodatku dowództwo daleko, można się odprężyć.

Po kwadransie wszyscy spali. Klonazepam w alkoholu to wypróbowany środek, tani i skuteczny. Zabrałam strażnikom klucze i pobiegłam do Basile'a.

Przyjaciół podniósł głowę.

– Nie bój się, to ja, Dasza.

– Boże – wymamrotał Korzinkin – coś ty mi podsunęła, jakie tabletki?

– Nic nadzwyczajnego – cyklofosfan, podaje się go chorym na raka jako chemioterapię. Efekt uboczny – silne mdłości. Nie denerwuj się, wszystko minie bez

śladu; ludzie to biorą latami, i nic, żyją! Co prawda, trzy tabletki naraz – to trochę zbyt duża dawka, ale chodziło o wyraźny efekt.

– No i osiągnęłaś go, o mało nie umarłem – wyjęczał Basile i usiadł.

– Dostyc narzekania – rozżłościłam się. – Taka z ciebie mimoza? Szybciej, więcej stąd. Chyba że chcesz z powrotem do łagru, to możesz zostać.

Korzinkin natychmiast zerwał się z łóżka. Po godzinie siedzieliśmy w pociągu Butowsk-Moskwa, który nie wiadomo dlaczego zatrzymywał się nocą w mieście Pticzij. Na usta cisnęły mi się liczne pytania, ale przyjaciel padł jak wór na kuszetkę; półtorej godziny później z trudem go dobudziłam, kiedy ekspres zatrzymał się na Dworcu Kazańskim. W całej stolicy jest tylko jedno miejsce, gdzie nikt nie pyta, dlaczego zjawiam się w środku nocy, ucharakteryzowana, i z brudnym, nieogolonym facetem, odzianym w jakieś łachy. Taksówka zawiozła nas w pobliże stacji metra Sokół, do małego mieszkania Oksany.

Na mój dzwonek przyjaciółka odezwała się sennym głosem:

– Kto tam?

– Otwórz, Ksana, to ja, Dasza.

Usłyszałam szmer, lekki tupot i brzęk łańcuszka. Drzwi się otworzyły, a my weszliśmy do ciemnego, ciasnego przedpokoju.

– Słuchaj, Oksana – wymruczałam, potykając się o coś – czy nie można by...

Nagle w całym mieszkaniu zapaliło się światło. Jakiś człowiek chwycił mnie mocno za ręce, zaraz potem poczułam bolesne kopnięcie w kostkę. Ktoś dawał mi w ten sposób do zrozumienia, że mam stanąć w rozkroku.

– Stać! Nie ruszać się! – usłyszałam wrzask nad uchem.

Pokój był pełen ludzi, pachniało męskim potem i jeszcze czymś nieznanym.

– A gdzie psy? – wyrwało mi się.

– U Władlenki, obok – odpowiedziała machinalnie Ksana i nagle krzyknęła przeraźliwie: – Diegtariow, Diegtariow, to nie ona! To obca baba o głosie Daszy! Chodźże tutaj!

– Słyszę, słyszę – powiedział pułkownik, wchodząc do pokoju. – Nie ma co piszczeć. Wygląda rzeczywiście na obcą, ale pod spodem – popatrz tylko!

Gestem sztukmistrza zerwał mi z głowy perukę.

Ksana zaatakowała mnie z krzykiem:

– Jak mogłaś? O mało nie zwariowałam!

Zakłopotana mrugałam oczami.

– To jest, jak sądzę, pan Korzinkin? – spytał Aleksander. – Gdzie trzymali tego nieszczęśnika?

Otworzyłam usta, ale przypomniałam sobie nauki Arkadego i oświadczyłam z powagą:

– Mam prawo do jednego telefonu i nic nie powiem bez adwokata.

– Idziesz w zaparte! – zaśmiał się przyjaciel. – Ciekawe, do kogo zamierzałaś dzwonić, bo z reguły zwracasz się do mnie. Dobra, idź się umyć. Pewnie jesteś cała spocona! Czym się tam obłożyłaś? Wata?

Poszłam do łazienki i długo pluskałam się pod prysznicem, zmywając z siebie szminkę, brud i zmęczenie. Kiedy w końcu wyszłam na zewnątrz, do mieszkania przenikał szary grudniowy świt.

Pułkownik i Basile pili w kuchni kawę.

– Gdzie Oksanka?

– Poszła do pracy, niewyspana z twojej winy – przyciął mi Aleksander. – Teraz ręce jej się trzęsą i na pewno kogoś zarżnie.

Dowcipniś! Też nalałam sobie kawy i siadłam obok nich.

– No więc tak, dzieci kochane – czule zwrócił się do nas pułkownik. – Narobiliście oboje niezłego bigosu. Teraz wspólnie zastanowimy się, jak tej z przykrej sytuacji wyjść w najmniej przykry sposób. Kto zaczyna?

Spojrzeliśmy z Basile'em na siebie.

– Pewnie ja – westchnął Korzinkin. – Daszka nie zna nawet czwartej części prawdy.

Rozdział 29

Basile jest człowiekiem co najmniej zamożnym. Kapitału nie dorobił się jednak sam, odziedziczył go po krewnych, w szczególności po dziadku. Nikołaj uwielbiał wnuka i niczego mu nie odmawiał, ten więc przyzwyczaił się, że dziadek wyciągnie go z każdej opresji. Ożenek z Suzette dodał mu tylko pewności siebie. Suzie pochodzi z rodziny bogatych handlarzy winem i wniosła mu w posagu spory majątek.

Przez długi czas przyjaciel, jak to się mówi, szukał własnej drogi. Ale jakoś nie mógł jej znaleźć. Próbował zająć się handlem, lecz zrobił plajtę; zaczął produkować napoje chłodzące – też mu się nie powiodło. W końcu wpadł na pomysł, że zostanie edytorem. Prawdę mówiąc, odziedziczył tyle, że mógł żyć bez problemów, wołał jednak sam osiągnąć sukces i zdobyć ogólny szacunek...

Branża wydawnicza, jak zresztą każda, nie zna litości dla dyletantów. Rynek jest już dawno podzielony między potężnych rekinów tego biznesu. O tym, by wydawać rzeczy najbardziej poczytne – kryminały i romanse – Korzinkin mógł tylko marzyć.

Poważni, popularni autorzy wolą mieć do czynienia z solidnymi firmami. Ale Basile'owi udało się znaleźć własną niszę. Jego „Głos” nawiązał współpracę z radzieckimi dysydentami, wydawał książki, które nie miały żadnych szans ukazać się w ZSRR. Właściciel zyskał nawet sławę bojownika o prawdę i wolność. Niestety, „Głos” nie przynosił dochodów, przeciwnie, same straty. Trzeba było w nieskończoność ładować pieniądze w przedsiębiorstwo. Franki znikły jak w czarnej dziurze... Basile najpierw strwonił swój kapitał, a potem dobrał się do pieniędzy Suzie...

Na zewnątrz wszystko wyglądało pięknie i ładnie. Korzinkin miał ogromne mieszkanie w prestiżowej dzielnicy, dom w Nicei, samochód, służbę; Suzette nosiła drogie futra i piękną biżuterię. W pewnej chwili jednak wydawca zrozumiał, że te pozory dostatku wkrótce się skończą. Wypadnie wtedy sprzedać wszystko i przenieść się z żoną do małego mieszkania w Pantin, jednej z najbiedniejszych dzielnic Paryża.

Rad nierad zwrócił się znowu do dziadka. Ku swemu zaskoczeniu, spotkał się jednak ze stanowczą odmową:

– Jak nie potrafisz, nie pchaj się na afisz. Nie będę więcej wspierał twoich projektów; pieniądze przeciekają ci przez palce. Zamknij wydawnictwo.

Ale Basile był uparty, chcąc więc wypłatać się z długów, zastawił mieszkanie. Czy trzeba dodawać, że i ta suma przepadła bezpowrotnie?

Pewnego ranka do Basile'a ktoś zadzwonił. Miły męski głos przekazał mu niezwykłą nowinę: ma krewnych w Moskwie! Miejsce spotkania wybrali w samym centrum Paryża, w kawiarni na Polach Elizejskich. Basile wszedł do przepelnionej sali i zaczął wodzić wzrokiem po stolikach. Siedzący pod ścianą mężczyźni pomachał mu ręką.

Najpierw pokazał album rodzinny. Basile wyzbył się wszelkich wątpliwości, kiedy zobaczył pierwsze zdjęcie – szczupłą młodą kobietę w białej sukni i tęgiego blondyna z pszenicznymi wąsami. Dokładnie taka sama poślótkła fotografia wisiała w sypialni Mikołaja, Basile zaś wiedział, że przedstawia rodziców dziadka. Na kolejnych zdjęciach ujrzał ze zdziwieniem siebie samego.

– To przecież ja jako mały chłopak – wykrztusił, oglądając zdjęcie, z którego patrzył nań poważny piętnastoletni młodzieniec. – Nie rozumiem tylko, komu i jakim cudem udało się je zrobić?

Aleksy Nikitin zaśmiał się.

– Pomyłka, ma pan przed sobą mojego siostrzeńca Timofieja, syna siostry Wiery. Ale rzeczywiście jest szalenie do pana podobny, uderzająco. Dziedziczność ma swoje kaprysy!

– Boże! – Basile klasnął w dłonie. – Czemuż wcześniej się pan nie zjawił?

Aleksy westchnął.

– Dowiedziałem się niedawno, dopiero po śmierci dziadka.

– A mnie Nikołaj zawsze mówił, że uratował się tylko on jeden; reszta podobno zginęła...

Aleksy Iwanowicz zaczął opowiadać o rodzinnych tajemnicach, o podejrzeniach Trofima, o jego poczuciu krzywdy, o lęku, żeby nie wykryto jego szlacheckiego pochodzenia...

Basile, który całe życie mieszkał w demokratycznej Francji, kiwał tylko głową, potępiając w duchu dziadka...

Przegadali tak kilka godzin i w końcu Aleksy wyjął, po co przyjechał.

W Rosji jest teraz kapitalizm i można robić interesy, jakie się chce. On sam ma wydawnictwo „Świeca”, ale to tylko przykrywką. W rzeczywistości jest właścicielem dużego biura turystycznego „Albatros”. Co prawda, formalnie należy ono do jego kochanki, ale to nie ma żadnego znaczenia. Dziesiątki tras do rozmaitych krajów... Właśnie chce otworzyć filię we Francji, ale jako cudzoziemiec będzie musiał oddać kupę pieniędzy skarbowi Republiki. Gdyby zaś otworzył biuro na nazwisko

Basile'a...

– Hm, biuro podróży – mruknął Korzinkin. – To branża gorsza nawet niż wydawnicza. Wszystko już opanowane, splajtujemy jak nic.

Wówczas Aleksy odkrył karty. Ma agencję, ale niezwykłą. Dla bogatych, zblazowanych klientów od dawna organizują niezwykle, egzotyczne eskapady. Basile słuchał z otwartymi ustami. „Odpoczynek” w obozie albo w więzieniu, zabawa w Robinsona Crusoe w bezludnej okolicy, najrozmaitsze przygody seksualne... Podróże cieszą się niezwykłą popularnością w Niemczech. Tam ma znakomite kontakty, brakuje mu ich za to we Francji.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to pieniądze – kusił Aleksy Basile'a.

Ten uległ i wyraził zgodę. Po roku zapomniał o kłopotach finansowych. Nieoczekiwane dochody tłumaczył świetnymi wynikami wydawnictwa. Zresztą i tak nie wtajemniczał Suzie, wiedząc, że przedsięwzięcie jest nielegalne. Żona więc nie wiedziała nic o moskiewskich krewniakach, uważając Nikitina za partnera w interesach. Interesy szły znakomicie, co prawda, teraz trzeba było często jeździć do Moskwy.

Mniej więcej po roku Aleksy oświadczył, że można poszerzyć ofertę. Przywozić do Francji inwalidów, kaleki, potworki dla zaspokojenia potrzeb ludzi o szczególnych upodobaniach seksualnych. Basile z początku nie chciał wierzyć, że coś takiego jest możliwe, ale zgodził się zabrać do Paryża pewną beznogą panią. Sukces przeszedł wszelkie oczekiwania, taśma produkcyjna została więc uruchomiona. W samym centrum wynajęto kilka mieszkań. Korzinkin jak komiwojażer tłukł się między dwiema stolicami. Wszystko załatwiano całkiem zwyczajnie: bogaty francuski biznesmen bezinteresownie udziela pomocy rosyjskim kalekom: załatwia biedakom leczenie za granicą. Odpowiednie papiery załatwiano zgodnie z wszelkimi wymaganiami, sami zaś ułomni budzili współczucie u celników obu państw. Naturalnie Basile nie brał od nieszczęśników pieniędzy. Robił to specjalnie najęty sutener, on sam zaś raz na tydzień dostawał wypchaną kopertę. Piąta część zawartości należała do niego, resztę przewoził do Moskwy.

Współpracowałby tak z Nikitinem nadal ku obopólnemu zadowoleniu, gdyby nie śmierć Nikołaja. Ten zdążył przedtem opowiedzieć wnukowi o miejscu, gdzie niegdyś ukrył skarb. Basile uznał, że w słowach dziadka może kryć się prawda, więc w tajemnicy przed Aleksym przyjechał do Moskwy i wyruszył do Gorłowki. Zdarzyło się wszakże coś nieprzewidzianego. Korzinkin wyraźnie zabronił Suzette zdradzać komukolwiek, gdzie przebywa mąż. Kiedy jednak zadzwonił Aleksy, naiwna Suzie uznała, że przed partnerem nie powinno się mieć tajemnic, i prostodusznie powiedziała:

– Przecież pojechał do pana.

Aleksy zdenerwował się i od razu zadzwonił do hotelu „Inturist”. Odpowiedziano mu, że pan Korzinkin rzeczywiście się tam zatrzymał i że zamawiał taksówkę. Dalej to już kwestia techniki. Nikitin dowiedział się najpierw, że taksjarski dowiózł pasażera do Dworca Ryskiego, potem kasjerka przypomniała sobie, jak sprzedawała bilet do Kałaczyńska, a kierowca autobusu powiedział, że ów osobnik wysiadł w opuszczonej wiosce Gorłowka...

Krótko mówiąc – wybuchła awantura. Aleksy też słyszał o skarbie, mówił mu o nim umierający Trofim. Nie bardzo jednak przejął się opowieścią dziadka, bo ten plątał się w szczegółach: co chwila wymieniał inny grób...

– Chciałeś mnie nabrać! – krzyczał do Basile’a. – Twój dziadek oszukał mojego dziadka, a teraz ty mnie! Oddaj mi połowę skarbu!...

– A co tam leżało? – przerwała Basile’owi.

– Nic, znalazłem pustą niszę, zarośniętą pajęczyną – odrzekł Korzinkin.

To samo powiedział Aleksemu, ale tamten mu nie uwierzył. Wymyślali sobie całą noc; potem się uspokoili i pojechali do domu Nikitina, żeby zawrzeć pokój. Solidnie wypili i podjedli, a co było dalej – tego Basile już nie pamięta.

Ocknął się w małym okrągłym pokoiku z wąskim okienkiem-ambrazurą u samej góry, prawie pod sufitem. Pojawiła się wówczas Wanda Nikitina i powiedziała spokojnie, że krzyki nie mają najmniejszego sensu. Służba jest głuchoniema, a w hotelu nikt się nie spostrzeże, że zniknął, bo zabrała stamtąd rzeczy. Lepiej więc niech od razu powie, gdzie schował skarb, to go wypuszczą.

– Jeśli będziesz się upierał – wyjaśniła Wanda – pogorszysz tylko sytuację...

– Przecież Nikitin odszedł od Wandy do Loli – wyrwało mi się.

– Tylko oficjalnie – wyjaśnił Basile. – Jest strasznie chciwy; kiedy wprowadzono podatek od nieruchomości, od razu zgłosił w urzędzie, że nie mieszka z Wandą, i przepisał dom na jej nazwisko. Mają tam burdel dla wysoko postawionych klientów. Odgrywali rolę rozwiedzionych, a w rzeczywistości Aleksy mieszkał u Wandy. W ogrodzie stoi domek, coś w rodzaju stróżówki. Lola tylko udawała kochankę i właścicielkę agencji, oczywiście za opłatą.

Biedny Korzinkin powtarzał, że nisza jest pusta; powiedział nawet, jak można ją otworzyć, ale tamci mu nie wierzyli. Szans na ucieczkę nie widział. Drzwi były zamknięte, a przez wąskie okienko z trudem dawało się wysunąć rękę. Zresztą kiedy Basile próbował rozejrzeć się po okolicy, zobaczył... mnie.

– Krzyczałem, krzyczałem, machałem chusteczką, ale ty wsiadłaś do samochodu i odjechałaś – powiedział.

Złapałam się za głowę, kiedy przypomniałam sobie kawałek białego materiału, który mignął w okienku. Przecież stałam niedaleko! No, kto by pomyślał?!

Po kilku dniach do ciemnicy weszła Wiera i powiedziała, że jej syn Timofiej był

w Gorłowce i sprawdził grób niemowlęcia. Nisza jest rzeczywiście pusta, dlatego Korzinkina... zawiozą w takie miejsce, w którym na pewno przyzna się, gdzie ukrył majątek.

– Lepiej oddaj – poradziła.

Ale Basile powtarzał wciąż swoje o pustym schowku i pająkach.

– Dobra! – westchnęła Wiera. – Zgnoją cię, to wszystko wyśpiewasz!

Wpadło dwóch facetów, którzy związali go i coś mu wstrzyknęli... Obudził się w karetce więziennej. Przywieziono go do obozu i wtrącono do karceru. Codziennie wieczorem do Basile'a zaglądał przystojny, wysoki mężczyzna i pytał:

– No co, przypomniałeś sobie?

Korzinkin bez końca powtarzał opowieść o pajęczynie. Nie bito go, tylko po prostu podle karmiono, nie dawano pościeli i nie wyprowadzano ze śmierdzącego pomieszczenia.

W ostatni piątek jednak sytuacja się zmieniła. Kiedy przystojniak wszedł jak co wieczór do celi, rzekł z ojcowską troską:

– No jak, jeszcze się nie namyśliłeś? Nieładnie okłamywać rodzinę.

– A kim pan jest dla mnie? – odrzekł Basile.

– Na razie nikim – wyjaśnił tamten życzliwie – ale tylko patrzeć, jak moja córka wyjdzie za mąż za Timofieja, syna Wiery, wtedy się spowinowacimy. No więc jako przyszły członek rodziny z całego serca radzę się przyznać. Mam polecenie, żeby od poniedziałku zmienić postępowanie wobec was. Zresztą dokumenty mówią wyraźnie, co z was za typ, Arsienjew. W waszych aktach aż czerwono od adnotacji. Straż wyprowadzi was na spacer, odejdziecie na bok, a tamci strzelą bez ostrzeżenia. Nie ma innego wyjścia: wykazujecie skłonności do ucieczek i napaści na konwojentów. Tak więc do poniedziałku! Radzę dobrze się zastanowić!

Basile wpadł w rozpacz. Jeszcze w wieżyczce zmuszono go, żeby napisał idiotyczny list do Paryża. Był więc przekonany, że obrażona Suzie nie będzie go szukać. Kiedy sytuacja wydawała mu się całkiem beznadziejna, wtedy właśnie ja, jak dobra wróżka, zjawiłam się z tabletkami cyklofosfanu.

– I jak pan się dowiedział, że tu przyjedziemy? – zdziwił się Korzinkin.

– No właśnie, jak? – dołączyłam się.

Aleksander westchnął:

– Szczerze mówiąc, czekaliśmy nie na was, tylko na Ninę lub Timofieja.

– Opowiedz prędko – ponagliłam go.

Diegtariow wahał się przez chwilę, potem powiedział:

– W ogólnym zarysie wyglądało to tak. Tożsamość człowieka znalezionego w twoim volvie ustaliliśmy od razu. Ciało rozpoznały Lola i Jula. Zgodnie twierdziły, że Aleksemu Nikitinowi grozili jacyś ludzie, straszili, że go zabiją. Nasi udali, że wierzą

w mitycznego killera i zaczęli po cichu badać sytuację.

Najpierw dowiedzieli się o ekskluzywnym burdelu u Wandy i w końcu zrozumieli, kto zabił wydawcę.

– Kto? – nie wytrzymałam.

– Widzisz... – zaczął pułkownik. – Zgubiła go najzwyczajniejsza chciwość. Najpierw, żeby nie płacić podatku, przepisał dom na żonę. Potem „Albatrosa” – na Lolę. Wierzył jej bez zastrzeżeń.

– Dlaczego?

– To proste. Nasza miła Lapanalda ma na koncie dwie odsiadki za kradzież. Tylko że w tamtym czasie nazywała się Anna Pietrowna Karietnikowa. Aleksy Nikitin wiedział o jej nieciekawej przeszłości i trzymał ją za gardło. Wydawało mu się więc, że nic nie ryzykuje.

Początkowo wszystko szło im jak po maśle. Do Wandy regularnie przyjeżdżali klienci, „Albatros” pracował jak w zegarku.

Przeważająca część pracowników nic nie podejrzewała. Wiedzieli tylko zaufani ludzie, bliscy przyjaciele, prawie krewni.

Wiera Nikitina przyjaźniła się z matką Niny Samochwałowej. Feliks Michajłowicz o choczko zgodził się przyjmować w swoim zakładzie karnym „więźniów”. Zamykał ich razem z dwoma kanciarzami, gotowych wszystko zrobić, byle tylko uzyskać dla siebie lepsze warunki. A poza tym: gdyby zechcieli coś wypaplać, kto uwierzy kryminalistom?

Jego córka dzielnie wyszukuje idiotki, które za pieniądze zgadzają się zostać kalekami. Ta sympatyczna dziewczuszka ma poza tym dobre układy prawie ze wszystkimi stołecznymi sutenerami.

W szpitalu numer sześćset sześćdziesiąt dwa jest paru chirurgów-oprawców. W tej właśnie klinice otwarto tajny, pilnie strzeżony oddział.

– Leczą się tam bandziory, buląc duże pieniądze, za to bez obawy, że zostaną wydani w ręce milicji – wyrwało mi się.

– Skąd wiesz? – zdziwił się pułkownik.

– A jak dobraliście się do lekarzy? – odpowiedziałam pytaniem.

– W rowie, niedaleko szpitala, znaleziono ciało Jurija Mamonowa, pracującego jako stróż w domu, gdzie wynajmowała mieszkanie Nina Samochwałowa.

Wszczęto śledztwo i znowu ślady prowadziły do dziewczyny. Potem okazało się, że Jura usiłował szantażować Ninę. Naszedł dziewczynę koło szpitala i zażądał pieniędzy za milczenie.

– Myślał, głupi, że przewożą narkotyki – wyjaśniłam.

– Właśnie – potwierdził pułkownik. – Sęk w tym, że Nina owego dnia nie była sama, tylko z Timofiejem. Obiecała stróżowi dużą sumę i zawiozła go w pobliże

głębokiego rowu. A tam właśnie Timofiej zabił Mamonowa.

– Boże – przeraził się Basile. – Przecież to jeszcze dzieciak, w dodatku przyszły prawnik, student...

– Ten student ma ręce unurzane we krwi po łokcie – oznajmił pułkownik. – Teraz chyba będzie musiał przejść na więzienną edukację... Ale odbiegliśmy od tematu.

W sumie kryminalny biznes dawał znakomite dochody.

Im więcej Nikitin dostawał pieniędzy, tym mniej chciał oddawać innym członkom bandy. Nieustannie czymś się usprawiedliwiał – to dał komuś łapówkę, to rzekomo kupił jakieś meble dla „Albatrosa”. Kiedy prawie w ogóle przestał dawać Wandzie pieniądze, ta pierwsza zrozumiała, że ją oszukuje. Potem zaczęły buntować się Wiera i Lola, ostatnia – Nina. W końcu baby się dogadały...

– Tak w ogóle to Lola bywała u Wandy. Mam jej fotografię, zrobioną w pokoju dla gości!

– No proszę – wtrącił pułkownik. – Ta narwana kobieta wszędzie nos wsadzi!

„Damy” się skrzyknęły i wspólnie postanowiły zabić Aleksego. Biznes mógł znakomicie kwitnąć i bez niego. A ponieważ obcych do tej sprawy nie chciały mieszać, rolę kata powierzyły Timofiejowi.

– Własnemu siostrzeńcowi?! – Basile złapał się za głowę.

– Kiedy w grę wchodzi duże pieniądze, więzi rodzinne tracą znaczenie – odpowiedział Aleksander. – Mamy zatem wieczór drugiego listopada, godzinę siódmą. Na ulicy jest ciemno, choć oko wykol. Aleksey Nikitin wychodzi z „Albatrosa” i kieruje się do swego samochodu. Zaczepia go Timofiej, razem podchodzą do volva. Tutaj siostrzeniec wyciąga pistolet z tłumikiem i bez przeszkód zabija wujka. Potem wpycha ciało do bagażnika i odchodzi. Rachuba prosta: samochód należy do Nikitina i długo nikt go nie otworzy. Wanda i Lola nie pisną słówka, choćby je krajano. Na ulicy zimno, proces rozkładu zwłok się opóźni. No, może po tygodniu zaczną się poszukiwania. Ale czas minie, wszyscy mają alibi... Tak by właśnie było. Misterny plan zawiódł przez zwykły zbieg okoliczności. Tego wieczoru obok samochodu Nikitina stało dokładnie takie samo volvo. Zgadzał kolor się – bordo – a nawet numery były zabawnie podobne – Daszy – sześćset dwadzieścia pięć KE, Aleksieja – sześćset pięćdziesiąt dwa. Timofiej popełnił fatalny błąd: bardzo się śpieszył no i na pewno denerwował. Bagażnik otworzył zawczasu wytrychem, potem wywołał sprzeczkę z wujem. Wówczas błyskawicznie podniósł klapę, strzelił, wepchnął ciało; dla pewności oddał jeszcze jeden strzał w głowę i zatrzasnął bagażnik. Wyobraźcie sobie przerażenie Wiery, kiedy po kilku godzinach poinformowano ją o śmierci brata! Wanda, chytruska, pojechała do Karlowych Warów, a reszta po prostu nie zdążyła zapewnić sobie alibi. Myśleli, że mają przynajmniej tydzień luzu!

Po morderstwie spadł na nich istny deszcz kłopotów. Po pierwsze, Wiera stwierdziła zaginięcie torebki, w której leżał paszport Korzinkina. Najpierw pomyślała, że ów dowód rzeczowy wpadł za komodę w holu, i wróciła do domu. Następnego dnia rano zadzwoniła Jula i uspokoiła ją: tak, za komodą widać kawałek paska. To znaczy, że torebka rzeczywiście wpadła za mebel, ale wyciągnąć ją niełatwo. W holu wszystko było robione na zamówienie i komoda jest przymocowana na stałe; żeby za nią wejść, trzeba ją oderwać od ściany. Wiera odpowiedziała: w porządku, najważniejsze, że zguba jest w domu.

W końcu przyjeżdża specjalista z firmy, odsuwa mebel i wyciąga... pasek od skórzanego płaszcza. Kobiety wpadają w panikę – w domu był złodziej. Metodą dedukcji ustalają, że była nim Maja Kołosowa, i nasyłają na nią Timofieja. Chłopak jest urodzonym sadystą: torturuje nieszczęśliwą, chorą kobietę; morduje ją, potem wystawia z krzesłem na balkon. Następnie przeszukuje pokój, ale torebki ani śladu... Nawiasem mówiąc, strzelił do martwego ciała. Sekcja wykazała, że Kołosowa umarła jeszcze przedtem; serce nie wytrzymało tortur.

Zbrodnicza szajka zaczyna panikować. A tutaj jeszcze pan Korzinkin za nic w świecie nie chce zdradzić schowka. Nina, Lola i Jula chcą go sprzątnąć, ale Wiera jest przekonana, że skarb istnieje. Przewożą Basile'a do więzienia, do Samochwałowa, i na wszelkie sposoby usiłują nastraszyć. Ale Korzinkin ani myśli „pęknąć”. Wówczas pojawia się Daria i robi masę głupstw! Choćby ten wysmarowany zielenią brylantową karaluch! Ale my się nie wtrącamy, po prostu obserwujemy.

Ostupiałam.

– Wiedziałeś?

– Kapitan Jewdokimow, chociaż przypomina niezdarne niedźwiedzia, jest w rzeczywistości bardzo sprytny. Specjalnie umieściliśmy go w obozie, żeby rozplątać ten kłębek. No więc miał, kochana, niemałą uciechę, patrząc, jak wędrujesz z roztworem nadmanganianu potasu po barakach. A już na widok karalucha omal nie ryknął śmiechem, ale pohamował się i dalej grał swoją rolę.

– Dlaczego nie aresztowaliście Samochwałowa? – oburzyłam się.

– Po pierwsze, mieliśmy za mało dowodów, a po drugie: nie wystarczy ściąć wierzchołek; usunąć trzeba przede wszystkim korzenie. Dowiedzieliśmy się, kto w obozie współpracuje z szajką, i chcieliśmy wykryć wszystkich uczestników afery. Zresztą od pana Samochwałowa ślady wiodły dalej, do kobiecego więzienia w Riazaniu i aresztu w Pokalsku. I w jednym, i w drugim przyjmowano „turystów”.

Ze zdziwienia otworzyłam usta.

– Tak więc, kochanie moje, niezłe namącałaś – rzekł z westchnieniem pułkownik.

– Postanowiliśmy jednak zostawić „turystkę ekstremalną” w spokoju. Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się po tobie aż takiego sprytu. Z karceru uciec

praktycznie nie można, jak więc udało ci się wyciągnąć stamtąd pana Korzinkina?

– Potem opowiem – obiecałam dumnie.

– Mało mnie na śmierć nie zatrula – poskarżył się Basile.

Patrzcie go, jaki delikatny!

– Ostatecznie łajdakom pomieszała szyki głupia Elina.

– Gdzie ona jest? – zawołałam. – Żyje?

– Żyje, żyje – uspokoił mnie pułkownik. – Nic jej nie będzie, tylko nogę ma złamaną.

– Boże! – przestraszyłam się. – Chcieli jej uciąć nogę?

Aleksander westchnął.

– Ela to zadziwiająca istota: absolutnie bezmózga i wyjątkowo naiwna, ale w chwili niebezpieczeństwa nawet ona zaczyna myśleć.

Tamtego wieczoru poszła na spacer z Rachel i stanęła przy kiosku, oglądając cukierki. Wówczas obok niej zatrzymało się żiguli. Nina, jadąc do domu, chciała kupić papierosy. Wiedziała oczywiście, że Ela uciekła ze szpitala, więc na pewno zdumiała się, widząc uciekinierkę na ulicy, i to jeszcze z psem. Otworzyła drzwi i krzyknęła:

– Przepraszam, która godzina?

Nie spodziewając się niczego złego, Ela zbliżyła się do samochodu i błyskawicznie została wciągnięta do środka. Kiedy zobaczyła Ninę, zamarła ze strachu, prawie straciła rozum ze strachu. Ale jakieś jego resztki musiały zostać, bo kiedy na moście Leningradzkim zobaczyła posterunek drogówki, otworzyła drzwi i wyskoczyła z wozu, łamiąc prawą nogę. Trafiła jednak prosto w ręce milicjantów, Nina zaś uciekła. Nie udało jej się dogonić.

Histerycznie płaczącą dziewczynę odwieziono na ostry dyżur do szpitala imienia Sklifosowskiego, a my zrozumieliśmy, że pora już wszystkich przymknąć.

Aresztowaliśmy Wierę, Julę i Lolę. Panie od razu zaczęły sypać jedna drugą, zwalając przy okazji winę na nieżyjącego Aleksego... Ale Nina i Timofiej, przeczuwając coś złego, zawczasu się ukryli. Ela zadzwoniła do Niny na komórkę i płaczliwym głosem zaczęła żądać zwrotu trzech tysięcy dolarów.

Nina zgodziła się wypłacić obiecane pieniądze Eli i spytała, gdzie może ją znaleźć. Ta dała jej adres Oksany...

W mieszkaniu urządziliśmy zasadzkę. Przy oknie z papierosem w ręku stała milicjantka w kamizelce kuloodpornej pod fartuchem. Udawała Elinę. Ale nikt nie przyszedł. Czy Nina się zorientowała, że Ela nie może znać numeru jej komórki, czy też po prostu wyczuła niebezpieczeństwo, dość że nasza grupa sterczała w małym mieszkanku zupełnie na darmo. No i nagle pojawiłaś się ty, Dario!

– To już skandal! – krzyknęłam ze złością. – Jak mogłeś?! Widziałeś, że szukam

Basile'a, że się męczę, i nic nie zrobiłeś?! Sam przecież mówiłeś, że płątałam się wam pod nogami! No, czemuś mnie nie powstrzymał albo przynajmniej nie wytłumaczył mi wszystkiego? To po prostu sadyzm!

Pułkownik uśmiechnął się szeroko:

– No, mimo wszystko nam pomogłaś!

– Jak?

– Mieliśmy wysłać do „Albatrosa” swojego człowieka, żeby udawał turystę. Chcieliśmy zobaczyć, jak pracuje kanał przerzutowy, a tu nagle ty, kochana, z młodzieńczym entuzjazmem leziesz prosto w paszczę lwa. No i obeszło się bez „wtyczki”. Śledziliśmy najpierw Lolę, potem pracowników obozu, którzy organizowali „zwiedzanie”. Tak że bardzo ci dziękujemy. Chcesz, to wyrazimy wdzięczność w specjalnym rozkazie, jako nieetatowemu współpracownikowi? A może wolisz zegarek z napisem „Za odwagę”? – nabijał się ze mnie Aleksander.

Milczałam wstrząśnięta.

– Zresztą ty też powinnaś mi podziękować – dodał przyjaciel.

– Za co?

– A niby czemu tak nagle twoi domownicy wyjechali do Petersburga?

– Chcesz powiedzieć...

– Właśnie. Poprosiłem ich o wyniesienie się na dzień z domu, żeby zwariowana mamuska poczuła się bezpieczna. Wiedziałem, że łamiesz sobie głowę, chcąc wszystko tak zorganizować, żeby rodzina nie zauważyła twojej nieobecności.

– I zgodzili się? Wszyscy?

– No, nie całkiem bezinteresownie. – Przyjaciel zachichotał złośliwie. – Trzeba było się szarpnąć na łapówki. Dwadzieścia rurek z kremem, figurka jamnika i butla superpolerolu do mercedesa – na tyle cię wyceniono.

Słowa nie mogłam wykrztusić. Sprzedać matkę za ciastka, porcelanową figurkę i aerozol samochodowy – to niesłychane!

– A co będzie ze mną? – nieśmiało spytał Basile.

Pułkownik spojrzał na Korzinkina.

– To zależy, jak zachowa się pan w śledztwie. Najprawdopodobniej zostanie pan po prostu wyekspediowany z Rosji i otrzyma zakaz wjazdu na przyszłość. Wiedział pan o tym, że ludzi specjalnie okaleczano, robiono z nich inwalidów?

– Nie, skąd – zaprzeczył przestraszony Basile. – Myślałem, że to naprawdę inwalidzi od urodzenia albo ofiary choroby. Oczywiście, to też nie w porządku, ale to przynajmniej pozwalało im trochę zarobić... A już turystyka ekstremalna wyglądała w ogóle niewinnie... Ja zresztą nic nie organizowałem, tylko szukałem klientów. W Moskwie wszystkim zajmowali się Nikitinowie.

– To proszę powiedzieć śledczemu – doradził pułkownik. – Dobra, jadę się

przebrać i do roboty.

W drzwiach zatrzymał się i dodał:

– Niech panu tylko nie wpadnie do głowy, żeby nagle dać nogę.

Zostaliśmy sami.

– Po co dałeś sweter Timofiejowi? – spytałam.

– Nic nikomu nie dawałem – oburzył się przyjaciel. – Wszystko mi zabrali jeszcze u Nikitinów.

To znaczy, że sweter spodobała się Timie i postanowił po prostu ją sobie zabrać. Nie pomyślał, że to może się stać dowodem rzeczowym.

Basile zaczął biegać po kuchence, potykając się o meble.

– Boże, Timofiej! Taki dzieciak! Wykształcony, inteligentny, mówi po francusku, gra na fortepianie... i nagle morduje z zimną krwią! Nie wierzę! Żaden z Korzinkinów nigdy by czegoś takiego nie zrobił! W całej historii rodu nie było mordercy!

– Akurat! – rozgniewałam się. – Twoja praprababcia z prapradziadkiem spokojniutko udusili córkę i na dodatek jej nowo narodzone dziecko. A sympatyczny, kulturalny Timofiej napadł na samotną kobietę i nie wstydził się grzebać w jej staniku, żeby ukraść świadectwo własności domu i ziemi.

Wyrzuciłam to z siebie i w tej samej chwili zrobiło mi się gorąco. Dopiero teraz pojęłam, co ryzykowałam, idąc do Wiery Nikitinej!

Basile z zakłopotaniem wpatrywał się w pustą filiżankę.

– Słuchaj – nakazałam – powiedz mi teraz, co znalazłeś w grobie nieszczęsnego noworodka?

– Nic – odparł stanowczo Korzinkin.

– Dostyc! Diegtiarow ci może uwierzył, ale ja nie!

– Dlaczego!

– Przecież sto razy mówiłeś, że nisza była zaciągnięta pajęczyną... A ja widziałam, że jest czysto, sucho i ani śladu pajaków.

Basile otworzył usta, ale ja szybko zaczęłam machać rękami.

– Tylko mi nie kłam, że wytarłeś schówek chusteczką. Chętnie wierzę, że kiedy go otworzyłeś, była tam rzeczywiście pajęczyna. Ale kiedy wyjąłeś kuferek, musiałeś ją zniszczyć.

Korzinkin westchnął.

– Ale w kufierku nie było żadnych kosztowności.

– A co? Co tam leżało?

– Listy.

– Listy? – powiedziałaam rozczarowana. – Tyle hałasu o zapisany papier?

– To prywatne listy niewinnie zamordowanego cesarza Mikołaja II do żony Aleksandry. W sumie dwadzieścia pięć.

Oniemiałam. Ależ to lepsze od wszystkich skarbów! Za ten zapisany „papier” można teraz dostać miliony dolarów!

– Jak korespondencja cara trafiła do Korzinkinów?

– Matka Mikołaja pochodziła z rodu Wiaziemskich. Jej starsza siostra była frejliną na dworze. Widząc, że sytuacja robi się coraz gorsza, bliska przyjaciółka carycy, Anna Wyrubowa, zaczęła ukrywać archiwum. Niektóre rzeczy wywiozła, inne rozdała zaufanym osobom, przekazując, żeby strzegli ich jak oka w głowie. Jelena Wiaziemska przewiozła listy na wieś i kazała schować. O skrytce w grobie wiedzieli wszyscy krewni.

Glikierii Korzinkinej po zabójstwie córki całkiem pomieszało się w głowie. Modliła się o wybaczenie zbrodni, a potem wezwała majstra i kazała zrobić niszę. Chciała, żeby syn skremował ją po śmierci, a urnę postawił w grobie przy Nasti. Ale Andriej nie spełnił ostatniej woli zmarłej, pogrzebał ją po chrześcijańsku, jak należy: na cmentarzu, a nie za ogrodzeniem... A kiedy trzeba było ukryć korespondencję, przypomniano sobie o grobie i tam ją włożono. Jelena wróciła do Petersburga. Szlachta szczerze wierzyła, że bolszewicy nie porządzą długo i trzeba ich tylko przeczekać; potem wszystko wróci na swoje miejsce. Któż wiedział, że wszystko tak smutno się skończy – Maria i Andriej zginą, Nikołaj znajdzie się na obczyźnie, a Trofim całe życie przeżyje pod cudzym nazwiskiem! Teraz ród Korzinkinów wymrze ostatecznie... Nie mamy dzieci, a Timofiej jest mordercą... Ech!

Zrezygnowany, machnął ręką.

A i rozpuszczoną Ritkę, córeczkę Aleksego, trudno uznać za godną przedstawicielkę rodziny, pomyślałam, ale na głos powiedziałam tylko:

– No i gdzie są dokumenty?

– U Prochora, w Gorłowce.

– Jak to? Widziałeś się ze staruszką?

– Tak, kazałem lepiej schować szkatułkę, więc zaniósł ją do piwnicy.

To dopiero – Prochor milczał jak głaz! Stara szkoła, ani słowem nie zająknął się o przyjeździe Basile’a. Nie zdradził się nawet, kiedy zobaczył paszport. To się nazywa wierność!

– Dlaczego nie powiedziałaś Aleksemu o skarbie, kiedy cię uwięzili w więzy?

– Natychmiast by mnie zabił – powiedział Basile. – Oczy mu tak błyszczały, że zrozumiałem: zastrzeli mnie, gdy tylko pozna prawdę. Był strasznie chciwy.

Ha, tyś, kochaneczku, nie lepszy!

Korzinkin jednak ciągnął:

– Pomyślałem sobie: dopóki milczę – żyję. Staralem się trzymać, ale w obozie – powiem uczciwie – gonilem już resztkami sił, ciągle mając nadzieję na jakiś cud. No i doczekałem się ciebie!

Racja, mógłby przynajmniej powiedzieć „dziękuję!”. Do głowy mu to nie przyszło. Po tym, co usłyszałam, Korzinkin podobał mi się coraz mniej.

– A jak się dowiedziałaś, że otwierałem niszę? – zainteresował się Basile.

– Znalazłam zapalniczkę koło ławeczki; no i w hotelu pokojówka mówiła, że nie było cię przez jakiś czas, a potem wróciłeś i robiłeś pranie. Pomyślałam, że pewnie byłeś strasznie zablocony i chciałeś zatrzeć ślady swojej wyprawy!

– Tak, droga tam biegnie w dół – potwierdził Basile. – Wracając, wdepnąłem w paskudne błoto.

Istotnie, Basile, wdepnąłeś w prawdziwe bagno!

Epilog

Uprzedzając fakty, powiem, że Wiera, Lola i Wanda dostały minimalne wyroki. Chytre babska zwały wszystko na Ninę i Timofieja. Nawiasem mówiąc, tych dwojga nie znaleziono. Sprytnie zatarli za sobą ślady i gdzieś się przyczaili.

Julę wypuszczono, zabrała Ritę i wyjechała z nią w nieznanym kierunku. Domu Nikitinów nie można było skonfiskować, tak że wynajęto go jakiejś firmie. Elę wypisano ze szpitala w idealnym stanie; Aleksander wyrobił jej dokumenty i załatwił naukę u fryzjerki.

Feliks Samochwałow w towarzystwie innych pracowników więziennictwa nadal przebywa w zakładzie karnym, ale już w całkiem odmiennej roli.

Basile wrócił do Paryża. Najprawdopodobniej przewiózł bezcenne listy do Francji, bo sprzedał mieszkanie, kupił dom na przedmieściach stolicy i zaczął żyć na szerokiej stopie. Nie zdradziłam jego tajemnicy, ale już Korzinkinów nie odwiedzam, chociaż regularnie przysyłają mi zaproszenia.

Co prawda, tamtego listopadowego dnia, kiedy wracałam od Oksany do domu, wielu rzeczy jeszcze nie wiedziałam. Domownicy spokojnie siedzieli w salonie. Zaatakowałam ich jak jastrzęb!

– Zdrajcy!

Kiesza i Kicia wsadzili nosy w gazetę, udając, że mnie nie słyszą. Marusia natychmiast rzuciła się mi na szyję.

– Mamuś! Aleksander Michajłowicz tak prosił, żeby mu pomóc! Mówił, że zmęczyła go walka z cieniem.

– Z kim?

– No, powiedział tak: sprawa jest strasznie zawikłana. Dotrzeć tu do prawdy – to szukać cienia w ciemnościach. Rozumiesz? Można go zobaczyć za jasności, ale nie po ciemku. Czarnego na czarnym nie widać!

Westchnęłam i usiadłam przy stole.

– Zaraz przyniosę kawy – ożywiła się Kicia.

Arkady wybiegł za nią.

Po paru minutach dzieci wróciły, dźwigając olbrzymią torbę.

– Proszę – powiedziała Olga, podając mi gauloise’y. – Pozwalam ci palić w salonie, kurz sobie na zdrowie.

– A to – wymamrotał Arkasza, otwierając kuferek – lekarstwo na nudę, możesz czytać, ile chcesz.

Położył przede mną trzydzieści tomów serii „Klasyka kryminału”. Wszystkie w skórzanych oprawach ze złotymi literami.

– I jeść słodycze do woli – rozdarła się Mania, wręczając mi trzykilowe pudło moich ulubionych śliwek w czekoladzie.

Popatrzyłam na ich skruszone twarze i zaczęłam się śmiać. A to chytrusy, wiedzą, jak mnie udobruchać!

W tydzień później świętowaliśmy ślub Gali i Miszy. Narzeczoną ubrałyśmy w elegancką jasnoszarą sukienkę, zręcznie tuszującą wady jej figury.

Trudniej było ze strojem Miszy.

– Po co nowy garnitur? – bronił się profesor, podtykając nam pod nos wyświechtaną marynarkę. – Popatrzcie, broniłem w niej pracy doktorskiej; to stara, porządna rzecz, doskonałej jakości.

Arkasza obejrzał wytarte poły i powiedział:

– Garnitur nie koniak, z wiekiem nie robi się lepszy. Ten trzeba spalić!

W prezencie obiecaliśmy im meble do sypialni, więc Gala, zalewając się rumieńcem, wybrała w sklepie najszersze łóżko małżeńskie.

Poza tym o coś mnie poprosiła. W przeddzień ślubu weszła do mojego pokoju.

– Daszeńko – wyszeptwała. – Przez całe życie będę panią błogosławić za wszystko.

– Daj spokój.

– Tak niezręcznie mi prosić...

– O co?

– Niech pani podaruje nam Kukę, bardzo się do niej przywiązałam!

Kuka rzeczywiście chodziła za Galą jak cień.

– A twoja alergia? – zdumiałam się.

Galinka pociągnęła nosem.

– Jakoś przeszła. Jakby jej nigdy nie było.

Nastał zatem uroczysty dzień. Do Pałacu Ślubów przyszła cała kupa ludzi – wszyscy koledzy pana młodego z Instytutu im. Kurczatowa, trzy niezamężne przyjaciółki Gali, no i naturalnie my; w pełnym składzie, jeśli nie liczyć bliźniaków. Tutaj siedziała też Kuka z kokardą, najwyraźniej jako świadek panny młodej.

Nowożeńcy przyjechali w mercedesie Arkadego, ozdobionym wstążkami, balonikami i siedzącą na masce lalką. Samochód własnoręcznie przystrajała

Manusia, a kiedy jej brat zobaczył to чудо, z początku nie chciał do niego wsiąść.

Dopiero gdy Olga huknęła na męża, posłusznie usiadł za kierownicą

– Nie bój się – instruował Jefim pana młodego. – Tylko za pierwszym razem jest strasznie.

Niespodziewanie wyrzało słońce. Jego promienie przeniknęły do sali, gdzie odbywała się uroczystość, i oświetliły pięćdziesięcioletnią panią z czerwoną szarfą na potężnym biuście. Zadzźwięczał marsz Mendelssohna, przyjaciółki Galiny wyjęły chusteczki. Mnie też ścisnęło w gardle. Jak dobrze, jak ładnie wszystko się kończy: morze kwiatów, obrączki.

– Do diabła! – syknęła mi do ucha Manusia. – Nie dopilnowałam go. A to gapa!

– Co się stało? – spytałam szeptem.

– Popatrz na Miszę!

Przyjrzałam się panu młodemu. Chyba wszystko było w porządku. Nowy wyprasowany garnitur, biała koszula, nawet uczesanie bez zarzutu. To Mania jakoś ułożyła gęste, kędzierzawe włosy matematyka, szczerze spryskując je lakierem.

– Nogi, popatrz na jego nogi!

Przeniosłam wzrok na stopy profesora i z trudem powstrzymałam śmiech – mankiety nowych ciemnoszarych spodni spoczywały na... kaloszach. Nasz ogrodnik wkłada je na buty, kiedy pracuje w ogrodzie. Nie mam pojęcia, skąd Misza wytrzasnął te deszczochody.

– Nie martw się, dziecko – szepnęłam do Marusi. – Wszyscy pomyślą, że to supermodne lakierki.

– A niech tam! – westchnęła Manusia smętnie. – Mam nadzieję, że nie zgubi ich na schodach...

– No, nie przejmuj się tak, najważniejsze, że są szczęśliwi.

– Racja – zgodziła się Mania. – Prawdę mówiąc, już się przyzwyczałam, że w naszej rodzinie nic nie jest normalne.